

# Klavan Andrew

## Zwierzęca godzina

Od pierwszego zdania akcja tego nowatorskiego dreszczowca rusza z kopyta. Autor snuje pełną grozy opowieść o mrocznych stronach życia, nieobcych mieszkańcom Nowego Jorku, czyli o zbrodni, narkotykach, oszustwach, seksie. Ciarki chodzą po plecach, a jednak nie można się od tej książki oderwać. Nie ma wątpliwości - "Zwierzęca godzina" to lektura dla ludzi o mocnych nerwach.



Część pierwsza

JESTEŚ NICZYJA

*Dokąd zmierzam? Nie wiem. Po co mnie pytają?  
Czy to takie ważne, dokąd ludzie gnają?*

**A.A. Milne**, *Spring Morning*

Nancy Kincaid

Zapowiadał się parszywy dzień. Wiedziała o tym od rana, jeszcze zanim znikła.

Przede wszystkim podle się czuła. Połamało ją jak przed grypą. Wagon metra trzął się i podrygiwał, pędząc do śródmieścia. Miała wrażenie, że jej głowa pęcznieje i kurczy się na przemian. No i ten tłok. Godzina szczytu. Poniedziałkowy ranek, za kwadrans dziewiąta. Ani jednego wolnego miejsca. Pasażerowie stłoczeni w przejściach, szpilki byś nie wetknął. A ona tkwiła w samym środku tego zamieszania. Torebkę ścisnęła z całej siły pod pachą. Wolną ręką uchwyciła się metalowego słupka. Szare plecy, czarne twarze, uszmińkowane usta — osaczają ją zewsząd. I te zapachy: ostry - wody po goleniu, kwiatowy - perfum; pot, szampon, mdląco słodki dezodorant. Kotłują się w nozdrzach. Klajstrują mózg. Pociągiem zatrzęsło, ludzie zakołysali się, napierając ze wszystkich stron.

„O rany - pomyślała. - Teraz się zacznie”.

Stacja Prince Street. Drzwi się rozsunęły, ukazując długi poźółkły mur. Tłum na peronie startł się momentalnie z tłumem w metrze. Przez harmider przebiły się dźwięki nowo-orleańskiego jazzu. Za drzwiami dostrzegła białego mężczyznę z wydętymi policzkami, dmącego w trąbkę.

*Pudru pyt, szminki blask, Pysznisz? się niby rajski ptak...*

Znam tę piosenkę - pomyślała. - Tata ją czasami śpiewa.

Przez chwilę usiłowała przypomnieć sobie tytuł. Trąbka refrenem odświeżyła jej pamięć: to *Jesteś niczyja*.

*Próbny trud, zbędna gra, Jesteś niczyja, mila ma.*

Drzwi się zasunęły. Pociąg szarpnął. Muzyka wprawiła ją w smętny nastrój, napełniła nieokreślonym pragnieniem; była jak promyk słońca w celi skazańca. Zamknęła oczy, pociąg trząsł, ludzie cisnęli się wokół. „Boże - modliła się bez większej nadziei - Boże, mech już będzie weekend. Dobrze? Otworzę oczy... i pach! - będzie sobota Dobrze?

wariacie ty wszechmogący! Pójdź na całość! Przecież umiesz to zrobić. Przecież ty tu rządysz. Raz, dwa, trzy Pach""

Otworzyła oczy. Ach, ten Bóg! Z mm zawsze to samo. Miała ochotę powiedzieć mu to i owo do słuchu

Pokazała język i prychnęła. Dźwięk utonął w łoskocie pociągu.

Uwiesiła się na swoim słupku i pogrążyła w myślach o weekendzie. Tylko pięć dni - i już będzie piątkowy wieczór. Pojadą z Maurą do Greenwich Village. Ubiorą się wyzywająco. Na czarno, w coś obcisłego. Usiądą w jakimś barze, może u Lancera. Napiją się szatana z ekspresu i będą udawały że im smakuje. Będą udawały, że żadne z nich cnotki. Będą udawały, że spotykają się tu z chłopakami A może rzeczywiście kogoś poznają. Nigdy nie wiadomo. Może jakiś artystyczny typ, jakiś poeta albo ktoś w tym rodzaju, usiądzie na stołku obok. Jakiś rozczochrany poeta o wymizerowanej twarzy, w powyciąganym swetrze

- Stacja Canal Street - popłynęło z głośników. - Uwaga drzwi się zamykają.

Zachwiała się, potrącana falami wysiadających i wsiadających. Ścisnęła mocniej torebkę, chwyciła się słupka. Pociąg zazgrzytał i ruszył dalej. Za oknami szumiały czarne tunele Zapatrzeć się w tę czerń, rozwijając fantazję o poecie. A dlaczegoż by nie? Wyobrażała go sobie: taki niedźwiedziowaty. Pacet, pod którym drzy podłoga, kiedy po niej

stąpa. Który mówi basem i bez przerwy klnie. Ale jego brązowe oczy zarezerwowane są wyłącznie dla niej; trwa przy niej jak wierny pies, przytula ją, patrzy w źrenice. Nie da się takiego nie kochać, no bo jak?

Gapiała się w przestrzeń, wagon nabierał szybkości. „Uuch” - pomyślała.

Budziłyby się u niego w środku nocy. Na wąskim łóżku; w pokoiku na poddaszu. Leżałyby w milczeniu, naga pod cienkim prześcieradłem. Ach, matkę szlag by trafił, gdyby w domu spała nago. Ale matka - jej kluchowata mamuśka, wiecznie na prochach - byłaby daleko. Tkwiłyby w zblakłym mieszkaniu przy Gramercy. A siwowłosa tatulek wyłączyłyby wieczorne wiadomości, wstał, przeciągnął się i powiedział: „Chyba nie ma sensu dłużej na nią czekać”. I wzięłyby flaszkę piwa do łóżka.

Za to jej poeta by nie spał. Siedziałby przy swoim biurku na tym strychu, mimo że minęła już północ. Ona leżałyby na boku, naga pod cienkim prześcieradłem, udając, że śpi, i przyglądałaby mu się ukradkiem. Zgarbiona sylwetka w kręgu światła lampki, pióro gorączkowo biega po papierze, w oczach gorączkowy blask.

„Oto Zwierzęca Godzina” — pisałby.

*Ospale paździenikowe muchy, Niepocieszone na krzesłach werandy,  
Mrugają w odpryskach zachodzącego słońca, błękit, błękit coraz  
ciemniejszy rozpełza się*

*w powietrzu...*

A ona czekałaby i obserwowала go... leżąc pod cienkim poplamionym prześcieradłem. W końcu by się zmęczył. Odłożyłby wreszcie pióro i oparł głowę na dłoniach. A wtedy ona by się poruszyła i szepnęła: „Chodź już do łóżka, kochany”. Odrzuciłaby prześcieradło na bok... Ach, matka by padła trupem, gdyby to zobaczyła. A jej poeta roześmiałby się na ten widok. Wstałby ociężale, jak to on, i powiedział: „Byłaś taką katolicką skromnisią, kiedy cię poznałem. Co się z ciebie przy mnie zrobiło?!” I podszedłby do niej po swojemu, ciężko, znów zgłodniały jej ciała.

- Stacja Ratusz! - odezwał się motorniczy w głośnikach.

Ocknęła się z głupkowskim uśmiechem. „Cholera -pomyślała i wypuściła powietrze z płuc. - Nancy Kincaid i jej Fantazja Erotyczna nr 712". Pociąg stanął. Drzwi się rozsunęły. Pasażerowie wylali się na peron. Dała się zmyć tłumowi.

Jeszcze otębiała, śniąc na jawie o swoim poecie, włączyła się w orszak. Codzienny nowojorski pochód godziny szczytu. Szare garnitury, schludne sukienki, przebierające nogi, stukające unisono obcasy. Kolana w górę na betonowych stopniach schodów, potem wyjście na zadaszony pasaż przed Ratuszem. Przykucnięty gazeciarz wymachuje poranną gazetą, podtyka jej pod nos.

- Matka zjadła niemowlę! - skrzeczy. - Kupujcie „Post"! Zamrugła, marzenia ulotniły się bez śladu. „O nie, dziękuję bardzo" - powiedziała do siebie. Ominęła ropuchowatego gazeciarza. Przemknęła między potężnymi filarami. Wydostała się na dwór. Odetchnęła głęboko, czekając na zielone światło. Chłodne powietrze, zapach liści. Październik. Niebo wysokie i niebieskie. Samochody pędzą obok ciągnącej się wzdłuż wielkiego budynku kolumnady. Nad jezdnią wznoszą się marmurowe świątynie gmachów sądu. Po przeciwnej stronie, w parku, bieleje Ratusz, przesłaniany czerwonym listowiem dębów amerykańskich i żółtym platanów.

Zmieniły się światła. Samochody stanęły, parszkając niecierpliwie spalinami. Ruszyła na drugą stronę, w kierunku parku i Ratusza.

Weszła do parku. Zaniedbana zieleń. Betonowe alejki wśród wyleniawych, zaśmieconych trawników. Na zielonych ławkach przycupnięci bezdomni. Mężczyźni w garniturach spieszyli się, wyprzedzali ją. Policjant przechadzał się statecznie na schodach Ratusza, pod wysokimi łukami okien, pod obłazącą kopułą, koło posągu Temidy z wagą. Liście platanów spadały jak deszcz i wirowały po alejkach, pędzone wiatrem. Szeleściły pod stopami, jakby szeptały. Świeże powietrze trochę ją orzeźwiło, w głowie przejaśniało, lecz tęskny smutek znów zaczął w niej wzbierać.

*Kiedy tak aleją kroczysz,  
Nie wiem wprost, co myśleć mam...*

„To było zaledwie - ile? - pięć miesięcy temu” - pomyślała. Jeszcze pięć miesięcy temu studiowała w college'u. Jeszcze w maju. Spieszyła przez uczelniany dziedziniec na West Side. Przypomniła sobie ciężar zarzuconej na ramię torby, wypchanej kostiumem i baletkami, miękki ucisk trykotu pod ubraniem. Czy naprawdę w to wierzyła? W te marzenia - że będzie chodzić na przesłuchania kwalifikacyjne, że dostanie rolę. „Proszę pani! Tak, pani, ta dziewczyna o niebieskich oczach! Bierzemy panią do tej roli!” Silne dłonie obejmują ją w talii, unoszą w powietrze; światła rampy przesłaniają cały świat. Burza oklasków. Nie milknąca. Czy naprawdę kiedyś myślała, że to się ziści?

Nie, chyba nie. A przynajmniej teraz nie była tego pewna. Nie mogła sobie przypomnieć.

*Lecz próbny trud, zbędna gra, Jesteś niczyja, mila mac.*

Minęła Ratusz, wyszła z parku na Broadway. Jej biuro mieściło się po drugiej stronie ulicy. Wysoka, wąska kamienica. Fronton w elementach dekoracyjnych z białego kamienia, utrzymanych w ołatrzowym stylu. Filigranowe ornamenty wokół łukowatych okien. Sponad gzymsów rozdziawiają się drwiąco gargulce, złośliwie szczerzą zęby maszkarony.

Posada u Fernanda Woodlawn nadarzyła się od razu. Po studiach nawet tydzień nie była bezrobotna. Ojciec powiedział jej, że Woodlawn szuka asystentki, a ona z miejsca zgodziła się iść na rozmowę wstępną. I nie poszła na żaden casting dla tancerek, ani razu. I nie było żadnych wieczorowych lekcji tańca, które planowała. A jeśli idzie o tamto „Proszę pani! Tak, pani, ta dziewczyna o niebieskich oczach!”, to spokojnie mogła o tym zapomnieć. Owszem, przeglądała od czasu do czasu prasę branżową. Powtarzała sobie, że zacznie lekcje, już w przyszłym tygodniu, miesiącu; że zgłosi się na przegląd kwalifikacyjny, niedługo, zaraz.

Ale tak naprawdę to wiedziała, że nic z tego nie będzie. Naprawdę to została osobistą asystentką adwokata, znajomego ojca. I tyle. „Jezu - pomyślała, stając na krawężniku -nawet się dotąd nie wyprowadziłam od starych". Matka powiedziała: „Przecież możesz jeszcze tu pomieszkać, zanim znajdziesz coś samodzielnego". No i szukała czegoś samodzielnego przez jedno niedzielne popołudnie, a potem dała spokój, bo nie miała czasu, a poza tym - ile forsy szłoby na wynajem... no i właśnie.

NANCY KINCAID DOWIADUJE SIĘ PRAWDY

O SOBIE! PRZEZ TCHÓRZOSTWO ZAPRZEPAŚCIŁA SWOJĄ SZANSE! Kupujcie „Post”!

Zeszła na jezdnię i wykorzystując przerwę w potoku pojazdów, przebiegła na drugą stronę Broadwayu. Na parterze jej firmowego gmachu mieścił się sklep spożywczy

i garnażeria. Okno wystawowe było przystrojone z okazji Halloween papierowymi lampionami-maskami i kościotrupami w najrozmaitszych wygibasach. Jedną stronę wystawy zaczerniał ogromny nietoperz z fosforyzującymi oczami. Zobaczyła w szybie swoje odbicie. Zatrzymała się na krótką inspekcję.

Była drobną, zgrabną kobietą. Figura wciąż dziewczęca. A twarz, prawdę mówiąc, aż za bardzo młodociana. Kągła, otwarta. „Za szeroka i za płaska" - pomyślała. Zbyt wydatna szczeka. Trochę złagodzona przez kędzierzawe kasztanowe włosy spadające na ramiona. A jej oczy - nie tylko błękitne jak ornament na chińskiej porcelanie, ale patrzące szczerze i bezpośrednio. Jej przyjaciółka, Maura, twierdziła, że nadają jej inteligentny i uczciwy wygląd.

Po podróży metrem włosy miała rozczochrane. Przyczesła się. Poprawiła płaszcz z imitacji wielbłądziej wełny. Doprowadziła do porządku zielony włóczkowy beret. „Inteligentna i uczciwa" - pomyślała. Skryta i zagadkowa, powiedzmy, brzmiałoby lepiej. Ale może są jacyś chłopcy! którzy lubią inteligentne i uczciwe. Gdzieś może są.

Westchnęła ciężko. Weszła do budynku, w drzwiach wyciągnęła z torebki puderniczkę. Czekaając na windę, poprawiła usta pomadką. Otarła smugę pudru.



*Pudru pył, szminki blask, Pysznisz się niby rajski ptak. lecz próżny trud, zbędna gra...*

Rozsunęły się stare drzwi z ozdobnej metalowej kraty. Weszła do ciasnej klatki windy. Jeszcze zanim drzwi się zatrzasnęły, ściągnęła beret i upchnęła go w kieszeni płaszcza. Bez beretu nie wygląda tak bardzo na uczennicę.

Wjechała na jedenaste piętro. Opuściła windę i weszła do holu recepcyjnego kancelarii „Woodlawn, Jesse & Goldstein”. Stara seledynowa kanapa. Niski stolik, na nim egzemplarze „Law Journal”. Tęga Murzynka czytała coś w swojej budce za szybą. Nancy pomachała dłonią. Kobieta rzuciła jej przelotne spojrzenie i przycisnęła guzik brzęczyka, otwierający niską drewnianą bramkę. Dalej znajdowała się jedna rozległa hala, podzielona przeszklonymi drewnianymi przepierzeniami na boksy, w każdym stało metalowe biurko i brązowe obrotowe krzesło. Wszędzie stosy papieru. Otwarte regały, zarzucone papierzyskami półki. Prawdę mówiąc, nędznie to wyglądało. Nancy przypomniała sobie, że doznała szoku, kiedy tu przyszła pierwszy raz. Tak miały wyglądać biura wielkiego Fernanda Woodlawna?

O Woodlawnie słyszała od dzieciństwa. Za każdym razem, gdy jego nazwisko pojawiała się w gazetach, ojciec gadał o nim jak najęty. „Zawsze wiedziałem, że stworzony jest do wielkich rzeczy. Autentyczny człowiek sukcesu! Prawdziwie prawniczy umysł!”

„Biedny tata” - pomyślała. Najcudowniejszy, najłagodniejszy człowiek pod słońcem, ale jako prawnik nadawał się tylko do uwierzytelniania testamentów. A jako polityk? Wystarczyła mu papierkowa robota dla uwielbianych demokratów. Jego jedynym tytułem do sławy był fakt, że studiował na jednym roku Brooklyńskiej Szkoły Prawniczej z Fernandem Woodlawnem. „Niejedno piwko się z nim wychyliło w przerwach między wykładami” - szczycił się. Ojca napawały głęboką osobistą satysfakcją wielkie umowy sporządzane przez Woodlawna. Jego spotkania z burmistrzem Nowego Jorku. Jego potyczki z gubernatorem. Chętnie się nawet zleceń, które mu po znajomości

upychał Fernando. „Wystarczy, żebym powiedział, że trochę u mnie krucho z robotą, a już mam na biurku więcej pracy, niż dam radę wykonać”. Biedny tatulek.

„Cóż - myślała, idąc pustym korytarzem do swojego biura mieszczącego się w głębi - tata wkrótce będzie miał nowe powody do dumy, niech go Bóg ma w swojej opiece”. Nie mogła mu jeszcze o tym powiedzieć, ale Woodlawn miał duże szanse na stołek w Albany. Gubernator jest skończony - co do tego wszyscy się zgadzają. Od ponad roku coraz gorzej wypada w sondażach, a nowa podwyżka podatków, której nie zdoła uniknąć, bo musi załatać dziurę w budżecie, załatwi go do reszty. Jeśli demokraci nie chcą oddać władzy w tym stanie, gubernator musi w przyszłym roku podać się do dymisji - albo czeka go sromotna porażka na własnym kongresie partyjnym. Otwiera się więc furka - a zgadnijcie, kto najbardziej ostrzy sobie zęby na nową posadę? Jeśli tylko w tym tygodniu uda się załatwić zatwierdzenie projektu Ashley Towers, Woodlawn dostarczy tyle prawniczej roboty partyjnym szyszkom, że nominację będzie miał praktycznie w kieszeni. A ponieważ stanowa organizacja republikanów jest w totalnej rozsypce, szanse Fernanda na urząd gubernatora wyglądają całkiem-całkiem.

Nancy pokręciła głową na samą myśl. Ten tydzień będzie koszmar. Telefony będą się urywać. Gorączkowe narady. I to „Nancy! Chodź, jesteś mi potrzebna” w słuchawce interkomu, od czego ciarki jej przechodziły po grzbiecie.

Na ścianie wisiała fotografia Fernanda; przechodząc właśnie, widziała ją przez szybę. Rozkładówka z magazynu „Down-towner” sprzed czterech miesięcy, w którym poświęcono mu artykuł. W tym wywiadzie po raz pierwszy Fernando puścił farbę, że nosi się z zamiarem kandydowania do władz stanowych. Nazwał to „balonem próbnym”; i wtedy zaczęło się szaleństwo. Fotograf z pisma przez cały dzień tu się kręcił; laził za Fernandem jak pies. A Fernando czarował chłopaka, jak to on potrafi. Klepał po plecach, sadił sprośne żarciki; nawet wieczorem zaprosił go z dziewczyną na kolację. Dzięki temu zyskał tę fotografię. Praktycznie gotowy plakat wyborczy. Fernando wychylony zza biurka, za jego

plecami szeroka panorama Manhattanu. Rękawy zakasane do łokci. Żyłaste przedramiona silnie wsparte o blat. Cała smukła, lecz silna postać jakby sprężona do skoku prosto w obiektyw. Szczupła twarz, mocne, jak wycięte laserem rysy, uosobienie ambicji i sukcesu. Gubernator jak się patrzy. Na sam widok tego zdjęcia Nancy zapiekło w brzuchu z niepokoju.

Z kolejnym westchnieniem, niemal jękiem, wkroczyła do swojego pokoiku. Na biurku wzorowy porządek, oczywiście. Dokumenty w równych stosach, klawiatura komputera równolegle do krawędzi blatu. Nawet monitor nachylony wyczekująco w stronę krzesła.

Rzuciła torebkę na blat i podeszła do okna. Znów zaczynało się jej kręcić w głowie, trzeba tu wpuścić trochę świeżego powietrza. Chwyliła ciężką drewnianą ramę i podciągnęła ze zgrzytem. Wytknęła głowę w zapach liści i spalin.

Z wysokości jedenastego piętra słyszała przytłumione trąbienie samochodów na Warren Street. Docierał do niej nawet szmer i tupot setek par nóg, odgłos poniedziałkowego porannego marszu do pracy. Zerknęła w lewo. Zewnętrzny parapet, tuż obok niej, zdobił maskaron z białego kamienia, przycupnięty karzeł w czymś w rodzaju czapki z daszkiem, z karykaturalnym złośliwym uśmiechem wykrzywającym twarz kłowna. Odwróciła się od niego, spojrzała w prawo. Wyciągając szyję, mogła dostrzec skrawek Broadwayu. Kępy platanów w parku. Białą kopułę Ratusza. Temidę trzymającą swoją wagę ponad żółtymi liśćmi.

Z lubością zaczerpnęła powietrza, otworzyła szerzej oczy. Zwróciła wzrok z powrotem w lewo.

Maszkaron przekreślił na bok głowę i uśmiechał się jej teraz prosto w oczy - jego wykrzywiona gęba była nie dalej niż piętnaście centymetrów od jej twarzy.

— Jezus Maria!

Odskoczyła od okna jak oparzona. Chwyliła się ręką za serce. Łomotało pod palcami. Ale opamiętała się. Wciąż z otwartymi ustami potrząsnęła głową. Roześmiała się.

— No, no - powiedziała głośno.

Coś niesamowitego. Boże! Grzbietem dłoni dotknęła czoła. Może ma gorączkę?

- Dziwne — wyszeptwała.

Cóż było robić, podeszła z powrotem do okna. Wyrzała. Przez chwilę bała się, że ten gnom naprawdę będzie się na nią gapił.

„Albo będzie się do mnie skradać. O nie!” - pomyślała.

Na szczęście potworek tkwił na swoim zwykłym miejscu. Szczerzył zęby do ulicy na dole. Nieruchomy, jak przystało na kawałek kamienia. Uśmiechnęła się do niego.

- Bardzo przepraszam, czym mogę pani służyć? Niespodziewany głos dobiegł z tyłu. Podskoczyła i -

łup! - rąbnęła się głową w okienną futrynę.

- Aj, cholera! - syknęła. Wycofała się do wnętrza, rozcierając ciemność.

W drzwiach stała kobieta. Murzynka. Wąska w talii, o obfitym biuście. Elegancka: czerwona sukienka, czerwona szminka na ustach, żywo kontrastujące z ciemną skórą. Kobieta trzymała pod pachą aktówkę. Przyglądała się Nancy z wyczekującym uśmiechem.

Dziewczyna nie była w stanie przerwać rozcierania guza.

- Dzień dobry - mruknęła przez zęby. - Rany, ale boli. Czarna kobieta nie ruszała się z miejsca; wciąż uśmiechała się wyczekująco.

- W czym mogłabym pani pomóc?

- Ee... nie odparła Nancy zmieszana. - Raczej w niczym. - Odjęła wreszcie rękę od głowy. - A dlaczego pani pyta?

- Chodzi mi o to... czy pani na kogoś czeka - chciała wiedzieć kobieta.

- Ee... nie. Pani musi być nowa. To moje biuro. Kobieta na to zaśmiała się z zakłopotaniem.

Raczej nie     oznajmiła. - Chyba się pani pomyliła. Nancy patrzyła na nią, nie rozumiejąc.

*Kiedy tak aleją kroczysz...*

Zamrugnęła oczami.

- Ee... co? Przepraszam, o co pani chodzi?

- Znaczący, musiała się pani pomylić - ciągnęła Murzynka. - To na pewno nie jest pani pokój.

Nancy rozejrzała się powoli. Czyżby weszła do cudzego boksu?

- Przecież... to jest moje biurko - powiedziała z wolna. — To nie jest pokój Nancy Kincaid?

*Nie wiem wprost, co myśleć mam...*

Czarna kobieta przyglądała się jej dłuższą chwilę. Jej spojrzenie spoważniało. Pociemniało. Zrobiło się puste.

*Lecz próżny trud, zbędna gra...*

— No tak... - odparła w końcu kobieta. - To jest biuro Nancy Kincaid. — Ale potem pokręciła głową. Raz. Powoli. — Tylko że pani to nie Nancy Kincaid.

Avis Best

Zadzwonił telefon. Dziecko się rozplakało. „Głęb” zaczął walić w drzwi.

Przez chwilę Avis nie wiedziała, za co się złapać najpierw. Stała pośrodku swojego pustawego białego pokoju; mała sparaliżowana postać pod zwisającą z sufitu gołą żarówką. Ręce podniesione, palce rozczapierzone. Urocza blada twarzyczka zastygła.

Telefon nie milkł. Dziecko płakało. „Głęb” dobijał się do w drzwi, a na dodatek jeszcze krzyczał:

— Avis! Avis! Wiem, że tam jesteś. Otwórz te zasrane drzwi! Jesteś moją żoną, do jasnej cholery, czy nie?! No, to otwórz te zasrane drzwi!

Avis złapała się rękami za głowę, przycisnęła do skroni swoje krótkie szaroblond kędziory. Zamknęła i otworzyła oczy za wielkimi kanciastymi oprawkami szkieł.

- Avis! Bo się doigrasz! Wiem, że tam jesteś!

„Dziecko płacze — pomyślała — najpierw dziecko”.

Słyszała monotonne zawodzenie niemowlęcia w sypialni: „Aaa! Aaa! Aaa!”

Tymczasem telefon w kuchence świergotał przenikliwie. Dudniła pięć „Głaba”: bum! bum! bum!

- Avis, to jest też moje dziecko! Do jasnej cholery, nie możesz mnie izolować od mojego dziecka!

Lecz Avis stała jeszcze przez chwilę nieruchomo, skołowana. Za wiele naraz - jak na nią.

Zaledwie pół minuty temu siedziała sobie spokojnie w pustym pokoju. Usadowiona na płóciennym krzeselku przy składanym stoliku. Z dłońmi na klawiaturze walizkowej maszyny „Olivetti” obserwowała wysuwającą się spod wałka kartkę. Była to ostatnia strona jej raportu dotyczącego *Trzydziestu poniżej*, powieści sensacyjnej, której akcja rozgrywa się właśnie tu, w Nowym Jorku. Zarabiała na życie sporządzaniem takich raportów. Czytała powieści i pisała ich streszczenia, uzupełnione opinią, czy nadają się do filmowej adaptacji. Wysyłała te sprawozdania do biur studia Victory Pictures, żeby jego prezesi mogli udawać, że sami czytali te powieści i że są to ich opinie. Płacono jej sześćdziesiąt dolarów za raport.

W tym tekście, na tej stronie, napisała właśnie: „Thriller osadzony w scenerii wielkiego miasta, przypominający *Maratończyka*, stanowiłby dobrą okazję dla Dustina Hoffmana”. Po czym, nie wstając z płóciennego krzesła, zapatrzyła się w to zdanie.

„Dustin Hoffman - mówiła sobie. — Dobra okazja dla Dustina Hoffmana. Mój Boże, nie wiem, z czego zapłacę czynsz w przyszłym miesiącu, a piszę o okazjach dla Dustina Hoffmana! Za co mam kupić pampersy dla małego, Dustinie Hoffman?! No, powiedz mi, ty cholerny nadziany gwiazdorze, siedzący sobie gdzieś nad swoim basenem i popijający szampana! Nie mam na ubranka dla dziecka, panie Dustinie, i gównu cię to wszystko obchodzi, ZWISA CI KALAFIOREM, CZY ŻYJEMY, CZY NIE, A MOJE ŻYCIE TO KUPA GÓWNA, TY ZASRANY GWIAZDORSKI PALANCIE! I co mam ze sobą zrobić?”

Tak właśnie sobie myślała. A szkła jej okularów zasnu-

wały się mgłą. I myślała też sobie, że gdyby nie wyszła za „Głaba”, to skończyłyby studia. I przyjechałyby tutaj, do Nowego Jorku, i zajmowała się scenografią, zamiast być żoną głodującego aktora. I nie pozwoliłaby sobie na ciążę, póki jej mąż nie miałby jakiegoś przyzwoitego angażu. I -jak każda porządna dziewczyna z Cleveland w stanie Ohio -nie miałyby pojęcia, jak to jest, kiedy leżysz na podłodze w kuchni, zwinięta w kłębek, żeby ochronić brzuch, a mąż tłucze cię bez przerwy po głowie, tłucze i tłucze, bo to wszystko twoja wina, wszystko twoja wina, wszystko, wszystko...

„Dobra okazja dla Dustina Hoffmana - myślała wciąż -co za gówno”.

I wtedy zadzwonił telefon. Dziecko obudziło się z płaczem. „Głab” zaczął walić do drzwi.

- Jak już się tu dostanę, Avis, pożałujesz, zobaczysz. Jeśli nie otworzysz tych drzwi w tej sekundzie...

Wreszcie wyrwała się z letargu. Ruszyła do sypialni, do dziecka.

- Wynoś się stąd do wszystkich diabłów, Randall! - wrzasnęła przez ramię. - I tak cię nie wpuszczę. Wynocha!

- Avis! Niech cię szlag trafi! - Uderzył teraz mocno, chyba barkiem. Zagrzechotał łańcuch przy drzwiach.

Telefon nie milkł.

- Aaa! Aaa! Aaa! To dziecko.

- Już idę, kochanie. - Avis pchnęła drzwi i wbiegła do sypialni.

W okamgnieniu znalazła się w czarodziejskim świecie. Wchodząc z dużego pokoju do sypialni, jakby odtworzyła scenę z filmu *Czarnoksiężnik z krainy Oz*, w której Dorota zostaje przeniesiona ze swojego czarno-białego domu w Kansas do barwnej Krainy Manczkinów. Duży pokój to Kansas: obłazące z farby białe ściany, wytarty parkiet podłogi, składany stolik, krzesło, goła żarówka u sufitu. Sypialnia, a raczej pokój dziecienny - to Kraina Manczkinów, Oz, co tylko chcecie. Orgia kolorów i ozdób. Ściany wytapetowane Myszkami Miki, Goofymi i Kermitami. Wszędzie pełno zabawek, poduszek, tęczy, maskotek. Wiszące ruchome figurki: słonie, owieczki, samolociki; tyle ich było, że

Avis, biegnąc do łóżeczka pod oknem, musiała się przez nie przedzierać.

„Moje mieszkanie - przemknęło jej przez myśl - dobra okazja dla Judy Garland". Dopadła łóżeczka.

Dziecko czekało już na nią, stojąc, trzymając się mocnym uchwytem poręczy. Był to krzepki dziesięciomiesięczny chłopczyk o płowych włosach i niebieskich oczach. Ręcznie robiona kołderka leżała gdzieś z boku, a on skakał niestrudzenie wśród haftowanych poduszek. Jak tylko ją zobaczył, przestał płakać. Puciołowata buzia wygładziła się i rozpogodziła. Uśmiechnął się szeroko szczerbatym niemowlęcym uśmiechem.

- Dzi-dzi-dzi! - powiedział.

- Och! - westchnęła Avis. - Mój bobasek! Bobasek mówi mamusi dzień dobry? Dzień dobry, bobasku.

- Gu-gu-gu-gu - oznajmiło dziecko.

- Daj spokój, Avis! - Wrzaski „Głaba" zza drzwi wejściowych dochodziły tutaj nieco przytłumione. - Nie możesz mnie nie wpuścić! Nie masz prawa! - A po chwili - buch! - tym razem chyba rzucił się na drzwi całym ciałem.

Telefon dzwijał nieustannie.

- Gu-gu-gu-gu! - powiedziało dziecko

- Tak, dzidzia, tak. - Avis wyjęła je z łóżeczka i wzięła na ręce.

- Wyłamię te zasrane drzwi, Avis, przekonasz się! Znow walnął w drzwi. Telefon dzwonił.

- O Boże — szepnęła Avis.

Łagodnie podtrzymując główkę dziecka, wyszła z krainy Oz z powrotem do dużego pokoju. Zamrugała energicznie, bo łzy zamazywały jej nagie ściany czarno-białej rzeczywistości. Podbiegła do wnęki kuchennej, do wiszącego na ścianie telefonu.

- Avis! - Teraz bębnił w drzwi pięścią: bum-bum-bum-bum-bum, bez ustanku. - A-VIS!

- Wezwę policję, Randall! - odkrzyknęła z płaczem. - Poważnie!

- Proszę bardzo! - Pięść łomotała dalej. - Będą po mojej stronie! Wiesz, że tak. Proszę bardzo!



Dziecko na jej ramieniu wydało z siebie okrzyk przestachu. Poklepała je w głowę, podbiegając do telefonu.

— W porządku — szepnęła bez tchu.

— Avis! — Bum-bum-bum-bum-bum.

Telefon na ścianie zadzwieczał jeszcze raz, gdy wyciągała rękę po słuchawkę. Przyłożyła ją do ucha.

Cisza. Potem ciągły sygnał. Ktoś właśnie zrezygnował.

— Niech to szlag!

Rzuciła słuchawkę na widelki. „Głęb” łomotnął w drzwi z taką siłą, tak głośno, że odwróciła się na pięcie, żeby spojrzeć w tamtą stronę. I jeszcze raz! Wyglądało na to, że drzwi się wyginają do środka. Cofnęła się pod ścianę i patrzyła. No i gdzie się teraz podziewa ten cholerny Dustin Hoffman?

— Słyszysz mnie, Avis?!

Dziecko, przestraszone, zaczęło popłakiwać.

— Ciii. — Avis pogłaskała je po głowie. Zagryzła wargę, łyzy ciekły jej po policzkach.

Randall rąbnął jeszcze raz. Mocno. Teraz mały rozplakał się na dobre. Pogłaskała go, zaczęła kołysać i podrzucać na rękę.

— Okay, przeholowałeś! - wrzasnęła.

„Głęb” walił wściekle. Drzwi trzeszczały i drżały we framudze.

— Avis!

— Przeholowałeś! — powtórzyła. - Natychmiast przestań, jak pragnę Boga, przebrałeś miarękę. Dzwonię po Perkinsa!

W mgnieniu oka walenie ustało. Ustały wrzaski. Zapanowała cisza, przerywana tylko niepewnym pochlipywaniem malucha. Avis trzymała go na rękę, podrzucała rytmicznie w górę i w dół.

— Ciii - szepnęła. - Już dobrze. Ciii. Pociągnęła nosem. Przetarła go grzbietem dłoni. Głośniej powiedziała: — Słyszysz mnie, Randall?

Cisza. Po chwili zza drzwi dobiegło:

— Do cholery z tym, Avis. - Nie krzyczał już. Mówił cicho. - Do cholery.

— Poważnie - powtórzyła Avis, kołysząc dziecko. - Jak rany. Dzwonię po niego. Natychmiast.

— Niech to szlag... — rozległ się głos za drzwiami, nagle

zupełnie nikły. - Słuchaj... - A po chwili: - Niech to szlag... Niech to szlag trafi, Avis, dlaczego mi to robisz?

- Nie żartuję! — odkrzyknęła Avis. — Podnoszę słuchawkę. Idź stąd, jak pragnę Boga, Randall. Właśnie podnoszę słuchawkę.

- Aavis — zaskomlał „Głęb” — daj spokój. Daj spokój, naprawdę. Nie rób takich głupot, naprawdę.

- Już dzwonię. Dzwonię po Perkinsa.

Maluch podniósł głowę. Rozglądał się z nadzwyczajnym zainteresowaniem.

Pa? - zdziwił się. Lubił Perkinsa.

- Słuchaj, Avis, może byśmy pogadali? — doszło zza drzwi.

Zacisnęła zęby. Nienawidziła tej pokory w jego głosie. Chciała mu jej oszczędzić. „Może należało go wpuścić?” -pomyślała. Nawet jeśli taki z niego głęb. Może mogliby pogadać, może przez łańcuch w drzwiach. Tylko moment. Zamknęła oczy, zaczerpnęła powietrza. Zmusiła się, żeby przez to przebrnąć.

- Już mam sygnał, zaraz podniesie słuchawkę! — zawołała. Cholera! - powiedział cicho zza drzwi. Ale jeszcze nie

dał za wygraną. - Porozumiem się z moim adwokatem, Avis, żebyś wiedziała. Naprawdę. Dzwonię do adwokata, jeszcze dzisiaj, jak tylko wrócę do domu.

Zacisnęła wargi, żal jej się go zrobiło, niemal się poddała. Wiedziała, że nie ma żadnego „mojego adwokata”. Wiedziała, że mówi takie rzeczy z zupełnej bezsilności. Za szklami znów zebrały się łzy i pociekły dwoma strumyczkami. Ale nie ustąpiła.

- Już go mam, Randall. Już... Halo! Perkins? Cześć, to ja, Avis...

- Dobrze, już dobrze - pospieszył Randall. Słyszała, jak odchodzi od drzwi. Jego głos ścichł. — Dobrze, ale popamiętasz. Mój adwokat się do ciebie dobierze. Nie wolno tak postępować. Mam swoje prawa. Mam... Wiesz przecież.

A potem rozległy się szybkie kroki na schodach. Cichnący tupot. Mogła sobie wyobrazić, jak Randall rzuca przez ramię przestraszone spojrzenie, przebiegając koło drzwi Perkinsa piętro niżej.

- Pa? - powiedział mały, rozglądając się dookoła szeroko otwartymi oczkami.

Avis, prostując ręce, odsunęła go od siebie, żeby popatrzeć mu w źrenice. Gapił się na nią, zdziwiony.

- Pa! — potwierdziła i dmuchnęła mu w twarz.

Uznał to za wspaniały żart i wierzgając nóżkami, roz-kwiczał się radośnie.

Tuż obok nich głośno zaświergotał telefon. Avis podskoczyła. Chłopczyk uznał to za jeszcze lepszą zabawę. Telefon odezwał się znowu. Avis odetchnęła, pokręciła głową. Mały roześmiał się głośniej.

- A ha-ha!

- Sliczności - powiedziała do niego Avis.

Złapała słuchawkę przy trzecim dzwonku. Przytrzymała między policzkiem i uniesionym barkiem. Znow odsunęła synka na wyciągniętych rękach. Przez łzy zrobiła zabawną minę. Dzieciak wierzgnął z radości.

- Halo! - odezwała się. Pociągnęła nosem.

- Ach, Avis — rozległ się głos po tamtej stronie, drżący głos staruszki.

- Ach, Avis, dzięki Bogu, że wreszcie jesteś. Mówi babcia Olliego. Potrzebuję go. Jestem zrozpaczona. Katastrofa!

Nancy Kincaid

- Co to ma znaczyć? - zapytała. Roześmiała się. - Ja nie jestem Nancy Kincaid? Co to ma znaczyć? To kim jestem? Cesarzem chińskim?

Ale Murzynka w drzwiach wcale się nie roześmiała. Przestała się nawet uśmiechać. Po prostu stała, czujna i elegancka. Aktówka pod pachą. Biodro lekko uwydatniające się pod czerwoną sukienką. Wzrok nadal pusty, nadal nieodgadniony. Nancy (bo przecież była pewna, że nazywa się Nancy Kincaid) poruszyła się nerwowo pod

tym spojrzeniem. Przystąpiła z nogi na nogę. Jej ręka podskoczyła do włosów.

— O rany - powiedziała. — Poważnie. O co tu chodzi? Kobieta uniosła dłoń. Pewny, profesjonalny gest.

— Proszę posłuchać — powiedziała. — Nie może pani tutaj przebywać bez pozwolenia. Rozumiemy się? Po prostu. Jeśli chce pani poczekać, proszę przejść do holu recepcyjnego. Jak przyjdzie Nancy, może pani z nią porozmawiać, bo inaczej...

— Ależ to ja jestem Nancy. To mój pokój. Rany boskie! No przecież chyba wiem, jak się nazywam.

— No cóż... bardzo mi przykro. Kimkolwiek pani jest, nie może pani tutaj zostać. - Czarna kobieta była nieugięta. Jej spojrzenie było nieugięte. — Musi pani wyjść do poczekalni. Bardzo proszę.

— Nie do wiary! - Nancy z otwartymi ustami rozejrzała się wokół, szukając pomocy. Przez szklane przepierzenie widziała rząd biurowych boksów. Kobieta w średnim wieku wieszała płaszcz na wieszaku. Mężczyzna bez marynarki otwierał na biurku swoją teczkę. Ludzie się krzątali, zabierali do pracy. Tylko ją, Bogu ducha winną, prześladowuje ta piekielna baba. Odwróciła się tyłem do Murzynki. — Zaraz, zaraz... - Coś jej przyszło do głowy. - Przecież ja pani nie znam. Czy pani tu w ogóle pracuje?

— Proszę pani, nie mam czasu na głupstwa. Jeśli chce pani...

— Pracuje pani tutaj? — nie ustępowała Nancy. — To jakieś wariactwo. Dlaczego pani mi zawraca głowę?

— Albercie! — Kobieta odwróciła się i zawołała w głąb korytarza.

Nancy obejrzała się w lewo i zobaczyła, że mężczyzna bez marynarki podniósł wzrok. Był to młody człowiek, z gładko przyczesanymi włosami ciemnoblonde. Miał na sobie koszulę w błękitne prążki, czerwony krawat i wesołe czerwone szelki.

Wołałaś mnie, Marto, kochanie?

— Albercie, mógłbyś tu podejść na momencik?

„Rany boskie, ta baba nie da mi spokoju” - powiedziała bezgłośnie Nancy. Zaniepokoiło ją to, że poczuła lekki

ucisk strachu w żołądku. Jakby nauczycielka wzywała ją do tablicy.

— Niech pani posłucha, mam dziś mnóstwo pracy — powiedziała z odcieniem rozpaczy w głosie. - To jakieś wariactwo. Chciałabym mieć swój pokój dla siebie...

— Albercie.

Młody człowiek stanął obok Murzynki. Marta wskazała na Nancy czerwono lakierowanym paznokciem.

— Tak, rzeczywiście zachwycająca — powiedział Albert.

— Ta kobieta przebywa tu bez zezwolenia.

— Potworne!

— Mówi, że to ona jest Nancy.

— Co?! — Ku zdumieniu Nancy młody człowiek popatrzył na nią i zachichotał zdziwiony. — Mówi, że jest Nancy?

— Nancy Kincaid — potwierdziła Nancy. Czowała, że krew napływa jej do twarzy. — Asystentka Fernanda Woodlawna. Rany boskie, co was napadło? Nie wiem, co tu jest grane, ale... — Jednak widząc wzrok Marty i Alberta, zamilkła. Za ich plecami ukazały się jeszcze dwie osoby. Wysoka kobieta o farbowanych włosach. Bładolicy niski tłuścioch w szarym garniturze. Wspinali się na palce, żeby zajrzeć przez ramię Marcie i Albertowi. Nancy przenosiła wzrok z jednej osoby na drugą, z jednego spojrzenia na drugie. Jeszcze nie zdążyła zamknąć ust, kiedy przejaśniło jej się w głowie. - Ach — powiedziała wreszcie przeciągle. — Ach, ach, udało wam się. Wspaniały dowcip. Udało się wam. Nabraliście mnie.

Jej policzki teraz naprawdę pociemniały. „Cholera jasna!” - pomyślała.

— No dobrze - powiedziała. Gdzie on jest? Gdzie jest Fernando? To jego stała sztuczka z okazji Halloween, czy co? Zakpić z nowej dziewczyny? Czy on się schował pod biurkiem i wszystko to filmuje? No, dalej, udało wam się. Nabraliście mnie. Hurra! Ale już wystarczy.

Z trudem panowała nad sobą, starała się nie pokazać, jak jest zirytowana i zawstydzona. Ale to właśnie najbardziej ją wkurzało u jej uroczego szefa. To jego sztubackie poczucie humoru. Szczególnie używał sobie na niej, kpił z tego, że wychowała się w cieplarnianych warunkach szkoły prowadzonej przez zakonnice. Nie umiał przejść obok, żeby nie

wspomnieć o jakiejś czynności fizjologicznej albo o czymś podobnym. Jakby nigdy przedtem o tym nie słyszała. Potem krzyczał do wszystkich: „Patrzcie! Nasza zakonnica się rumieni!” A to oczywiście sprawiało, że naprawdę się czerwieniła. No i wtedy musiała się śmiać i przewracać oczami, żeby zademonstrować, że zna się na żartach.

— No już, ubawiliście się po pachy - powiedziała, z trudem panując nad głosem. Było jej coraz bardziej gorąco, coraz bardziej była zdenerwowana. — Możecie wszyscy wracać do Fernanda i powiedzieć mu, że się czerwieniłam i wyglądałam jak idiotka, dobrze? A teraz, jeśli nie macie nic przeciwko temu, wezmę się do pracy, bo mam jej dzisiaj mnóstwo...

Ale ludzie stojący w drzwiach milczeli. Patrzyli tylko na nią bez słowa, cała czwórka. Puste i nieodgadnione spojrzenia; spojrzenia figur woskowych; nieruchome. Trwało to bez końca. Nancy czuła narastające napięcie. Czuła je we własnym organizmie, w mięśniach. Napięcie... i jeszcze coś. Strach. Ten ucisk strachu, ten chłód w żołądku.

*Próbny trud, zbedna gra...*

Przełknęła ślinę, podparła się pod boki. Zdawała sobie sprawę, że cisza się przedłuża. Słysząc było daleki szum, dochodzący z Warren Street przez otwarte okno za jej plecami. Zdawała sobie sprawę, że tak stoi, patrzy na tę czwórkę, oni patrzą na nią. Nie umiała wymyślić niczego innego.

— Co tu jest grane?

Rozległ się jakiś głos. Donośny, głęboki i władczy. Grupka w drzwiach rozsunała się z wolna. Przybysz przepchnął się do środka pomiędzy Martą i Albertem.

— Ach! — Nancy aż krzyknęła na jego widok. Omyła ją ciepła fala ulgi. -- Henry! Dzięki Bogu!

Henry Goldstein, młodszy wspólnik firmy, stał w progu. Niski, ale barczysty mężczyzna, w dobrze skrojonym szarym garniturze. Miał bujną czuprynę siwych włosów i monumentalne rysy, pasujące do jego głosu: autorytet uosobiony.

Rozglądał się, szukając wyjaśnienia sytuacji. Popatrzył na Nancy.

— Słuchaj, Henry — odezwała się od razu — czy mógłbyś odwołać tę brygadę Fernanda, która się tu ze mnie naśmiewa i nie pozwala wziąć do pracy? Dziś mamy spotkanie samorządowe i Fernando mnie zabije, jeśli do przerwy śniadaniowej nie skończę dla niego tych tabel.

Powstrzymała się, żeby nie popaść w gadulstwo. Czekwała. Henry Goldstein zmarszczył brwi. Przekrzywił głowę.

— Przepraszam panią? — Niepewnie obejrzał się przez ramię na Martę.

— Ona twierdzi, że jest Nancy — powiedziała Murzynka, rozkładając ręce. - Weszła tu bez przepustki, a teraz twierdzi, że nazywa się Nancy Kincaid i że to jest jej biuro. Nie chce wyjść.

Goldstein powoli kiwnął głową, jakby mówił: „Aha, teraz rozumiem; rozumiem doskonale”. Zwrócił się do Nancy. Wstrzymała oddech, kiedy zauważyła, jak ostrożny, czujny stał się jego wzrok.

— Henry...? — zaczęła.

— Tylko spokojnie, proszę pani — odpowiedział jej Goldstein. Wyciągnął przed siebie otwartą dłoń.

„Żeby mnie uspokoić! — pomyślała. — Próbuje mnie uspokoić!”

— Nikt nie chce pani zrobić krzywdy — ciągnął. Nancy rozdziawiła usta. Cofnęła się o krok. Odsunąć się

od niego, od nich wszystkich. Wszyscy się w nią wpatrywali. Marta swoimi pustymi brązowymi oczami. Młody Albert z bystrą i zaintrygowaną miną. Kobieta o farbowanych włosach i mężczyzna o twarzy z budyniu — z tępym zaciekawieniem.

„Co tu jest grane, do licha?”

Cofnęła się jeszcze o krok, na gołych łydkach poczuła chłodny powiew z okna.

— Nikt nie chce pani skrzywdzić — powtórzył Goldstein. — Prosimy tylko, żeby przeszła pani do poczekalni. Wszystko tam omówimy, zgoda?

Nancy pokręciła głową.

— Ja... nie... nie... rozumiem. Znaczy... — To zamroczenie,

ten opar w głowie, jakby z gorączki, który męczył ją od rana, znów wraca. Miała wrażenie, że głowa jej puchnie. Zamrugła powiekami, — Przecież... no... no, przecież mnie znacie. Nie wiecie, kto ja jestem?

Krępy Goldstein zrobił mały krok w jej stronę. Dłoń wciąż trzymał przed sobą, tym razem jakby w wypraszącym geście.

— Wszystko sobie wyjaśnimy na zewnątrz, proszę pani. O tam, w poczekalni. Dobrze? Usiądziemy i wszystko wyjaśnimy. Nikt nie chce zrobić pani nic złego.

Nancy przyłożyła dłoń do czoła, próbując pozbierać myśli.

— Wszyscy jesteśmy pani życzliwi - dodał Goldstein. „No jasne - pomyślała gorączkowo - to ma mi dodać otuchy”.

Teraz Albert wysunął się do przodu. Energicznym susem znalazł się obok biurka.

— Niech pani uważa na to okno z tyłu — powiedział. -Proszę nie podchodzić za blisko.

— Zaraz... zaraz... czuję się trochę zagubiona... nie wiem, co tu się dzieje... Przyszłam... znaczy... - Pokręciła głową. Coraz gęstsza mgła wypełniała jej głowę. Nie umiała tego powstrzymać.

„Chyba bredzę - pomyślała. - Muszę przestać bredzić”.

— Słuchajcie, po prostu, po prostu poczułam się trochę źle. Gdybyście tylko... - przerwała.

— Nikt tu nie chce pani skrzywdzić - mówił Goldstein, podchodząc coraz bliżej. - Proszę ze mną, na zewnątrz.

— Gdybyście tylko... no... Przecież ja jestem Nancy Kincaid! — wyjąkała.

Nie wiadomo skąd ktoś znalazł się za jej plecami. Jakiś głos, nowy, cichy, ciepły głos, tuż przy uchu powiedział:

— Hej, to jakieś wariactwo. Przecież możesz go po prostu zastrzelić! Podskoczyła i okręciła się, żeby zobaczyć, kto to.

— Jak to „zastrzelić”? Nikogo nie mam zamiaru zastrzelić, jak to...

Zamilkła. Nikt za nią nie stał. Regał z segregatorami w kącie. Otwarte okno. Parapet nad Warren Street. Słabe



odgłosy ulicy. Szelest opadających liści w parku przy Broadwayu. I żywego ducha...

Nancy stanęła jak wryta. Przez długą, bardzo długą chwilę po prostu stała: w półobrocie, z rozdziawionymi ustami. Gapiła się na regał z segregatorami, na okno. Oczy biegały od ściany do ściany, od sufitu do podłogi, próbowały znaleźć kogoś, kogokolwiek, cokolwiek, co mogło jej mówić do ucha.

„Głos?” Myśl zaczęła migotać w mózgu jak neon reklamowy. „Głos, mówiący mi, żebym go zastrzeliła. Słyszę głosy? O, cholera. Niedobrze. Całkiem niedobrze”.

— Marto! — odezwał się Goldstein. Mówił do sekretarki powoli, władczo. — Marto, wezwij policję. Z mojego gabinetu. Zaraz. Natychmiast.

— Tak jest.

Powoli, ciągle się rozglądając, ciągle z szeroko otwartymi oczami, Nancy (przecież to ona jest Nancy, do jasnej cholery, prawda?) znów zwróciła się do nich twarzą. Goldstein był bliżej niej. Skradał się z jednej strony jej wysprzątanego biurka. Albert sunął z drugiej strony. W drzwiach tłoczyło się więcej osób, i na korytarzu też, cała publika. I ta Marta w czerwonej sukience. Odwróciła się, żeby utorować sobie drogę przez tłumek. Oderwała od Nancy ten przeraźliwy wzrok, idzie do gabinetu Goldsteina. Zadzwoń po policję.

— Nie... to niepotrzebne. — Nancy usłyszała swój szept. Ledwie mogła wykrztusić cokolwiek przez ten kłęb w gardle. W głowie znów jej dudniło. Wszystkie myśli przesłaniała gęsta mgła; mgła, która rozprzestrzeniała się, ogarniała wszystko. Dziewczyna próbowała przełknąć ślinę, ale w ustach czuła suchość. Wargi miała wysuszone i sztywne. — Niepotrzebne — powiedziała trochę głośnie.

Marta zatrzymała się. Obejrzała się pytająco na Goldsteina.

— Idę. Już idę — zapewniła pospiesznie Nancy. Musi wyjść. Musi zaczerpnąć powietrza, rozjaśnić sobie w głowie. „Co, do cholery... Co, do cholery...?” — Już idę. Pójdę sobie, dobrze? Proszę mi pozwolić wyjść. — „Zastrzelić go?!”

Goldstein znów wyciągnął dłoń.

- Jest pani pewna, że nie trzeba pani pomocy? Może wezwiemy kogoś?

„Zastrzelić go?!”

- Nie, nie, nic mi... — Zagryzła wargi, przełknęła łzy. — Nic mi nie jest — powiedziała. Nie mogła na niego patrzeć. Patrzyła na blat biurka przed sobą. Nie mogła spojrzeć na nikogo, nie potrafiła znieść ich wzroku. — Trochę źle się poczułam. Prze... przepraszam. Źle się czuję.

Wszyscy na nią patrzyli. Wiedziała, że patrzą na nią, gapią się. Miała uczucie, że paradytuje przed nimi nago. „Boże! - pomyślała. - Boże, przecież to... przecież... Boże!” Wyciągnęła rękę, chwyciła z biurka torebkę. Przycisnęła ją do piersi obronnym gestem.

- Po prostu trochę źle się poczułam. Pójdę sobie. I już. Bardzo proszę.

Ruszyła niemal biegiem. Ludzie rozstąpili się przed nią. Prawdę powiedziawszy, odskakiwali na boki jak oparzeni. Spieszyła się. Mgliście zdawała sobie sprawę, że Goldstein za nią idzie. Że razem z Albertem deptają jej po piętach jak eskorta. Przeprowadzili ją przez korytarz, koło biurowych boksów za oszklonymi przepierzeniami, koło fotografii Fernanda na tle panoramy miasta, przez niską bramkę, przez hol recepcyjny. A za nimi wszyscy, wgapieni, zaciekawieni.

„Co jest...? - powtarzała sobie, idąc spiesźnie do windy, ze wzrokiem wbitym w podłogę, z torebką przyciśniętą do piersi. - Co jest...? Co jest...?”

Pan Goldstein wezwał dla niej windę. Stała przed jej drzwiami, ściskając przed sobą torebkę, ze zwieszoną głową, jak jakiś petent z kapeluszem w dłoniach. Winda nie przyjeżdżała i nie przyjeżdżała, a Nancy myślała: „Co...? Co to jest? Co się tutaj dzieje?”

Gdy drzwi się w końcu rozsunęły, rzuciła się do środka, potem obróciła i przywarła plecami do metalowej ściany. Wciąż tu stali, za otwartymi drzwiami. Wypełniali hol, patrzyli zza niskiej bramki. Goldstein i Albert, i Marta w czerwonej sukience. Przyglądali się jej, skulonej w klatce windy. Te utkwione w nią puste spojrzenia figur woskowych. A ona ściskała torebkę i modliła się, żeby drzwi się wreszcie zamknęły.

I zamknęły się. Z trzaskiem. A pod Nancy ugięły się kolana. Oklapła, wytknęła język, w brzuchu jej się przewracało. Osunęła się prawie na klęczki. Tkwiła tam, z wykrzywioną twarzą, ze wzrokiem wlepionym w przestrzeń, z zaciśniętymi zębami, a oczy wypełniały jej łzy.

Winda ruszyła w dół.

— Co...? — wyszeptała Nancy.

A potem zakasłała raz i rozplakała się.

## Oliver Perkins

Perkins pokuśtykał do toalety. Pociągnął za sznurek od światła. Naga żarówka pod sufitem rozjarzyła się. Stał goły nad sedesem. Sennie popatrywał przez zmrużone powieki na swój członek i czekał na strumień moczu.

Dno muszli klozetowej pokrywał jakiś brązowy szlam. Tworzył ciemne tło, dzięki czemu w lustrze stojącej w muszli wody Perkins mógł dojrzeć odbicie swojej twarzy. W padającym z tyłu świetle żarówki widać było tylko zarys. Promienie tworzyły z rozczochranych włosów coś w rodzaju aureoli wokół głowy. Wyglądał trochę jak Chrystus.

„Patrzcie, patrzcie - pomyślał - jestem półbogiem”.

Popłynął strumień moczu. Plusnął do muszli, wzburzył wodę. Odbicie zginęło.

Sikając, Perkins parsknął cicho. Uśmiechnął się półgębkiem. Mimo ciężkiego kaca umiał dostrzec w tym poezję: zniknięcie obsikanego Chrystusa. Mimo że trybiki w mózgu pozapychał mu piasek, wiedział, że byłby to dobry wiersz. Czuł wzbierającą w nim poezję, kiedy tak stał i gapił się na wnętrze muszli. Najpierw bez słów, sam rytm. Jeszcze nie wiersz, dopiero odgłos, zapowiedź, puls. Rozrastał się w piersi podczas tego sikania. Bieleł jak śnieg, rozpościerał skrzydła, wznosił się. Perkins słyszał, jak słowa dopominają się, żeby je uwolnić, jak tętno przeistacza się w sylaby.

„Tak... - pomyślał — tak...”

Ale wiersz już słabł. Rozpływał się. Skrzydła rozpadły się na atomy. Potężna biel topniała jak śnieg.

Strumień moczu także słabł. Głośno pluskały krople. Mężczyzna próbował uchwycić ten wiersz, ale nie zdołał. Wiersz przepadł. Oderwał się od niego i znikł w otchłani nicości. Nagle po prostu nie zostało ani śladu. Perkins był pusty w środku. Ostatnie krople spadły do muszli.

„No i dobrze - pomyślał lekceważąco. - Koniec dla ciebie z dobrymi wierszami, kochasiu”.

Lecz tak naprawdę doznał przygnębienia. Stał goły na zimnej posadzce łazienki, bez wiersza, wypełniony przeraźliwym, ogromnym, wszechogarniającym poczuciem samotności. Jak gdyby znajdował się sam jeden na dnie jakiegoś skalistego kanionu i wypatrywał wśród głazów żywej duszy.

Wziął penisa w rękę i strząsnął jeszcze parę kropli. Z tyłka wypsnęły mu się kacowe gazy.

Już od prawie dwóch lat ani jednego dobrego wiersza. W tym miesiącu miną pełne dwa lata. Nic nadającego się do publikacji od czasów domu nad rzeką. Od czasów Julii i październikowych wieczorów.

Wyciągnął rękę do spłuczki. Woda chlusnęła obficie, ale brązowy szlam pozostał. Perkins westchnął. Wciąż zdarzały się dni, kiedy wydawało mu się, że egzystencja dekadentckiego poety z Greenwich Village ma w sobie coś romantycznego. Ale były i dni takie jak dzisiejszy: kiedy miał ochotę zrzygać się na swoje życie. Sięgnął po sznurek, żeby zgasić światło, wydusił z siebie ostatnią kroplę moczu i poczłapał do pokoju.

Była tam Avis Best. Właziła właśnie przez okno z dzieckiem pod pachą. Perkins kiwnął do niej ze znużeniem, powieki miał wciąż półprzymknięte. Dotarł do materaca na podłodze. Zwalił się na niego z jękiem.

Tymczasem Avis stała już pod oknem. Rozglądała się po pokoju, rozdziawiwszy usta. Z tyłu za nią widać było pasek błękitnego nieba nad balustradą galerii przeciwpożarowej. Dziecko trzymała na biodrze. Gmerało paluszkami po jej twarzy, a ona stała i gapiła się.

- Rany boskie, Perkins! - wykrzyknęła.

Perkins przewrócił się z wolna na wznak na gołym materacu. Przysłonił ręką oczy. Czuł się fatalnie, był samotny, wysuszony, jakby całe ciało miał wypchane zgrzytającym piaskiem.

— Och, Avis — uzalił się. Bolała go głowa i wzbierały w nim mdłości.

— No wiesz... Czy mógłbyś mi powiedzieć, co tutaj wyprawiałeś? Pokręcił lekko głową.

— Nie pamiętam. Ale to musiało być coś okropnego.

— Właśnie tak to wygląda.

— Mam tylko nadzieję, że na to nie zasłużyłem.

— Pa! Pa! Pa! — zawołał dzieciak. Zauważył nagą postać na materacu. Wykręcał się w ramionach matki, próbując wyrwać się do mężczyzny.

— No dobrze — odetchnęła Avis. Zaczęła zbierać porozrzucone rzeczy. — Popatrz tylko, jak tu wygląda. — Nawet w półmroku widać było, że to pobojowisko.

To było jednopokojowe atelier. Schemat linii metra przyklejony do ściany. Oprawiony portret Whitmana narysowany ołówkiem. Plakat z muzeum Keatsa, który jakaś dziewczyna przywiozła mu w prezencie z Rzymu. Stolik do pisania i spartańskie drewniane krzesło. Komoda. Parę składanych krzeseł płóciennych, stojąca lampa. Goły materac na podłodze.

Lecz przede wszystkim książki. Wszędzie książki - zszarzałe, zakurzone. Stosy pod ścianami, w dwóch, trzech, czterech rzędach. Stosy tu i ówdzie pośrodku pokoju, wyrastające z podłogi jak stalagmity. Książki na stoliku i krzesłach. Półka — Avis zdawało się, że kiedyś widziała w kącie małą etażerkę — była już całkiem pogrzebana pod zwalami książek.

No i cała reszta tego bałaganu. Prześcieradło rzucone na podłogę, dzinsy na oparciu krzesła, sweter na stercie dzieł Dostojewskiego. Slipy zawieszony na lampie.

„Dajcie spokój” — powiedziała do siebie kwaśno.

I te butelki po piwie „Sam Adams” dosłownie w każdej dziurze. Puste, z ciemnego szkła, gdzie nie spojrzeć — tam się poniewierają. Odepchnęła jedną z nich stopą w drodze

do materaca. Butelka potoczyła się z brzękiem i wpadła na *Don Kichota*.

Avis opadła na materac, usiadła koło Perkinsa. Opuścił rękę i spoglądał na nią żałośnie. Starła się nie zerkać na jego nagie przyrodzenie, ale nie bardzo jej się to udawało. Był mężczyzną mocno zbudowanym, o owłosionej, wypukłej klatce piersiowej i umięśnionych rękach. Miał długie czarne włosy, opuchniętą kanciastą twarz i sporo zmarszczek jak na swoje trzydzieści jeden lat. Jego oczy, brązowe oczy, wydawały jej się ponętne z tym bijącym z nich smutkiem.

Posadziła synka na jego piersi. Przytrzymał go, żeby nie spadł. Maluch uśmiechnął się od ucha do ucha i klepnął Perkinsa w pierś łapką. Ten wydał policzki, a dziecko, zaskoczone, odwróciło się pytająco do matki, po czym parsknęło śmiechem.

Avis rozpogodziła się. Dotknęła czoła Perkinsa, odgarnęła grzywkę.

- Kiepsko? - zapytała cicho.

- Och... - Zmarszczył nos do dziecka. - „Ból mrowi w sercu, senne odrętwienie czaru ogarnia zmysły, jakbym napił się cykuty" \*. A co u ciebie?

- Jako tako.

- Guga guga guga, pa, pa, pa - powiedział malec. Poklepał mężczyznę po piersi.

Perkins stęknął i podniósł dziecko w górę. Zapiszczało z zachwytem i zaczęło wierzgać.

Opuścił małego i pocałował go w kark. Przyjemność sprawiał mu dotyk delikatnej skóry i włosów dziecka, a także fakt, że chłopiec go lubi. Uniósł się z wielkim wysiłkiem i postawił dziecko na podłodze. Puścił je, a maluch stanął na czworaka.

- Trzymaj się klasyki - powiedział Perkins - i nie wsadzaj palców do kontaktu.

Dzieciak odpowiedział pożegnalnym gaworzeniem i poraczkował w labirynt książek.

- Moje przesłanie dla przyszłych pokoleń - powiedział

\* **John Keats, *Oda do słowika*; przekład Stanisława Barańczaka.**

Perkins. Legł ciężko na materacu, chwycił Avis za rękę, popatrzył jej w twarz. Drobna urocza buzia, pochylona nad nim troskliwie, dodawała otuchy. Avis znów odgarnęła mu włosy z czoła, uśmiechnęła się. Dotyk sprawił, że jego członek drgnął.

— Dzwoniła twoja babcia - poinformowała łagodnie. Zamknął oczy.

- O rany!

— Powiedziała, że nie mogła cię złapać. Chyba masz wyłączony telefon.

- Boże. Nawet nie wiem, gdzie jest ten telefon. Czy to coś pilnego?

— Ojej, nie wiem. Znasz swoją babcie. Twierdzi, że katastrofa.

- O nie!

— Powiedziałam, że będziesz u niej za godzinę. Perkins nie otwierał oczu. Czuł chłodny dotyk jej palców.

— Chyba tam zadzwonię — wymamrotał. — Może uda mi się znaleźć ten aparat.

- Nie, właśnie przychodzi pielęgniarka. Babcia chce, żebyś wpadł.

- Dobrze — zgodził się niemal niedosłyszalnie. Odplynał myślami. Myślał o Avis. Wyobrażał ją sobie: jak wyglądała wtedy, kiedy ją posiadał. Przypomniawszy sobie, jak leżała na jego materacu, z twarzą wtuloną w poduszkę, i szlochała. Stał wtedy nad nią, zasapany i bezsilny. Właśnie skończył porachunki z jej mężem. Knykie miał pokrwawione. Po dłuższej chwili ukląkł przy niej. Pragnął, żeby przestała płakać, i pragnął jej; nie wiedział, co ma robić. Odetchnął dopiero, gdy uniosła biodra, żeby ściągnąć legginsy. Rozsunęła nogi, kiedy się na niej wyciągnął. A kiedy się kołysał, wchodząc w nią i wychodząc, trzymała jego rękę i zlizywała mu krew z palców. Mruczał wtedy coś do niej, a ona chyba coś szeptała. Nie zrozumiał. Nigdy potem nie chciała mu powiedzieć, co to było...

Wspomnienia doprowadziły go do wzwołu. Otworzył oczy. Zauważył, że Avis zerka mu w krocze. Uśmiechała się, ale za moment się odwróciła. Wstała szybko. Złapała z podłogi prześcieradło i narzuciła na niego.

- Mógłbyś się już ubrać, wiesz - powiedziała. - Mógłbyś choć udawać, że tu jestem.

- Wiem, że tu jesteś - powiedział. Było ciemnowo, ale widział, że ona się rumieni. Tak czy owak, podskoczyła przez pokój do dziecka, które leżało na *Idiocie* i żuło sweter Perkinsa. Zabrała mu sweter, przewiesiła sobie przez ramię.

- Za dużo tego, Perkins - powiedziała.

- Wiem, przeholowałem. Nie sprzątaj.

- Za często przeholowujesz. - Podniosła jego dzinsy. Mały się jej przyglądał. - Praktycznie co wieczór, może co drugi.

- Przesadzasz, Avis... nie sprzątaj. Mówię ci. - Próbował wstać, ale ruch spowodował przesypywanie się piasku w jego głowie. Udało mu się jedynie usiąść na krawędzi materaca, ze stopami na podłodze. Zakrył twarz rękami. - O rany!

- To ja ci mówię, Oliver - powiedziała Avis. - To zaczyna wyglądać na nałóg.

Z największym trudem uniósł powieki. Układała jego rzeczy w szufladzie. Potem wyciągnęła spod komody worek na brudy i zaczęła wpychać do niego brudną bieliznę.

- Avis, czy mogłabyś przestać, proszę.

- Ollie, spójrz tylko, jak to wygląda.

Zgarbił się. Zrezygnowany pokręcił głową. Odwrócił się i mrużąc oczy, popatrzył przez okno na pasek błękitnego nieba.

Cholera wie - wyjąkał w końcu. - Wczoraj miałem wieczór autorski w klubie.

- To niczego nie usprawiedliwia. - Podeszła do synka i odsunęła go od lampy. - Wszyscy... uwielbiają twoje wieczory autorskie.

- Tak. - Stęknął. - Te moje starocie. Te same wiersze w kółko. Musiałem zmyć z siebie ich smak. Zatykały mi gardło.

- Och, Oliver, daj spokój.

- Dwa lata, Avis. W tym miesiącu miną dwa lata bez jednego dobrego wiersza.

I zalewanie się co wieczór bardzo ci w tym pomaga. Westchnął. Siedział w milczeniu.

O cholera! - mruknęła Avis. Popatrzył na nią. Układała



właśnie stos tomów historii Grecji i coś znalazła. Przyglądała się temu czemuś, obracając to w palcach. — Komuś zginęło -powiedziała. Rzuciła drobiazg w jego stronę.

Chwycił go w złożone dłonie. Kolczyk. Turkus oprawny w srebro. Ręczna robota. Coś z tych rzeczy, które się kupuje na ulicy we wschodnim Greenwich Village.

- Nie twój, co? — spróbował.

- Nie, wiesz, że nie mój. - Odwróciła się do niego plecami i poszła do wnęki kuchennej.

Perkins gapił się na kolczyk, próbując przypomnieć sobie cokolwiek. Jakaś mglista migawka z klubu. Czarny mikrofon wycelowany w twarz. Chłodna szyjka butelki z piwem w dłoni. Błyski płomyków świec w kieliszkach białego wina. Przy stolikach twarze: młodzi mężczyźni, młode kobiety, szpakowate brody bywalców. Błyski płomyków świec w ich oczach.

Avis zapaliła światło w kuchence.

- Mam tylko nadzieję, że to była dziewczyna — rzekła ponuro.

- No, był tu ktoś. - Przyglądał się kolczykowi.

- Miałeś dać spokój z chłopcami. To niebezpieczne, zwłaszcza jeśli jesteś zbyt zalany, żeby myśleć.

- Cindy - powiedział. - To była Cindy. Albo Mindy. Może Mindy... - Podniósł wzrok i zobaczył, że się krząta we wnęce. Bolesny grymas wykrzywił mu twarz. W zlewie piętrzyła się sterta brudnych naczyń. Avis zmywała gąbką jakieś czerwone gluty z kuchennego blatu. Karaluch smyrg-nął do szpary między blatem a ścianą.

- Cóż, na pewno to była fajna dziewczyna — mówiła Avis. - Musiała się spieszyć do szkoły, żeby zdążyć na pierwszą lekcję.

- Avis, mogłabyś odłożyć tę cholerną gąbkę?

- Zjesz jajka?

- Nie rób mi śniadania. Boże, Avis, nie opiekuj się mną. Naprawdę. To jakieś zboczenie.

- Jutro z samego rana rozpocznę terapię. Ma być jajecznicą?

Perkins wypuścił powietrze, pokonany. Zwiesił brodę na piersi. U jego stóp gramolił się malec. Przełaził przez butelkę

po piwie, uśmiechał się znad jego owłosionych palców u nóg, czekał, aż się zwróci na niego uwagę.

Perkins wziął go na ramiona. Dziecko otoczyło mu rączkami szyję.

- Tak - powiedział. - Niech będzie jajecznicą.

Położył się z powrotem, posadził sobie chłopca na piersi. Znow wydał policzki, pobudzając go oczywiście do śmiechu. Mały zauważył guziki pikowanego materaca. Zlął z Perkinsa, żeby zobaczyć, czy to coś da się zjeść.

Perkins leżał, opuszczony, gapiąc się w sufit. Oblizwał wargi, poczuł lekki smak zaschniętych wymiocin. Słuchał szumu wody płynącej do zlewu. Szczękę naczyń, które zmywała Avis. Słuchał gaworzenia dziecka. Samotność opadła na niego jak koc.

„Dwa lata” - pomyślał. Od czasu domu nad rzeką. Siadywał tam wieczorami na werandzie i podziwiał widok. Zielone zbocza gór Catskills na tle bladego, ciemniejszego nieba. Bobrowy zalew na łące poniżej, czarny owal w wysokich trawach. Widział Julię, jak tam pływa na wznak. Jej jasne ciało prześwituje przez ciemną wodę, piersi wystają nad powierzchnię. Białe udo wynurza się leniwie, kiedy przebiera nogami w wodzie. Czasami słyszał głośnie klaśnięcie bobrowego ogona o powierzchnię stawu, ostrzegające, że nadpływa intruz. Widział rozchodzące się po wodzie fale w kształcie litery „V”, widział kopułę głowy płynącego bobra. Potrafiły stukać ją czarnymi nosami i zmuszać do śmiechu.

A on siadywał na werandzie, z notatnikiem na kolanach, i obracał ołówek w dłoni. Pojawiała się gwiazda wieczorna, blada na wysokim niebie. Potem przez wznoszące się z gór pasma mgły prześwitywały następne gwiazdy. Na brzeg stawu dreptały szopy, a Julia pływała z bobrami. Czasem przez trawy szedł majestatycznie jeleni i z wdziękiem skłaniał głowę do wodopoju. Takie nadejście nocy było dla niego wspaniałością życia i śmierci. A gdy już się robiło prawie całkiem ciemno, on zaczynał pisać:

*Oto Zwierzęca Godzina — Ospale październikowe muchy,  
Niepocieszone na krzesłach werandy,*

*Mrugają w odpryskach zachodzącego słońca.*

*Błękit, błękit coraz ciemniejszy rozpełza się w powietrzu,*

*A nietoperze nurkują niespodzianie,*

*A ćmy wzbijają się ponad drzewa...*

Jego ostatni dobry wiersz. Ostatni wiersz ze zbioru.

- Jezu. - Stęknął, rzucił głową w lewo i w prawo na poduszce. Oburącz przetarł oczy. Ziewnął. - I czego chciała babcia?

- Co? - Avis stała przy zlewie, woda płynęła. Obejrzała się przez ramię, trzymając garnek pod strumieniem.

- Pytałem, czego chciała moja babcia! - zawołał. - Co to za katastrofa?

- Ach - odkrzyknęła Avis - chodzi o twojego braciszka!

- O Zachary'ego? - Perkins uniósł się z wolna na łokciu. - Co się, do cholery, stało z Zachem?

Avis rozłożyła ręce.

- Wiesz, jaka jest twoja babcia.

- Co?! - zawołał. Woda wszystko zagłuszała.

- Powiedziałam: wiesz, jaka jest twoja babcia! - krzyczała Avis.

- Gu-gu-gu-gu - skomentowało dziecko, gramoląc się Perkinsowi na plecy.

Avis odłożyła czysty garnek na ociekacz.

- Zdaje się, że zniknął! - krzyknęła.

Nancy Kincaid

„Głęboko oddychać” - nakazywała sobie.

Siedziała na ławce w parku przy Ratuszu. Na jednej z tych zielonych ławek, które stoją wzdłuż głównej alejki. Siedziała pod platanami. Ich żółte liście łopotały na wietrze nad jej głową. Brązowe liście i czerwone liście szeleściły u jej stóp na chodniku.

Za drzewami, z prawej strony, znajdował się parking i wyrastała biała kopuła Ratusza. Po lewej trawniki, żywopłoty i bijąca ponad nimi fontanna. Z przodu wysokie biurowce Broadwayu. W szybach ich okien odbijało się słońce i błyskało bielą przez czerwone liście dębów. Słyszała warkot silników samochodowych i dudnienie autobusów, a także tupot nóg przechodniów. Pod niskimi gałęziami migwały raz po raz przejeżdżające pojazdy.

Opatuliła się w swój brązowy trencz. Podkuliła kolana, objęła rękami uda. Było jej niedobrze.

Trzeba głęboko oddychać, powiedziała sobie. Głęboko.

„I nie słyszeć głosów”.

Słusznie. Głębokie oddechy, żadnych głosów. Ani maszkaronów.

„No tak, i ten maszkaron. Rany”.

Pokiwała głową: słusznie. Oddychała powoli, głęboko, regularnie. Próbowwała koncentrować się na szarym asfalcie alejki przed sobą. Jak tylko minie ten mętlik w głowie... Jak tylko żołądek się ustatkuje... będzie mogła się zastanowić, przemyśleć, wyjaśnić.

„Nie jesteś Nancy Kincaid”.

W głosie tej Murzynki brzmiała taka... niezachwiana pewność. Zakołysała się lekko na zielonej ławce. Oplotła się ciasniej rękami.

W parku było teraz spokojniej. Stanowczy mężczyźni w garniturach już sobie poszli, tak samo kobiety w eleganckich kostiumach. Podniosła wzrok i popatrzyła w wijącą się alejkę. Na rzędy metalowych koszy na śmieci. Na liście wirujące wokół tych koszy. Wyludniony park nappełnił ją nową paniką. Pomyśleć, wszyscy teraz siedzą w pracy. Pochyleni nad biurkami, rozparci w obrotowych fotelach, sączący kawę. Normalni do szpiku kości. A ona? Ona jest tutaj. Sama, nie licząc policjantów na schodach Ratusza i na parkingu.

1 żebraków. Bezdomnych. Siedzą na ławkach. Moszczą się, przeciągają. Jest tu ich kilkunastu. W czarnych chałatach albo zawinięci w brudne koce. Poplamione, powypychane portki. Koszule w strzępach. Białe twarze czarne od brudu. Czarne twarze szare od pyłu. Wściekle łypiące oczy.

„Założę się, że niejeden z nich też słyszy głosy” -pomyślała.

Wzdrygnęła się. Jeszcze raz głęboko zaczerpnęła jesiennego powietrza. W głowie zaczęło się jej trochę przejaśniać. Mgła z lekka ustępowała. Żołądek ciągle jej jeszcze podchodził do gardła, ale już nie czuła, że zaraz zwymiotuje. Rozluźniła uchwyt skrzyżowanych rąk. Z ociąganiem się wyprostowała, odchyliła na oparcie ławki, odstawiła torebkę.

„Tak, założę się, że ci tutaj słyszą głosy bez przerwy” -pomyślała.

Powoli wypuściła powietrze. I co teraz? Gapiała się nie-widzącym wzrokiem na dęby przy Broadwayu. Co, do licha, ma teraz zrobić? Wracać do domu? Tłumaczyć całe zajście mamie?

„Co tak wcześnie w domu, kochanie?” „No wiesz, wszyscy w pracy powiedzieli, że ja to nie ja”. „Ach, to okropne. Zjedz trochę rosółku. To ci dobrze zrobi”.

Zaśmiała się krótko. Nie, to niedobry pomysł. Musi wracać do biura, i tyle. Musi porozmawiać z kimś, kto ją zna. Udowodnić, że jest tym, kim jest. „Przecież naprawdę jestem Nancy Kincaid — pomyślała — to mi powinno trochę pomóc”. Wyobraziła sobie, jak próbuje wytłumaczyć się przed kolegami. Wyobraziła sobie, jak ją wypytują. Siwa czupryna i władcza pewność siebie Henry'ego Goldsteina, który się ku niej pochyla. „Mam dwadzieścia dwa lata — tłumaczy mu. — Jestem zatrudniona u Fernanda Woodlawna w charakterze jego osobistej asystentki. Mieszkam przy Gramercy z mamą i tatą. Moja mama ma na imię Nora i pracuje na pół etatu w bibliotece. Mój tata, Tom, jest prawnikiem”.

Odchyliła głowę. Popatrzyła w górę, nad koronami drzew. Zobaczyła szczyt swojego biurowca na tle bezchmurnego nieba. Misterne kamienne dekoracje; sterczące maszkarony — nieruchome. Hałas uliczny przycichł, z lewej strony słychać było szum i plusk fontanny wśród trawników. Dłuższą chwilę wlepiała oczy w budynek.

„Od urodzenia mieszkam na Manhattanie” - wyjaśniała Henry'emu Goldsteinowi w myślach. Wyobrażała sobie, jak siedzi naprzeciw niego po drugiej stronie biurka. On odchyła

się w fotelu, palec na wargach. Surowe oczy wpatrzone w nią uważnie. „Wychowałam się tutaj - mówiła - może pan zapytać, kogo pan chce. Niech pan spyta Maurę. Ona mnie zna. Znamy się z Maurą od zawsze, właściwie od niemowlęcia. Do dzisiaj się spotykamy prawie w każdy weekend. Ona też nie ma chłopaka, więc dlatego. Wiem, to się nazywa «opóźniony rozwój». Jak się człowiek wychowuje w wielkim mieście, to rodzice bywają nadopiekuńczy. No i jeszcze ta szkoła zakonna, to też, Fernando ma rację. Nie, nie, skąd, nie jesteśmy dziewczycami, nic takiego... ale to inna sprawa. Uczciwie mówiąc, czasem się boję, że Maura pozna kogoś wcześniej niż ja. Znaczący, chłopaka. Nie żebym była zazdrosna, skądże znowu, tyle że... No wie pan, jakie są dziewczyny - już by się ze mną nie widywała. Rany, nie wiem, co bym robiła, gdybym nie mogła z nią pogadać, gdybym nie miała nikogo takiego jak ona. Rany! Całą szkołę średnią przechodziłyśmy razem. I może mi pan wierzyć, u Świętej Anny to nie były przelewki. A i do podstawówki chodziłyśmy razem przez dwa lata, potem mnie przenieśli do..."

Nagle ocknęła się z rojeń. Zastanowiła się. Wargi jej się rozchyliły. „...przenieśli do..."

Znow to samo. Jakby coś wewnątrz niej się zsiadło: skurcz strachu.

„Potem przenieśli mnie do... Szkołę podstawową ukończyłam w..."

Opuściła głowę. Nie patrzyła już na dachy Broadwayu. Z otwartymi ustami wodziła chaotycznie wzrokiem po parku, jakby szukała odpowiedzi. Wodziła wzrokiem po ławkach. Po ciemnych skulonych postaciach bezdomnych, po ich jarzących się oczach. Jej spojrzenie prześlizgiwało się, nie rejestrując. Szarpnęła głową, jakby chciała wytrząsnąć z niej odpowiedź.

„Szkołę podstawową ukończyłam w..."

Nie mogła. Nie mogła sobie przypomnieć. Nic nie przychodziło jej na myśl. Nie pamiętała, gdzie chodziła do szkoły podstawowej.

„Boże, jakie to dziwne. Jakie dziwne".

Aż zimny dreszcz przebiegł jej po plecach. Z pomocą wyobraźni próbowała cofnąć się w czasie. Długi budynek z cegły. Dzieci przepychające się w szklanych drzwiach. Nie, to nie to. Nie poznaje tego. Uświadomiła sobie, że jej ciało pokryła gęsia skórka.

„Ty - to nie Nancy Kincaid”.

Chłód przeniknął ją do szpiku kości. Pod beretem poczuła pot. Zaczęła się zbierać we włosach, pociekł po skroniach, po karku.

„No nie, to przecież wariactwo - powiedziała sobie ze złością. - Idiotyizm. Przecież wiem, kim jestem. Mogę udowodnić, że...”

Przerwała. Otarła wargi dłonią. Spojrzała na torebkę, która stała obok na ławce. Czarną, skórzaną, pakowną torebkę. Z trudem przełknęła ślinę. Oczywiście, że może. Właśnie że może udowodnić, kim jest. Każdemu.

„Idiotka”. Dlaczego nie pomyślała o tym wcześniej. Tam, w biurze Woodlawn, przed tymi nieruchomymi spojrzeniami, od których zmiękły jej kolana. Dlaczego po prostu nie wyciągnęła portfela? Nie pokazała im legitymacji, zdjęcia w prawie jazdy? „No i co? Może nie jestem Nancy Kincaid? A to kto według was? Meryl Streep?”

Kręcąc głową z politowaniem, postawiła torebkę na kolanach. Otworzyła zamek błyskawiczny. W tej samej chwili dostrzegła jakiś ruch. Kątem oka. Podniosła oczy.

To był jeden z bezdomnych. Na ławce po przeciwnej stronie alejki. Otwierając torebkę, musiała zwrócić jego uwagę. Zerkał na nią spode łba. To był biały wynędzniały mężczyzna z brudnymi, skołtunionymi włosami. Rozdziawione wargi miał w strupach, oczy półprzymknięte. Zauważyła, że podnosi się z ławki, próbuje stanąć.

- A niech to - mruknęła. Musi się stąd wynosić, zrobić to gdzie indziej.

Ale wyciągnęła portfel. Musi rzucić okiem na dowód. To głupota, ale musi się upewnić. „Przecież człowiek powinien pamiętać, gdzie chodził do szkoły podstawowej”.

Znów szybko zerknęła na żebraka. Stał teraz i udawał usilnie, że wcale nie zwraca na nią uwagi. Mruczał coś do

siebie z ważną miną. Badawczo przyglądał się swojej ławce. Przerzucał gazety, którymi był przedtem przykryty, jakby sprawdzał, czy coś mu się wśród nich nie zawieruszyło; jakby w ogóle miał cokolwiek, co mogłoby się zawieruszyć. Ot, wstaję sobie, i tyle — zdawał się mówić. Nie, nie, to nie ma z panią nic wspólnego. Ale widać było, że przygląda się jej ukradkiem.

Nancy była zaniepokojona. Ale nie mogła dłużej czekać. Przecież coś jest nie w porządku. Dzieje się coś dziwnego. I nie chodzi tylko o tych ludzi u niej w biurze. Był jeszcze ten maszkaron, ta szkoła podstawowa... „Przecież możesz go po prostu zastrzelić”.

No i jeszcze to: głos. Dziś ma jakąś usterkę w głowie. Pewnie gorączka czy coś w tym rodzaju. Może zaszkodził jej zepsuty majonez, matka zawsze mówiła, żeby uważać na majonez. Cokolwiek to było, musi zajrzeć do swoich dokumentów, i to zaraz. Żeby się upewnić, że kompletnie nie ześwirowała.

Otworzyła portfel. Znow zerknęła na zebraka. Ruszył w jej stronę, a jakże. Spacerowym krokiem, niby nic. Ręce w kieszeniach usmolonych spodni. Wystrzępiony płaszcz powiewa na wietrze. Deszcz żółtych liści wokół niego. Czerwone dęby jako tło dla jego ciemnej sylwetki. Szelest kopanych od niechcenia liści.

- A niech to — mruknęła znowu. Spojrzała w prawo, w stronę Ratusza. Wciąż widać było policjanta, przechadzał się wzdłuż rzędu służbowych limuzyn. A pod gałęziami drzew widziała nogi policjanta stojącego na schodach przed wejściem. Usłyszą ją w razie czego.

Zajęła się portfelem, wściekła na włóczęgę, że ją przestraszył. To, że otwiera torebkę, wcale nie znaczy, że uda mu się wyciągnąć od niej jakieś pieniądze. „Niech spada”.

Odpięła zatrzask przegródki na karty. Serce zabiło jej szybciej. Plastikowa przezroczysta harmonijka rozwinęła się na kolana. Rzuciła się w oczy fotografia matki. Niska, pulchna mama, roześmiana, macha ręką do obiektywu, jakby się broniła: „Zabierzcie ten głupi aparat”. I ojciec: siwowłosy, rumiany. Zmarszczki od śmiechu pod oczami.



„Tak, tak, tak" - pomyślała. Na Broadwayu ruszył z hukiem autobus. Gdy hałas minął, usłyszała szuranie żebraka na ścieżce. Zbliżał się. Szybko przeglądała przegródki, szukając prawa jazdy.

Jest MasterCard. No, przynajmniej nazwisko - Nancy Kincaid - wydrukowane u dołu. I Visa: to samo nazwisko, ta sama dziewczyna. I wreszcie... jest! Prawko. Co za ulga! Aż zamknęła na chwilę oczy, kiedy to zobaczyła. Jej zdjęcie. Jej twarz. Mocna szczęka, wydatne kości policzkowe, jasne, szczere spojrzenie. Ta sama znana od dawna twarz, którą widziała niedawno w szybie wystawowej. I nazwisko, jej własne nazwisko, Nancy Kincaid, tuż koło zdjęcia. Niezbity dowód. Jest tym, kim jest.

„No a kim miałabym być?" - pomyślała. Jeszcze raz pokręciła głową z rezygnacją. Ale i uśmiechnęła się. Wewnętrzne napięcie zaczęło ustępować.

Nagle przypomniała sobie o żebraku. Podniosła wzrok. Jest po drugiej stronie alejki. Zatrzymał się przy koszu na śmieci. Badał zawartość. Przeglądam śmieci, szanowna pani. Proszę na mnie nie zwracać uwagi.

„Lepiej stąd pójde" - powiedziała bezgłośnie.

Zwinęła plastikową harmonijkę. Zatrzasnęła portfel. Może wracać do biura. Porozmawiać z kimś, kto ją zna. Z kimś, kto jej wysłucha.

„I żadnych więcej głosów".

Absolutnie. Co to, to nie. Ale przestała się już nimi przejmować. Będzie dobrze. Jakieś zatrucie albo coś w tym rodzaju. Gorączka. To od majonezu. Wepchnęła portfel z powrotem do torebki. Głęboko, jakby chroniąc go przed żebrakiem. Zaraz wróci, porozmawia z Henrym Goldsteinem, wyjaśni, co się stało, i wszystko będzie...

W okamgnieniu znów oblała się zimnym potem. Serce zamarło. Ciarki przeszły po skórze.

„Coś..."

Jej palce natknęły się na coś. Coś w torebce. Cos twardego. Coś czarnego i chłodnego.

„Co, do cholery...?" - pomyślała, ale nie wiadomo skąd wiedziała już, co to.

Odgłosy Broadwayu odplłynęły. I plusk fontanny, i szelest

liści platanów. Nawet chłodny jesienny wiatr, który tak przyjemnie igrał z jej włosami, nagle jakby się stąd ulotnił „Co...?”

Obmacywała przedmiot w torebce. Badała kształt. Wodziła palcami po zimnej czarnej powierzchni.

Potem, niemal bezwiednie, zupełnie niechcący - uchwyciła go. Wyciągnęła. Z samego dna torebki. Wygrzebała spod puderniczki, paczki chusteczek higienicznych, szminki, kluczy. Całą ulgę diabli wzięli. Znów mdląco zimny lęk, napięty węzeł strachu powrócił, i to ze zdwojoną siłą. Kropla potu spadła jej z czoła, gdy pochylona zaglądała do wnętrza torebki, wpatrując się w swoją rękę. W to, co w niej trzymała.

„Broń?!”

To był rewolwer kalibru 0,38. Coś okropnego. Teponosy, czarny, ohydny. Ale zdawał się dobrze leżeć w jej dłoni! Jakby gotów do akcji, do ciosu. Ręka Nancy zadrżała. Wargi poruszały się lekko.

„Co, do jasnej cholery...? Rewolwer?!“

„Przecież możesz go po prostu zastrzelić“.

Pokręciła powoli głową. Podniosła oczy.

Żebak stał tuż przed nią, zasłaniał niebo. Wielki ciemny kształt, zgięty do przodu. Rozpalone białka oczu. I ten smród, smród rynsztoka, kwaśny odór życia, który wślizgiwał się w świeże październikowe powietrze i je warzył.

Nancy patrzyła na włóczęgę, a w schowanej w torebce dłoni ścisnęła broń. Żebak się uśmiechał. Zza rozchylonych warg wychynęły pieńki zębów, żółte i koślawe. Wyciągnął rękę. Nancy poczuła jego oddech. Chciała krzyknąć, ale nie mogła. Jakby coś utkwilo jej w gardle.

- Tylko nie zapomnij - powiedział bezdomny przeciągle, głosem niskim i skrzeczącym. Pochylił się ku niej. - Pamiętaj: ósma wieczór. - Mrugnął znacząco. - Zwierzęca Godzina.

## Oliver Perkins

— To bardzo zniechęcające — powiedziała powoli staruszka. — Jako dziecko byłam nerwowa. Wciąż się martwiłam, a to tym, a to tamtym. A że zachoruję, a że się zestarzeję. Już wolałabym być stara, bo wtedy mogłabym się przestać tym martwić. I uspokoiłabym się. A teraz popatrz na mnie.

Perkins odwrócił głowę od okna. Uśmiechnął się przez ramię do babci. Siedziała zwiotczała i bezkształtna na swoim atlasowym szezlongu. Jej ręce - patykowate i oplecione błękitnymi żyłami - trzęsły się na różowym pledzie, który okrywał jej kolana. Popatrzyła na niego wodnistymi oczami.

— Jestem do niczego — wyjęczała.

— No, babciu, mam cię zrzucić ze schodów?

— Oj, bądź cicho. - Jej głos był słaby i drżący. - Wiesz, że mam rację. Wystarczy drobiazg, i rozsypię się wprost na twoich oczach.

— Nie licz na to. Wciąż będziesz się rozsypywać, kiedy ja już dawno umrę ze starości. — Znowś spojrział w okno, obramowane elegancką orzechową framugą, zajmujące niemal całą ścianę od podłogi do sufitu. Rozciągała się za nim panorama Dwunastej Zachodniej. - I komu się wtedy będziesz skarżyła?

— Nie mam pojęcia - wymamrotała babcia. - To rzeczywiście problem.

Perkins roześmiał się. A potem skrzywił. Ukłucie bólu przeszło mu skroń. Dotknął jej opuszkami palców. Jajecznicę i kawę, które Avis zrobiła mu na śniadanie, nieco podreperowały jego żołądek. Trochę mu podniosły powieki. Ale kac wciąż go męczył, tętnił pod czaszką. „«Cóż bym dał za łyk wina! - trunku z dawnej pory, chłodzonego w głębokich ziemi zakamarkach...» \* A może wystarczyłoby zimne piwo i okład z młodych piersi...?»" Roztarł czoło, mrużąc oczy.

Tam, za szybą, cztery piętra niżej, jakaś kobieta pchała

**\* John Keats, utwór cytowany.**

wózek w cieniu rachitycznych wiązów, którymi obsadzono chodnik. Uczeń w bluzie dresowej dźwigał pod pachą książki. I jeszcze jedna matka, jak zauważył, holująca synka za rękę. Chłopak ociągał się, był ubrany w czarną pelerynę, twarz miał wypacykowaną na biało z czerwonymi kroplami wokół ust. A Perkins pomyślał: „Rzeczywiście, dzisiaj Halloween...”

- Co tak rozcierasz sobie skronie, kochany? Czyżby przepicie? — zapytała babcia.

- To zależy. Masz zamiar prawić mi morały?

- Cóż, raczej tak.

- No to czuję się doskonale.

- Chyba powinnam ci trochę nagadać. Kto to widział pić tyle! No i ten Zachary... z tym wszystkim. No, a teraz to zniknięcie. Po prostu nie wiem, co o tym myśleć.

Kręcąc głową, odwrócił się całym ciałem od okna i spojrzał jej prosto w twarz. Wepchnął ręce w kieszenie dzinsów. Przysiadł na parapecie. Uśmiechnął się do staruszki i tego, co ją otaczało. „Blaknie i wtapia się w wyblakłe tło” — pomyślał. Upodabnia się do tych mebli z ich wolutami, palmetami, akantami, bordiurami; do lamp z tymi ornamentami i frędzlami. Do perskiego dywanu. Do srebrnego świecznika na rzeźbionym gzymisie nad kominkiem. Do tych wszystkich detali skąpanych w smutnym jesiennym złotym świetle, które wpadało przez eleganckie okna.

—Wiesz co, przez ciebie mam poczucie straszliwej klęski — powiedziała.

- Ostrzegam cię - odparł. - Nie będę zważał na siwe włosy.

- Ach. - Machnęła słabo ręką. - Chyba żałuję, że was wzięłam pod swój dach.

- No jasne... Od początku wiedziałem.

- Hmm.

Przechyliła głowę i rzuciła mu filuterne spojrzenie. Prych-nął. Pod oczami miała brązowe worki, policzki obwisłe, nad wargą rosły szczeciniaste kępki. Włosy na głowie przerzedziły się i spłwiały.

„Już wtedy była stara” - pomyślał. Już wtedy: te szesnaście—siedemnaście lat temu. Kiedy umarła jego matka,

kiedy on i Zachary zamieszkali u niej. Już wtedy była przecież po siedemdziesiątce. Bogata wdowa, dziedziczka fortuny po lekarzu. Przypominał sobie, jak wymachiwała rękami, kiedy w jej starym domu przy zaułku MacDougala pojawiła się nagle dwójka rozbrykanych wnuków. I ten piskliwy głos: „Chłopcy! Ach, chłopcy, co wy wyprawiacie!”

- Na pewno nic mu się nie stało, prawda, Ollie? - raczej stwierdziła, niż zapytała.

- Jasna sprawa. - Wstał z parapetu i podszedł do niej. - Widziałem go w piątek.. Był cały w skowronkach.

- Co to znaczy?

- W skowronkach? W wyśmienitym nastroju. Wyciągnęła rękę, żeby jej dodał otuchy. Ścisnął dłoń

babci w obu swoich. Roztarł, chcąc rozgrzać stare kości. Pochylił się i chuchnął na suche patyczki palców.

- Przestań się martwić - szepnął. - Wiesz, że to ci nie służy.

- Nic na to nie poradzę - skonstatowała smutno babcia. - Jestem nerwowa z natury. Zawsze tak było. Co mam zrobić? Przestać być nerwową z natury? To nie jest rada, z której mogłabym skorzystać.

- Z tobą się nie da pogadać, ty stara czarownico. - Odłożył jej dłoń łagodnie na koc. Znowu wepchnął ręce do kieszeni, odszedł w inny kąt pokoju. - Mówię ci, dostał jakieś zlecenie albo szykuje się do tej parady. Dziś będzie wielka parada.

- Jaka parada?

- Wieczorem. To Halloween.

- Ach, no tak. - Podniosła brwi i spojrzała w stronę okien. - Zawsze mi się wydawało, że to impreza dla... no wiesz.

- Pedalów?

- Tak. I tych mężczyzn, co się przebierają za kobiety.

- No, głównie tak. - Perkins znajdował się teraz za jej plecami, zmierzał do krawędzi perskiego dywanu. W powyciąganym swetrze, ze zwieszającymi się na twarz długimi włosami, z łomotem kaca pod czaszką, czuł się jakiś za duży i niezręczny. Te detale, bibeloty, drobiazgi dookoła. - To pismo, w którym Zach pracuje, bierze w tym roku udział

w pochodzie, wystawia żywy obraz na platformie. Zach będzie grał Króla Śmierć. Ma maskę z trupa czaszką i w ogóle.

- Króla Śmierć?

- Bardzo był tym przejęty, jak z nim ostatnio rozmawiałem. - Perkins okrążył stolik z drewna tekowego. Stały na nim zdjęcia w ramach, jego i Zacha. Zerknął z roztargnieniem na otwarte drzwi do długiego korytarza. Na jego końcu mieściła się sypialnia babci, a naprzeciw niej było tylne wyjście, prowadzące do windy towarowej i na schody przeciwpożarowe. Patrząc w ten korytarz, myślał o piątkowym spotkaniu z Zachem; Zach przymierzał wtedy maskę z trupa czaszką. Pomyślał też o Tiffany. „Ta cholerna Tiffany - mruknął bezgłośnie. - Cholerna Tiffany”.

- I chodzi do tego swojego doktora, tego psychiatry? - chciała wiedzieć babcia.

- Nie pytałem, ale pewnie tak. Wydawał się zadowolony, babciu. Wyglądał dobrze.

- No, póki nie bierze tych... tych strasznych... strasznych narkotyków...

Przechodził teraz z tyłu za otomaną, skąd mógł widzieć profil babci. Zauważył, że się wzdrygnęła, jej dłonie zacisnęły się mocno. Potrząsnęła głową nad „tymi strasznymi narkotykami”, zacisnęła mocno wargi. Uśmiechnął się smutno kącikiem ust. Czasami, w takich chwilach, miał wrażenie, że odżyła jego matka. Te same ptasie piski. Te same lęki. Te same zmartwienia. I to załamywanie rąk, pamiętał. „Ollie, pilnuj, żeby się tylko Zach nie przeziębził”.

I miała to samo serce co matka. Te same sercowe dolegliwości, zresztą matka odziedziczyła je po niej. Z tym można żyć długo, powiedział lekarz, ale zdarzają się nieprzewidziane pogorszenia. Zastawka może się nagle zaciąć i... Perkins musiał na chwilę zamknąć oczy, żeby zetrzeć z nich ostatni obraz swojej matki; widok, jaki zastał, kiedy ją znalazł: rozciągnięta na podłodze, na boku, wciśnięta między kanapę a niski stolik do kawy. Krótkie włosy rozsypane na policzku. Szczupła ręka przerzucona za głowę. Spodeczek do góry dnem na dywanie, przewrócona fili-

zanka, mała plama herbaty na białym futrzaku. Wada zastawki. To samo draństwo.

- Naprawdę, babciu — usłyszał swój głos. — Wyświadczyć mi przysługę, przestań się zamartwiać głupstwami.

- Wiesz przecież, Ollie, że zawsze to robię.

- Wiem, ale na litość boską, to ci szkodzi. Próbowwała się podnieść, ale opadła z powrotem, jakby powalona zmartwieniem.

- No, ale dlaczego Tiffany powiedziała o starym domu? Powiedziała, że musisz pojechać do starego domu w zaułku.

- Ach... Tiffany.

- Ona się o niego martwi, biedactwo.

- Mogła poczekać. Nie musiała do ciebie dzwonić. Przecież w końcu włączyłbym telefon. — Mruczał właściwie do siebie. Wiedział, że babcia lubi Tiffany. To była prawie jej wnuczka. Jedyna, jak dotąd. — Mogła jeszcze trochę popróbować — mruknął znowu.

- Mówiła bardzo konkretnie — nie ustępowała babcia. — Powiedziała, że masz tam jechać. Do starego mieszkania. Powiedziała, że on tam musi być. - No, wiem, wiem.

- On tam zawsze chodził brać narkotyki. Dlaczego ona powiedziała, żeby go tam szukać?

- Babciu, nie martw się, naprawdę. „Niech szlag trafi tę Tiffany” - pomyślał. - On nie miał zamiaru ćpać. Dopiero co go widziałem.

- Chciałabym wreszcie sprzedać ten lokal - powiedziała, mając na myśli stary dom. Przycisnęła dłonie do koca. Spłowiałe pasma włosów trzęsły się nad uszami.

Podszedł do niej. Ukląkł przy kanapie. Odwróciła się do niego. Swoją chudą, zasuszoną twarzą. Drżącymi, obwisłymi policzkami. Wodnistymi oczami, z których zaraz pociekną strumyki.

- Wcale nie żartuję — powiedział. - Jak nie przestaniesz, to nie ręczę za siebie. Połamie ci kości. Musisz się uspokoić.

- On za dużo myśli - tłumaczyła babcia. - W tym cały problem. Wasza matka była taka sama. Myślała za dużo i martwiła się byle czym. A te dziwaczne książki, które on czyta. I ta gadanina... o Bogu, o zbawieniu i nie wiadomo

czym. — Wyciągnęła rękę i poklepała go po dłoni, którą przytrzymał się poręczy. - W tobie za to zawsze miałam oparcie, Ollie. Ty nigdy w nic nie wierzyłeś. Roześmiał się mimo bólu.

- Tak. — Odepchnął się od fotela. Wstał. — Może dlatego nie mam nic do powiedzenia.

- Och, daj spokój.

Z uśmiechem pogładził ją lekko po policzku. Przytuliła się do jego dłoni, zamykając oczy. Perkins się jej przyglądał. Uśmiech zbladł. Jaka ona nieruchoma... Zamknięte oczy... Ledwie oddycha. Czuli obecność tych wyblakłych mebli, wyblakłych fotografii dookoła. Blaknącego złotego światła. Już prawie nie dało się tego znieść.

Odetchnął głęboko, niepewnie.

- Nie... - Musiał odchrząknąć. — Nie martw się, babciu. Proszę. Dobrze? Obiecuję. Jadę tam natychmiast.

Nancy Kincaid

Nancy, siedząc na ławce, patrzyła w górę. Żebrak zawisł nad nią. Błękitne niebo, żółte platany, alejka, inne ławki, Ratusz — wszystko zostało wymazane. Jej pole widzenia wypełniał on. Wychudzona twarz, jarzące się białka wlepionych w nią oczu.

„Ósma. Tylko nie zapomnij. To Zwierzęca Godzina”.

Tętno łomotało jej w skroniach. Zagłuszało klaksony samochodów, huk autobusów na Broadwayu. Szelest liści i szmer kroków zamarły. Było tylko tam-tam pulsu: wszędzie, od stóp do głowy.

„Ósma godzina...”

- Co? - z wysiłkiem wykrztusiła słowo. — Co pan mówił? „To Zwierzęca Godzina...”



Żebrak wyciągał rękę, szczyrzył zęby, gapił się.

- Co? - powtórzyła głośniej. Piskliwie.

- Da pani parę groszy - zagadał. - Ćwierć dolca, pół. Nie więcej. Na coś ciepłego do jedzenia.

Nancy próbowała odetchnąć. Próbowwała odzyskać oddech. „Rany boskie, czy ja dostaję świra? Co ja słyszałam, co on powiedział?”

- Da pani, proszę. Parę groszy. Na coś ciepłego. Uświadomiła sobie, że boli ją nadgarstek. Rewolwer.

W okamgnieniu przypomniała sobie, że trzyma w ręku rewolwer. W otwartej torebce, na samym wierzchu. „Chryste Panie!”

Wydała z siebie cichy odgłos. Popatrzyła w dół, wytrzeszczyła oczy. Zobaczyła w swojej własnej dłoni ohydny czarny kształt.

„Jezus, Maria!”

Upuściła broń, jakby ją parzyła. Zacisnęła torebkę oburącz, wbijając w jej skórę wszystkie dziesięć palców.

Potem szybko spojrzała ku górze. Bezdomny przyczłapał jeszcze bliżej. Kwaśny, zjełczały odór, smród moczu i potu zakleił jej nozdrza.

„Przecież możesz go zastrzelić. Przecież możesz go po prostu zastrzelić”.

„Jasny gwint - pomyślała - tracę nad tym panowanie”.

- Parę groszy, proszę pani. Niech pani da — nalegał nieznajomy.

- Przepraszam wysapała. Oddech łopotał jej w płucach. — Przepraszam, źle się czuję. Źle... Prze...

Spróbowała wstać. On nie ustępował, rękę wyciągał tak blisko, że nie mogła się wyprostować. Smród, jaki roztaczał, dławił ją. Jego uśmiech, wykrzywione wargi w strupach były zaledwie parę centymtrów od jej oczu.

- Proszę — powiedziała.

Szarpnęła się gwałtownie, skręcając ciało, byle uciec od niego w alejkę. Żakreć się jej w głowie. Wirujące w powietrzu liście przyprawiały o mdłości. Przez chwilę miała wrażenie, że wokół niej poruszają się drzewa. Ratusz zdawał się przechylać i grozić wywrotką.

- Ma pani parę groszy na zbyciu — mówił żebrak. -

Wiem, że pani ma. - Ani myślał jej odpuścić. Wyciągał rękę. Jego dziurawe buty szurgotały po ścieżce.

- Nie - jęknęła. Przycisnęła dłoń do głowy. Drugą tak mocno ścisnęła torebkę, że omal nie połamała paznokci. -Nie, nie, nie, ja zaraz...

„Zwariuję - pomyślała. - Zaraz zwariuję. Wariuję. Tak się wariuje”.

- Muszę... muszę... iść. Przepraszam.

Obróciła się chwiejnie, ściskając torebkę ze wszystkich sił. Jakby sama chciała się otworzyć. Jakby rewolwer chciał z niej wyskoczyć. Jakby miał wskoczyć jej w rękę.

„Przecież możesz go zastrzelić”.

Ruszyła przed siebie. Alejką, w stronę żywopłotów i trawników. W stronę tryskającej w górę fontanny w głębi, przy ulicy. „Aby dalej”. Słyszała kłapanie własnych płaskich pantofli na asfalcie. Czowała drżenie kolan, jakby szła na wysokich obcasach. Trzy kroki. Cztery. Pięć. I nagle...

- Tylko nie zapomnij...

Stała jak wryta. To był skrzeczący szept żebraka.

- O ósmej. Nie zapomnij.

Nancy odwróciła się powoli. Stał koło ławki, pod konarem drzewa. Wciąż wyciągał rękę. Splątane płowe włosy zwisały do ramion. Uśmiechał się nienormalnie, błyskał oczami.

Nancy wbiła w niego wzrok. Przełknęła ślinę.

- To Zwierzęca Godzina - gdała. - Musisz tam być. Wtedy on ma umrzeć.

Z wytrzeszczonymi oczami, nadal ściskając torebkę, Nancy pokręciła głową.

- Proszę mnie zostawić. - Nie poznawała własnego głosu. Niski, gardłowy, głuchy dźwięk. Jakby już nie żyła ze strachu. - Zostawcie mnie.

Żebrak zwyczajnie stał, zwyczajnie się uśmiechał, wyciągał rękę, wciąż patrzył. Z tyłu za nim siedzieli inni, mościli się, wtulali w siebie, nie zwracali uwagi na otoczenie. Czarno-szare sylwetki na zielonych ławkach po obu stronach alejki. Ścieżka prowadziła prosto do Ratusza. Przez drzewa Nancy widziała tam policjantów. Obaj stali teraz u podnóża schodów. Rozmawiali, opierali ręce na kaburach.

„Zawołać ich. Przecież możesz...” „...go zastrzelić?” „Zawołać ich?”

— No, niech pani da trochę — mówił żebrak. Głos załamywał się w gdakanie jakby od tłumionego śmiechu. Jego wzrok wydawał się z niej drwić.

— Proszę mnie zostawić — powiedziała Nancy, tym razem głośniej. Powiedziałam: proszę mnie zostawić... natychmiast, bo wezwę policję! - Właśnie w tej chwili Broadwayem przejechała ciężarówka, dudniąc i strzelając między drzewa czarnymi kłębamii spalin. Nancy sama nie usłyszała własnego głosu.

Mimo wszystko do żebraka dotarło. Kiedy powiedziała „policja”, jeden kącik jego ust opadł, drugi się podniósł. Uśmiech zamienił się w grymas szyderstwa. Mężczyzna opuścił wyciągniętą rękę. Machnął nią, zrezygnowany.

— A! powiedział z niesmakiem. Odwrócił się plecami. Zaczął się oddalać.

„Poszedł nareszcie - pomyślała Nancy. - Co za ulga”. Przymknęła oczy. Zaczerpnęła głęboko powietrza. „Następnym razem nie będzie taki nachalny”. Podniosła wzrok, żebrak człapał, coraz bardziej się oddalając. Zgarbiona sylwetka okryta brudnym czarnym chałatem. Cichło szuranie butów po zeschniętych liściach.

„No dobrze, już dobrze”. Jeszcze jeden wdech. Spokojnie. „Już dobrze. Wszystko w porządku. Wszystko będzie w absolutnym... będzie...” Spojrzała w dół. Knykcie jej zbielewały, tak kurczowo zaciskała torebkę. Kropelki potu spływały wnętrzem dłoni. Uśmiechnęła się mdło. „No, może nie w a b s o l u t n y m porządku” - pomyślała. Coś się dzieje, tego była pewna. Coś się jej przestawiło w łepetynie. Ta gorączka. Zatrucie. To przez to ma halucynacje, licho wie co. I tyle. Tylko tyle. Nie ma powodu do wpadania w panikę. Że zdarzyło się parę zabawnych nieporozumień, że człowiek widzi, że słyszy jakieś dziwne rzeczy, to jeszcze nie znaczy, że...

„Zaraz zwariuję”.

...to choroba psychiczna, ani nic takiego.

Pewnie. Oblizwała wargi. Były spierzchnięte i odrętwiałe.

Żołądek wciąż jej doskwierał. Rozluźniła uchwyt. Przewiesiła torbę przez ramię, wciąż nie zamkniętą na suwak. Stała chwilę, czekając, aż serce się uspokoi. Aż ustąpi popłoch.

„To był tylko żebrak, Nancy. Zwyczajny żebrak w parku”.

Patrzyła za nim. Rosnąca odległość zmniejszała jego postać. Zwieszona głowa, opadające włosy. Sunął powoli od jednego kosza na śmieci do drugiego. Wśród nieustannie opadających liści. Szpalerem ławek, szpalerem bezdomnych ludzi o zwieszonych głowach i zgarbionych ciałach. Powłóczył nogami, w stronę Ratusza. Z każdą chwilą był coraz dalej.

Serce się uspokajało, oddech wyrównywał. Panika malała. Została tylko mała kulka strachu w głębi żołądka. Nancy wiedziała, że nie da rady jej usunąć, przynajmniej póki wszystkiego nie wyjaśni. Zdecydowanie dzieje się coś dziwnego. Bez wątpienia. To nie chodzi tylko o ludzi w biurze. Albo o prawo jazdy. Czy szkołę podstawową. Chodzi o rewolwer w torebce. Głos, który słyszała. I ten włóczęga, to, co mówił o... Co to było? Zwierzęca Godzina.

Trzeba iść do domu. Trzeba się umówić na wizytę u doktora Blooma. Zrobić badania. Zadać parę pytań. Wyjaśnić, co się z nią dzieje.

Może to coś zupełnie banalnego. Na przykład guz mózgu. Albo przebitka z poprzedniego wcielenia. A może umarła we śnie i będzie zmuszona powtarzać ten koszmar bez końca przez całą wieczność. Musi być jakieś rozsądne wyjaśnienie.

Nancy uśmiechnęła się lekko do siebie, obserwując oddalającego się żebraka. Pokiwała głową. „Jasne. Tylko spokojnie. Wszystko będzie dobrze”.

Właśnie w tej chwili na pobliskiej ławce podniósł głowę inny żebrak. To był Murzyn z brudnym kołtunem na głowie. Uśmiechał się dziwacznie, z dystansem, i miał takie same rozjarzone oczy jak ten poprzedni. Te oczy, ten uśmiech zwrócił prosto na nią. Mrugnął porozumiewawczo.

- Nie zapomnisz, co? Prawda? powiedział.

Nancy wydarł się z gardła krótki, straszliwy dźwięk.

Stęknienie przerażonego zwierzęcia. Głos ofiary drapieżnika. Stała jak słup soli, jak mysz pod wzrokiem węża. Wlepiła oczy w Murzyna na ławce. Wpatrywała się w ten dziwaczny uśmiech, w te połyskujące oczy. Serce rozpedziło się znowu. Tętno łomotało w skroniach. Pokręciła głową: nie. Ale czarny mężczyzna nadal się uśmiechał.

- O ósmej powiedział. - On wtedy ma umrzeć, mała. Musisz tam być. To Zwierzęca Godzina.

Kręciła głową bez ustanku: nie! Nie. Cofnęła się od tych roześmianych oczu, od tych wyszczerzonych zębów. Ścisnęła torebkę pod pachą. Przyłożyła dłoń do czoła. Zgrzytnęła zębami. Myślała: „Przestań. Przestań. Przestań”.

Podniosła się inna głowa. Jeszcze jeden żebrak popatrzył na nią z kolejnej ławki. Następna para oczu. Następna szara twarz z uśmiechem.

- Tylko nie zapomnij. Nie zapomnij o Zwierzęcej Godzinie.

- Jezu Chryste! - powiedziała Nancy. Oczy zasły jej mgłą, wypełniły się łzami. Tłukła dłonią w czoło i powtarzała: — Jezu Chryste!

- Wtedy ma umrzeć. Wtedy umrze. - To był czwarty żebrak, tym razem z drugiej strony alejki. Zwalista szara postać o gliniastej twarzy. — Ma umrzeć o ósmej — ciągnął musisz tam być.

- Jezu Chryste.

Następny otworzył oczy, gdy Nancy zaczęła się cofać. Kręciła głową i myślała: „Nie, nie”. Jeszcze jeden wyszczerzył zęby, wbił w nią oczy. Potem kolejny. A potem jeden za drugim - wszyscy. Wszyscy żebracy z dwóch szeregów ławek po obu stronach alejki. Jak jeden mąż. Brudne twarze pod zwieszającymi się konarami drzew. Wszyscy mruczełi coś do niej. Ich wargi się poruszały. Wszyscy mieli połyskujące oczy, błyskali do niej białkami. Ich szepty płynęły jak smugi dymu, otaczały ją, zamykały, ogarniały. A słowa były jak muchy, jak końskie gzy, brzęczały, kłuły w policzki, musiała się od nich oganiać. „Nie! Nie!” Rój słów napierał ze wszystkich stron.

- O ósmej.

- To ta godzina.
- Zwierzęca Godzina.
- Wtedy ma umrzeć.
- Musisz tam być.
- O ósmej, nie zapomnij.
- Zwierzęca Godzina.
- Tylko nie zapomnij.
- Nie zapomnij.

Z okrzykiem przerażenia odwróciła się na pięcie. Odwróciła się plecami do szpaleru oczu i twarzy. Łzy spływały jej po policzkach. Wzięła oburącz torebkę, zasłoniła nią oblicze, zatykając jednocześnie uszy dłońmi. Ale szepty wciąż się wokół niej wiły, słowa ciągle brzęczały.

- Nie zapomnij.
- O ósmej.
- Wtedy ma umrzeć.
- To Zwierzęca Godzina.

„To jest sen” - pomyślała. Przeważenie wzbierało falą. Wypływało z brzucha do piersi, do gardła. Za wiele tego. Nie do zniesienia. Miała wrażenie, że wybuchnie, pęknie na kawałki. „To sen. Nocny koszmar. Na pewno. Na pewno śnię. To tylko sen, po prostu. Zdarza się”. Zaciśnęła szczelnie powieki. Torebką zasłaniała twarz. Dłońmi zatykała uszy.

- Tylko nie zapomnij.
- Zwierzęca Godzina.
- Nie zapomnij.

„Zaraz się obudzę w swoim łóżku. Z walącym sercem. Kochana stara mama będzie się krzątać po kuchni. «Pora wstawać, Nancy - powie - czas do pracy». I usłyszę skwierczenie jajek na patelni. Nie lubię jajek, ale mama, jak to mama, zawsze smaży mi dwa na śniadanie. Kochana stara mama. Te jej jajka. Te głupie, niezmiennie, przymusowe jajka. Dlaczego się nie wyprowadziłam? Dlaczego nie zamieszkałam samodzielnie jak dorosła osoba? Na litość boską, przez nich zwariuję. Zwariowałam przez nich!”

- On wtedy umrze, Nancy.
- Nie zapomnij.

— Ósma. O ósmej.

„Rany boskie, obudźcie mnie, obudź mnie, mamó. Niech to się skończy, dobrze? Usmaż mi te wstrętne jajka. Usmaż mi te dwa cholerne bardzo zdrowe jajka. Dobrze? Tylko niech to się skończy. Usmaż mi, proszę...”

Ręka opadła jej na ramię. Nancy poczuła zapach siarki w nozdrzach, w gardle. Z wytrzeszczonymi oczami odwróciła się gwałtownie. Wrzasnęła - a właściwie próbowała wrzasnąć. Krzyk w ustach zamienił się w pył. Zakneblował ją. Zadławił.

Żebrak. Ten pierwszy żebrak. Z tą wychudłą twarzą i splątanymi włosami. Stał tuż-tuż, dokładnie przed nią. Zakrzywione szpony palców leżały na jej ramieniu. Pokryta wrzodami twarz tuż przy jej twarzy. I ten jego skrzek, to drwiące gdakanie:

— Tylko nie zapomnij. Wyszczrzył zęby i chwycił ją mocniej.

Krzyknęła. Wyrwała się. Zatoczyła do tyłu, byle dalej od niego.

— Proszę mnie zostawić!

Szaro włosy żebrak nadal szczyrzył zęby. Nachylił się w jej stronę. Inni żebracy, skuleni na ławkach za jego plecami, uśmiechnęli się. Coś do niej mamrotali. Gapili się na nią, połyskując białkami.

— O ósmej — powiedział ten pierwszy.

Nancy miała opuszczone ręce. Popatrzyła w dół i zobaczyła, że jej torebka jest otwarta. „Rany boskie!” - pomyślała. Wsadziła prawą rękę do otwartej torebki.

— Odejdź ode mnie - warknęła, pryskając śliną przez zęby. — Daj mi spokój, mówię ci.

Żebrak zbliżał się do niej na sztywnych nogach. Wyciągał rękę. Jego oczy zdawały się zupełnie białe. Jego uśmiech jakby zaczynał słabnąć. Z kącika ust ciekło mu na stupy pod ustami i niechlujny zarost pasemko śliny.

— Tylko nie zapomnij, nie zapomnij - powtarzał bez ustanku.

Nancy poczuła chłodny dotyk metalu. Poczowała szorstką powierzchnię rękojeści. Jej dłoń się na niej zamknęła.

„Nie rób tego!”

- Ostrzegam cię! - usłyszała własny krzyk.

- Zwierzęca Godzina - mówił żebrak. - Nie wolno ci zapomnieć. Nie wolno.

- Dość! - wrzasnęła Nancy. - Wystarczy! - Wyszarpnęła rękę z torebki. Trzymała rewolwer przed sobą. Lufa tańczyła dziko. - Wynoś się! - krzyknęła. - Wynoś się, bo strzelam!

Żebrak uśmiechnął się jeszcze szerzej. Obwisłe wargi, podbródek, policzki z wolna się rozciągnęły. Białe oczy patrzyły gdzieś w przestrzeń. Zrobił jeszcze jeden krok w jej stronę. Wyciągnął rękę.

- Ma umrzeć o ósmej. To jest ta pora. To jest Zwierzęca Godzina.

- Wynoś się! - wrzeszczała Nancy. Machała mu rewolwerem przed twarzą. - Wynoś się! Wynoś się!

A potem pociągnęła za spust.

## Zachary

Zachary Perkins obudził się tego ranka spokojny. Nic mu się nie śniło. Z początku leżał w łóżku z zamkniętymi oczami, o niczym nie myśląc. Potem zaczął sobie wyobrażać kobietę.

Szpak wyśpiewywał poranne piosenki w koronie klonu za oknem. Wiał świeży wiatr. Zachary słyszał szelest liści na chodnikowych płytach ogródka kafejki Lancera dwa piętra niżej. Wyobrażał sobie brunetkę, kobietę z grzywą czarnych włosów.

Królewska istota. Nie pierwszy raz ją sobie wyobrażał. Była naga, ale uzbrojona w tę swoją nagość, naprężona, dumna. Zajmowała miejsce na podwyższeniu, patrzyła na wszystko z góry. Jej ciało było gładkie jak kredowy papier magazynu ilustrowanego, skóra połyskiwała. Duże piersi



sterczały jędrne. Stała w rozkroku na swoich długich nogach, podparta pod boki.

Zachary poruszył się. Poczul dotyk prześcieradła na nagim ciele. Chłodny - jakby tęskny - powiew wpadł przez okno. Owionął mu twarz i wywołał tęsknotę za tą kobietą, niezisz-czalne pragnienie, żeby znalazła się tutaj jako istota z krwi i kości. Przesunął rękę pod kołdrę, dotknął wzwiedzonego członka. Był bardzo twardy. Pogłaskał go, wyobrażając sobie władczy uśmiech kobiety. Przyspieszył ruchy dłoni. Drugą ręką zrzucił kołdrę. Oddychając szybko, uniósł powieki. Spojrzał w dół, na siebie...

- Chryste! — wyszeptał. - Chryste!

Erekcja ustąpiła. Wybałuszonymi oczami gapił się na krew.

Zaschnięte smugi widniały na przedramieniu i grzbiecie dłoni. Pod paznokciami żałoba z brązowych skrzepów. Obrócił dłoń. Po wewnętrznej stronie też kleiste plamy. Wyglądały, jakby były z farby albo z czekolady, ale nie miał wątpliwości co do ich prawdziwego pochodzenia. Ani przez chwilę nie miał wątpliwości.

Usiadł. Serce waliło mu jak młotem. Nie był w stanie myśleć. Nie był w stanie nic wymyślić. Rozpaczliwie oglądał swoje genitalia, czy nie są uszkodzone. Spojrzał na podłogę koło łóżka i dostrzegł swoje skłębione ubranie. Na dżinsach leżała trykotowa koszulka, cała nasączona krwią, jeszcze wilgotna od krwi.

- O mój Boże - wyszeptał. - Co to jest? Gdzie ja jestem? - W żołądku przewracało mu się jak w betoniarce.

Poderwał się. Ktoś był przy drzwiach. Rozległo się pukanie, trzykrotne, szybkie: raz, dwa, trzy.

- Panie Perkins? - Męski głos, ale wysoki i łagodny. Bez emocji. Znowu trzy stuknięcia: raz, dwa, trzy. — Panie Perkins, jest pan tam?

Wargi Żacha poruszyły się, ale nie zdołał wydusić z siebie słowa. Rozglądał się gorączkowo po pokoju. Białe ściany z szarymi liszczami tam, gdzie odlazła farba. Półki na książki, z desek opartych na ceglach, zawałone gazetami

i magazynami. Brudny sznurkowy chodnik. Szerokie przejście do drugiego pokoju. Był w domu, w swoim amfi-ladowym mieszkaniu na East Village. W swoim własnym mieszkaniu, swoim i Tiffany.

- Panie Perkins! - Głos zza drzwi był ciągle cichy i pozbawiony emocji. — Panie Perkins, tutaj detektyw Nathaniel Mulligan z policji nowojorskiej. Jeśli jest pan w środku, proszę otworzyć drzwi.

„Zaułek, stare mieszkanie” - pamięć wróciła nagłą eksplozją jak błysk fotograficznego flesza. Przypomniał sobie, co się stało w starym domu.

„O Chryste — pomyślał. Przyłożył palce do warg. — O Chryste. Myślę, że to ja. O Boże. Myślę, że ja to zrobiłem. Pierwsze, co im przyszło do głowy”.

- W porządku, panie Perkins. - Na drzwiach wejściowych wisiał plakat z *Ukrzyżowaniem* Salvadora Dalego. Łagodny głos Mulligana dochodził prosto stamtąd. - Wchodzimy. Mamy klucz od gospodarza. Jeśli pan jest w środku, proszę nie robić żadnych głupstw. Nie chcemy, żeby komukolwiek stało się coś złego.

Zachary mógł tylko gapić się w plakat. Przedstawiał współczesnego mężczyznę, półnagię, z odchyloną głową, z ramionami przykutymi do nieba. Zach mógł tylko obserwować zafascynowany, jak detektyw przemawia z obrazu.

- Wchodzimy.

Usłyszał chrobot klucza w zamku. Mamrotanie męskich głosów. Szczęk rygła.

Przerażenie przeniknęło w żyły Zacha jak płynna błyskawica. Wskoczył z łóżka.

Drobnej budowy, znacznie mniejszy od swojego brata Olivera, był bardzo szczupły, niemal wychudzony, gdyż przestrzegał ścisłej diety. Lecz kości mu nie sterczały, na płaskim brzuchu grały mięśnie, nogi miał mocne. Wskoczył z łóżka jak sprężyna, błysnęła biała skóra. Odrzucił przykrycie, zgarnął w locie ubranie z podłogi. Przycisnął kłęb do piersi, zakrwawiona koszulka przylepiła mu się do skóry. Drugą ręką złapał tenisówki...

Usłyszał odsuwany rygiel. Zamarł i zagapił się na drzwi. Pisk przerażenia wyrwał mu się spod zębów: „liii...”

Ale to dopiero pierwszy zamek. Górny. Jest jeszcze zasuwa na dole. Zostało kilka sekund. Z twarzą wykrzywioną strachem ruszył na palcach przez pokój, boso, ze wszystkich sił starając się uniknąć hałasu. Usłyszał zgrzyt klucza w drugim zamku, ostatnim. Znow rozległy się męskie głosy.

- ...gotów za mną... - powiedział jeden z nich. - Gładko i bez nerwów.

„O Boże, o Boże, błagam - skamlał w myślach Zach. Czuł szorstki dotyk chodnika na podbiciu stóp, zapiaszczoną podłogę. - O Jezu, błagam, błagam”.

W ścianie naprzeciwko znajdowała się wbudowana szafa, jej drzwi były lekko uchylone. Na nich też wisiał plakat. Rysunek piórkiem przedstawiający skłębione obłoki i mityczne góry: jednorożce we mgle, nimfy i centaury. Podpis brzmiał „Wieczność”. Z gołym tyłkiem Zach pędził do „Wieczności”.

Drugi zamek ustąpił. Drzwi wejściowe stanęły otworem. Zach wślizgnął się do szafy.

Przyciągnął drzwiczki do siebie, najlepiej jak mógł. Stał tam, nieruchomy jak kamień. Wśród ubrań Tiffany, w zamkniętej szarej ciemności. Jego nagość ocierała się o tkaniny. Czuł zapach proszku do prania, talku i piżmową woń skóry Tiffany. Dyszał przez zaciśnięte zęby. Włosy miał mokre od potu, oczy wilgotne od łez.

„Ach, Jezu, błagam - modlił się - błagam, błagam, błagam”.

Tuż przed jego nosem widniała szpara, drzwi szafy były niedomknięte. Wpadała przez nią smuga światła, prosto w oczy. Zach rozpaczliwie pragnął wyciągnąć rękę i domknąć drzwi, ale się nie odważył. Policjanci już wchodzili. Ich głosy rozlegały się coraz donośniej, słowa stały się wyraźniejsze.

- Uwaga, to pokój przejściowy. - To był Mulligan, poznał po tym wysokim, łagodnym głosie.

- Wyjście przeciwpożarowe w drugim pomieszczeniu.

- Szafa tam. Łazienka.

- Burkę bierze szafę, Brown kibel. Ja przechodzę dalej -mówił Mulligan.

Zach poruszył się. Widział ich - Mulligana nie zdążył pochwycić wzrokiem, bo od razu przeszedł do drugiego pokoju, ale widział dwóch pozostałych, Burke'a i Browna. Burkę był Murzynem, tęgim i muskularnym, miał na sobie kraciatą marynarkę i jaskrawoniebieską koszulę. Brown był biały; krępy, wąsaty. Ubrany w zielony garnitur sportowy. Każdy z nich trzymał w dłoni mały rewolwer. Oba lufami do góry. Każdy z nich nadgarstek uzbrojonej ręki podtrzymywał drugą ręką.

„Zabiją mnie - pomyślał Zach, tuląc do piersi przesiąknięte krwią ciuchy. Myślę, że ja to zrobiłem, i zabiją, zastrzelą mnie. Jezu, błagam. Co mam zrobić? Chciałem dobrze. Chciałem dobrze dla siebie i dla Tiff. Jezu, daj mi szansę ich przekonać. Proszę. Wydostać się stąd i przekonać. Zrobię wszystko, przysięgam, powiem każdemu, co o Tobie myślę, wyjaśnię wszystkim Twoje słowa, tylko błagam, błagam...”

Obserwował, jak dwóch detektywów zajmuje pozycje. Skradali się, ale poruszali szybko, wyciągniętymi, cichymi krokami. Brown wszedł do łazienki. Zniknął z pola widzenia. Burkę w sekundę znalazł się przy drzwiach szafy.

„Błagam, błagam, błagam, błagam” - powtarzał Zachary. Ścisnął w garści tenisówki, ubranie. Dygotał na całym ciele. Z trudem tłumił przyspieszony oddech, żeby go nie było słychać. Nienawidził siebie za to, za takie skamlanie. To do niego niepodobne. To nie takie modlitwy uważał za słuszne. Ale się tak boi, Jezu, jak potwornie się boi. Zacisnął usta, żeby nie dzwonić zębami.

Burkę szarpnięciem otworzył na oścież drzwi szafy.

Detektyw trzymał broń wysoko, przy policzku. Sięgnął w głąb szafy lewą ręką. Przesunął sukienki Tiffany najpierw na jedną, potem na drugą stronę. Podniósł je i zajrzał pod spód. Potem się cofnął.

Tymczasem Brown wyszedł z łazienki. Burkę popatrzył na niego i pokręcił głową.

- Tu też nie - odparł biały.

Zachary wciąż trząsał się ze strachu. Teraz już znajdował się w tajnym schowku. Podczas gdy Mulligan wydawał polecenia, udało mu się wsunąć do małego pomieszczenia za szafą. Zbudował je sam: uchodził za świetnego majsterkowicza, doskonałego stolarza. Drzwi były osadzone na osi i idealnie dopasowane. Zamknięte, wyglądały jak ścianka szafy. A po naciśnięciu obracały się niczym tajne przejście w filmach z Abbottem i Costello. Można było się wślizgnąć do środka, a one zamykały się same.

W ciemnym i ciasnym schowku ledwie dało się stanąć. Z kłębem ubrania w ręku musiał się wyprostować i wcisnąć plecami w ścianę. Ale dało się wysunąć głowę i przytknąć oko do wizjera — w ten sposób obserwował detektywów.

Wizjer wyposażył w szerokokątny obiektyw. Widział przez niego łóżko i obie ściany pokoju. Od strony pokoju otwór był zamaskowany jeszcze jednym plakatem. Przedstawiał Adama i Ewę, podpis głosił, że Ewa została stworzona z Adamowego zebra po to, by nie stała ani nad nim, ani poniżej niego, ale obok. Soczewka była sprytnie ukryta w lewym sutku Ewy.

Zachary przypatrywał się wracającemu do sypialni Mulliganowi. Był niewysoki. Nie wyglądał na policjanta, a już w żadnym razie na „twardego gliniarza”. Miał okrągłą dziecięcą twarz, zatoki w kędzierzawych włosach. Nosił okulary w drucianej oprawce i mrugał często za szklami. Jego mopsia twarz nie wyrażała żadnych emocji, tak samo jak wysoki głos. Miał na sobie prochowiec w kolorze khaki.

- Przecież tu był - powiedział spokojnie. Stał koło łóżka z pozostałymi dwoma. Koło zwykłego, żelaznego podwójnego łóżka. Pościel była skłębiona. Szary koc zsunął się na podłogę. Mulligan pochylił się i położył dłoń na prześcieradle. — Jeszcze przed chwilą tu leżał.

Oczy Zacha zamglily się. Oblizwał wargi. „Przeszukają mieszkanie. Znajdą czerwoną torbę po łóżkiem. I będzie po wszystkim”. Nie uda mu się już niczego wytłumaczyć. Jeśli znajdą czerwoną torbę, nigdy ich nie przekona, że to nie był on.

- Okno było otwarte w tamtym pokoju? - spytał Burkę. Mulligan z roztargnieniem skinął głową.

- Ale Southerland by go widział, gdyby uciekł po drabince pożarowej. Musiał wyjść przez drzwi tuż przed naszym przybyciem.

„Błagam, Jezu, błagam” modlił się w myślach. Przysunął oko bliżej wizjera, wspinając na palce. Naprawdę miał ochotę się rozpłakać. Ze strachu i z bezsilnej złości. Jak mógł do tego dopuścić? Jak mógł dopuścić do czegoś takiego? Miał przecież taki doskonały plan. Doskonały plan dostarczenia policji dowodów nie do podważenia, wiarygodnych, przekonujących. Jak mógł to wszystko zmarnować? Na litość boską, jak w takiej chwili mógł z a s p a ć ? !

- Może wyszedł zjeść śniadanie - zastanawiał się Brown. A tymczasem na oczach Zacha, mimo jego modlitw, krępy biały mężczyzna klękał z wysiłkiem. Pochylał głowę, żeby zajrzeć pod łóżko.

„Znajdzie. Znajdzie czerwoną torbę”. Zach wykrzywił usta. Łza spłynęła mu po policzku. Zamrugnął, żeby widzieć wyraźniej. Otaczała go ciemność, całym jestestwem skupiał się na tym, na co patrzył.

- Może poszedł do pracy - spekulował Burkę. - A może to nawet wcale nie ten, którego szukamy?

„Właśnie! Właśnie! — rozpaczliwie powtarzał w myślach Zach. — Może to nawet wcale nie ja, na litość boską”.

Zobaczył, że Brown się prostuje. Usłyszał, jak stęka. Brown popatrzył na Mulligana. Mulligan, mrugając łagodnie, rozejrzał się po pokoju.

- Tam jest jakaś czerwona torba podróżna - powiedział Brown. - Trzeba będzie przetrzepać cały ten lokal.

Mulligan kiwnął głową, ale jakby nie słyszał.

- Mógł pójść coś przekąsić, rzeczywiście. Southerland poobserwuje jakiś czas i nakryje go, jak wróci. Burkę, pójdziesz do redakcji, popytasz tam. Tylko tak, żeby się nie wystraszył. I za pół godziny, trzy kwadranse wracamy z nakazem. Trzeba dbać o formalności, chłopaki. Żeby nie było żadnych „ale”. - Mówił to beznamiętnie, cicho, jakby do siebie.

- Słuchaj - powiedział Burkę, wielki Murzyn, drapiąc się w ucho. - Słuchaj, federalni się wściekną. Już się wściekają. Zawiadamiamy ich?

Detektyw Mulligan dalej kiwał głową, popatrując to tu, to tam, zanim się odezwał:

- Mam w dupie federalnych. - Powiedział to bardzo łagodnym tonem. Te słowa zupełnie nie pasowały do jego mrugających oczu i dziecinnej twarzy.

Raz jeszcze kiwnął głową i ruszył ku drzwiom. Jego koledzy spojrzeli po sobie i poszli za nim.

Zachary stał jak zaczarowany. Wychodzą! Po prostu wychodzą! „Super!” - pomyślał. Całe ciało miał obolałe z napięcia. Nie odrywał oka od otworu, patrzył, jak wychodzą. Detektyw Mulligan zatrzymał się przed drzwiami, z dłonią na klamce. Zach wpatrywał się w niego jak urzeczony. W tej ciemności czuł się teraz dobrze ukryty i zabezpieczony, przepełniony poczuciem tajemnej władzy. I miał z tego powodu lekkie wyrzuty sumienia. Przyglądając się tak Mulliganowi, pomyślał, że detektyw wygląda właściwie na grzecznego i miłego faceta. Uroczego gościa. Miałby ochotę wyjść i pogadać z nim. Wyjaśnić mu wszystko w cztery oczy, wytłumaczyć.

Ale nie zrobił tego. Ani drgnął. Stał nieruchomo, z wysuniętą głową, rozmazując sobie na piersi lepką krew z nasączonych ciuchów. Wstrzymał oddech, patrząc, jak Mulligan rozgląda się po raz ostatni. Potem detektyw otworzył drzwi. Zach obserwował, jak wychodzi, a pozostali dwaj podążają za nim.

Drzwi się zamknęły. Zach znów zaczął oddychać. Oderwał się od wizjera. Oparł plecami o ścianę. Zamknął oczy i wypuścił powietrze. Czuł, jak wnętrzności się rozluźniają, jak omywa go uczucie ulgi.

Ale trwało to tylko sekundę. Zaraz pomyślał: „Oni wrócą”. Powiedzieli, że za pół godziny. Zrobią rewizję i wtedy na pewno go znajdą. Potrząsnął głową, otworzył oczy i wzniósł je ku górze. „Panie Jezu - pomyślał. - Panie Jezu”. Zaspać! Doskonały plan, jedyne możliwe wyjście z sytuacji, a on zaspął! Spaprał wszystko. Teraz wpadł w sidła. Gliny go

szukają. Postawili człowieka na ulicy, nie może uciec. A jeśli go aresztują, jeśli znajdą czerwoną torbę... będzie po wszystkim. Za nic mu nie uwierzą, że nie jest winny.

„Chryste, Chryste, Chryste” - myślał. Przecież wcale nie miał się kłaść do łóżka. Teraz przypomniał sobie wszystko. Przyszedł do domu i zrzucił z siebie zakrwawione ciuchy. Miał właśnie je czyścić. Wcale nie zamierzał się kłaść, a jednak...

No, jasne, drag. Pamiętał i to. Wstrzyknął sobie działkę aquariususa. Mimo że przysiągł w duchu, że tego nie zrobi. Mimo że obiecał Olliemu, obiecał babci. Mimo że obiecał nawet Bogu.

„Przepraszam - mówił bezgłośnie do sufitu - przepraszam, przepraszam”. Nigdy dotąd nie złamał obietnicy danej Bogu. Ani razu. Paskudne uczucie. Jakby przełknął szczura, który teraz próbował się wygryźć na zewnątrz. Wielki Szczur Wyrzutów Sumienia. „Przepraszam, przepraszam”.

Jakiś czas stał bez ruchu, z mokrym ubraniem w ramionach, z głową odrzuconą do tyłu. Jeszcze przez chwilę wbijał błagalny wzrok w sufit. „Proszę, Jezu, proszę Cię”.

No, ale przecież to nie był taki straszliwy grzech. No, nie taki jak wycinanie lasów tropikalnych czy wylewanie ropy do oceanu, czy coś w tym rodzaju. W każdym razie starał się trzymać od towaru z daleka. I przez długi czas trzymał się z daleka. Przecież Bóg nie pozwoli, żeby go teraz aresztowano. Bóg nie pozwoli policji uwierzyć, że to Zach jest winny tego, co się stało w starym mieszkaniu w zaułku.

Nie. Odetchnął zdecydowanie i wyprostował się. Musi być jakieś wyjście. Bóg zamyka drzwi, ale otwiera okno. Musi jakoś podołać sytuacji. Nawet jeśli na ulicy stoi wywiadowca, nawet jeśli jest poszukiwany przez całą ekipę. Musi jakoś zrealizować pierwotny plan. Umyć się, oczyścić, pozbyć zakrwawionych ciuchów, zabrać czerwoną torbę... i jakoś się dostać do jedynej osoby, która go może uratować. Jedynej osoby na świecie, która ratowała go ze wszystkich opresji.

Uśmiechnął się lekko na tę myśl, trochę głupkowato, krzywo. W pewnym sensie sytuacja przecież się powtarza.



Tak samo było po śmierci mamy, kiedy tata ich zostawił i wyniósł się do Kalifornii. W tamtych czasach nie miał nikogo, kto by mu pomógł, kto by go pocieszył — nikogo oprócz starszego brata. I dziś jest tak samo.

Dzisiaj znowu musi jakoś się dostać do Olliego.

Nancy Kincaid

Eksplozja wstrząsnęła całym światem. Odrzut szarpnął dłonią Nancy. Spłoszone gołębie, łopocząc skrzydłami, poderwały się z alejek, trawników i gałęzi drzew. Uniosły się szarą masą, skupiły i pofrunęły w stronę kopuły Ratusza.

Nancy stała jak zaklęta. Usta miała otwarte. Parzyła ją rękojeść rewolweru. „Oj, niedobrze” - pomyślała. Huk zdawał się ciągnąć w nieskończoność.

Wlepiała przerażony wzrok w żebraka. On gapił się na nią, osłupiały. Obwisła skóra na szyi drżała. Trzęsły mu się strąki szarozółtych włosów. Spodziewała się, że w następnej sekundzie upadnie, że chwyci się za brzuch i osunie na kolana. Ale on po prostu stał. I po prostu się na nią gapił.

- Jezu, kobieto - wykrztusił wreszcie — chciałem tylko ćwierć dolca.

Nancy spuściła wzrok na broń: na przysadzistego, czarnego potwora, który czaił się w jej małej białej dłoni. Z lufą wycelowaną gdzieś w korony drzew. Popatrzyła w tamtym kierunku i zobaczyła wystraszoną wiewiórkę, skuloną na grubej gałęzi płatanu. Chybiła. Nie trafiła w żebraka z odległości metra. Powstrzymując mdłości, opuściła wzrok, żeby na niego popatrzeć...

I zobaczyła, że biegną ku niej policjanci.

Dwóch funkcjonariuszy, którzy dotąd stali i gawędzili sobie na schodach Ratusza, ruszyło do akcji. Przeskoczyli niski murek parku i pędzili teraz po trawie w jej kierunku.

Dłonie opuścili ku kaburom, ściskali rękojeści swoich pistoletów. Odruchowo odwróciła się na pięcie, szukając drogi ucieczki. Następna dwójka policjantów wbiegła do parku od ulicy. Mężczyzna i kobieta. Biegli alejkami z dwóch krańców wielkiego trawnika. Pomiedzy nimi stała fontanna, wysyłając w powietrze srebrny pióropusz.

Nancy przełknęła ślinę. Popatrzyła znów na policjantów biegnących od Ratusza, potem na tych z drugiej strony. Zaczęła przygotowywać w myślach tłumaczenie: „Nic się nie stało, nazywam się Nancy Kincaid, mimo że wszyscy mówią, że nią nie jestem, i mimo że nie mogę sobie przypomnieć, gdzie chodziłam do szkoły podstawowej, więc kiedy ci wszyscy żebracy zaczęli się na mnie gapić, wyciągnęłam ten rewolwer, który zjawiał się nie wiadomo skąd w mojej torebce, i...”

- Trzeba stąd wiać - powiedziała głośno.

- Wariatka - mruknął żebrak.

Odwróciła się do niego plecami. Wskoczyła na ławkę.

- Proszę pani! Proszę się zatrzymać!

- Stać! Nie ruszać się!

- Stać! Policja!

- Rzucić broń! Rzucić broń!

Wołania policjantów nikły w hałasie miasta. Ale słyszała je. Coraz bliżej.

- Niech się pani nie rusza!

- Policja! Stać!

Skoczyła. Przez barierkę odgradzającą trawnik. Jej pantofle ugrzęzły na moment w miękkiej ziemi, zachwiała się. Ale złapała równowagę, ruszyła biegiem przez zaśmieconą trawę, z torebką na ramieniu, z bronią w ręku. Stać!

- Nie ruszać się!

- Boże jedyny! - krzyknęła jakaś kobieta. - Uwaga! Ona ma broń!

Dookoła rozległy się inne krzyki:

- Jezu!

- Uwaga!

Nancy biegła. Z drzew leciały na nią liście, żółte liście na

tle intensywnie błękitnego nieba. Za drzewami Ratusz, monumentalny, w cieniu, po jej lewej stronie. Po prawej dudniła i szumiała rzeka samochodów. „To nie może być prawda - pomyślała. - To nie dzieje się naprawdę”. Biegła niezgrabnie, nagie kolana plątały się w połach trencza. „Gdyby to działo się rzeczywiście, to byłoby naprawdę niedobrze...” Chrapliwy oddech odbijał się echem w jej głowie. A ten strach - wprost nie do wiary, jaki strach! Nie do wiary, że jest w stanie się ruszać mimo tego potwornego strachu wewnątrz. Jakby w brzuchu otworzyła się czarna przestrzeń, która chce ją wessać. Beret spadł jej z głowy i został na ziemi. - Proszę pani! Zatrzymać się! Stać, bo strzelam! Policja! Przed nią zamajaczyła kolejna barierka. Chwyciła poręcz, przesadziła ją jednym susem. Znow znalazła się na alejce. Minęła już Ratusz. Skręciła w lewo, schowa się na parkingu, schowa się za budynkiem. Stała. Obejrzała się przez ramię.

Dobry Boże, są! Cztery mundury, cztery srebrne odznaki. Są bliżej. Dwóch na trawniku, właśnie przełazą przez barierkę, sadzą wielkimi krokami, miażdżąc obcasami ciężkich czarnych butów tekturowe kubki po napojach. Jeden w alejce, drugi na parkingu; pędzą jak lokomotywy. Przechodnie uchylają się, kucają przerażeni, oglądają się za nią. Pokazują palcami. Krzyczą.

„Mnie gonią? - dziwiła się w głębi ducha, oszalała od strachu. - Policja mnie goni? Mnie, rezolutne maleństwo?” Tak ją nazywały sąsiadki, kiedy była mała. Teraz się jej przypomniało. A jak ją tata łapał w ramiona. Unosił ją w powietrze, ona kopała nóżkami. „Jak się ma moja ślicznotka?” Wlepiała wzrok w nadbiegających funkcjonariuszy. „Zastrzela kruszynkę tatusia?”

Bez wątpienia. Te cztery beznamietne gęby z przerażonymi oczami. Jedna ręka wyciągnięta dla równowagi, druga na kaburze. Pracują łokciami. Już wywijają rewolwerem wielkości bazooki. Celują w nią.

A kiedy stała, kiedy się obejrzała, jeden z gliniarzy zatrzymał się jak wryty. Opuścił swoją trzydziestkęósemkę prosto na nią, dzierząc broń oburącz. - Rzuć to, mała! Rzuć spluwę!

Uskoczyła za drzewo. Ruszyła z kopyta, kierując się ku narożnikowi Ratusza. Przy każdym kroku spodziewała się usłyszeć strzał. Poczucie uderzenie pocisku w skroń. Zwalić się na ziemię. „To nie może być prawda. To nie dzieje się naprawdę”. Byle do parkingu, byle za budynek. Przyciskała torebkę łokciem, wymachiwała bronią, spazmatycznie łąpała powietrze.

Była zbyt zmęczona, żeby przeskoczyć przez barierkę. Ruszyła skrótami pomiędzy trawnikami. Pół biegła, pół kuśtykała. Jej pantofle zgrzytały na asfalcie. Włosy rozsypały się, uwolnione od beretu.

Dobiegła do wiązków otaczających park. Przewróciła się na szeroki chodnik. Poderwała z jękiem. Znów znalazła się w mieście. Szeroka jezdnia. Dalekie wieże mostu Brooklyń-skiego. Nad nią zwiesza się wielki gmach urzędów miejskich. Przechodnie mijają ją obojętnie. Odwróciła się. I tam, po swojej lewej stronie, przed siedzibą sądu z mansardowym dachem i kolumnadą, zobaczyła... otwór w ziemi. Prowadzące w dół schody. Słupek z niepozornym znakiem.

„Stacja metra!”

Policjanci wybiegali zza Ratusza. Obejrzała się i zobaczyła, że są niedaleko. Cztery mundury, ramię w ramię. Cztery pary oczu. Rozglądają się gorączkowo. Zauważyli.

- W porządku, proszę pani...

Ona już ruszyła chwiejnym krokiem. Wyciągała rękę poręczy przy schodach, jak wędrowiec na pustyni wyciąga rękę po wodę. Gmach sądu chwiały się w lewo i w prawo, kiedy się do niego zbliżała. A wejście do tunelu robiło się coraz większe.

Teraz usłyszała za sobą tupot biegnących. Tup-tup-tup. Coraz głośniejszy. Bliżej.

„Ach, odwróć się, Nancy, na miłość boską — pomyślała. — Odwróć się i poddaj. Wytłumacz: «Nazywam się Nancy Kincaid...»”

— Piej, rzucić broń!

Zmusiła się do większego wysiłku. Rozgarnęła ludzi. Chwyliła poręcz. Rzuciła się w dół po schodach. Szybciej! Musi biec szybciej. Ogarnął ją mrok tunelu.

„Tam na dole będą gliniarze”.

Upchnęła rewolwer w torebce. Nie przerywając szaleńczego biegu, wyciągnęła portfel. Otworzyła go, w samą porę znalazła żeton. Rzuciła się do obrotowych bramek. Było tu ciemniej, ciszej, przytulniej. Jarzeniówki świeciły z góry. Jaskrawożółte tablice informacyjne, błyszczące srebrne bramki. Omywane światłem twarze ludzi. Jaszczurczy wzrok kobiety w budce kasowej. Podróżni czekają w kolejce po żetony. Przechodzą za bramki, oglądają się.

Nancy znalazła pustą bramkę, wetknęła żeton w otwór, popchnęła przegrodę. Policjanci byli już na schodach, ich kroki rozlegały się echem. „Odwróć się. Zatrzymaj. Wyjaśnij. Do cholery”. Chciała tylko, żeby ustąpił ten czarny strach. Ale biegła. Oczy zachodziły mgłą, wypełnione łzami. Nie mogła przestać biec. „Co się ze mną dzieje?”

Biegła długim korytarzem pod niskim stropem z zamontowanymi świetlówkami. Wymijała spieszących z przeciwka. Wymijała twarze, które się za nią odwracały. Z tyłu, za jej plecami płynęła fala krzyków:

- Stać!
- Uwaga!
- Na ziemię!
- Rzucić broń!

Przed sobą widziała peron, szyny. Ludzi czekających na pociąg. Podnosili głowy, słysząc krzyki. Łysy biznesmen opuścił swoją gazetę, zagapił się na uciekinierkę. Barczysty Murzyn w dzinsach rozstawił ręce, jakby chciał ją zatrzymać.

Biegła prosto na niego.

- Uwaga! - krzyknęła. - Mam broń!

Murzyn zawahał się, ale ona już go minęła. Skreśliła na peron. Poza zasięg wzroku glin. Jej pantofle stąpały po żółtej linii ostrzegawczej namalowanej wzdłuż krawędzi peronu. Poniżej były szyny. Puste szyny.

„Nie ma pociągu”.

Spazmatycznie szlochała z wysiłku. Potykała się rozpaczliwie.

„Nie ma pociągu”.

Żaden pociąg nie nadjeżdżał. Widziała szyny. I nie miała

już gdzie bieć. Koniec betonowego peronu był tuż-tuż. Mimo to biegła dalej. Zataczała się, to ku torom, to ku brudnym żółtym płytkom ściany. Przed nią odwracały się przestraszone twarze, zbielewały w świetle nisko zawieszonych jarzeniówek. Za nią - nowe krzyki. Policjanci wbiegli na peron. Gonia ją. Ich głosy słyszy tuż za plecami.

- Stój!

- Jest pani aresztowana!

- Ręce do góry, mała, bo będę strzelać!

Była w potrzasku. Peron kończył się parę kroków dalej. Schodziła z niego w dół, na szyny, metalowa drabinka. Tory zakręcały i ginęły w niezbadanej ciemności.

Młóćąc szaleńczo rękami, biegła do krawędzi. Do białej tabliczki zawieszonej krzywo na szczytowej ścianie. „Wstęp na tory surowo wzbroniony”. Czerwone litery zlewały się jej w oczach, zaczęła płakać, łzy pociekły po policzkach.

„Odwróć się. I powiedz im zwyczajnie: nie strzelajcie. Ja się po prostu boję. Jestem przerażoną małą ślicznotką”.

To koniec. Zatrzymała się, dyszała ciężko i boleśnie. Odwróciła się, zrobiła kilka chwiejnych kroków do tyłu, ku skrajowi. Zwiesiła ramiona, ze świstem wciągając i wypuszczając powietrze. Mrużyła załzawione oczy. Widziała tylko mgłę. Zębate błyski lamp. Twarze bez rysów. I czworo policjantów jak granatowe skrzaty. Wielkie zamazane pokraki, podrygujące rytmicznie, coraz bliższe. Poruszali się teraz ostrożnie, teraz, kiedy już ją mieli w ślepych zaułku. Nie biegli, szli, szybko, swobodne ręce uniesione, lufy wycelowane w jej kierunku.

„Rany boskie, oni mnie zamkną do czubków”. Tak, pomyślała, że zwariowała. Wsadzą ją do szpitala, do pokoju bez klamek, w bieli. Tylko ona i ściany. I ten głos w głowie...

„Zwierzęca Godzina. Wtedy ma umrzeć. Musisz tam być”.

Zawiadomiam matkę. Matka przyjedzie ją odwiedzić. Będzie siedziała przy łóżku i wołała ją po imieniu, i płakała. A ona będzie słyszała tylko...

„O ósmej”.

Głosy. Będzie sama z głosami w obitym poduszkami pokoju.

„Musisz tam być”.

Policjanci zbliżyli się już na odległość zaledwie kilku kroków. Dwoje szło przodem, mężczyzna i kobieta. Celowali w nią z pistoletów. Puste ręce mieli uniesione w uspokajającym geście.

- Spokojnie, proszę pani, bez nerwów - powtarzała policjantka.

Nancy patrzyła na nich ze znużeniem, dysząc ciężko i płacząc. Zamkną ją i...

„Musisz tam być! Zwierzęca Godzina! Wtedy on ma umrzeć!”

- Muszę - wyszeptała. - Muszę tam być. Odwróciła się zniemacka. Za nią wybuchły krzyki.

- Hej!

- Czeka!

- Stać!

Chwyciła poręcz drabinki. Bez namysłu zeskoczyła z krawędzi peronu. W dół, w mrok. Na szyny.

Potknęła się. Wyprostowała. Ruszyła biegiem.

Oliver Perkins

Zza rogu Szóstej Alei wyszła blondynka i skrzyła, idąc mu naprzeciw. Właśnie pożegnał się z babcią i zmierzał do starego domu w zaułku. Blondynka była śliczna: uczennica z książkami pod pachą. Ten widok wyrwał Perkinsa z zamyślenia.

Patrzył na nią, ona zbliżała się do niego, on zbliżał się do niej. Była wysoka, dorodna. W czerwonej koszulce z odsłoniętym pępkiem i w dżinsach wyglądała na sportsmenkę. Skórę miała białą, tylko policzki były zaróżowione od słońca.

Zerknęła na Perkinsa, kiedy się mijali. Obejrzał się, żeby zobaczyć, jak się porusza jej tyłeczek.

Nie doszedł do rogu, a już sobie wyobrażał, jak by mogła wyglądać ich miłość. Nie chodziło tylko o seks, widział już ich wspólne życie - życie, jakie można wieść z taką dziewczyną. Wyobrażał sobie, że są razem w drewnianej chatce w górach Kolorado. Ona leży na wznak na posłaniu z niedźwiedziego futra. Naga, leniwie rozciągnięta: osamotniona na chwilę naturystka. On właśnie upuścił ładunek świeżo narąbanego drewna koło kominka i pospiesznie ściąga z siebie dżinsy. Rzuca się na nią, nie zdjęwszy nawet swetra. Na szybach od środka wymalowane mrozem kwiaty. Na zewnątrz zamglone góry w śniegu.

Skręcił już w Szóstą, z prawej zaraz będzie miał bibliotekę. Ręce w kieszeniach, zgarbione ramiona. Broda zwieszona na piersi, proste czarne włosy dyndają nad czołem. Oderwał wzrok od czubków swoich tenisówek, myśląc o namiętnych jękach blondynki. Przed nim tonęły w blasku niskie budynki z kamienia i szkła. Zmrużył oczy od słońca. Na kacu zawsze miał światłowstręt.

Oblizął wargi, wlokąc się ulicą. Znów w ustach poczuł smak samotności, jej ciężar - w żołądku.

*...samotny i chory od dawnej namiętności.*

*O tak, samotny szedłem i ze spuszczoną głową.*

„Jasna cholera” - pomyślał i westchnął ciężko. Julia też była blondynką. I też dużą i wysportowaną. A jak mu się oddawała! Odrzucała głowę, szła na całość, krzyczała z głębi zmysłów. Pomyślał o tym, w jaki sposób ją ostatecznie utracił: przez tego chłopaka znad rzeki, koło ich domu. Gówniarz miał nie więcej niż osiemnaście, no, dziewiętnaście lat. Delikatnie zbudowany, o jasnej karnacji. Z tymi tęsknymi, sennymi czarnymi oczami. „Tak, zrobiłem z siebie durnia”. Chłopak siedział na kamieniu koło wodospadu, pod którym zawsze kapał się Perkins. Siedział nagi i ociekał wodą. Czytał *Żdźbła trawy*, książka leżała otwarta na kamieniu. Kiedy Julia wróciła ścieżką wiodącą z lasu, ujrzała ich



splecionych ciasno w wodzie, obracających się w nurcie. Perkins obejmował chłopaka ramieniem, ten odrzucił głowę na jego bark.

— Myślałam, że ratujesz topielca! — krzyczała potem na niego Julia.

— Julio, on siedział nagi na kamieniu - tłumaczył się Perkins — i czytał Whitmana, na litość boską! Co miałem robić?!

Ten argument jakoś zupełnie do niej nie przemówił. Stała i wbijała w niego wzrok, ręce skrzyżowała na piersi. Łzy płynęły równymi strumieniami po jej opalonych policzkach. Nigdy przedtem nie widział, żeby płakała, i widok ten ciał go jak brzytwą, spalał na pył.

— Uciekasz się do rozpaczliwych chwytów tylko po to, żeby mnie nie kochać, OHverze - powiedziała w końcu. — Nie zniosę już tego dłużej, rozumiesz? Naprawdę nie jestem w stanie dłużej tego znieść.

W tej chwili, właśnie w chwili, kiedy sobie to przypominał, przechodził koło Biblioteki Jeffersona. Budynek przywodził na myśl zamek z bajki. Ceglane mury zwieńczone blankami, wyżej wieże, na nich spiczaste hełmy i iglice kryte blachą. Barbakany, strzelnice, gotyckie rozety, ostrołuki i witraże. Nad tym wszystkim wieża zegarowa z tarczami na cztery strony świata. To wszystko stanowiło jeden wielki wyrzut: „Popatrz, nieszczęsny palancie, jaki dostałeś warsztat pracy, i oddaj się rozpaczy!”

To tutaj miał pisać wiersze, przynajmniej tego po nim oczekiwano. Była to część stypendium twórczego, które otrzymał za *Zwierzęcą Godzinę*. Oprócz siedmiu tysięcy dolarów państwo użyczyło mu małego gabinetu na tyłach biblioteki. Miał nawet własny klucz od głównego wejścia, mógł zatem chodzić tam także po godzinach otwarcia. I chodził, codziennie; przesiadywał po nocach, jeśli akurat nie tkwił przy barze w klubie. Siadał samotnie przy małym biurku wciśniętym w kąt przy metalowym regale. Całego kramu parę metrów kwadratowych, przechadzać się nie można. Garbił się nad swoim notesem, a samotność sadowiła się mu na ramieniu jak kruk. Pisał wersy kiepskiej poezji i wyrzucał je. Dzień po dniu. Noc po nocy.

Mijając budynek, odwrócił od niego oczy. Miał zamiar znów iść tam dziś wieczorem, ale nie po to, żeby pisać, tylko żeby mieć dobry widok na halloweenową paradę. Orszak będzie przechodził tuż pod oknami. Transwestyci, potwory i orkiestry dęte. Chodniki będą zapchane gapiami. Łoskot muzyki wzbije się pod niebo...

To znów naprowadziło jego myśli na Zacha. Zach będzie brał udział w paradzie. Ostatni raz, kiedy Oliver go widział, strasznie się na to szykował. To było w piątek. Ollie poszedł wtedy do Zacha, żeby mu oddać egzemplarz Shillebeckxxa, traktatu filozoficznego o Jezusie Chrystusie, który brat w niego wmusił. Zaniósł ośmiusetstronicową cegłę po wąskich schodach kamienicy Zacha na samą górę. Zastukał pięścią w obłazące z farby drzwi. Otworzyły się same. Cały Zach. Nie zamyka na klucz tej swojej meliny półgłówek. Siedzieli w środku oboje, naprzeciwko siebie, na łóżku pod oknem. Tiffany w nogach. Twarz Wenus Botticellego, ale chuda jak szczapa. Czarny T-shirt, czarne dżinsy. Długie czarne włosy z platynowymi pasmami. Plecami opierała się o balustradę łóżka, nogi wyciągnięte płasko. Uśmiechała się swoimi pełnymi wargami i bezmyślnie tasowała talię kart tarota. A po drugiej stronie łóżka - jej lustrzane odbicie: czarny T-shirt, czarne dżinsy, no i sama skóra i kości. To przez tę idiotyczną makrojąkóstam wegetariańską dietę, którą stosują oboje. Tyle że twarz była twarzą Śmierci. To był Zach w kauczukowej masce przedstawiającej trupa czaszkę.

— Rany, Zach — jęknął Oliver - wyglądasz jak kostucha.

Rozradowany, chłopięcy śmiech zabrzmiał głucho pod maską. Zach aż kipiał wesołością.

Ollie, biorę udział w paradzie! Nasz „Downtown” wystawia ekipę, ja dostałem rolę Króla Śmierci. Czy to nie wspaniałe?

Oliver nie mógł się nie uśmiechnąć. Przez otwory w masce widać było, że czarne oczy Zacha pałają podnieceniem. „Czy to nie wspaniałe?” Tak samo jak wtedy, kiedy miał siedem lat. Kiwając głową, Oliver rzucił Shillebeckxxa na łóżko pomiędzy ich dwoje. Tomisko upadło ciężko.

- Masz z powrotem swoją książkę, mały. Nadal Boga nie ma.

Zach znów wybuchnął dziecięcym śmiechem.

- Ach, Ollie. - Śmierć odrzuciła do tyłu głowę.

Tiffany, mimo że zmysłowy uśmiech pozostał na jej wargach, wzniosła z rezygnacją oczy do sufitu. Uruchomiła ten swój słodki kontrast.

- Ach, Ollie. Miej trochę bardziej otwarty umysł, to nie będziesz z tą swoją poezją tak zablokowany w tych przebrzmiałych paternalistycznych nastrojach.

Oliver spojrzał na nią przeciągle. Przebrzmiałe paternalistyczne nastroje. Boże, nie lubi tej baby. Wdzięcząca się panienka z prowincji zamieniona w newage'ową feministkę. Nie znosił ich: wyznawczyń New Age, feministek. Panienek. Nie przepadał też za prowincją. A może chodziło tylko o Tiffany.

Ugryzł się jednak w język i tylko uśmiechnął głupekowato. Zach nienawidził, kiedy się kłócili z Tiffany. Chciał, żeby się polubili. Zach chciałby, żeby wszyscy się lubili pod troskliwym okiem miłującego Boga. Niestety, żyć mu przyszło na tej ziemi...

Z tymi myślami Perkins oddalał się od biblioteki. Szóstą Aleją do rogu Ósmej Zachodniej. Tutaj skręcił. Szeroka ulica, po obu stronach sklepy obuwnicze, odzieżowe, papiernicze. Mnóstwo plakatów w heavymetalowym stylu z wizerunkami Śmierci: płonąca Śmierć na motocyklu, wyszczerzona Śmierć grająca na gitarze elektrycznej... Było wcześniej, dopiero pięć po wpół do jedenastej, i większości sklepów jeszcze nie otwarto. Na chodnikach pustawo. Grupka dzieci poprzebieranych za diabły, żółwie, strzygi i baletnice spieszyła pod wodzą nauczycielki w stronę Szóstej Alei. Perkins minął ich, głowa zwieszona, ramiona zgarbione, wargi poruszają się gniewnie.

Tiffany. Nie powinna była dzwonić do babci. Buzia jak z obrazka i ptasi mózdzek. Nie powinna była nic mówić o Zachu. Co za idiotyzm! Przecież ta staruszka jest chora, na miłość boską! Nie powinna się denerwować. To jej szkodzi, szkodzi na serce. A wszystko przez to, że jego

telefon był przez chwilę wyłączony. Że chciał skraść kilka chwil intymności z Mindy czy Milly, czy jak jej tam było, do cholery, na imię. To jeszcze nie powód, żeby wpadać w popłoch i straszyć babcię. Może Zach jest w pracy. Może poszedł na spacer. Może po prostu miał jej dosyć. To jeszcze nie powód, żeby mordować staruszkę.

Perkins przeszedł na drugą stronę. Skręcił w zaułek Mac-Dougala. Jego myśli wróciły do punktu wyjścia. Myślał znów o babci, o tym, jaka jest słaba i schorowana. Pomyślał, że umrze, a potem przypomniał sobie, jak umarła matka, jak to było, kiedy ją znalazł. O tym właśnie myślał, wychodząc od babci. O tym myślał, kiedy zauważył blondynkę. Jak to było, kiedy znalazł swoją matkę. Miał wtedy czternaście lat. Pamiętał, wrócił po grze w baseball. Mieszkali wtedy na Long Island. Wpadł do domu z kijem na ramieniu, przebiegł kuchnię, w drzwiach salonu się zatrzymał: zobaczył, że matka leży na podłodze. Na boku, między kanapą a stolikiem do kawy. Krótkie włosy rozsypane na policzku. Szczupła ręka zarzucona na głowę. Spodeczek do góry dnem na dywanie, przewrócona filiżanka, mała plama herbaty na białym futrzaku.

Przypomniał sobie, jak to mu nie dawało spokoju: ta plamka z herbaty. Matka była taką skrupulatną gospodynią. Cały czas krzątała się nerwowo. Przemykała z pokoju do pokoju jak domowy duszek, odkurzając, poprawiając wszystko nieustannie swoimi niespokojnymi rękami. Oliver podbiegł do niej. Kiedy zorientował się, że nie żyje, doznał chyba szoku. Po prostu wstał i poszedł do kuchni. Ze zlewozmywaka wziął gąbkę. Ukłękł przy matce i wytarł herbacianą plamę z dywanu. Czyścił ją dokładnie, schylony, miękkie włosy matki łaskotały go w przedramię. Potem równie dokładnie wytarł stół. Filiżankę i spodeczek zaniósł do zlewu, wypłukał je i wstawił do zmywarki. Działał jak w transie. Wreszcie wrócił do salonu i zobaczył w drzwiach młodszego brata. Kościsty dziesięciolatek wpatrywał się w matkę swoimi wielkimi czarnymi oczami. Po chwili podniósł je na Olliego.

- Nie martw się, Zach - powiedział wtedy Oliver głosem bez intonacji.  
- Idź na górę, stary. Nie przejmuj się.

Zach odwrócił się. Poszedł na górę do swojego pokoju. Oliver ukląkł przy matce. Była drobną kobietą, ale on miał dopiero czternaście lat, wiedział, że nie starczy mu sił, żeby w sposób nie uwłaczający jej godności unieść ją na kanapę. Wobec tego ułożył matkę tylko na wznak na dywanie, wyrównał ręce po bokach, odgarnął włosy z twarzy i czoła. Jej mała, mysia twarz zwracała się teraz do niego, oczy były zamknięte, usta rozchylone.

- Nie martw się, mamó - powiedział jej cicho. Pogładził po policzku grzbietem palców. - Już się nie musisz martwić.

A potem wrócił do kuchni i zadzwonił do ojca i po pogotowie...

O tym właśnie myślał, wychodząc od babci, zanim zobaczył blondynkę na rogu Szóstej Alei. I o tym myślał teraz, dochodząc do zaułku MacDougala.

Zatrzymał się tutaj na chwilę przy czarnej żelaznej bramie, która przegradzała drogę. Za jej prętami widział małą uliczkę. To była zaniedbana, staroświecka uliczka, prywatny zaułek, ślepo zakończony wysokim murem. Małe domki stały naprzeciwko siebie, między płytami chodnika rosły zioła, czerwone klony i żółtawe jesiony rzucały cienie. Przez listowie przesiewało się słońce, kładąc jasne plamy na ściany domków.

Perkins pchnął czarną bramę i wszedł. Stary domek babci mieścił się po lewej. Mały, piętrowy. Był pobielany, ale farba odchodziła płatami, ukazując czerwoną cegłę. Drzwi i okiennice pomalowane na czarno. Czerwieniejące dzikie wino wspinało się z jednej strony na płaski dach.

Babcia mieszkała tutaj ze swoim mężem, kiedy jeszcze żył. Potem z dwoma chłopcami po śmierci córki, kiedy ich tata oświadczył, że nie jest w stanie się nimi zajmować. Na Zachodnią Dwunastą wyprowadziła się dopiero, kiedy Zach poszedł do college'u. Stwierdziła, że nie radzi sobie ze schodami, że chce mieć nowoczesne mieszkanie w bloku. Ale nie sprzedała starego domu w zaułku. Zach i Oliver

nocowali tutaj, kiedy przyjeżdżali do Nowego Jorku. Po pierwszym załamaniu nerwowym Zacha pozwoliła mu tutaj zamieszkać. Teraz jednak próbowała sprzedać dom. Była przekonana, że Zachowi jest już lepiej. No i pewnie potrzebowała pieniędzy, Zach miał spore wydatki, jego terapia kosztowała majątek, i tak dalej. „Kiepsko, że rynek nieruchomości jest tak zatkany” - pomyślał Perkins.

Dotarł do drzwi. Zapukał pięścią. Szybka w drzwiach zadzwoniła. Cisza, która zapadła potem, świadczyła, że dom jest pusty. Jeszcze raz przeklął Tiffany. Co jej strzeliło do głowy, żeby twierdzić, że Zach jest tutaj? Przecież musiała wiedzieć, że wystraszy tym babcię do cna. Zaczął grzebać w kieszeni, szukając klucza.

„Durna baba” - pomyślał. Wyciągnął klucz i przekręcił go w zamku. Pchnął drzwi. Wszedł do środka.

- Chryste!

Najpierw zwałił się na niego smród. Okiennice były zamknięte i w środku panował mrok. Śmierdziało potwornie; powietrze zdawało się lepkie. Zaduch. Wilgotna zgnilizna, odór zdychającego psa. Perkinsa aż zatkało. Zrobił jeszcze jeden krok w głąb, odsłaniając drzwi. Zza jego pleców wpadło światło.

- Chryste, o Chryste!

Zobaczył zarysy wnętrza, obszerne pomieszczenie parteru. Zobaczył drewniane słupy wznoszące się do belek stropowych. Ich zarys wyróżnił się z ciemności. Potem zobaczył resztę.

- O rany, Jezu!

Koniec świata. Tapicerowane skórą krzesła poprzewracane. Tak samo kanapa. Marmurowy blat stolika do kawy rozbity w kawałki na meksykańskim dywanie.

Klnąc, Perkins skręcił na lewo, wymacał na ścianie wyłącznik, pstryknął. Rozległ się głośny trzask, ze stojącej obok lampy posypały się białe iskry. Zapaliła się tylko jedna jedyna żarówka świecowa w żyrandolu. Pozostałe były potłuczone, z oprawek sterczały postrzępione szyjki. Dywan pokrywały kawałki szkła rozsypane wśród okruchów mar-

mur. W samym dywanie wypalono okrągłe czarne dziury. Jeden róg oderwano, zostały strzępy.

„Zach!” Po chwilowym oszołomieniu myślał tylko o bracie. „Jezu!”

- Zach?! — próbował zawołać, ale głos uwiązł mu w gardle. Odchrząknął. — Zach! - Wchodził coraz głębiej. Minał wnękę kuchenną. Szkło chrzęściło pod podszewkami tenisówek. Hej, Zach! — Tym razem udało mu się podnieść głos. — Jesteś tu? Przestań się wygłupiać! — Zatrzymał się, nasłuchując. Słyszał bicie własnego serca i nic poza tym. Stary domek był cichy. Oczy Perkinsa wędrowały po zrujnowanym wnętrzu. Wytluczone okna. Zaśmiecona podłoga, schody, a na schodach...

- O nie...

Wstrzymał oddech. Przesuwał spojrzenie ze stopnia na stopień, ku górze, a żołądek kurczył mu się coraz bardziej. Dłonie zacisnęły się w pięści.

- Zach?

Tym razem wydobył z siebie tylko szept. Z rozdziawionymi ustami gapił się na schody. Na wytarty chodnik. Na widniejące na nim plamy.

Krew.

Nancy Kincaid

Była zbyt wyczerpana, żeby myśleć. Zagłębiała się coraz bardziej w tunel metra. Coraz dalej w ciemność. Ściany odsunęły się, tunel poszerzył. Widziała przed sobą cztery linie torów rozbiegające się na boki. Błyszcząca stal szyn połyskiwała w mdłym świetle zakurzonych żarówek. Betonowe słupy wznosiły się w cieniach jak olbrzymy, nieruchome, wyczekujące.

Potknęła się. Wywijając rękami, złapała równowagę. Nie

mogła uwierzyć, że robi to, co robi. Cały czas wiedziała, że musi z tym skończyć, przestać, zatrzymać się, odwrócić, poddać. Szyny, podkłady, białe plamy śmieci na żwirze torowiska wszystko zamazywało się, mieszało. Zdawało się nierzeczywiste. Dalekie, zamglone. Nawet nawoływania funkcjonariuszy na peronie z tyłu słyszała jakby przez sen. Nie strzelali, kule nie świstały wokół niej. Głosy były coraz dalsze, coraz słabsze i słabsze.

Przed nią tunel zwężał się znowu. Dwie linie torów odbiły w prawo. Mury znów się zamknęły. Betonowe ściany. Pokryte szczelnie graffiti: zawijasy, sprośności, malunki. Kłębowisko kolorowych farb w sprayu. Kuśtykając, patrzyła na to przez łyzy. Litery skręcały się, zawijały. Dyszała chrapliwie, z rozdziawionymi ustami. Zobaczyła jakiś odbłask na ścianie. Jakiś powiew ochłodził jej kark. Zwiął włosy z czoła.

„Pociąg...”

Tory zaczęły drzeć pod jej stopami. Rozległ się łoskot. Odbłask pojaśniał. Pełznął po ścianach. Zawijasy liter tańczyły gorączkowo.

„Pociąg, jedzie pociąg...”

Jeszcze przez sekundę nie przyjmowała tego do wiadomości. Jedzie. Jedzie z tyłu, za nią. Łomocze po szynach. Wszystko błyszczący i trzęsie się.

„Boże!!!”

Obróciła się na pięcie. Był tuż nad nią. Jeden wielki grzmot. Ściana wichru. Oślepiły ją dwie latarnie jak wściekłe oczy. Przeróżliwym wrzaskiem rozległ się sygnał. Odpowiedziała własnym przeraźliwym wrzaskiem. Rzuciła się w bok. Upadła. Na tory. Barkiem uderzyła w szynę. Przetoczyła się na brzuch krzycząc, mocząc się, zakrywając głowę rękami.

- Nie! Nie! Nieee!

Zwalił się na nią. Jakby niebo zeszło lawiną. Nie kończący się ogłuszający huk. Szyny pod nią podrygiwały. Na udach czuła gorący strumień własnego moczu. Podmuch niemal skręcił jej kark.

„Ekspres!”

Czuła go. Pędzi. Przejeżdża obok, biała błyskawica. Błękit-



ne iskry przeszywają ciemność. Skwierczenie, ukłucie gorąca na grzbiecie dłoni. Popatrzyła w górę.

Przejechał. To był ekspres. Ekspres na torze dla pospiesznych, na torze obok, nie na tym, na którym leżała. Odwróciła się w samą porę, żeby zobaczyć jeszcze, jak czerwone światła pozycyjne, podrygując, nikną w tunelu. Jak żółty prostokąt tylnego okna robi się coraz mniejszy i znika z pola widzenia. Drżenie gruntu słabło pod nią. Hałas się oddalał. Leżała, chwytając spazmatycznie powietrze, rozradowana tym, że żyje. Ciemność otaczała ją ciszą.

„Rany, ale mi się udało!”

Teraz usłyszała kroki. Twarde buty na żwirze. Policja szuka jej w tunelu. Idą w jej stronę. Słyszała ich głosy:

- Jezus Maria!

— Halo! Jest pani tam?

— Mieli zatrzymać ruch pociągów. A to dranie!

- Halo!

Jeszcze moment i zobaczyła ich latarki. Snopy światła omiatające tunel w różne strony, krzyżujące się. Zobaczyła czarne sylwetki na tle blasku latarek, posuwające się wśród słupów.

Spróbowała wstać. Ciało miała bezwładne. Twarz jej zdrętwiała jak po znieczuleniu prokainą. Poruszyła nogami, poczuła wilgoć.

„O, cholera jasna!”

No nie! Złała się! Na samą myśl, że ci gliniarze, mężczyźni, zobaczą... Och, miała ochotę skurczyć się i zniknąć. „Nancy, jak mogłaś, wstydz się...”

Podźwignęła się jakoś. Stała chwiejnie. Poprawiła pasek torebki na ramieniu. Roztarła grzbiet dłoni, sparzyła ją tam iskra; została czerwona krecha.

Policjanci zbliżali się. Latarki wychwytywały kawałki rdzawego żwiru torowiska, białych betonowych filarów. Rozejrzała się dookoła. Była słaba i kręciło się jej w głowie, ale umysł miała jasny.

Zobaczyła, że znalazła się na nie używanej stacji. Stacji widmie. Jest peron nad torami. Porzucone zwoje drutu,

worki cementu. Pokryte sprayowymi malunkami ściany. Musiały tu zaglądać dzieciaki.

- Widzisz ją?! - zawołał jeden policjant do drugiego. Jego głos odbił się dalekim echem.

- Nie. Czekał. Coś słyszę.

Pod peronem, nisko, Nancy zauważyła jakieś wnęki. Niskie, łukowato sklepione, nie oświetlone betonowe nisze. „Dla robotników torowych - pomyślała - żeby mieli się gdzie schować, jak jedzie pociąg”.

Jej ręka powędrowała do skórzanej torebki zwisającej z ramienia.

- Halo! Niech pani wyjdzie! - zawołał jeden z policjantów znużonym głosem. - Nie chcemy pani zrobić nic złego.

- Tylko zabić — mruknął drugi.

- Zamknij się!

- To żart. Żartowałem, proszę pani! Niech pani wyjdzie! Jedna z postaci oddaliła się od pozostałych. Szła w stronę

stacji widma, w jej stronę. Snop światła latarki omiół tory. Niedaleko.

„Gdybym mogła gdzieś schować broń...” - pomyślała.

Dotknęła torebki. Wpatrywała się w niszę w ścianie.

„Gdybym ukryła torebkę i rewolwer...”

Niczego by nie mogli jej udowodnić, pomyślała mgliście. Musieliby ją puścić. Mogłaby iść do domu. Zgłosiłaby się do doktora Blooma na badanie. Mogłaby...

„...wrócić po broń później”.

Tak. Mogłaby wrócić po broń wtedy, kiedy będzie jej potrzebowała. Kiedy przyjdzie pora. „Przed Zwierzęcą Godziną”.

Tak. Ruszyła się. Z trudem przyznawała się sama przed sobą, o czym myśli. Wiedziała tylko, że musi schować rewolwer. I, dziwna rzecz, podniecało ją to. Powodowało dreszczyk emocji. Może strachu... a może oczekiwania. Nie była pewna. Nie chciała się nad tym zastanawiać. Chciała schować torebkę, schować broń.

Przesunęła się w stronę wnęki. Sylwetka policjanta zbliżyła się. Jego kroki chrobotąły głośno po żwirze torowiska.

Snop światła z latarki prawie dotknął jej stóp. Cofnęła się szybko. Przeszła szybką. Schowała pod peronem.

- Halo! - Policjant był dosłownie o metr. Musiał ją usłyszeć. — Czy to pani?

Uklękła koło niszy. Buchał stamtąd straszliwy smród. Zawiesisty, kwaśny, organiczny. Żołądek od tego podchodził do gardła. Coś tam było, coś, co wydawało z siebie ten potworny odór. Nie widziała co, jakaś sterta zgnilizny, nie wiadomo.

Przełknęła ślinę. Ściągnęła torebkę z ramienia.

- Halo! Proszę pani! — Był tuż-tuż. Jeszcze krok i złapie ją w światło latarki. Przyszpili jak motyla. — Jest pani tam?!

Odwróciła twarz. Wstrzymała oddech. Jednym ruchem wsunęła torebkę do wnęki, wepchnęła w jakąś mulistą maź. Czuła, jak nieznana substancja oblepia jej rękę aż po przegub i wyżej. Owionął ją fetor. Wtłoczyła torebkę głęboko.

- Tylko spokojnie... — zaczął mówić policjant z napięciem w głosie.

Ale nagle zamilkł. Usłyszała chrzęst żwiru, mężczyzna zatrzymał się nagle, odwrócił. Usłyszała też inny dźwięk: głośny trzask. Przerzucana zwrotnica. Nancy wyrwała rękę. Obejrzała się przez ramię. Pojawiła się słaba poświata, jaśniała i pełzała po murze. Powietrze poruszyło się, czuć było powiew.

- Jasny gwint! — szepnął gliniarz. Inny zawołał z ciemności:

- Jedzie następny! Niech to szlag trafi, lokalny, do śródmieścia.

- Co za palanty! Mieli zatrzymać ruch! - odezwał się trzeci głos.

- Do dupy z tym. Nienawidzę tego miasta — mruknął policjant, który stał koło niej.

Wycofał się już. Było coraz jaśniej. Policjanci nawoływali się, ale zagłuszał ich łoskot nadjeżdżającego pociągu. Znów ziemia się trzęsła, Nancy czuła to przez podeszwy. Pęd powietrza bił w twarz. Białe reflektory czołowe wyłoniły się z błyskawiczną prędkością. Tuż-tuż. Pociąg lokalny,

tym razem na jej torach. Przez długą sekundę nie mogła oderwać oczu od zbliżających się reflektorów, pędzących wprost ku niej.

Potem schowała się do wnęki. Zawieszisty smród otoczył ją szczelnie. Powietrze drżało i dudniło. Otworzyła usta, fetor ją dusił. Wejście do wnęki rozjarzyło się światłem. Przyciągnęła kolana do piersi.

A potem pociąg mignął w sklepionym łukowato otworze. Rozmazane srebrne boki, wirujące błyszczące koła. Cofnęła się jak najgłębiej, przytuliła głowę do ściany. Huk ją ogłuszał...

Nagle - zgrzyt. Nowy odgłos przeszywał do szpiku kości. Cóż to był za jazgot, niewiarygodnie głośny, jakby boski paznokiec poskrobał po tablicy nieba. Trwał i trwał, wwierał się w głowę, aż krzyknęła z bólu. Zatkła uszy. Zamknęła oczy.

Zgrzyt zaczął opadać. Drżenie gruntu osłabło. Huk zamarł.

Otworzyła oczy. Pociąg stanął. Dokładnie na wprost niej. Drżąc oderwała się od ściany, wyjrzała z niszy. Patrzyła na łącznik pomiędzy dwoma wagonami.

Usłyszała z oddali głosy policjantów.

- No, nareszcie!

- Palanty!

- Nienawidzę tego miasta.

Siedziała nieruchomo w ciasnej wnęce. Z podkurczonymi nogami, obejmując rękami kolana. Oczy miała załzawione od smrodu. Mieszał się z nim zapach jej własnego moczu. Była boleśnie świadoma pieczenia mokrych, odparzonych nagich ud.

Usłyszała policjantów. Męskie głosy wykrzykujące jakieś rozkazy.

- Musicie to cofnąć, cofnąć!

- Na stację?

- Nie, do mojego salonu. Na stację, do jasnej cholery! Co za durnie!

- W porządku, cofamy na stację.

Nancy siedziała nieruchomo. Bezmyślnie gapiała się na

stojącego przed nią kolosa. Na wielkie błyszczące koła, teraz nieruchome. Na ochronne łańcuchy zwieszające się po obu stronach łącznika między wagonami.

„Zaraz go wycofają na stację — myślała. — Zatrzymają na stacji, otworzą drzwi i wypuszczą pasażerów”. Patrzyła na łącznik, na zwisające łańcuchy ochronne. Pomyślała: „W każdej chwili”. Chciała się ruszyć, chciała wyleźć z wnęki i wskoczyć do pociągu. Mogłaby się ukryć wśród pasażerów. Wysiąść w tłumie i uciec...

Ale nie potrafiła się zmusić do działania. To zbyt wariacki pomysł, mogłaby zlecieć, wpaść pod pociąg, zginąć. Ale wciąż myślała: „Pociąg zaraz może ruszyć do stacji”. A ona będzie musiała wyjść z wnęki. Z rękami do góry. I policjanci ją otoczą. Na samą myśl, że policjanci, że ci mężczyźni zobaczą ją zasikaną... miała ochotę spalić się ze wstydu.

„Już” - pomyślała.

Wstała, pochyliła się pod łukiem, wygramoliła z niszy. Szybko. Wyprostowała się. Wcisnęła między wiszące łańcuchy. Na obudowie wagonu było coś w rodzaju klamry. Uchwyciła się podestu łącznika, podniosła nogę, żeby dosięgnąć tej klamry.

Wagony drgnęły. Poruszyły się.

Nancy krzyknęła. Ześlizgiwała się. Pociąg ruszał powoli. Trzymała się ze wszystkich sił, ale nieubłaganie się ześlizgiwała. W dół, na tory, pod pociąg, pod te wielkie koła.

„Och, błagam”.

Stękając z wysiłku, podciągnęła się. Wcisnęła palce stopy w klamrę. Stękała i szarpała się, w końcu udało jej się wydźwignąć na podest. Ręce ją bolały. Piersi rozgniatyły się o metal. Pociąg sunął ku stacji.

Wreszcie, krzycząc, zdołała wydostać się na górę, na podest łącznika między wagonami. Klęcząc, uchwyciła się klamki u drzwi. Pociąg zagwizdał. Ściany tunelu ustąpiły jasności stacji. Nancy podniosła się na nogi, jęcząc z wysiłku. Całym ciałem rzuciła się na drzwi. Zatoczyła do środka wagonu. A tam...

Jakby wkroczyła w inny świat, świat przepełniony niebiańską muzyką. Z trudem wierzyła własnym oczom.

Zatrzymała się jak wryta, mrużąc powieki. Wnętrze wagonu było czyste. Metalowe okucia lśniły. Jarzeniówki świeciły jasno, wszystko w ich świetle było kojąco wyraźne. Metrem podróżowali przystojni biznesmeni, schludni w tych swoich garniturach, poważni za tymi swoimi płachtami „Timesa”. Podróżowała matka, która gaworzyła z dzieckiem w wózek. Podróżowało dwóch młodych niemieckich turystów, chichoczących chrapliwie.

Nancy wpatrywała się w pasażerów. „Popatrzcie tylko, jak oni wyglądają” - myślała. Ci wszyscy dobrzy, spokojni, normalni ludzie, prowadzący swoje normalne życie. „A ja, jak wyglądam?!” Co oni muszą sobie o niej myśleć? Ubranie ma podarte, włosy rozczochrane. Twarz i ręce brudne jak święta ziemia. A śmierdzi pewnie, że hej!

Szybko otuliła się szczelnie prochowcem. Modliła się do dobrej Matki Boskiej, żeby nikt nie zobaczył, że się złała.

„Pójdę do zakonu, przysięgam, tylko wysusz te siki, miłościwa Panienko...”

Pociąg zatrzymywał się. Widziała kafelki stacyjnych ścian, twarze oczekujących za oknami. Zauważyła jakieś mundury. Jakieś zmarszczone czoła pod granatowymi czapkami. Jakieś plakietki. Poradzi sobie z tym. Musi się trzymać planu. Wyjść w tłumie. Wyprostowała się, podniosła głowę. Poprawiła płaszcz. I wtedy...

*Pudru pył, szminki blask, Pysznisz się niby rajski ptak...*

...ruszyła i wmieszała się w tłum innych pasażerów.

Nikt nawet na nią nie spojrział. Nadal czytali swoje gazety, gaworzyli, chichotali gardłowo. Uchwyciła się błyszczącego pionowego wspornika jak masztu flagowego. Stała wyprężona na baczność, a pociąg wytracał szybkość do końca.

*Lecz próbny trudny, zbędna gra, Jesteś niczyja, miła ma...*

— Proszę państwa... - To był głos maszynisty, płynący przez głośniki.

Nancy przełknęła z trudem ślinę. „Tylko niech nic nie mówi”. Odchyliła głowę. „Jeśli ogłosi, że jest tu osoba ścigana... jeśli powie, że kogoś szukają...” Wstrzymała oddech, patrzyła prosto przed siebie. „No to koniec. Zobaczą mnie. Wszyscy. Będę załatwiona, skończona, znokautowana...”

— ...o uwagę! — ciągnął motorniczy. - Nastąpi postój z przyczyn technicznych. Podróżnych...

Nancy podniosła wzrok. Inni podróżni oderwali się od swoich zajęć, zmarszczyli brwi.

— Co to może być? — zapytał jakiś biznesmen.

Nancy zamknęła oczy. „Dzięki Ci, Boże”. Podniosła powieki. Pociąg stanął. „Udało się”, pomyślała. Chyba naprawdę uda jej się wyjść w tłumie. Przed nosem policji. I prosto do domu. Odespać, podleczyć się. Zobaczyć matkę...

Motorniczy powtarzał komunikat jeszcze kilkakrotnie. „I kto twierdzi, że taka przejażdżka nie jest warta dolca i ćwiartki?”

Drzwi rozsunęły się. Pasażerowie zaczęli wstawać. Rzucili się do wyjścia. Wstrzymała się, póki nie otoczyła jej gromadka gamiturów. Wtedy ruszyła przed siebie. Śmiało wyszła na peron, jedna z pasażerek, ukryta w tłumie.

Od razu chwyciły ją stalowe ręce. Pchnięto ją na obudowę wagonu. Jeden policjant trzymał ją za szyję. Dwóch innych wykręciło jej ręce do tyłu. Kruszynka tatusia została zakuta w kajdanki, a czwarty policjant przyłożył jej trzydziestkę-ósemkę do prawej dziurki od nosa i powiedział:

— No dobra, mała cwaniaro. Gdzie spluwa?

Głowa Nancy opadła do tyłu. Jej płaszcz... o Boże, jej płaszcz się rozchylił, widać siki... Oczy wywróciły się, aż błysnęły same białka. Wszystko odpłynęło od niej, wirując, twarze, słowa.

No, przynajmniej w tym jednym miała rację, pomyślała, czując, że nogi się pod nią uginają. To rzeczywiście parszywy dzień.

## Oliver Perkins

Perkins ostrożnie poruszał się po zrujnowanym mieszkaniu. Brodził w potłuczonym szkłe i kawałkach marmuru. Oczy biegały mu po kątach. Panował w nich mrok. Mógł się tam ktoś schować. Obserwować go. Perkins podniósł pięść na wysokość brody, gotując się do odparcia ataku.

- Zach! - zawołał znowu cichym głosem.

Powoli przesuwiał się ku schodom, cały czas z pięścią gotową do ciosu.

Dotarł do pierwszego stopnia, popatrzył w ciemność u góry. Ujrzał szarzejący zarys słupka na podeście. Niewiele więcej dało się zobaczyć. Na ścianie obok znalazł włącznik światła, pstryknął. Potem jeszcze raz i jeszcze raz.

*Znikąd się światło nie dobywa... \**

Nic. Znow spuścił oczy na chodnik. Na każdym stopniu była plama, do samej góry, przynajmniej dokąd było widać. Na ciemnym chodniku plamy wyglądały na rudobrazowe. Mogła to być czekolada albo keczup. Ale Perkins wiedział, że to krew. Ktoś schodził tymi schodami - albo na nie wchodził - krwawiąc obficie.

Stał pod schodami przez dłuższą chwilę. W domu panowała cisza. W zaułku na zewnątrz - cisza. Słyszał bicie własnego serca, czuł ucisk w gardle. Nie chciał wchodzić tam na górę. Policja. Trzeba zadzwonić na policję. Ale Zach...

Miał w pamięci obraz Zacha leżącego na podłodze w sypialni. W ich starej sypialni na górze." Leży na wznak, wyciąga ręce. „Pomóż mi, Ollie". Zach zakrwawiony.

„Nie martw się, mamó. Już się nie musisz martwić".

Ruszył w górę po schodach, oddychając otwartymi usta-

**\* John Keats, utwór cytowany.**



mi, z podniesioną pięścią. Plecami do ściany, oglądając się nieustannie, żeby uprzedzić niespodziewany atak.

*Znikąd się światło nie dobywa Prócz tego które z nieba wraz Z wietrzykiem wionie.*

Cienie na górnym podeście nieco się rozjaśniły. Stolik z telefonem w kącie. Drzwi do ciemnej łazienki. Korytarz w lewo i w prawo.

Znalazł się na górze i skręcił w lewo. Trochę widział w mroku. Jaśniejszy zarys drzwi sypialni, jakby okiennica była tam otwarta. Znów uderzył go smród. Trochę się do niego przyzwyczaił, przestał zwracać uwagę, ale teraz, kiedy skręcił za róg, smród uderzył go na nowo świeżą, ciemną falą.

„Jak w rzeźni”.

Nigdy nie był w rzeźni, ale taka myśl przyszła mu do głowy. Pewnie przez te plamy na schodach. Myśl o jatce, rąbaninie, leżącej się krwi. Posuwał się korytarzem z naszykowaną pięścią.

„Idę do ciebie, Zach”.

Rany, jak się bał! Zupełnie nie miał ochoty tego robić. Wcale nie chciał widzieć, co jest w tamtym pokoju. Ani odrobinę.

Jaśniejące półmrokiem drzwi przybliżały się. To była ich sypialnia, jego i Zacha. Po śmierci mamy. Po wyprowadzce ojca do Kalifornii. „Nie daję sobie z nimi rady”. Po tym, jak babcia wzięła ich do siebie. Bracia leżeli po ciemku, każdy w swoim łóżku. Odgłosy miasta na zewnątrz były takie dziwne, dom pachniał tak dziwnie, wonią starej kobiety. Tej pierwszej nocy Oliver wepchnął sobie do ust kłęb z prześcieradła, żeby Zach nie usłyszał, jak płacze. Za to słyszał Zacha. Wydawał z siebie taki piskliwy odgłos - „iii i i i iii” - tłumiąc własne szlochanie na drugim łóżku.

„Nie przejmuj się, Zach. Już idę”.

W drzwiach sypialni podniósł pięść jeszcze odrobinę. Odór był gęsty jak stojąca woda. Zajrzał za otwarte skrzydło drzwi.

Okiennica w oknie z lewej strony była uchylona. Przez szparę widniały liście klonu, a za nimi jaskrawoniebieskie niebo. W szarym półmroku wnętrza pokoju Perkins zobaczył, że na łóżku coś leży. Ciemny kształt, zarys człowieka nieruchomy, na łóżku z prawej strony, na starym łóżku' Zacha.

Ręka Perkinsa powędrowała ku ścianie, odruchowo pstryknęła włącznikiem. W chwili gdy przypomniał sobie że elektryczność wysiadła - „znikąd się światło nie ” -zapaliła się górna lampa i Oliver zobaczył, co leży na łóżku.

Poderwał obie dłonie do twarzy i wydał z siebie ochrypy okrzyk.

„Krew...”

Wszędzie pełno krwi. Pościel przesiąknięta, szkarłatno-czarna od krwi.

„Jezu, ile krwi, Jezu...”

Kształt leżący na łóżku był kobietą. Ale czegoś mu brakowało. Przez chwilę Perkins nie mógł się połapać, co ma przed oczami.

Zielone legginsy kobiety były podarte. Na nogach otarcia. Wokół nog prześcieradło pochłapane krwią, ale wciąż jeszcze białe. Nie pojmował tego. Ręce ułożone po bokach. Jakby wyłamane. Nadgarstki związane wystrzępioną liną, drobne dłonie zaciśnięte. Na skórze przypalenia, poparzenia. Spódnica przesiąknięta krwią. Perkins patrzył i potrząsał głową z niedowierzaniem. „Jezus, wszędzie krew...” Spódnica kobiety była zadarta do pasa. Legginsy rozerwane. Krocze odkryte, włosy łonowe zlepione krwią. Patrzył, z otwartymi ustami, przez rozczapierzone palce uniesionych rąk. Bluzka nasiąknięta czarną krwią, była rozerwana, piersi pokaleczone jakby przez jakieś drapieżne zwierzę, wszędzie pełno krwi wszystko przesączone krwią. Pościel nasiąknięta wokół zmasakrowanego tułowia, wokół szyi, szyja poszarpana, urwany kikut w miejscu, gdzie wyrasta...

„O Jezu, o Jezu, o...”

Kobieta nie miała głowy.

Oślepiały poeta trwał w szoku jeszcze przez nie kończącą

się sekundę. Po prostu nie był w stanie ogarnąć umysłem tego, co widzi. Wreszcie pojął. Na łóżku leży trup kobiety bez głowy, a bijący od niego smród zwała z nóg. Zawartość żołądka podpłynęła mu do gardła gwałtowną falą. Cofnął się, zatoczył. Musi do łazienki. Zakrył usta dłonią. Żołądek przewracał się na wszystkie strony.

Głową naprzód rzucił się do łazienki, wymachując dziko ramionami. Pstryknął światło. Jasność zalała pomieszczenie, porcelana błysnęła białą. Muszla stoi w kącie...

„Niech to szlag!”

Kłapa zamknięta. Zarzyga wszystko. Upadł na kolana. Chwycił się obiema rękami kłapy. Otworzył ją. Opuścił głowę.

Z muszli gapiała się na niego kobieta. Jej oczy znajdowały się o cal od jego oczu. Głowa leżała w kałuży czarnej krwi, w której moczyły się włosy. Obwisłe usta miała nią wypełnione. Wybałuszała oczy. Zapatrzone. Nieobecne. Błyszczące.

Porcelanowobłękite oczy.

Część druga

JĄDRA PSYCHIATRY

*O, nie pozwólcie mi oszaleć, nieba!*

William Szekspir, *Król Lear*, akt 1, scena 5  
przekład Zofii Siwickiej

Nancy Kincaid

Nie było aż tak źle, jak się obawiała. Prawdę mówiąc, szpital za drzewami prezentował się raczej spokojnie. Zamek z czerwonej cegły. Okrągłe wieże zwieńczone iglicami. Łukowate okna w kamiennych wycięciach, w oknach witraże. Wygląda to zupełnie nieźle.

Nancy przyciskała twarz do okna policyjnego radiowozu, który piał się długim podjazdem. Budynek pojawiał się i znikał, przesłaniany szpalerem cyprysów. Stał na szczycie łagodnego wzgórza pośrodku rozległego terenu. Pagórki, trawniki, żywopłoty, rozłożyste cieniste drzewa. Białe figurki sunęły bezgłośnie po alejkach. Z tej odległości Nancy nie umiała rozróżnić, czy to pacjenci, czy personel. Wyglądały niemal jak duchy, przepływające od ławki do fontanny, od brzozy do kwitnącego krzewu laurowego.

Dodało jej to otuchy. Radiowóz okrążył klomb i zatrzymał się przed głównym wejściem. Drzwi się otworzyły i stanął w nich dyrektor szpitala. Wyszedł powitać ją na schodach. Uśmiechał się, wyciągał do niej rękę. Nancy obserwowała go przez okno z rosnącym podnieceniem. Patrzył z sympatią i jakby ze smutkiem. Twarz poorana zmarszczkami w obramowaniu długich czarnych włosów. Wrażliwa. Promieniował zrozumieniem.

Wysiadła z auta samodzielnie. Wspinała się ku niemu po stopniach, on się do niej uśmiechał. Dodało jej to animuszu. Przyjmuje ją i akceptuje. Zna ją do szpiku kości. Wszystko się ułoży jak najlepiej.

Uśmiechnięty, przepuścił ją obok siebie, przytrzymał przed nią otwarte drzwi, gestem zaprosił do środka.

- Może na skraju łąki pokaże się we mgle jeleni - mruknął do me, łagodnie, kiedy przechodziła. - Może na podjeździe będą się włóczyć szopy w poszukiwaniu jedzenia. Może pojawią się rysie i będą zerkać z gęstwiny złotymi oczami..

To ją jeszcze bardziej podniosło na duchu. Weszła do środka wręcz ochotczo. Drzwi zamknęły się za nią z głuchym łoskotem.

Znajdowała się w białym korytarzu. Sama. Wzdłuż korytarza dwa szeregi zamkniętych drzwi. A za drzwiami szepty. Niepewnie ruszyła przed siebie. Szepty dotarły do jej uszu

- Nancy, Nancy. Szeptano jej imię.

- Ach, Nancy. Pieśń szeptów.

Szła dalej, powoli. Na samym końcu korytarza widać było ciemną majestatyczną postać. Siedziała na tronie. Szczupła osoba owinięta w udrapowaną czarną szatę. Dzierżyła berło w ręku. Jej ręka składała się z samych kości. Głowa była szczyrzącą zębami trupa czaszką. Głową Śmierci.

- Naancy, Naaancyyyy.

Szepty dochodziły zza drzwi. Przestraszona, rozglądała się na boki, szukając pomocy, szukając drogi ucieczki. Lecz były tylko głosy.

- Nancy, och, Nancy...

Nie chciała iść dalej. Nie chciała podejść do tronu do kościotrupa. Lecz nie mogła się zatrzymać. Unosił ją w tamtą -stronę jakiś prąd, jakby nie dotykała podłogi. Wyciągnęła rękę w stronę czaszki, chociaż wzdrygała się na myśl o tym by jej dotknąć. Zbliżyła dłoń; jeszcze bardziej. Zajrzała w oczodoły. Zobaczyła, że tkwią w nich porcelanowo-błękitne oczy.

„Ach, nie! Ach, nie!”

Nie była w stanie się zatrzymać. W następnej chwili zacisnęła dłoń na czaszce. Chwyciła w garść kauczukową powłokę. To była maska. Zerwała ją. Zobaczyła skrywaną pod nią teraz twarz...

- Nancy. Ach, Nancy Kincaid!

To była jej własna twarz. Wisiała nad nią, przytłaczała. Uśmiechała się ze swego tronu, błękitne oczy błyszcząły. Postać wycelowała w Nancy palec kościotrupa. Szeptła:

- Tylko nie zapomnij! Dobrze?

- Ach!

Zatrąbił klakson i Nancy się obudziła. Wyprostowała się, zamrugła oczami. Serce w piersi waliło jak młotem. Nie wiedziała, gdzie się znajduje. Lecz zaraz się zorientowała: za oknem uciekały ulice miasta. Dwa potężne karki na siedzeniach przed nią. Dwie policyjne czapki. Próbowwała poprawić pozycję, poczuła, że ręce ma skrepowane za plecami. „Och... o Jezu...” Lęk wpelził jej na pierś jak chmara pajaków. Z wytrzeszczonymi oczami rozglądała się wokół. Wyjrzała przez okno. Jadą Pierwszą Aleją. Wóz policyjny spieszył na peryferie w orszaku szybkich żółtych taksówek. Anonimowe budynki, biały kamień i szkło uciekały w tył pod rozległym niebieskim niebem. A potem, daleko z przodu, posepna ceglana świątynia. Wysunięte łukowato skrzydła boczne, wysokie ponure okna. Mury dźwigały się z kępy niskich klonów. Otaczało to wszystko groźne wysokie ogrodzenie z czarnych żelaznych prętów.

„Bellevue!” -- pomyślała. I prawda o ostatnich wydarzeniach przygwoździła ją swoim ciężarem.

Przypomniała sobie peron: jak się ocknęła z policzkiem przytulonym do szorstkiego betonu; jak policjanci przygniatali ją do ziemi, ręka na karku, kolano na plecach. I wyszczekiwane pytania: „Gdzie broń? Gdzie ta zaszra splanuwa?” Obmacujące ręce, przewracające ją, jakby była połciem mięsa. Posłyszała jakiś głos — kobiety: „Aj, cholera, ona się zsiła”. Wtedy znów zamknęła oczy. Skoncentrowała się na ciemności, na chłodzie kamienia pod policzkiem. Chciała tylko leżeć i poddawać się biegowi wydarzeń.

- Wiesz, gdzie jesteś?! - krzyczała jej ta kobieta do ucha. - Wiesz, gdzie teraz jesteś! — Powtarzała z mocnym, bełkotliwym akcentem z Queens. - Wiesz, gdzie jesteś?!

„Po uszy w gównie” — pomyślała apatycznie Nancy, leżąc bez ruchu. Łza popłynęła jej spod powieki. Z nosa ciekł

śluz, który uformował na peronie małą kałużę koło jej ust. Nie miała ochoty się ruszać. Na nic nie miała ochoty.

- Okay, zabierajcie ją - powiedziała wtedy ta kobieta. Nancy szarpnięto na nogi.

- Au! - To ją trochę poruszyło. Wielkie męskie łapy trzymały ją silnie za przedramiona. Bolało. - Boli. Nie musicie mnie szarpać - powiedziała najgniewniej, jak umiała.

Nikt nie zareagował. Niebieskie uniformy otoczyły ją szczelnie. Za nimi widziała podróżnych, ich twarze - białe i brązowe. Żujące gumę szczęki. Oczy - mnóstwo ciemnych oczu, w których tańczą światełka. Ludzie wspinający się na palce, żeby ją zobaczyć. „Ach, patrzcie. Złapali jakąś wariatkę. Cała obszczana. Gęba w glutach”. Nancy nie mogła wytrzeć nosa, ręce miała skute z tyłu. Nawet nie mogła obrócić głowy, żeby się otrzeć o bark. Chciałaby przestać płakać. Chciałaby nie mieć takiego mętliku w głowie.

Ta kobieta z Queens, policjantka, próbowała nawiązać z Nancy jakiś kontakt. Uchwyciła ją za ramiona, przysunęła twarz bardzo blisko. Nancy widziała kosmyki blond włosów wystające spod policyjnej czapki. Duże, łagodne brązowe oczy. Jak u samy. Kreskę na powiece malowała granatową kredką. Duży błąd przy jej karnacji.

- Słuchaj mnie, dobrze? - mówiła głośno policjantka. -Wiesz, gdzie jesteś? Wiesz, co się z tobą dzieje? No? Wiesz?

Nancy starała się skupić na tej wielkiej twarzy. „Dobrze -pomyślała- trzeba będzie dać prawidłową odpowiedź”. Pociągnęła nosem, raz a dobrze. Własny głos wydał się jej napięty i cienki jak głos małej dziewczynki.

- Poszłam dziś rano do pracy - powiedziała powoli. -Poszłam do pracy, ale nikt nie wiedział, kim jestem. To znaczy: ja wiedziałam, kim jestem, ale oni mówili, że ja to nie ja. Ale ja to ja! A potem ci wszyscy żebracy zaczęli do mnie mrugać.

Policjanci spojrzeli po sobie znacząco. „Dobra odpowiedź, Nancy” - pomyślała. Zwiesiła ciężko głowę. Za dużo tego wszystkiego.

- Okay - westchnął jeden z policjantów - musiała wyrzucić pukawkę w tunelu. Trzeba będzie poszukać.

A kobieta powiedziała:



- Bierzemy ją do Bellevue. Niech ją zbadają.

Nancy podniosła oczy, kiedy usłyszała tę nazwę. „Bellevue”. Szpital dla wariatów. Dla tych, co ześwirowali. Jej wargi poruszyły się: „Bellevue...”

No a teraz dojechała. Przez okno radiowozu widziała nazwę wygrawerowaną na żeliwnej bramie. Potem brama znikła, a samochód zakręcił. Pędził pustym podjazdem. Mijał kolejne przycupnięte ceglane kloce. Rząd posepnych urn na betonowych słupach.

Nancy oblizała wysuszone wargi. „Pewnie jadą dookoła do wejścia ewakuacyjnego” - pomyślała. Jadą szybko. Zaraz będą. Próbowwała przełknąć ślinę, ale nie zdołała. Rany boskie, co oni tu z nią będą robili? Gdzie ją zamkną? Będzie musiała siedzieć w celi z tymi wszystkimi wariatami? Boże, miała wrażenie, że jeśli nie wyswobodzi rąk z tych kajdanek, jeśli się nie uwolni, to zacznie wrzeszczeć. Radiowóz pędził zupełnie pustą uliczką. To wszystko dzieje się tak szybko. I ta cisza. Ci gliniarze w ogóle się do niej nie odzywają... Równie dobrze mogłaby być samiuteńka na całym świecie.

Popatrzyła na dwie nieruchome głowy na przednich siedzeniach. Obok kierowcy siedziała kobieta. Krótkie blond włosy kończyły się tuż pod czapką. Szyję miała szczupłą i gładką.

- Przepraszam - powiedziała Nancy. Wydobyła z siebie mysi pisk. Policjanci nie usłyszeli jej przez szum wpadającego oknami powietrza. Odchrząknęła. - Przepraszam!

Policjantka nieznacznie odwróciła głowę. Zerknęła na kierowcę.

- Czy jedziemy do szpitala? - zapytała Nancy. - Wieziecie mnie teraz do Bellevue?

Policjantka krzyknęła przez ramię:

- Tak! Już jesteśmy.

Kierowali się pod nowy budynek. Niski, rozległy, biały. Szeregi okien poprzedzielanych słupkami z białego kamienia. Robił wrażenie beznamietnego. U jego stóp rozciągał się parking. Aby tam wjechać, radiowóz musiał najpierw okrążyć go łukiem.

- Będę mogła zadzwonić do kogoś? - Nancy z najwyższym

trudem powstrzymywała łzy. - Bardzo chciałabym... zadzwonić do mojej matki. Będę mogła?

Policjantka przekrzywiła głowę, wzruszyła ramionami

- Jasne Wszystko po kolei. Nie ma się czego denerwować Nie denerwuję się - stwierdziła Nancy stanowczo -

Juz się dobrze czuję. Przedtem nie najlepiej się czułam. Coś mi się pomieszało, ale... Juz naprawdę dobrze. Policjantka nie zareagowała.

- Zadzwonię tylko do matki, jak dojedziemy - oświadczyła Nancy z godnością.

- Jasne - powtórzyła tamta. - Wszystko będzie dobrze Nancy nie pozostało nic innego, tylko skinąć głową'

Mam prawo do rozmowy telefonicznej, chciała powiedzieć Ale się na tę nie zdobyła. Wyrzała przez okno. Samochód objechał parking. Zmierzał prosto ku białemu budynkowi Nancy patrzyła, jak ten robi się coraz większy, zbliża się do niej. Niespodziewanie usłyszała własny nerwowy śmiech i lawinę słów:

- Rany ale się boję. To chyba głupie, no nie? Ale ja nigdy me byłam w takim szpitalu. - Przełknęła łzy - Naprawdę bardzo się boję, bardzo. Nie wiem, dlaczego

I olicjantka znów zerknęła na towarzysza, ale już się nie odezwała. Tak czy owak, byli na miejscu. Samochód wjechał pod niski strop podcieni, które biegly wzdłuż fasady zatrzymał się przy krawężniku. Nancy przycisnęła czoło do okna Nie widziała nic oprócz szklanych drzwi. Potem policjantka znalazła się na zewnątrz od strony pasażerki i otworzy ła je, drzwiczki. Wzięła Nancy pod łokieć. Wyciągnęła ją na chodnik.

- Tylko spokojnie – tłumaczyła - Wszystko będzie dobrze.

Nancy zacisnęła wargi. Policjantka wcale nie mówi do nie,. Mowi do kogoś innego, do jakiejś wariatki, której Nancy w ogóle nie zna. Poczula się samotna

Strażniczka, niska Murzynka, uprzejmie otworzyła przed nią szklane drzwi. Policjantka mocno uchwyciła Nancy za ramię i wprowadziła ją szybko przez otwarte drzwi. Nancy usłyszała za plecami ich trzask. Na ten dźwięk podniosła wzrok. To, co zobaczyła, zaparło jej dech.

— Nie! O Boże! - krzyknęła głośno.

Przed sobą zobaczyła biały korytarz. Wzdłuż korytarza dwa szeregi zamkniętych drzwi. A za drzwiami szepty. Słyszała je.

— Nancy. Ach, Nancy.

Słyszała melodyjne szepty, które ją wzywały.

Otworzyła usta szeroko, ale nie mogła wydobyć głosu. Ciągnięto ją korytarzem, a na jego końcu siedziała na tronie majestatyczna postać. Szczupła postać w czarnej szacie, z berłem w dłoni umarlaka i...

Nancy zaryła piętami w podłogę. Nie pójdzie dalej.

— NIE!!! — Zaczęła krzyczeć i wyrywać się. Szarpać rękami w kajdankach. — Proszę! Nie! Nie chcę!

Słyszała własne piskliwe skrzeki. To było dziwne. Słyszała własne dzikie wrzaski i widziała siebie jakby z oddalenia. Widziała, jak się wykręca i wyrywa gorączkowo z uchwytu policjantki. Jak wywracają się jej oczy, błyskają białkami. Jak spieniona ślina cieknie jej z ust na brodę. Widziała własne nogi, jak wierzgają i kopią. Jak stopy się ślizgają po gładkim linoleum, nie chcą dalej iść. Widziała swoją odrzuconą do tyłu głowę, naprężoną szyję. Jak dziecko wleczone za karę do komórki próbowała się opierać każdym mięśniem swojego wątłego ciała.

Było to tym dziwniejsze — prawdę mówiąc, mocno dziwaczne — że widziała wyraźnie, iż to wcale nie jest ten korytarz z sennego koszmaru. Jest po prostu w szpitalu. W holu. Szamocze się z nią policjantka. Dwóch następnych strażników pędzi ku niej z głębi korytarza. Biegną też dwie kobiety w białych kitlach, przekrzykując jej wariackie wrzaski.

To było tak, jakby urządziła przedstawienie. Z nimi jako publicznością; ze sobą samą jako publicznością. Jakby udawała, że postradała zmysły, byle tylko nie pociągnięto jej do odpowiedzialności za to wszystko. Słyszała nawet swoje prawdziwe „ja”, które mówi: „Już wystarczy, to zły pomysł. Nie robimy tu dobrego wrażenia; wcale a wcale. Trzeba przestać. Dobrze? Koniec z tym. Już, w tej chwili”.

Jednak nie mogła. Nie mogła przerwać przedstawienia.

Wciąż krzyczała, wierzgała. Rzuciła głową z boku na bok szczękała zębami. Pojawił się mężczyzna w białym uniformie' szczupły młody lekarz ze spiczastą bródką. Kroczył ku' Nancy energicznie ze strzykawką w rękę. Strzykawka! Widziała, jak wyciska chmurkę płynu przez igłę, usuwając tłoczkiem powietrze. Przez inne drzwi wypadły dwie pielęgniarki, niosąc jakąś dziwną szatę z długimi rękawami pasami i poduszkami.

„Nancy, to przecież kaftan bezpieczeństwa! pomyślała. - Chyba żartują. Zdaje się, że przesadziłam. Koniec z tym, ale już”.

Przedstawienie jednak trwało. Lekarz, kaftan... Jej ochryple wrzaski tylko się przez to wzmogły. Rzuciła się na podłogę, wiała i podrygiwała, z wysiłkiem próbując się uwolnić. Jej prawdziwe „ja” patrzyło bezradnie, jak policjanci sanitariusze, pielęgniarki i lekarz zbiegają się do wrzeszczącej artystki. Dopiero na sam koniec, w tym jednym jedynym momencie, wraz z falą mdłości przyszło jej do głowy, że to wcale nie jest przedstawienie.

I wtedy się na nią rzucili.

Oliver Perkins

Zwymiotował w końcu na podłogę. Odrzuciło go od sedesu. Od tych szklistych oczu, tej zmasakrowanej, unurzanej we krwi głowy. Upadł na czworaka i wyrzucił z siebie jajecznicę i grzanki zrobione przez Avis. Rzadka żółta masa rozprysnęła się po białych płytkach posadzki. Obraz tej trupio bladej, zwiotczalej twarzy tkwił mu pod powiekami Perkins wymiotował jeszcze raz. Jęknął, zamknął oczy Potem odczołgał się do drzwi, nadal spluwając kawałkami me strawionych grzanek. Wytarł usta ręką. Pełznął dalej Musi się stąd wydostać.

Wygramolił się na korytarz. Przytrzymał stolika z telefo-

nem i stanął na drżących nogach. Spazmatycznie łapał powietrze. Musi się stąd wynosić, jak najdalej. Dokuśtykał do schodów, złapał za słupek poręczy. Zobaczył na dole jakieś światło. Zdał sobie sprawę, że zostawił otwarte drzwi wejściowe.

Byle tylko dostać się do tych drzwi! Wyrwać się stąd, znaleźć z powrotem na cudownej, jasnej, rojnej ulicy. Znaleźć telefon. Zadzwonić na policję. Wydostać się...

Już miał zejść na pierwszy stopień schodów, gdy usłyszał coś, co sprawiło, że znów przestał oddychać. Skrzypnięcie deski w podłodze. Gdzieś w domu. Ktoś stąpnął.

W pierwszym szalonym odruchu obejrzał się za siebie. Na drzwi swojej starej sypialni. Jeśli to stamtąd? Jeśli ten kadłub wstał z łóżka? Jeśli podchodzi do drzwi... Sylwetka w prostokącie przyćmionego światła.

„Spójrz, Oliverze. Zobacz, co mi zrobili. Patrz, co zrobili z moją głową”.

Potem usłyszał następne skrzypnięcie. Kolejny krok. Stał bez ruchu. Nasłuchiwał. To dochodziło z dołu. Ktoś był na parterze. Skradał się w kuchni. Nie widać go stąd. Zbliża się do schodów. Perkins usłyszał niski pomruk, parę przyciszonych sylab.

„Jasny gwint, oni wciąż tu są”.

Cofnął się od schodów, schował w cieniu. Skrzypnęła następna deska. „Wciąż są w domu” - pomyślał. Ci, co to zrobili. Byli nadal w mieszkaniu. Twarz kobiety znów znalazła się przed jego oczami, martwe spojrzenie z sedesu. Zanieśli głowę z sypialni do toalety... A jeszcze przed momentem kobieta żyła. Myślała, czuła — żyła... A oni przyłożyli jej nóż do szyi...

I wciąż byli tutaj. Ludzie, którzy to zrobili. Byli nadal w mieszkaniu. W kuchni. Skradali się powoli ku schodom.

Perkins przeciągnął dłonią po mokrych ustach. Spojrzał w prawo, przez ciemny korytarzyk, ku swojej starej sypialni. Spojrzał w lewo. Tędy wiedzie jedyna droga ucieczki. Do pokoju babci. Widać ciemny zarys drzwi. Pokój był ciemny, ciemniejszy niż korytarz.

Zerknął po raz ostatni w dół i ruszył. Długimi krokami, szybko, starając się zachowywać jak najciszej. Jeśli tylko

uda mu się dotrzeć do pokoju, otworzyć okno... To tylko jedno piętro, nawet złamana kostka jest niczym w porównaniu ze spotkaniem z tymi ludźmi.

Dotarł do drzwi pokoju i zatrzymał się. Nastawił uszu. Trzasnął drewniany stopień. Któryś z dolnych. Ruszyli na górę.

Wszedł ostrożnie do pokoju. Powietrze tu było stęchłe, ale nie jechało tak jatką. Po prawej drewniane okiennice, białe kreski dnia między listewkami. Stał jak wryty, zauważył kątem oka jakiś ruch. To tylko lustro w drzwiach szafy. Widział jego szarawy zarys. I zarys małżeńskiego łóża przy ścianie. Fotel na biegunach... Powoli przeczesywał wzrokiem pomieszczenie. Żadnych innych kształtów. Żadnych ludzkich sylwetek...

„Patrz, Oliverze. Zobacz, co mi zrobili”.

Usłyszał kolejne stąpienie na schodach. Tym razem już blisko szczytu. Szybko okrążył łóżko. Podszedł do okna.

„Szybciej, szybciej”.

Zaczął manipulować przy haczyku, na który były zamknięte okiennice. Nie słyszał już kroków. Nie wiedział, gdzie są tamci. Haczyk szczęknął, odskakując. Odchylił okiennice do wewnątrz.

Światło zalało pokój, oślepiło go. Białobłękitne niebo nad kamieniczką z pruskiego muru. Samochód zaparkowany przy krawężniku alejki. Kobieta z jamnikiem na smyczy skręca za róg uliczki... Chryste, znaleźć się tam, na zewnątrz... Otworzył okno. Zaczerpnął rześkiego jesiennego powietrza. Obejrzał się przez ramię po raz ostatni.

Zobaczył coś. Na łóżku. To go zatrzymało. Zaniepokojony, przyglądał się z napięciem. Jakaś postać. Nie, to tylko odcisk postaci w pościeli. Odbicie głowy na poduszce, rozciągniętego ciała. Ktoś tam się kładł i...

Coś błysnęło. Już miał się odwracać, wyskakiwać, kiedy zobaczył ten mały błysk światła. Cienka kreseczka srebra. Na przykrytej narzutą poduszce, tam, gdzie leżała głowa. Pojedynczy platynowy włos.

Perkins zawahał się przez moment, z oczami utkwionymi w poduszkę.  
„Tiffany?”

Zwlekał o tę sekundę za długo.

Podłoga skrzypnęła znowu. Tym razem w progu. Tuż. Perkins poczuł skurcz w żołądku, gdy jego oczy przeskoczyły z łóżka ku drzwiom. W drzwiach ukazała się postać.

„Moja głowa, Oliverze”.

Ale to był mężczyzna. Właściwie chłopak, nie mężczyzna. Młodzieniaszek, wyglądał na nastolatka. Wszedł do jasnego pomieszczenia, mrużąc oczy. Chłopak o chudej, pryszczatej twarzy. Blond włosy ostrzyżone na jeża. Przestraszone oczy. Wyglądało na to, że boi się nie mniej niż Perkins. Patrzyli sobie w oczy. Chłopak podniósł powoli rękę. Słońce błysnęło oleiście na oksydowanej lufie pistoletu. Wargi chłopaka poruszały się przez moment, zanim udało mu się wykrztusić:

- R-r-r-rę-ręce do góry. Policja. Jest pan aresztowany.

Zachary

Zachary przypominał sobie, jak go wtedy znalazł Oliver. Wtedy, w starym domu w zaułku. To było ponad rok temu. Leżał w sypialni, na podłodze, przy swoim starym łóżku. Był nagi, a ciepłe nocne powietrze omywało go jak woda. Wyobrażał sobie, że unosi się w tej wodzie. Płynie, dryfuje, rozpływa się. Pograżał się w tej wizji. Patrzył na tamte obrazy, śmiał się i płakał. Nawet wtedy nie słyszał, kiedy przyszedł Ollie.

Potem, ni stąd, ni zowąd, Oliver się pojawił. Zach z początku myślał, że brat jest po prostu elementem tej wizji. Ale Oliver był głośny, twardy. Nie chciał się unosić ani rozpływać. Krzyczał na niego, kazał mu wstawać. Zach próbował wyjaśnić, jak to było z tamtą filiżanką do herbaty. Śmiał się. Chodziło o tę filiżankę, która leżała koło matki, kiedy umarła. Widział, jak unosi się w płynnym powietrzu

gdzieś nad nim: tania fajansowa filiżanka z brązowym szlaczkiem. Tyle że teraz była inna — i nie chodziło o wygląd, o nie — ona uległa metamorfozie wewnętrznej. Była wypełniona znaczeniem, które jednoczyło ją ze znaczeniem wszystkiego na świecie. Jakby przestała być oddzielnym przedmiotem, a stała się wzorem w wielkim deseni nieskończonego kobierca.

Zach próbował wyjaśnić to starszemu bratu.

— Słuchaj, Ollie - powiedział wtedy, uśmiechając się radośnie. - Wypełniona miłością. Naszą miłością. Braterską. Wszechogarniającą. W całym swoim jestestwie, w każdym atomie. Widzisz ją? O, tutaj.

— Wstawaj, głupi kutasie! — ryczał Oliver. Nie widział nic. - Rusz się! Jedziemy do szpitala!

Zach przypominał sobie to wszystko, gdy stał przyciśnięty do ściany koło okna. Teraz też był nagi. Jądra naprężyły mu się ze strachu, członek skurczył. Zerkał na ulicę, obserwując wywiadowcę po drugiej stronie. Detektyw był osiłkiem o nalanej twarzy, w kraciastej wiatrówce. Przysiadł na masce niebieskiego dodge'a z długą rysą na drzwiach. Palił camela i badawczo rozglądał się po ulicy. Wypatrywał Zacha. Czekał, żeby go aresztować z powodu tych zwłok w starym mieszkaniu w zaułku.

Tak wyglądał świat bez narkotyku, bez aquariususa: kost-ropaty od szczegółów. Zgniecione niedopałki na chodniku pod nogami detektywa. Gruz na nie zabudowanym placu po drugiej stronie ulicy. Poszarpany zygzak pęknięcia w tynku tuż przed nosem Zachary'ego. Jak ma myśleć, kiedy to święństwo Majstruje mu umysł?

Odsunął się od okna, oparł głowę o ścianę. Trzeba pomyśleć. Trzeba się stąd wydostać, dotrzeć do Olliego. Policja może tu być w każdej chwili. Zrobią rewizję. Znajdą go. Otworzą czerwoną torbę podróżną. Musi się jakoś przedrzeć przez tę czujkę na dole. Wziąć tyłek w troki i dostać się do wielkiego brata.

Osunął się po ścianie, szorstki tynk drapał go w nagie plecy. Na czworaka, żeby go nie było widać z ulicy, z wypiętym gołym tyłkiem ruszył ostrożnie. Przełaził przez całe mieszkanie z powrotem do sypialni. Brodził w kłaczkach



kurzu na drewnianej klepce. Po szarych plamach w miejscu, gdzie farba się starła. „Jezu, błagam” - mamrotał bezgłośnie. Żałował bezgranicznie, że zaćpał się wczorajszej nocy. Wiedział, że Bóg go karze za złamanie obietnicy. Ale nie chciało mu się wierzyć, że Jezus może go skazywać na taką samotność, takie oderwanie od tego nieskończonego kobierca utkanego z miłości.

Wstał dopiero przy drzwiach szafy. Wślizgnął się do środka. Z powrotem pomiędzy ubrania Tiffany. W ten jej delikatny piżmowy zapach. Chodziła głównie w dżinsach, ale od czasu do czasu, na szczęście, nosiła spódnice. Długie spódnice w kolorowe południowoamerykańskie wzory. Wybrał sobie teraz jedną z nich. Długa do kostek, w czerwono-niebieski deseń przedstawiający zgeometryzowane kultowe figurki ludzi i owiec. Wzór nasunął mu wspomnienie kłótni Olliego z Tiffany u Lancera, w knajpce na dole.

- O-li-ver! - tłumaczyła mu wtedy Tiffany, przeciągając melodyjnie zgłoski. Popijała herbatę rumiankową. - Czy do tego stopnia jesteś zaślepiiony w tym swoim europocentryzmie, że odmawiasz sztuce etnicznej prawa do miana sztuki?

À Ollie, odchylając głowę do tyłu i patrząc w sufit, jęknął:

- Nie odmawiam, nie odmawiam. Sztuka ludowa jest sztuką, a medycyna ludowa - medycyną. Ale osobiście wolę chirurga z Park Avenue i Picassa.

Zachowi kręciło się w głowie. Oparł się o ścianę. Zamknął oczy. Przypomniał sobie wymoczony kwiat rumianku na jej spodeczku. I kawowe fusy na dnie jego filiżanki. Wyraz ślicznej twarzy Tiffany, jakby słowa Olliego bardziej ją smuciły niż gniewały. I ten lekceważący gest ręki brata. Zach przypomniał sobie jeszcze samego siebie, jak siedział między nimi, z tym wątlym uśmiechem na twarzy, i mówił:

- Wiecie, a ja jestem przekonany, że wczytując się naprawdę głęboko w mistykę Nowego Testamentu, dostrzeżlibyście, jak mało znaczące wobec transcendencji są te wasze podziały. Błogosławieni ci, którzy niosą pojednanie, albowiem są nieskuteczni.

Westchnął. Otworzył oczy. Ma tyle spraw do odkręcenia. Nigdy mu się to nie uda. Po pierwsze, policja myśli, że to

on zabił tę kobietę w starym domu. Wsadzą go za to do więzienia. Właściwie może od razu dać za wygraną.

Ale nie zrobił tego. Poruszając się z trudem, ściągnął z wieszaka sweter Tiffany. Obszerny, robiony na drutach gwatemalski sweter z surowej owczej wełny. Szary w granatowe zygzaki. „Pod Wulkanem” - głosiła metka. Sweter i spódnicę zaniósł pod toaletkę, która stała przy otwartym oknie. Poczul jesienne powietrze na skórze. Zasmuciło go to i napełniło nieokreśloną tęsknotą. Jeśli zamkną go z powodu tej kobiety w zaułku, pomyślał, zabije się. I tyle. Jeśli go oskarżą, sporządzą akt oskarżenia, zabije się. Nie wytrzyma tego. Rzuci się pod pociąg czy coś w tym rodzaju.

Otworzył szufladę z bielizną Tiffany, po czym się rozmyślił. Poszedł po własne slipy i białe skarpetki. Odsunął się od okna. Nie chciał, żeby zobaczył go ktoś z budynków otaczających ogródek Lancera.

Poszedł do łazienki. Najpierw się ogolił, starannie, uważając, żeby się nie zaciąć. Włożył slipy i skarpetki, a potem spódnicę Tiffany. Wciągnął sweter. Wiedział, że powinien się spieszyć, ale nie był w stanie skupić się na tym, co robi. W pewnym momencie po prostu stanął; stał i gapił się bezmyślnie. Na pianę ze ścinkami zarostu w umywalce. Na smugę pasty do zębów na kranie. „Te wszystkie bzdury” - pomyślał. Boże! Otrząsnął się. Otworzył lustrzane drzwiczki.

Tiffany nie malowała się mocno. Nie potrzebowała, miała naturalną kremową karnację. Znalazł jednak szminkę i jakiś tusz do rzęs. Wziął pomadkę, zatrzasnął drzwiczki. Pochylił się do lustra i umalował sobie wargi jaskrawą czerwienią.

„Pospiesz się” - myślał. Ale za chwilę bez reszty poświęcił się wykonywanej czynności. Rozsmarował szminkę starannie, zacisnął wargi zwyczajem Tiffany. Pomyślał o niej. O jej kolejnej kłótni z Olliem. Tym razem na cmentarzu przy kościele Świętego Marka. Popijając jabłecznik, stali wtedy przy jakimś zapadniętym pomniku. Oliver zakończył właśnie prelekcję w kościele, a przyjaciółki Tiffany z jej księgarni były na niego wkurzone. Trish i Joyce, radykalne feministki w nabijanych ćwiekami skórkach. Popierały twardo

Tiff. Usiłowały zabić Olliego wzrokiem. Zach dzielnie wspierał brata, tak dla zachowania równowagi. Tiff się nadała. Założyła ręce na piersi, tupnęła.

- Wiesz, Oliverze, myślę, że specjalnie udajesz płytkiego.

- Okay. - Oliver miał znużony głos. - Więc skoro nie jesteśmy zdeterminowani biologią, o Oświeconą, to co nas determinuje? Bezcielesne duchy szepczą nam na uszko?

Trish i Joyce parsknęły groźnie. Sarnie oczy Tittany rozwarły się szeroko. Przez chwilę Zachary myślał, że się rozpłacze.

- Niech cię licho, Oliverze. Gadasz tak tylko po to, żeby sobie zrażać ludzi.

- Przestańcie nareszcie - powiedział Zach zdesperowany. Położył rękę na ramieniu starszego brata. Nienawidził tego błagalnego tonu w swoim głosie. - Dlaczego wy dwoje musicie się ciągle kłócić?

Skończył się malować. Odsunął od lustra. Stał na palcach żeby zobaczyć całą postać. Obszerny sweter ukrywał jego kształty. Spódnica do kostek, białe skarpetki, drewniaki. Wywiadowca nie spodziewa się, że obserwowany wyjdzie z domu. Takie przebranie wystarczy. Musi wystarczyć.

Lecz gdy wreszcie opuścił mieszkanie i spojrzał w dół klatki schodowej, strach niemal go sparaliżował. Był rozdygotany i odrętwiały jednocześnie. Chciał biec. I chciał się i wybuchnąć płaczem. „Dobrze, Jezu, błagam” - myślał. Żałował ze wszystkich sił, że wczoraj się zaćpał. Zaczerpnął powietrza i ruszył w dół po schodach. Na głowie miał bandankę. Bawełnianą chustkę Tiffany drukowaną w łosie. Okrywała mu głowę, schodziła nisko na czoło, zasłaniała ostrzyżone na jeża włosy. Niósł płócienną czerwoną torbę podróżną i przewieszony przez mą długi płaszcz. Zastanawiał się, jak niosłaby ją kobieta, jak poruszałyby rękami. Przećwiczył to, idąc po schodach. Ugiął ręce w łokciach. Stopy stawiał tak, żeby spódnica się kołysała. „Błagam, Jezu, błagam”.

Nim zszedł na parter, był już żywą modlitwą: „Błagam, przepraszam, błagam, przepraszam, błagam, przepraszam”. Zdawało mu się, że nie wytrzyma i zesra się w gacie

z czystego strachu. Czuł ssanie w żołądku, wiercenie w jelitach. Objawy rozstroju. Wiedział, że jeśli teraz się cofnie, jeśli pójdzie do toalety, to nie zdoła uciec. Kolejne następstwo zaćpania: sraczka. Nawet jeśli ludzie Mulligana nie będą się spieszyć i wrócą dopiero za godzinę, zastaną go przykutego do kibla. Trzeba wytrzymać bóle, póki nie dotrze do Olliego.

Pchnął drzwi. Wyszedł na podest nad schodkami przed domem. Detektyw o nalanej twarzy stał dokładnie na wprost niego, oparty o samochód zaparkowany przy krawężniku. Właśnie wyrzucał kolejny niedopałek. Podniósł wzrok. Zwykła kwadratowa gęba. Dzioby po trądziku. Małe świńskie oczka. Patrzył Zachowi prosto w oczy. A Zach, zmartwiały ze strachu, stał jak idiota. I oddawał spojrzenie.

Detektyw uśmiechnął się z wolna.

„Rozpoznał - jęknął Zach w duchu. - O Jezu, tak żałuję, pomóż mi, błagam!”

I wtedy wywiadowca podniósł palec do czoła i zasalutował mu żartobliwie. A Zach zrozumiał. Gliniarz go p o d r y w a ł! Pomyślał gorączkowo, spuścił oczy, skromnie się uśmiechnął. Detektyw wyszczerzył szeroko zęby. Wyprostował się przy samochodzie, wciągnął brzuch, poprawił kraciatą kurtkę na ramionach.

Zach wstrzymał oddech. Wiedział już, że mu się uda. Strach zamieniał się w podniecenie. Poczul żar w kroczu. „Do diabła!” - pomyślał. Jeśli dozna teraz erekcji, będzie załatwiony.

Serce waliło mu w klatce piersiowej, kiedy drobił kroki w dół schodów. Ciągnął za sobą wzrok wywiadowcy jak na postronku. Rzucił mu ostatnie soczyste spojrzenie. Potem, kołyszając czerwoną torbą i zamiatając za sobą spódnica, z niefrasobliwym kobiecym wdziękiem odszedł w siną dal.

Nancy Kincaid

Nancy otworzyła oczy. Obrzuciła otoczenie długim, powolnym spojrzeniem, a potem się rozpląkała.

Dłużej już nie była w stanie wstrzymać łez. Nie krępowała się — płakała, jakby była zupełnie sama. Usta miała szeroko otwarte. Powieki zaciśnięte. Twarz ukrytą w cienkiej poduszce. Całym ciałem wstrząsały spazmy, a łzy lały się strumieniami.

„O Jezusie, Jezusie, Jezusie, czy to jestem ja? Ja jestem tym kimś?”

Połykała powietrze, łkała, szlochała.

Była przywiązana do leżanki na kółkach, stojącej pośrodku małej salki. Nogi okrywał szorstki jak derka szary koc. Zdjęto jej płaszcz, a rękaw kremowej bluzki zrolowano powyżej łokcia. Na wsporniku u góry wisiał woreczek z płynem do kroplówki, połączony przezroczystą rurką z wlewką dożylną umocowaną plastrem po wewnętrznej stronie łokcia.

Nancy jęknęła. Otworzyła oczy. Popatrzyła przez łzy na białe płytki sufitu, przez które sączyło się rozproszone światło jarzeniówek. Pociągnęła nosem, a pierś uniosła się pod krępującym ją pasem. Nie mogła przestać płakać.

Pokój, w którym leżała, był podłużny; przypominał raczej korytarz niż szpitalną salę. Pod ścianami stały wytłaczane plastikowe krzeselka. Szpitalne, niebieskie, zestawione w szereg. Większość siedzących na nich ludzi to byli Murzyni. Siedzieli z ciężko zwieszonymi głowami, z opuszczonymi szczękami. Zapadnięci w siebie jak klapnięte bryły zakal-cowatego ciasta. Jakiś stary człowiek ze szpakowatą brodą ślinił się. Otyła kobieta mówiła do siebie. T-shirt opinał jej wielkie piersi opadające na zwały tłuszczu na brzuchu. „Ja rozumiem - powtarzała. — To ty nie rozumiesz. Ja rozumiem doskonale”.

Ci pacjenci siedzieli po obu stronach Nancy. Ona leżała, przypięta pasami do wózka, w samym centrum sali, na oczach wszystkich. Pielęgniarki musiały się przeciskać między wózkiem a siedzącymi. Jedna z nich uśmiechnęła się do

niej. „Zwariowała, biedactwo” — tak sobie na pewno myślała. Dla Nancy było to nie do zniesienia. Odwróciła twarz na bok. Łzy spływały jej w poprzek nosa.

„Czy to naprawdę ja? To ja naprawdę jestem tym kimś?”

Pielegniarki przeciskały się nieustannie, nosząc jakieś dokumenty. Jedna z nich prowadziła pod rękę wychudzoną Murzynkę. Kobieta miała wzrok wbity w podłogę i powłóczyła nogami. Nancy odprowadziła ją wzrokiem do wyjścia. Zobaczyła, że siedzi tam strażnik, kilka pustych niebieskich krzesel ma tylko dla siebie. Obserwował uważnie salę, starając się nie zwracać na siebie uwagi. Obok niego stała wysoka bramka: wykrywacz metalu. „Trzeba mieć na oku tych wariatów - tak musi sobie myśleć, przyszło Nancy do głowy. - Nie wolno spuścić z oka tych świrów”.

Przypomniało się jej, jak wrzeszczała. Jak rzucała się, wbijała pięty w podłogę, krzyczała wniebogłosy. To była ona? Obrazy i wspomnienia przepływały powoli przez zamglony umysł. „To byłam ja?” Myśl błysnęła w mroku jak neonowa reklama i zgasła. To było bardzo męczące. Ta kroplówka... pewnie jej pompują jakiś narkotyk. Tak jej się chce spać. Myślenie sprawia trudność. Na pewno wkraplają jej jakieś tajemnicze narkotyki, korzystając z tego, że jest unieruchomiona i bezradna. Chciałoby się jeszcze krzyczeć. Krzyczeć bez przerwy. Jak oni mogą! Robią z nią wszystko, co chcą. Bo ona jest świr. Wariatka. Bez piątej klepki. Psychiczna...

Roześmiała się sennie przez łzy. „Jezu, Jezusie, Jezusie...” - myślała. A jeśli ona taka jest rzeczywiście? Jeśli po prostu zapomniała o tym, jeśli uciekła stąd, poszła w świat...?

„Tak, ona ma taki zwyczaj. Chodzi po różnych instytucjach i twierdzi, że tam pracuje. Czasami jej się udaje, ale to osoba chora psychicznie. Słyszy głosy, ma zwiady. Dziękujemy, że ją tu z powrotem przywieźliście...”

A jeśli to, co jej się wydawało własnym życiem, to tylko sen... marzenie o tym, jak życie mogłoby wyglądać, gdyby nie była...

„Kompletną wariatką z wariatkowa”.

Uśmiechnęła się, jeszcze bardziej sennie, przymknęła powieki. Tyle płaczu... każdego by to wycieńczyło. Miesza się

od tego w głowie. I ta wstrętne kroplówka, coś tam w niej jest, na pewno. Z trudem udaje się dźwignąć powieki...

Nagle otworzyła szeroko oczy. Serce tłukło się szybko. Zasnęła? Nie wiedziała o tym. Nie wiedziała, ile czasu minęło. Czuła czyjaś rękę na ramieniu. Przekręciła głowę. Popatrzyła.

Wisiała nad nią jakaś twarz. Czarna i okrągła. Jak czekoladowy księżyc w pełni na białym niebie. Pochylone czoło z połyskliwego ciemnego granitu. Wielkie, surowe, brązowe oczy.

- Kto...?

- Spokojnie - powiedziała Murzynka. Poklepała Nancy po ramieniu. Dziewczyna poczuła twarde odciski jej dłoni. Opuściła wzrok. Aha, to pielęgniarka. Jasne. Murzynka jest pielęgniarką. Biały wykrochmalony uniform z lamówką bordo. Kobieta jest krępa i ciężka. Grube, mięsiste ręce, nagie przedramiona.

- Uwolnimy cię z tego - oznajmiła.

- Tasio - odparła Nancy. Chciała powiedzieć „Tak, siostrze”.

Odgłos zdzieranego plastra. Pielęgniarka wyjęła igłę kroplówki z żyły.

- Jak się czujesz? Pozbierałaś się trochę? Nie będziesz rozrabiać? Dość mam tu kłopotów, rozumiesz?

Nancy spróbowała kiwnąć głową. Coś dziwnego działo się z jej oczami. Jakby nie trzymały się głowy. W ustach miała jakiś żrący niesmak.

- Jestem siostra Anderson - przedstawiła się pielęgniarka. - Zaprowadzę cię teraz do lekarza. - Paroma wprawnymi ruchami odpięła pasy przytrzymujące tułów Nancy. Zdjęła koc z nóg, odpięła następne. I jeszcze następne. Było przy tym trochę hałasu: szczęk klamerek, szelesty, skrzypienie. Mnóstwo roboty.

Nancy oddychała z ulgą. Wreszcie wolna!

- Chodź - powiedziała siostra Anderson.

Nancy poczuła jej chropowatą dłoń na swoim ręku. Z trudem usiadła na leżance. Miała wrażenie, że znalazła się na rozszalałym morzu. Wąskim białym pokojem zakołysało tak

silnie, że zaczęła się bać, by pacjenci nie pospadali ze swoich niebieskich krzeseł. Zachwiała się.

- Trzymam cię - usłyszała uspokajający głos Murzynki. Ciężka ręka objęła jej szczupłe ramiona. Nancy oparła się o sztywny materiał pielęgniarzkiego fartucha. Poczowała pod nim miękkie, masywne ciało. Pokochała tę kobietę. Za siostrą Anderson poszłaby w ogień.

Poszły tylko korytarzem. Jedna z wielu pielęgniarek z jedną z wielu powłóczących nogami pacjentek. Głowa Nancy zwieszała się na piersi tak samo jak u tej wychudzonej Murzynki, której się przyglądała poprzednio. Stopy - wciąż w jej własnych pantoflach na niskim obcasie - nie chciały się oderwać od podłogi; mogła tylko szurać nimi po wykładzinie.

Znalazły się w wąskim przejściu. Ściany z betonowych pustaków, po lewej stronie rząd drzwi.

- Tutaj - powiedziała siostra Anderson. - Siadaj, lekarz zaraz przyjdzie.

Weszły do maleńkiego pokoiku. Ciasna klitka. W kącie regał na akta. Biurko z blatem z drewnopodobnej płyty. Stolik z tego samego tworzywa. Półki na ścianach ze stertami papierzysek. Dwa krzesła: tani fotel obrotowy za biurkiem, metalowy z czarnym obiciem, i niebieskie krzesło dla gościa. Wytarte linoleum na podłodze, widać tylko kawałek, reszta zastawiona meblami.

- Siadaj - powtórzyła siostra Anderson.

Nancy ostrożnie osunęła się na plastikowe krzesło. Wydawało się jej, że głowę ma rozdętą do niewiarygodnych rozmiarów, ale zdołała jakoś ją podnieść. Pokiwała nią siostrze Anderson, posłała jej uśmiech posłusznej dziewczynki. „Widzisz, że już nic mi nie jest? Grzeczna dziewczynka ze mnie, prawda? Nie będę już sprawiać żadnych kłopotów, co to, to nie". Jakby ją jeszcze raz przypięli do tego łóżka na kółkach, to naprawdę by oszalała.

Siostra Anderson pokiwała grobowo swoją ciężką głową. Potem wyszła.

Nancy siedziała na plastikowym krześle, sama, z potulną miną. Ramiona zgarbione, ręce złożone na podolku. Przypatrywała się uważnie chromowanej metalowej nodze stojącego



przed nią biurka. „Przepraszam, panie doktorze — mówiła w myślach — czy mogłabym skorzystać z telefonu?” Pokręciła głową, zaczęła jeszcze raz: „Bardzo pana przepraszam, nie chciałabym sprawiać kłopotów, w żadnym razie, ale gdyby była taka możliwość, na przykład trochę później, no i gdyby telefon był wolny...” Wypuściła z drzeniem powietrze. Może nawet nie będzie musiała pytać i prosić? Może po prostu pozwolą jej zadzwonić do matki? Na pewno pozwolą. Może już sami do niej telefonowali. Najlepiej po prostu poczekać; nie robić kłopotów.

Telefon na biurku wydał z siebie niegłośnie „pipipi”. Ośmieliła się podnieść odrobinę wzrok i zobaczyła, że lampka w aparacie miga. Na blacie leżał stos dokumentów, otwarty skoroszyt, w nim jakieś formularze. Parę ołówków.

— Ach, nowa ofiara!

Gwałtownie obróciła się ku drzwiom. Stał w nich człowiek. Mężczyzna w podeszłym wieku, w znoszonym czarnym garniturze, w czerwonym krawacie rozluźnionym pod szyją. Pochylony, z rękami w kieszeniach marynarki. Proste siwe włosy opadały mu na czoło z jednej strony. Plamista twarz z bladymi wargami, które uśmiechały się uprzejmie, małe oczka, lśniące wesoło na jej widok.

Nancy przybrała odpowiednią minę: serdeczną, pełną szacunku. Mniej więcej taką, jaką witała doktora Blooma, odkąd skończyła trzynaście lat.

— Dzień dobry, panie doktorze — powiedziała. Wyjął z kieszeni jedną rękę, wyciągnął do niej dłoń.

— Nie, nie, nie „panie doktorze”; jestem zwyczajnym terapeutą, proszę się tak do mnie zwracać. A najlepiej po prostu Billy Joe. Billy Joe Campbell, do usług. A pani...?

Zdobyła się na uprzejmy ukłon.

— Nancy Kincaid.

— Aha — powiedział mężczyzna. Podeszedł energicznie, zasiadł w fotelu obrotowym i popatrzył na nią. Telefon wciąż dzwonił, ale on nie zwracał na to uwagi. Pochylił się z krzesłem do przodu, tak że niemal dotykał jej kolan swoimi. Zbliżył ku niej twarz, wesołe oczy świeciły. — Pani - wyrzekł powoli — się boi!

Nancy zacisnęła wargi. Jak brzmi prawidłowa odpowiedź?

— Tak, trochę. - Starła się, żeby jej słowa brzmiały wyraźnie. - Właściwie bardzo.

Uśmiechnął się. Ujął jej dłoń złożoną na kolanach, przytrzymał oburącz.

— Nie dziwię ci się. - Jego ręce były chłodne i suche; i dodawały otuchy. — To, co się z tobą dzieje, może przerazić. A zadanie, które masz przed sobą, jest jeszcze bardziej zatrważające.

Patrzył jej w oczy, zupełnie nie zwracał uwagi na dźwięk telefonu. Nancy dostrzegła w kąciku jego oka odblask migającej lampki.

— Zadanie? — Jej głos brzmiał ochryple.

— Tak jest! - Odchylił się w fotelu, ale nadal trzymał ją za rękę. Telefon wreszcie ucichł. - W rzeczywistości jest to coś w rodzaju podróży. Dalekiej drogi w ciemność. Przygody: dla każdego innej, a mimo to dla każdego niemal dokładnie takiej samej.

Oblizła wargi, lekko potrząsnęła głową. Radosne światło tańczące w jego oczach przykuwało uwagę. Nie potrafiła znaleźć niczego sensownego, co mogłaby powiedzieć.

— Każdy — ciągnął — ma... swój talizman i musi go odnaleźć. Trzeba się poddać próbie. I wyjść z niej zwycięsko. Trzeba rozwiązać zagadkę. A w końcu, w miejscu najciemniejszych z ciemnych - przerażająca postać; to Obcy, twoje własne „Ja”, którym nie chcesz być ponad wszystko. I tylko wtedy, gdy się zdobędziesz na odwagę, żeby zjednoczyć się z tą jaźnią - wtedy poznasz zakłęcie.

Nancy potrafiła tylko kręcić głową z niedowierzaniem.

— Zakłęcie?

A on, skinąwszy głową, potwierdził jedynie:

— Owszem, zakłęcie.

A potem zwiesił brodę na piersi i tylko zerkał spod krzaczastych brwi.

— No... a ja? Co trzeba zrobić? - zdecydowała się zapytać po dłuższej chwili. Wydawało się jej, że musi to jakoś rozwinąć. - To znaczy, co teraz? Od czego zaczynamy?

— Ach! - Zachichotał porozumiewawczo. — Przede wszystkim musimy zabić Żydów.

- Co?!

- Chodzi mi o wszystkich Żydów. Trzeba ich zabić, a trupy wysłać na księżyc.

Nancy nadal wpatrywała się w te pogodne oczy, a jej szczęka opadała powoli.

- Będzie fajnie, no nie? - dodał mężczyzna. Nancy wyrwała dłoń z jego uścisku.

- Przecież... pan... pan... jest wariatem!

- A TY TO NIBY KIM JESTEŚ?! - wrzasnął. Zerwał się na równe nogi i zaczął wymachiwać rękami. — A ciebie, mała, dlaczego zamknęli? Z powodu wysypki???

- Billy Joe! - To była siostra Anderson. Wpadła z roz-falowaną piersią.

- Co ty tu robisz? Natychmiast przestań krzyczeć na to dziecko! Słyszysz? Ale już!

Mężczyzna zgarbił się. Wciągnął głowę w ramiona jak żółw.

- Oczywiście, siostró Anderson - wymamrotał.

- Wracaj do siebie, zanim się zdenerwuję! Już! Natychmiast!

Billy Joe rozpląszczył się niczym kartka papieru, żeby wyminąć tęgą pielęgniarzkę. Zdołał się jakoś precyzyjnie, całkiem szybko - i wyślizgnął się z pokoju.

- Mam tutaj do czynienia z samymi wariatami - obwieściła siostra Anderson ponuro. Pokręciła głową. Swoje wielkie surowe oczy skierowała na Nancy, która siedziała przykuta do krzesła; prawdę rzekłszy, przyspawana: plecy proste, twarz zastygła w niemym krzyku, jakby to było krzesło elektryczne. - Ale nie przejmuj się tym zupełnie. On jest niegroźny. Lekarz już idzie.

Nancy okręciła się jak fryga: rozgorączkowanym wzrokiem spojrzała na drzwi. „Zakłęcie? Zakłęcie? Rany boskie! Zabierzcie mnie stąd!” — wołała w duchu.

Wtedy, pogwizdując, niedbałym krokiem wszedł lekarz.

Oliver Perkins

— *Zwierzęca Godzina.*

Perkins zaskoczony podniósł wzrok.

— *Zwierzęca Godzina i inne wersie.*

— No - potwierdził Perkins. — A bo co?

— To książka.

— No.

— Pan to napisał.

— Człowieku, mów, o co chodzi!

Policjant zamrugał, ale jego twarz pozostała bez wyrazu. „Dziwaczny, niebezpieczny człowieczek” — pomyślał Oliver. Niski. I ta łagodna, krągła buzia. Mopsi nos. Kędzierzawe włosy wysoko nad czołem. Mruga nieustannie za okularami, ale minę ma zawsze taką samą. Mówi wysokim, jasnym głosem i nigdy nie zmienia intonacji. No i nie zdejmuje swojego prochowca.

Nazywa się Nathaniel Mulligan, jest detektywem nowojorskiej policji stanowej. Siedzą obaj w salce komisariatu Szóstej Dzielnicy. W jednym z tych bezdusznych pomieszczeń, w jakie obfitują urzędowe budynki. Zielone ściany z betonowych pustaków. Jasne linoleum na podłodze. W oknie żaluzja z plastikowych szczebelków, przez które nic nie widać. Korkowe tablice z poprzypinanymi karteluszkami. W pomieszczeniu cztery biurka z chromowanych rurek z drewnopodobnymi blatami. Wszystkie cztery puste. Cztery krzesła obrotowe z czarnego tworzywa. Mulligan stał z rękami w kieszeniach prochowca. Patrzył w dół na przesłuchiwanego. Mrugał.

Milczenie detektywa przeciągało się. Najwyraźniej jedna z jego sztuczek. Chodzi o potęgowanie napięcia. To działa. Perkins, choć niechętnie, musiał to przyznać. Za każdym razem, gdy rozmowa utykała, powracała do niego twarz dziewczyny, to spojrzenie z głębi miski klozetowej. „Ona kiedyś żyła — myślał wciąż. - Miała ciepły, kobiecy głos”. Przypomniał sobie teraz te ekipy telewizyjne przed bramą zaułku. Jak się tłoczyły wokół funkcjonariusza, który w białym plastikowym kubie niósł tę głowę. Rany, jeśli babcia to

widziała w wieczornym dzienniku... To ją może zabić. A co z Zachem? Co się z nim właściwie dzieje? Gdzie on się podziewa, do jasnej cholery?!

Mulligan wyciągnął rękę z kieszeni. Trzymał w niej tomik. Zamknięty w torebce z przezroczystej folii, ale i tak Perkins rozpoznał go natychmiast. Biała okładka, drobny czarny druk. Mulligan położył książkę na blacie, zatrzymanemu przed nosem. Ten zerknął:

Oliver Perkins *Zwierzęca Godzina i inne wiersze*

Na kartce pod jego nazwiskiem widniała rdzawa smuga. Druga zamazywała „r” w słowie „wiersze”. Pewnie krew. Rany boskie. Ile tej krwi!

— Skąd pan to wziął? — wycharczał z trudem.

— Leżało na podłodze przy łóżku — wyjaśnił Mulligan. - Przy zwłokach. Pan nie wie, skąd się tam wzięło. - To była jego kolejna sztuczka. Nie zadawał pytań. Od razu odpowiadał. To nadawało jego wypowiedziom pewien drwiący wydźwięk — mimo że nigdy nie zmieniał tonu, nie dodawał ironicznego „oczywiście”. No, a przez to każde sprostowanie brzmiało jak kłamstwo.

— Nie wiem — powiedział Perkins. Oparł łokieć na blacie, pocierał nos dwoma palcami. Zamknął oczy. W takim miejscu trudno się myśli. Trzeba znaleźć Zacha. Trzeba jakoś oględnie przekazać wiadomości babci. Jest późno, minęła już pierwsza. Najpierw go trzymali pod domem, potem w komisariacie. Godzinami. Potem go przesłuchiwali. Godzinami. - Rzeczywiście nie wiem, skąd się tam wzięło.

Mulligan wrócił do sztuczki z milczeniem. Perkins omal nie jęknął głośno.

Wyprostował się. Uniósł powieki. Nie patrzył Mulliga-nowi w oczy. Spojrzał na zatłoczone korkowe tablice. W przesłonięte żaluzjami okna. Przynajmniej fizycznie czuł się trochę lepiej. Dobrze, że wyrzygał, to mu pomogło. Potem dostał od jakiegoś funkcjonariusza precla i kawę.

Przełknął trochę, zanim znów mu się przypomniała głowa tej dziewczyny. „Zobacz, co z e m n ą zrobili, Oliverze”. Rany boskie!

W każdym razie kac trochę przechodził. To trzeba zapisać na plus. Na minus natomiast — że aresztowano go pod zarzutem morderstwa. Życie jest brutalne i pełne zasadzek, to musiał przyznać.

— Ten dom w zaułku - mówił spokojnie Mulligan. — Nie jest pan jego właścicielem.

— Nie. - Perkins wydał policzki, wypuścił powietrze. -Nie, nie. Należy do mojej babci.

— Nazwisko...

— Mary Flanagan.

Perkatonosy detektyw mrugnął po swojemu kilka razy. Światło jarzeniówek odbiło się w jego szklach.

— Przyjemny lokal — powiedział.

— Mhm.

— Ale pusto tam.

— Babcia chce to sprzedać.

— I ma klucz.

— Tak.

— Tylko ona.

Perkins się zawahał. Instykt samozachowawczy niemal skłonił go do kłamstwa. Lecz ponieważ ten łysiejący niski facet w prochowcu cały czas mrugał na niego dobrotliwie, Oliver uznał, że kłamstwo to nie najlepszy pomysł w tej sytuacji.

— Mój brat ma klucz. Zachary.

Mulligan lekko przekrzywił głowę, jakby się z nim zgadzając.

— Pański brat, Zachary.

— Tak. Rodzina. Wszyscy mamy klucze. No i agent pośrednictwa nieruchomości, on pewnie też. Każdy mógł wejść.

— Pan wszedł dziś rano.

— Tak.

— Dlatego, że...

Perkins znowu się zawahał. I znów Mulligan stał bez ruchu, bez emocji, z rękami w kieszeniach trencza, z łagod-

nym wyrazem twarzy. „Dlaczego nie zdejmie tego cholernego płaszcza?” — pomyślał kwaśno Perkins.

— Że szukałem Zacha — powiedział.

— Pańskiego brata.

— Tak.

— Znaczący: zginął.

— Nie! - „Cholera!” - Nie, wcale nie zginął. Po prostu... nie wiedziałem, gdzie jest - zakończył nieporadnie.

— I nie było go w tym domu.

— Nie było.

— Tylko ta kobieta na górze.

Perkins pokręcił głową. Miał już tego wszystkiego dość. Jeśli ten mały dziwak chce odpowiedzi, to, do jasnej cholery, niech przynajmniej zadaje pytania!

Detektyw mrugał, wlepiając w niego wzrok. Perkins naburmuszył się, oddał mu spojrzenie. Postanowił przetrzymać kolejną pauzę.

— Ta martwa kobieta nie miała klucza - powiedział w końcu Mulligan monotonnym jak zwykle tenorem.

— Skąd mam wiedzieć?

— No właśnie. Nie znał jej pan.

— Już panu mówiłem.

— Racja. Ale przy jej ciele był egzemplarz pańskiej książki.

Perkins przewrócił oczami.

— Przy jej ciele był egzemplarz mojej książki.

— A pan nie potrafi tego wyjaśnić.

— Może była moją wielbicielek. Przecież lubiła mieć głowę w kiblu. - Jak tylko to powiedział, poczuł się fatalnie. I nawet Mulligan zmienił wyraz twarzy: wydał wargi jakby z lekkim niesmakiem. Mimo to Perkins ciągnął spokojnie: -Przecież mówiłem panu. Nie znam jej. Nigdy jej nie widziałem. I nie wiem, skąd się tam wzięła książka.

To doprowadziło tylko do kolejnego pełnego napięcia milczenia. „Jak on może - zastanawiał się Perkins — tak sobie stać jakby nigdy nic? Ręce w kieszeniach, zero emocji, zero ruchu”. Złapał się na tym, że przygląda się detektywowi w napięciu, czeka na jego słowa jak na zbawienie. Jasnozielone ściany, porysowana jasna podłoga, zasłane papierami

biurka: to wszystko zaczęło mu się wydawać nierealne jak hollywoodzka dekoracja. Zaciśnął zęby.

— Wczoraj, panie Perkins - odezwał się wreszcie Mulligan. - Co pan robił wczoraj wieczorem, niech mi pan opowie.

— Miałem wieczór poetycki w klubie.

— W tej kawiarni z barem, której jest pan właścicielem.

— Tak jest. Wróciłem do domu około pierwszej w nocy. Z dziewczyną.

— O nazwisku...

— Nie wiem. Na imię miała Milly. Nie pamiętam nazwiska. Mogę się dowiedzieć. Może Molly.

— Milly Molly.

— Nie, nie. Ta na imię miała Molly. Może Mindy.

— Molly Mindy.

— No dobrze, dowiem się w kawiarni. Mulligan lekko przekrzywił głowę.

— Pan zna tam ludzi - stwierdził. - W tej kawiarni. Znał pan tych, co byli na wieczorze autorskim.

— No pewnie. Tak. Prawie wszystkich.

— Oprócz Molly.

— No... wie pan.

— Pańskiego brata tam nie było.

— Zacha? Nie.

— Ani pańskiej babki.

— Moja babka ma osiemdziesiąt lat i chore serce. Nigdzie nie wychodzi. Proszę ją zostawić w spokoju.

— A jak jest z Tiffany Bernstein?

Pytanie padło jak grom z jasnego nieba. Perkinsa prawie zamroczyło. Krew odpłynęła mu z twarzy. Włos... Przypomniał sobie pojedynczy platinowy włos z narzuty na łóżku.

— Skąd pan zna Tiffany?

— To dziewczyna pańskiego brata.

— Skąd pan to wie? Co tu się dzieje?

— Panie Perkins, kiedy ostatnio widział pan Tiffany Bernstein?

Perkins przełknął ślinę. Znów go zapiekło w żołądku.



— W piątek. W piątek, a bo co?

— I był z nią pański brat.

- Tak, tak, oczywiście. Ale...

- Pański brat jest dziennikarzem magazynu ilustrowanego, czy tak?

- Tak, tak, ale chwileczkę! Co tu jest grane, do jasnej cholery? Skąd pan tyle wiesz o Zachu? - Detektyw swoim zwyczajem milczał. Perkins nagle uderzył pięścią w otwartą dłoń. - No, Mulligan. Skończ pan z tym wreszcie!

Milczenie ciągnęło się jeszcze chwilę. Potem Mulligan zaczerpnął powietrza. Perkins widział, jak jego prochowiec uniósł się na piersi i opadł. Powoli, nie zdejmując z Perkinsa wzroku, detektyw sięgnął do wewnętrznej kieszeni płaszcza. Wyciągnął kopertę z szarego papieru, a z niej - zdjęcie. Miękkim ruchem położył ją na książce Perkinsa.

Poeta popatrzył na fotografię. Była niewyraźna, o grubym ziarnie. Dwie twarze pochylone ku sobie w cieniu.

- Poznaje pan ich? - chciał wiedzieć Mulligan.

Perkins wzruszył ramionami. Nie podniósł oczu na detektywa. Przyglądał się twarzy po prawej stronie. Wydatna szczeka w stylu Dicka Trący. Oczy uczciwe, gorliwe, wszechwidzące. Pokazał niezdecydowanie. - Ta mi wygląda na policjantkę - mruknął. Mulligan chrząknął z cicha. Kiedy Perkins podniósł

wzrok, wydawało mu się, że dostrzega błysk rozbawienia w tym bezlitosnym spojrzeniu.

- Gus Stallone - powiedział Mulligan. - Federalne Biuro Śledcze. Tajna agentka specjalna. - Po chwili dodał: - Niewątpliwa mistrzyni kamuflażu. Perkins w odpowiedzi zdobył się na nikły uśmiech. Ale wiedział, co go czeka za chwilę.

Mulligan z lekka się poruszył: pochylił odrobinę głowę w kierunku zdjęcia. Chodzi o tego w samochodzie, panie Perkins - powiedział. - Niech pan się przyjrzy człowiekowi w samochodzie. Perkins znów wzruszył ramionami. Czy to pański brat? - ciągnął detektyw. - Czy to Zachary? Prosiłbym, żeby się pan przyjrzał dokładniej.

Perkins wziął głęboki wdech. Popatrzył jeszcze raz. Nie widział przedtem człowieka z lewej strony, siedzącego w samochodzie. Zdjęcie było za ciemne. Teraz dostrzegł zarys

samochodowego okna. Mężczyzna wychylał się z niego, najwyraźniej rozmawiał z agentką. Jego twarz była okrągła jak twarz Zacha. Ostrzyżony był na jeża, też jak Zach. To już wystarczyło, żeby Perkins poczuł się nieswojo. Ale rysy...

- Niewyraźnie widać. Nieostre - powiedział cicho. - Tak czy owak...

„Po co Zach miałby gadać z agentką FBI?” - chciał dodać. Ale ugryzł się w język. Po chwili odchrząknął.

- Trudno mi powiedzieć. Zbyt niewyraźne. Nie mam pewności.

Mulligan zamrugał wściekle, ale Perkins nie dał się zbić z tropu. „Przecież to prawda” - pomyślał. Po prostu nie mógł być pewny. Mulligan przez chwilę jeszcze przedłużał milczenie. Ale wreszcie znów sięgnął do koperty. Wyciągnął następną fotografię. Położył na poprzedniej.

- O rany! - syknął przez zęby Perkins. Poczuł lekkie łaskotanie podniecenia w łędźwiach.

Zdjęcie przedstawiało kobietę odbywającą stosunek analny. Była naga, pochylona do przodu, obiema rękami mocno wspierała się o stół. Zakryta była jedynie jej twarz - całkowicie przesłonięta czarną skórzaną maską-kapturem, zapiętą na suwak z tyłu. Na szyi miała obrozę. Trzymał za nią nagi mężczyzna, szarpał do tyłu. Kobieta wyginała grzbiet, kiedy ten w nią wchodził.

Perkins wysunął język i dotknął warg. „Rany boskie!” Bardzo szczupła kobieta o ciemnej karnacji. Na plecach piegi, pieprzyki. Spod kaptura wystawało trochę włosów. Były czarne z platynowymi pasemkami. „Może ja wcale nie widziałem tego platynowego włosa na narzucie - pomyślał Perkins. - Może go sobie tylko wymyśliłem”.

- Czy to Tiffany Bernstein, panie Perkins? - zapytał Mulligan. - Czy to dziewczyna pańskiego...?

- Chryste, nie mam pojęcia - wciął się ostro Oliver. -Przecież jest w masce, na litość boską! Znaczy, przecież, na litość boską, Mulligan, skąd ja mam...?

Łup! Mulligan zrobił to tak błyskawicznie, że Perkins nawet nie dostrzegł jego ruchu. Ręka mężczyzny opadła ciężko, kładąc trzecie zdjęcie na poprzednie dwa.

- A tę, panie Perkins? Rozpoznaje pan tę? - Głos detektywa brzmiał cały czas łagodnie. To niesamowite.

Perkins popatrzył.

- O, cholera - powiedział.

Dziewczyna na fotografii uśmiechała się spod uniwersyteckiego biretu z czworokątnym płaskim denkiem i kitką. Jej uśmiech był równocześnie nieśmiały i pełen dumy, policzki miała kształtne i dziewczęce. Ciemnoblond włosy spływały na ramiona bujnymi splotami, w których połyskiwał blask flesza. Perkins musiał na chwilę zamknąć oczy. Tak, rozpoznawał ją, a jakże. Kiedy spojrział znowu, por-celanowoblękitne oczy wciąż nań patrzyły. Miały wyraz nieopisanej słodczy, nadziei i smutku.

- Mówiłem - rzekł chrapliwie. Odchrząknął. - Mówiłem panu, że jej nie znałem, panie Mulligan.

- Tak, a to naprawdę szkoda - powiedział detektyw łagodnie. Perkins czuł na sobie ciężar jego kamiennego wzroku. Tego spojrzenia bez wyrazu. - Spodobałaby się panu.

Poeta pokiwał ze znużeniem głową.

- To było urocze dziecko - ciągnął policjant. - Wie pan, z tych, co to późno rozkwitają. Z tych, co to, wie pan, długo są dziewczęce. Miłe. Pełne ufności. Jak to dziewczynki. Wie pan, patrzy taka na pana... - Głos mu uwiązł w gardle.

Perkins rzucił mu spojrzenie. Oczy detektywa nadal patrzyły beznamiętnie, ale usta zacisnęły się w kreskę. Chwilę trwało, zanim wrócił do opowiadania.

- Kilka razy z nią rozmawiałem — odezwał się wreszcie. — Gadułka aż miło. Serce na dłoni. Wie pan. Raz po raz jakiś żarcik, przewracanie oczami. Śmiech. Takie raczej chichotanie; jak to u dziewczynki. Opowiadała, że chciałaby zostać tancerką. Że chciałaby poznać faceta. Założyć rodzinę. Była dzieckiem: mnóstwo rzeczy chciała.

Wzrok Mulligana przeniósł się na zdjęcie. Perkins też w końcu na nie spojrział. „To prawda” - pomyślał. Żyła. Miała kobiecy głos, chichotała i żartowała mimochodem. Żyła, kiedy podchodzono do niej z nożem. Była żywa i świadoma do samego końca...

— Jak...? — Znow musiał odkasznąć. Przełknąć ślinę przez ściśnięte gardło. - Jak miała na imię?

- Nancy. — Mulligan odparł niemal szeptem. - Nancy Kincaid.

Nancy Kincaid

— Nnann-cyyy — mamrotał lekarz, wpisując jej nazwisko. - Kinn-ccaaaid. Dobrze. — Podniósł wzrok znad formularza. Uśmiechnął się. - Adres?

— Gramercy — powiedziała cicho. — Mieszkam z rodzicami przy ulicy Gramercy.

- Grraaa-mmeer-cyyyy...! A obecnie...? Niech to szlag! Telefon na biurku znow zaświergotał, lampka zaczęła błyskać.

- Przepraszam — powiedział lekarz. Westchnął i podniósł słuchawkę.

Nancy siedziała na swoim plastikowym krześle naprzeciwko biurka. Wciśnięta w tym maleńkim pomieszczeniu pomiędzy stolik i skrzydło otwartych drzwi. Korytarzem tam i z powrotem chodziły pielęgniarki z dokumentami pod pachą. Czasami powłóczył nogami jakiś pacjent. Nancy zdawało się, że słyszą każde jej słowo, widzą wszystko, co robi. Ręce wciąż trzymała złożone na podołku. Brodę zwieszała na piersi. Wbijiała wzrok w dziurę wypaloną papierosem w linoleum podłogi. Ze wszystkich sił starała się być nieszkodliwa.

Wgapiła się bez przerwy w tę dziurę, podczas gdy lekarz rozmawiał przez telefon. Odkąd pojawił się w pokoju, niemal nie odrywała od niej wzroku. Rzucała mu tylko pełne uległości i szacunku spojrzenia, kiedy odpowiadała na pytania, po czym znow spuszczała oczy. Może za dużo przygląda się tej dziurze, pomyślała. Może lekarz napisze w karcie: „Za wiele przygląda się wypalonym dziurom. Dziwne.

Bardzo dziwne". Zaryzykowała i zerknęła na niego. Siedział pochylony, z łokciami na biurku. Rozcierał sobie czoło wolną ręką.

- Nie. Nie. Ona ma być jeszcze na lekach przynajmniej przez trzy dni. No, wytłumacz im. Nie mam teraz czasu. Nie. Nie. Wytłumacz im. Nie mam czasu.

Rozpoznała w nim tego lekarza ze strzykawką, tego samego, który wpompował jej pełno jakiegoś świństwa, kiedy wrzeszczała. Młody mężczyzna, koło trzydziestki, albo zaraz po. Zwichrzone ciemne włosy, czarna spiczasta bródka, która wcale nie odbiera mu chłopięcego wyglądu. Tweedowa marynarka z naszytymi na łokciach łatami. Krawat z czarnej dzianiny i koszula w prążki. „Młody ambitny” w każdym calu.

- Wytłumacz rodzinie. Teraz mam pacjentkę. Tak. -Odłożył słuchawkę. - Dobrze, dobrze, dobrze, dobrze. -Poklepał się w czoło. - Na czym skończyliśmy?

Doktor Schoenfeld. Tak się nazywał. Tomasz Schoenfeld. Przyzwoity gość. Troskliwy, o dobrym sercu. Przyjaciele pewnie mówią do niego „Tom”, pomyślała Nancy, albo „Tomku”. „Hej, Tomku, może byśmy wychylili parę piwek, jak już się wyrwiesz dziś wieczór z tego wariatkowa?” Matka pewnie mówi do niego „Tomaszu”. I grozi mu po macierzyńsku palcem. „Tomaszu Schoenfeld, wszystkie ładne panny ci przelecą koło nosa, jak będziesz pracował w takim potwornym miejscu”.

„I wystarczy jego podpis - myślała Nancy. - Wystarczy jego podpis na kawałku papieru i zamkną mnie tutaj. Zamkną razem z tym świrem Billym Joe. «Nieraz jeszcze sobie tutaj pogadamy, Nancy. Wspólnie musimy odnaleźć Zakłęcie»”.

- No dobrze - powiedział doktor Schoenfeld. Obrócił się z fotelem, żeby znaleźć się dokładnie naprzeciw niej. Nancy twardo gapiała się na wypaloną dziurę w podłodze. -Przepraszam za tę przerwę.

Nie szkodzi - mruknęła. Przecież nigdzie się nie spieszy, prawda?

Nikt tutaj nad niczym nie panuje - podsumował. z,a ostrą bródką uśmiech miał łagodny. Ośmieliła się lekko

rozpogodzić w rewanżu. — A więc - powiedział - wypełnialiśmy formularz wywiadu. Narkotyki?

- Co?

- Używała pani jakichś narkotyków? Alkoholu?

— Ach, nie.

— No, bo przed chwilą była pani mocno podniecona. To może być skutek narkotyków.

Pokreśliła głową.

- Policja twierdzi, że na mieście też pani nieźle narozrabiała. Zdaje się, że miała pani szczęście, że ją tutaj przywieźli. Mogliby po prostu panią oskarżyć i miałyby pani prawdziwe kłopoty.

Pokiwała potulnie głową.

- A więc? — pytał lekarz. - Powie mi pani, na czym polega problem? — Podniósł brwi; czekał. Pochylony do przodu, ręce złożone.

A Nancy pomyślała: „No dobrze, niech się dzieje, co chce”. Doszło do niej, że to jedyna okazja, żeby to wszystko wyjaśnić. Opowiedzieć swoją wersję, starając się, żeby zabrzmiało to jak najrozsądniej. Bo inaczej ją zamkną. Doktor Tomek złoży swój podpis i zamkną ją tutaj na amen, a wtedy...

„Zwierzęca Godzina. Ósma. Musisz tam być”.

O nie, tylko znowu nie to. Odpędziła tę myśl w mrok. Musi o tym zapomnieć. Tylko spokojnie. Myśleć spokojnie. Zabrzmieć spokojnie.

Spróbowała wziąć się w garść. Nie myśleć o ciasnocie pomieszczenia, napierających zewsząd regałach, biurkach, krzesłach, papierach. O pielęgniarzach z dokumentacją, cały czas chodzących korytarzem. Podśmukających. Przełknęła ślinę, zebrała się w sobie.

— No więc... — to był jej najbardziej rozsądny głos, jej dorosły głos. Dzieje się ze mną... ee... coś bardzo dziwnego dziś od rana. - Popatrzyła na lekarza, uśmiechnęła się szybko. - To mało powiedziane! No, w każdym razie poszłam dziś rano do pracy...

Znów zapiszczał telefon.

— Niech to szlag trafi! — wykrzyknął lekarz. — Przepraszam, Nancy, przepraszam. Jedną chwileczkę. - Złapał za

słuchawkę. - Co? Nie. Nie! Teraz nie mogę, mam pacjentkę. Oddzwonię za chwilę. - Rzucił słuchawkę z trzaskiem. Pokręcił głową. - Przepraszam. Niech pani mowi dalej.

Ale ją ta przerwa wytrąciła z równowagi. Serce zaczęło walić jak młotem. A co będzie, jeśli znów wszystko pokręci? jeśli straci panowanie nad sobą? Chryste, jeśli znów ją przywiążą do tej leżanki... Nigdy się stąd nie wydostanie, a wtedy...

On umrze. O ósmej. Musisz, musisz... Z trudem panowała nad oddechem, nad głosem, żeby nie drżał. Ale popatrzyła na lekarza i ciągnęła tak spokojnie, jak potrafiła. .

- No więc... przyszedłam dziś rano do pracy... panie doktorze I... ee... no, tego... nikt nie wiedział, kim jestem. - Rozłożyła szeroko ręce. Zaśmiała się nerwowo. Zerknęła ukradkiem na przechodzącą pielęgniarkę. Zniżyła głos: Znaczy, wiem, że to brzmi idiotycznie, wiem. Ale po prostu nikt mnie nie rozpoznał, panie doktorze. No i wtedy... wtedy zaczęłam słyszeć dziwne rzeczy... Boże, wiem, jak to brzmi, ale przysięgam, nigdy przedtem mc takiego mi się nie zdarzyło. - Roześmiała się znowu. - Znaczy, na ogoł udaje mi się być w pełni sobą. Wie pan?

Doktor Schoenfeld uśmiechnął się łagodnie. - Tak Nancy. Rozumiem. Proszę mówić dalej. Zawahała się. „Rozumie pan?” - pomyślała. Ta zwyczajna uwaga, ten uprzejmy ton sprawiły, że łzy napłynęły jej do oczu. Popatrzyła na niego uważnie. „Rozumie pan.

No tak rzeczywiście. Na to wygląda. Ten młody doktor Tomasz Schoenfeld rozumie. Sądząc z tego, jak wygląda: te łagodne piwne oczy, te chłopięce usta schowane za lekarską czarną szpicbródką. Sądząc z tego, jak uważnie się ku mej pochyla. Iak z zachętą kiwa głową. Wygląda na to, że chce ej wysłuchać, z całych sił chce jej pomóc. Miała ochotę zarzucić mu ramiona na szyję i wszystko opowiedzieć. Wypłakać się na tweedowej piersi. Zamieszkać w chatce na uboczu, w której on byłby tatusiem, a siostra Anderson, ta czarna tłusta pielęgniarka, byłaby mamusią. „**BOK** - pomyślała - mieć kogoś, kto naprawdę rozumie!”

- No więc, tak jak mówiłam - ciągnęła, teraz trochę

szybciej, przetykając łyżę. - Jak mówiłam, usłyszałam głos no me? Znikąd. I mówił mi, że bym kogoś zastrzeliła.' No ,a wiem, że to brzmi fatalnie, ale... i potem w tym parku, później, usłyszałam, jak ci wszyscy żebracy mówią takie rzeczy, i... - Pokręciła głowę, szukając odpowiednich słów. <sup>r</sup>

- Proszę dalej - powiedział. Tak, ten jego głos był łagodny, uprzejmy. Rozumiejący. Tak. - O czym mówił? Proszę dalej.

- O Jezusie, Jezusie - szepnęła Nancy. - Wszyscy mówili że ktos ma umrzeć. To znaczy: właściwie ja tak słyszałam. Rozumie pan? Mówili, że ktoś ma zostać zabity dzisiaj o osme, i że ja muszę tam być. No i chodzi o to... chodź o to...

„Że to prawda! Że to wszystko prawda! Oni go zabiją Naprawdę. O ósmej. O Zwierzęcej Godzinie. I ja naprawdę muszę tam być! To wszystko prawda, panie doktorze!”

Nie nie. Nie powiedziała tego. Nie mogła tego powiedzieć. Nic wolno jej. Nawet gdyby był Gandhim, Schweitzerem psychiatrii, kimkolwiek. Nawet on nie jest w stanie zrozumieć więcej niż to, co mu dotąd powiedziała. A jednak...

A jednak - kiedy tak siedziała skulona na małym krzeselku, wciśnięta między biurko a drzwi, między lekarza a ścianę ; poczuła absolutną pewność. To n a p r a w d ę ma się stac. To, o czym mówili jej żebracy. Tak właśnie jest Absolutna prawda. Ktoś n a p r a w d ę ma umrzeć. O ósme,. O Zwierzęcej Godzinie. I z jakiegoś powodu, z jakiegoś niepojętego powodu, ona n a p r a w d ę musi tam być To sprawa wielkiej wagi. Nic poza nią się nie liczy.

- Jeszcze coś? - chciał wiedzieć dr Schoenfeld. Zadał to pytanie z taką łagodnością, z taką cierpliwością w głosie że przez chwilę rzeczywiście chciała mu wszystko wyznać Zrzuc z siebie cały ten balast. Czowała wręcz bolesną chęć' zęby zanurzyć się w tych jego dobrych piwnych oczach pół lekarskich, pół chłopięcych. „Może on by naprawdę zrozumiał, zrozumiał wszystko" pomyślała.

Lecz prędko pokręciła głowę.

- Nie, nie. To tyle. Tak się przestraszyłam, że wyciąg-



nęłam rewolwer. Nie mam pojęcia, skąd się wziął. I nie wiem, co się z nim stało.

To było, oczywiście, kłamstwo. Kiepsko się z tego powodu poczuła. Doskonale wiedziała, gdzie jest rewolwer; powinna była powiedzieć, ale... no... A tam, stary głupi rewolwer! Paskudny! Będzie go potrzebowała. Przecież nie obędzie się bez niego o ósmej. Tak. O ósmej.

- Czy pamięta pani, co się zdarzyło przedtem? To znaczy, przed jazdą metrem. Coś, co mogło być wyzwalaczem tego wszystkiego. Pamięta pani, co pani robiła wczoraj, na przykład?

- Tak, pewnie — zaczęła. — To znaczy, jasne, byłam... byłam...

„O nie!” Szczeka opadła jej bezwładnie. Milczenie rzeką wypływało z jej ust. Co ona wczoraj robiła? Nie mogła sobie przypomnieć. Po prostu nic tam nie było. Wczoraj, przedwczoraj — zupełna pustka.

- Ja... ja...

Lekarz czekał jeszcze chwilę. Potem pokiwał głową. Odchylił się na oparcie fotela. Splótł dłonie w lekarskim geście.

- Nancy, po pierwsze chciałbym ci powiedzieć, że rozumiem, jak to musi cię przerażać.

- Rany... ja... o Jezu — wyjąkała. - Znaczy, chce mi pan powiedzieć... Chrząknął. Kiwnął głową.

- Że to wszystko nie jest... tak zupełnie niewytłumaczalne.

Następny wykrzyknik stłumiła w zarodku. Patrzyła na lekarza.

- Nie jest?

- Nie, nie jest. To znaczy, chcę powiedzieć, że mamy tu do czynienia.... Niech to szlag! — Znów telefon. Poderwał słuchawkę do ucha. - Tak? Nie wiem, mam pacjentkę, nie mogę teraz rozmawiać. Tak. — Rozłączył się. Boże! — Pokręcił głową. — Chce pani zamienić się ze mną na pracę?

- Ee... Nie. Nie, dziękuję.

- Dobrze. To znaczy, że przynajmniej nie zwariowała pani naprawdę.

Nancy roześmiała się ku własnemu zaskoczeniu. Popatrzyła

na tego swojego młodego doktora z niejakim zdziwieniem. Czyżby on naprawdę mógł jej pomóc?

Doktor Schocnfeld przesunął się z fotelem nieco w bok. Chwycił krawędź drzwi w pobliżu jej twarzy i pchnął je, aż się zatrzasnęły. Ach, nareszcie. To Nancy odpowiadało. Ten trzask zamykanych drzwi. Odosobnienie. Intymność. Jest przecież w końcu istotą ludzką, coś się jej należy. Popatrzyła z wdzięcznością, kiedy wrócił na swoje miejsce naprzeciwko niej. Znow się pochylił, wsparł łokcie na kolanach. Spojrzał jej w oczy, głęboko, ciepło. Przyglądała się mu z rozchylonymi wargami. Czekala, aż jej powie to coś.

- Nancy - zaczął z wolna chcę być z tobą całkowicie szczery. W porządku? To znaczy, nie uważam cię za zwyczajnego klienta, jakich nam tu przywożą. Rozumiesz. Uderza mnie twoja inteligencja, jesteś niewątpliwie osobą rozsądną. Nie widzę powodu, żeby coś przed tobą ukrywać albo owijać w bawełnę.

Kiwnęła głową. Czekala.

Doktor Schoenfeld trzykrotnie złożył ręce z miękkim kłaśnięciem: klap, klap, klap. Zbierał myśli. Dawał jej moment na przygotowanie. A potem wypalił:

- Nic mogę postawić pełnej diagnozy po jednej zaledwie rozmowie, to jasne. Potrzebne są testy, badania, dalszy wywiad, i tak dalej. Ale z dużą dozą prawdopodobieństwa mogę stwierdzić, że to, czego pani doświadcza, to epizod schizofrenii.

Czekał, jak ona na to zareaguje. Nie zareagowała wcale. Nic nie czuła.

Tylko dezorientację. Wciąż się spodziewała, że powie jej coś ważnego.

Schizofrenia? zapytała tylko dlatego, że wyraźnie oczekiwał od niej jakiegoś komentarza. - Chodzi panu o rozdwojenie jaźni?

- Nie, nie, nie - pospieszył z wyjaśnieniem. To... wie pani, to jest niewłaściwe, choć rozpowszechnione, rozumienie tego terminu. Chodzi o coś zupełnie innego. Schizofrenia to termin bardzo ogólny. Prawdę mówiąc, na tyle ogólny, że dzisiaj wolimy go już nie używać. W każdym razie jest to określenie całego szeregu zaburzeń psychicznych, charakteryzujących się, no, omamami słuchowymi o charakterze

poleceń, to znaczy: słyszy się głosy, które mówią, że ma się coś zrobić. Jakieś uporczywe urojenia w rodzaju „ktoś ma umrzeć o ósmej”. Luki pamięciowe. I rozmaite inne objawy, jak te, których pani doświadczała. Rozumie pani?

No, w gruncie rzeczy - nie. Nie rozumiała. Szereg zaburzeń psychicznych. Nie mieściło się w głowie. Siedziała po prostu i nic nie czuła. Gapiła się na niego. Czekwała, żeby wreszcie powiedział, co się z nią stało, co się dzieje z jej życiem.

A potem znaczenie jego słów zaczęło do niej docierać.

Schizofrenia. Oczywiście, że o tym słyszała. Schizofrenia to jest to, na co cierpią ci, co mieszkają na ulicy, ci różni bezdomni. Ludzie, którzy mamrocą do siebie. Nerwowo chorzy. Choroba psychiczna. Zaczęła się uśmiechać.

- No, ale...

„Przecież nie ja — chciała mu powiedzieć. — Chyba nie chodzi panu o to, że to ja mam schizofrenię”.

- Ale przecież... to przecież by...

To by znaczyło, że ja jestem umysłowo chora — myślała. Chora, nienormalna, psychiczna. Chyba pan nie twierdzi, że to ja jestem schizofreniczką? Przecież ja mam prawdziwe życie. Jestem prawdziwą osobą. Mam przyjaciół. Mam rodziców, mam...

Ale on to właśnie twierdził. Chodziło mu o nią. Widziała to w jego oczach, w tym współczuciu, w tej sympatii. Żal mu jej było. Patrzył na nią ciepło i myślał: „Ciężka sprawa. Biedactwo. Dzięki Bogu, że mnie to nie spotkało”. Jezus Maria! Zatkąło ją zupełnie. Nie była w stanie wykrztusić słowa. Mogła tylko kręcić głową.

- Wiem — zagruchał. — Wiem, to brzmi strasznie. Ale teraz sytuacja wygląda znacznie lepiej niż kiedyś. Rozumie pani? Są nowe leki i... i mamy nowe metody radzenia sobie z tą chorobą.

Choroba! Rany boskie! Nancy wciąż kręciła głową. Nowe metody radzenia sobie z tą chorobą! Rany boskie. Posłuchać go tylko. Jak się stara, żeby to zabrzmiało optymistycznie. Jak się stara natchnąć ją nadzieją, dodać otuchy. Ale ona widzi, to widać, to widać w jego oczach: nie ma żadnej nadziei. To jest sytuacja beznadziejna.

— Czy to... znaczy, czy coś takiego po prostu tak się zjawia znikąd? No, idzie się ulicą i nagle - buch! i jest się schizofrenikiem? Znaczy, to nie brzmi... znaczy...

Pokiwał głową.

— Tak. To się czasami tak zdarza. Bez ostrzeżenia. Niestety. Zwykle właśnie w pani wieku. Zwyczajnym ludziom... o cholera! - „Pipipipipip!”, odezwał się telefon. Doktor oklapnął. Zapadł się w swój fotel. Znużony podniósł słuchawkę. - Halo! Mam teraz pacjentkę. Mhm. Mhm. Dobrze. Nie mogę się tym teraz zająć. Mam pacjentkę. — Odłożył słuchawkę. Przepraszam.

Nancy milczała chwilę. W głowie miała gonitwę myśli. Rozważała każdą ewentualność, szukała wyjścia.

— Chce pan powiedzieć, że to jest nieule... że się z tego nie wychodzi? Jest wyjście? - wyszeptała. - Chce mi pan powiedzieć, że teraz już tak będzie do końca życia.

Nie patrzył jej w oczy. Spuścił wzrok na biurko. Nieokreślonym gestem pokazał na papiery na drewnopodobnym blacie biurka.

— Czasami... Niech pani posłucha... czasami zdarza się tylko jeden atak. Czasami już się potem nie pogarsza. Wcale. Jeden incydent, a potem... już nic. To bardzo tajemnicza sprawa. Nie można właściwie przewidzieć...

— Och... — wyrwało się jej z rozchylonych ust. Kręciła głową, patrząc na dziurę po papierosie w podłodze, swoją starą znajomą. - Och, och...

„Czasami już się nie pogarsza”. Tak powiedział. A to znaczy, że zazwyczaj się pogarsza. Nieprawdaż? Zazwyczaj głosy stają się donośniejsze, to chciał jej powiedzieć. Urojenia coraz mocniejsze. Dobre okresy, okresy normalności robią się coraz krótsze. A potem, za jakiś czas... „Ona nie jest w stanie zadbać o siebie”. Tak powie jej matka, płacząc w chusteczkę. A jej przyjaciółki będą kręciły głowami i mówiły: „To była taka dobra dziewczyna. Coś okropnego”. A ona... ona widziała siebie. Jak człapie po chodniku koło domu. Oczy utkwione przed siebie. Kołtun na głowie. Ubrana w szmaty. Przystojni mężczyźni będą jej schodzić z drogi, żeby, broń Boże, się do niej nie zbliżyć. Kobiety w sukniach od Begdorfa będą kiwać głowami i uni-

kac jej wzroku. Będzie wychodzić o północy, żyć od północy do północy. Sypiać na progach. Mamrotać w ciemności i d o ciemności albo wykrzykiwać nagle: „Zwierzęca Godzina! Ktoś ma umrzeć! O ósmej! O ósmej!”

- To przecież prawda - wyszeptała, zaciskając pięści, zaciskając zęby. - Przysięgam. To wszystko prawda. To wszystko ma się stać.

A litość doktora Schoenfelda - to jego przekrzywienie głowy, to jego wydęcie warg - dotykała ją do żywego. Co za męka!

No, Nancy powiedział po chwili. Posłyszała skrzypienie jego fotela. Mgliście sobie uświadamiała, że nad nią stanął. W tej swojej tweedowej marynarce i krawacie z dzianiny. Z tym swoim zdrowiem psychicznym. I wolnością. Wyciągnął rękę i położył jej na ramieniu. Szarpnęła się: co on może o niej wiedzieć. Będzie dobrze - powiedział łagodnie. - Musimy zrobić parę badań. To zajmie jakieś trzy dni. Dobrze?

Znów wziął ją pod ramię. Tym razem się nie wrywała. Podniósł ją z krzesła. Na nogi. Patrzyła na niego błagalnym wzrokiem. „To wszystko prawda. Absolutna prawda. Przysięgam. Proszę. Pomóż mi”.

Musimy się skontaktować z twoją rodziną - powiedział doktor Schoenfeld. - Tymczasem znajdziemy ci ładny pokoik. Nawet z widokiem na Empire State Building. Nowo przybyli rzadko dostępują takiego zaszczytu, ale załatwię ci to po znajomości. Okay?

Uśmiechał się do niej z sympatią, a ona podniosła na niego wzrok, czepiając się tej sympatii. Pokiwała głową.

- Dobrze powiedział. Poklepał ją po ramieniu. - No to idziemy. Przedstawię cię całej bandzie.

Raz jeszcze pokiwała głową. A potem z całej siły wbiła mu kolano w jądra.

Nie wiedziała, że to zrobi, póki tego nie zrobiła. Niczego nie planowała. A kiedy już to zrobiła, stała jak zamurowana. Jakby oczekiwała po nim jakiejś reakcji.

Dziwne, przez dłuższą chwilę nic się nie działo. Lekarz nadal się uśmiechał, trzymał rękę na jej ramieniu, miał drobne, urocze zmarszczki w kącikach oczu. Potem, bardzo

powoli zmarszczki znikły, a jego oczy otworzyły się szeroko. Cała twarz jakby się rozpląszczyła. Usta rozwarły. Wydał coś w rodzaju krótkich wydechów: „Uch... uch...!” A potem, wręcz z ociąganiem, jego ręce powędrowały do krocza a całe ciało zgięło się w pół. Odwrócił się od niej. Jedną dłonią złapał się biurka, drugą trzymał w kroku. Stracił z blatu papiery, sfrunęły na podłogę. Przewrócił stojak na przybory do pisania - ołówki i długopisy wysypały się z grzechotem. „Uch... uch...” - wciąż wydawał z siebie ten łagodny, cichy odgłos.

Nancy stała przez cały czas z rozdziawionymi ustami „I przepraszam, tak bardzo przepraszam, ale muszę, muszę tam być” - myślała. Lekarz sięgał ręką na biurko, zgięty z drugą dłonią w kroczu.

Zdała sobie sprawę, że sięga do telefonu. „Ach, niech pan tego me...” Szybko zajęła pozycję, za jego plecami. Stopy rozstawiła pewnie. Złączyła obie dłonie. Zrobiła zamach - jakby podnosiła nad głowę topór. A potem opuściła ręce, wkładając w to całą siłę.

Jęknęła, gdy złęczone ręce zetknęły się z jego potylicą. Twarz doktora Schoenfelda została wbita w blat. Nos pogruchotał się o drewnopodobną płytę. Z obu stron twarzy wypłynęła krew, małe czerwone krople prysnęły na rozłożone wokół białe papiery. Jego ciało zrobiło się bezwładne. Kląpnął na biurko, potem zsunął do tyłu, potracając po drodze fotel obrotowy. Upadł na podłogę u jej stóp, fotel przewrócił się na niego.

- Gówno! - powiedziała Nancy. Podniosła szybko wzrok.<sup>1</sup>

„Pipipipip, pipipipip”.

Znow ten przeklęty telefon.

Oliver Perkins

— Fernando Woodlawn. Nigdy nie słyszał pan tego nazwiska?

Detektyw Mulligan siedział teraz, odchylony do tyłu, na obrotowym krześle. Stopy opierał na rogu biurka, które przed nim stało, poły prochowca zwieszały się na podłogę. Do Perkinsa zwrócony był profilem. Poeta odniósł wrażenie, że detektywa ogarnęło nagłe znużenie. Mrugał oczami coraz wolniej, jakby wyczerpywały się mu baterie.

„Tak czy owak, już po herbacie - pomyślał Perkins, patrząc na niego. — Podjął co do mnie decyzję”.

Nie była to pocieszająca myśl.

— Słyszałem to nazwisko — odparł po chwili. - Nie bardzo pamiętam, w związku z czym, ale gdzieś je słyszałem.

Mulligan mrugał powoli na szare pustaki przeciwległej ściany. Na pusty ekspres do kawy. Na tablicę korkową, na której wisiały poprzekrzywiane karteczki z oślimi uszami. Nawet jego wysoki, monotony głos jakby się obniżył.

— Pewnie czytał pan o nim w magazynie „Downtowner”. Jakiś czas temu był tam duży artykuł o nim i wywiad. Pański brat robił zdjęcia.

— Tak? Zach zrobił mu zdjęcie. I co z tego? To jego zawód. Co to za facet?

— Woodlawn? Ach, to... notariusz. Prawnicza gruba ryba. Wielka szycha w mieście. Wielkie umowy w handlu nieruchomościami. Całe dzielnice. Port marynarki wojennej. Strefa wokół Times Square. Kupa umów, kupa forsy. Wielka szycha, ale jak dotąd w cieniu. — Wyglądało na to, że zbiera siły, by mówić dalej. — Był także szefem Nancy Kincaid. Tej dziewczyny, która nie żyje. Pracowała dla niego. I... to jest ten facet, co trzyma kutasa w dupie dziewczyny w masce. No, tej... — wskazał gestem na zdjęcie.

— Wiem, o jakiej dupie pan mówi - stwierdził ponuro Perkins. — Ale co to ma wspólnego z moim bratem?

Mulligan rzucił mu zmęczone spojrzenie, po czym znów pokazał profil.

— Tym miastem rządzą demokraci — ciągnął tym swoim

płaskim, mysim głosem. - Nawet republikanie to demokraci; nie ma prawdziwych republikanów. Jak pan chcesz zbudować dom albo dostać jakąś robotę od miasta, albo uchwalić jakieś prawo, albo dostać obniżkę podatku katastralnego, albo parkować swoje auto na środku Piątej Alei w godzinach szczytu, musisz pan mieć Kogoś u demokratów. Kapujesz pan? Ten Ktoś mówi wtedy panu, co zrobić: wynająć prawnika X, ponieważ jest szwagrem przewodniczącego rady miasta; wynajmuje pan firmę notarialną Y, bo kiedyś tam pracował pański radny. Nie potrzeba panu rzecznika prasowego? To bieda: rzecznik liże dupę przewodniczącemu dzielnicy, więc i jemu musi pan zapłacić. Kapujesz pan? Zasilisz pan od czasu do czasu budżet wyborczy i w końcu dostajesz kontrakt na dostawę jakichś wichajstrów do miasta. Będiesz go pan miał do dnia Sądu Ostatecznego. Wiadomo, o co chodzi?

Perkins powoli kiwnął głową. Myśląc: „Co?” Gdzieś najwyraźniej stracił wątek. Trochę trudno było mu się skupić na wykładzie z demokracji lokalnej, bo myśli miał zaprzątnięte Zachem, dziewczyną z toalety, pytaniami o to, gdzie jest jego brat i czy babcia aby nie dostanie zawału, gdy się dowie o tym wszystkim. I wciąż nie mógł zapomnieć por-celanowobłękitnych oczu, które patrzyły na niego z kałuży krwi...

Ale kiwnął głową, gestem pokazał Mulliganowi, żeby mówił dalej.

A Mulligan i tak na niego nie patrzył. Przeciągnął się lekko. Przeczesał palcami rzednące kędziory.

Więc dobrze - powiedział łagodnie, jak zawsze łagodnie. - Fernando Woodlawn. To jest właśnie ten Ktoś, kogo trzeba znać. Ten Ktoś, kto zna demokratów. Kapujemy?

- Tak... - odparł Perkins niepewnie.

- No to idziesz pan do niego, a on już rozdysponuje pańskie pieniądze tak, że trafią do właściwych ludzi. Wszystko absolutnie legalnie. To ważne. Wynajmie panu prawników, których pan wcale nie chce, rzecznika, którego pan wcale nie potrzebuje, sfinansuje cele, w które pan wcale nie wierzy; pomoże panu zdobyć kontrakt, którego pan wcale nie powinien otrzymać, albo zbudować gmach, który



wcale nie powinien stanać tam, gdzie stanie — ale w żadnym momencie nie złamie prawa ani nie da nikomu nawet dolara łapówki, ani nikomu nie przyłoży po łbie w ciemnej ulicy, ani nie ukryje się za ciemnymi okularami, nic z tych rzeczy. Kapuje pan? Takie błędy popełniają tylko ludzie chytry. Nie Fernando. On nigdy.

Ale Perkins w ogóle nie wiedział, o co chodzi. Sprawa wyglądała poważnie, ale on zupełnie nie mógł zrozumieć, co to ma wspólnego z jego bratem. Westchnął głęboko. Odgarnął długie ciemne włosy. To było jeszcze gorsze niż milczenie Mulligana. Gdzie jest Zach, do jasnej cholery?!

- Przez ostatnie pół roku - ciągnął Mulligan łagodnie - Fernando Woodlawn puszczał w obieg nieprawdopodobne ilości dolarów. Chodzi o to, że on i jeszcze inni ludzie chcą zbudować nad Hudsonem kompleks gmachów zwany Ashley Towers. Jeśli więc podejmie odpowiednie kroki, co też uczynił, to dostanie pozwolenie na tę budowę. I dostanie je, a wtedy będzie miał tyle posad do rozdania i tyle pieniędzy do smarowania, że w przyszłym roku demokraci dadzą mu nominację na gubernatora, a to oznacza, że zostanie wybrany, ponieważ, jak mówiłem, nie ma w zasięgu wzroku żadnych republikanów, którzy by mogli stanąć z nim w szranki. Więc mogę panu już dziś podać jutrzejsze wiadomości: Woodlawn będzie pańskim następnym gubernatorem. To tyle na razie, jeśli idzie o Fernanda Woodlawna. A to doprowadza nas znów do republikanów.

Perkins siedział zgięty wpół i trzymał się za głowę. Z trudem powstrzymywał jęk.

- Myślałem, że nie ma republikanów - powiedział. Potrząsał głową, wbijając wzrok w brudnobiałe płytki posadzki.

- W Nowym Jorku — wyjaśnił Mulligan, podnosząc znacząco palec. Nie pogroził nim jednak Perkinsowi, tylko ścianie. Ciągnął z anielską cierpliwością: — Nie ma republikanów w Nowym Jorku. W Waszyngtonie jest ich na pęczki. W Waszyngtonie republikanów są nieprzebrane masy. Tłumy. I niektórzy z tych republikanów nie życzą sobie, żeby Fernando Woodlawn został gubernatorem, ponieważ jego nieuczciwe plany wydojenia stanu dla zysków osobis-

tych stoją w sprzeczności z ich nieuczciwymi planami wy-dojenia stanu dla własnych zysków osobistych. Więc ci republikanie, kapujesz teraz, poprosili FBI, żeby deptali Woodlawnowi po piętach, aż znajdą na niego coś, co położy kres jego gubernatorskim nadziejom i snom. No i przez cały ostatni rok, albo coś koło, tego krążyli tu jacyś kretyńscy agenci federalni i dopadali ludzi w ciemnych uliczkach, i nosili słoneczne okulary, i nie znaleźli kompletnie nic. Zero. Bo oczywiście Fernando nigdy nie łamie praw, przynajmniej Praw Ludzkości.

- Rany boskie, Mulligan - powiedział Perkins. Wciąż siedział zgięty w pół, obejmując głowę rękami. - Wykończysz mnie pan. Poddaję się. Przyznaję do wszystkiego. Na litość boską, mógłbyś pan przejść do rzeczy?

Mulligan z hałasem opuścił stopy na podłogę. Perkins podniósł oczy. Zobaczył, że detektyw wstaje, znów wkłada ręce do kieszeni prochowca. Z nieprzeniknionym wyrazem okrągłej twarzy zbliża się do niego. Perkins wyprostował się na swoim plastikowym krzeselku. Mulligan mrugał na niego z góry zza swoich szkieł w drucianych oprawkach.

- W zeszłym tygodniu zgłosiła się do mnie dziewczyna -oznajmił. - To była Nancy Kincaid. Wcale nie miała ochoty iść na policję, ale bała się i nie miała do kogo się zwrócić. Miała obawy, że jej pracodawca, Fernando Woodlawn, chciał ją wplątać w jakieś bezprawne działania. W każdym razie w coś dziwnego, może nawet niebezpiecznego. Nie mogła powiedzieć rodzicom, ponieważ dla nich Woodlawn był bożyszczem i nie zrozumieliby jej podejrzeń. A nikt inny nie mógł jej pomóc. Więc przyszła do mnie.

- Okay, w porządku - odrzekł Perkins. Teraz cały zamienił się w słuch. Czujny, świadomy tej zawieszanej nad sobą twarzy bez wyrazu, tych powoli mrugających oczu. Mulligan był blisko, bardzo blisko, a Perkins pamiętał, jaki błyskawiczny ruch wykonał, kiedy rzucił fotografię na biurko. Niebezpieczny facet, bez wątpienia. Wcale nie zabawny, wcale nie na luzie. Wcale.

- Woodlawn zażądał od niej, żeby w dziwacznych okolicznościach podjęła przesyłkę - ciągnął uparcie Mulligan. -W nocy. W jakimś zaułku w Chinatown. I żeby zaniósła tę

przesyłkę prosto do biura, nie zaglądając do środka. Tak jej kazał. A gdyby ktoś ją pytał, miała powiedzieć, że dostała anonimowy telefon. I w żadnym razie nie mieszała w to Woodlawna... „I tak dalej. Rozumie pan? To ją przestraszyło. Wyglądało na brudną sprawę. Pomyślała sobie, że być może chce ją wykorzystać w jakimś niecnym procederze, bo nikt jej nie będzie podejrzewał ani śledził. Ach, tak, i żeby było jeszcze bardziej tajemniczo, miała nieść książkę. - Detektyw skinął głową w stronę stołu, a Perkins, z otwartymi ustami, podążył w tym samym kierunku wzrokiem. - *Zwierzęcą Godzinę*. Miała nieść pod pachą *Zwierzęcą Godzinę* jako identyfikator.

Co powinien na to powiedzieć? Patrzył na policjanta zdezorientowany. Nic mu nie przychodziło do głowy. Ile osób może mieć jego książkę? Ile o niej w ogóle wie? Ten tłum w klubie? Ten tłum w kościele Świętego Marka? Nawet tam, u Świętego Marka, było tyle feministek i radykałów, którzy nim pogardzają. Ale może o to chodziło. Taka zaawansowana forma krytyki literackiej. Logiczna kontynuacja...

Zamierzał się zdobyć na jakiś dowcip, ale wyraz twarzy Mulligana go powstrzymał. Właściwie nie wyraz twarzy, to za wiele powiedziane. Jakieś napięcie w tej twarzy bez wyrazu. Jakiś ból promieniujący spod bladej skóry. Jakiś lekki grymas, który zamknął Perkinsowi usta.

Mulligan oblizał wargi raz, mrugnął, błysnął odbiciem światełówek w okularach. A potem powiedział:

— Przekazałem ją federalnym.

O co chodziło? Perkins nie był w stanie wyciągnąć ostatecznego wniosku z tych słów. Ale zabrzmiało to jak rodzaj wyznania. Przyznania się do winy. „Przekazałem ją federalnym”. Ten dziwny człowieczek sprowadził go do tego bezdusznego gabinetu, z tym pustym biurkiem i papierami na półkach, do tych okropnych ścian z pustaków; ten dziwaczny mały gliniarz sprowadził go tutaj po to, żeby wydusić z siebie takie wyznanie.

— Federalnym - powtórzył jak echo za Mulliganem.

— Taka uprzejmość dla siostrzanej agencji. Przecież

wyglądało na to, że to może być coś, czego właśnie szukają, nie? Hak na Fernanda. Wyglądało na to, że to ich uszczęśliwi, a ja zarobię plus u mojego szefa. - Jego ramiona podniosły się i opuściły, ^"bil wzrok w czubki swoich butów. - I tak Nancy Kincaid trafiła do FBI. A federalni, którzy są głupi i arogancy do granic... no, w każdym razie federalni pokręcili się trochę w tych swoich przeciwsłonecznych okularach i pogadali przez swoje krótkofalówki. No i pograli w te swoje głupkowate gierki, których nie mam prawa tutaj omawiać. I w końcu dostali w łapy tę przesyłkę w zaułku w Chinatown... - Perkins już nawet nie próbował rozumieć niczego, ale nagle wszystko wskoczyło z trzaskiem na swoje miejsce i stało się jasne jak słońce. - To była ta fotografia. Fernando na tej zamaskowanej dupie. To był szantaż.

Wciąż mrugając do swoich własnych butów, Mulligan kiwnął lekko głową.

- Federalnym zdawało się, że wreszcie mają coś na Woodlawna, a tymczasem trafili na bandę jakichś gnojów, którzy próbowali wyciągnąć z niego forszę, marne dwadzieścia pięć tysięcy, tyle co nic.

Perkins był zdziwiony, że tym razem rozumie wszystko naprawdę doskonale.

Ale to przecież było im na rękę? Federalnym.

- Owszem. - Detektyw podniósł wzrok bez wyrazu, ale jednocześnie obolały. - FBI mogło teraz przymknąć szantażystów, wykazać się skutecznością działania i apolitycznością, a równocześnie puścić przeciek do prasy, że nasz Fernando po godzinach rżnie w tyłek panienki w skórzanych maskach. Nie będzie stołka gubernatora - i ani śladu, że stoją za tym republikanie. Doskonały plan. - Odwrócił się do okna. Jakby tęsknie, pomyślał Perkins. - I wszyscy byli szczęśliwi. I było cudownie. I nic już o tym nie słyszałem aż do dzisiejszego ranka. Zadzwonili do mnie federalni. Panika totalna. Gówno ze wszystkiego. Nancy Kincaid została porwana ze swojego mieszkania. Naszym przyjaciółom z FBI nawet nie przyszło do głowy, żeby dać jej ochronę. Rodziców nie było w nocy w domu. I cześć, kamień w wodę.

„A to ty ją przekazałeś federalnym - powiedział do siebie w duchu Perkins. - Przekazałeś ją federalnym”.

Teraz widział wszystko. Rozumiał, przynajmniej częściowo, tę błyskawicę wściekłości w oczach detektywa, to bolesne napięcie skóry na twarzy. Ale to, że rozumiał, w niczym nie poprawiało jego samopoczucia. Prawdę mówiąc, było mu teraz jeszcze ciężiej od środka. Jakby przygniatał mu wnętrzności wielki odważnik lęku. Tak. Bez wątpienia nadchodzą Złe Wiadomości, czuł to przez skórę. Małe, czarne, bełkotliwe Demony Złych Wiadomości. Kłębiły się koło niego, żeby go porwać, jak diabły porywają dusze do piekła na tych apokaliptycznych malowidłach.

Musiał zapytać, nie był w stanie znieść napięcia.

— A co ma do tego Zach? Co z moim bratem? — A kiedy policjant swoim zwyczajem zwlekał z odpowiedzią, dodał: — Rozumiem, dobrze, robił zdjęcia tego Woodlawna dla „Downtownera”. Jest redakcyjnym fotoreporterem. Ale przecież nie ma nic wspólnego z tymi drugimi fotografiami. To nawiedzony facet, mistyk, medytacje, te rzeczy, wiesz pan. Muchy by nie skrzywdził. Najwyżej siebie.

Mulligan wy dobył rękę z kieszeni i pokazał palcem fotografie na biurku, a Perkinsowi przyszło do głowy tylko porównanie z dickensowskim duchem wigilijnym, który pokazuje Scrooge'owi jego własny grób.

— Człowiek, który dostarczył te zdjęcia, odpowiadał rysopisowi pańskiego brata. Prowadził samochód wypożyczony w New Jersey na jego nazwisko. Dzisiaj rano w czasie rewizji znaleźliśmy w jego mieszkaniu tajny schowek w szafie.

— Co?

— Z wizjerem do sypialni i specjalistycznym sprzętem fotograficznym oraz z gadżetami z seks-shopu, które z niemal całkowitą pewnością były wykorzystywane przy robieniu zdjęć Woodlawna z dziewczyną.

Perkins powoli znowu obrócił spojrzenie na fotografie ułożone na jego książce. Na wierzchu leżała dyplomowa fotografia Nancy Kincaid, ale spod niej wystawało zdjęcie... „Tiffany; to jest Tiffany”... kobiety w masce. Perkins widział

tylko głowę w obcisłym kapturze, ale myślał o smagłym, pokrytym pieprzykami ciele.

„Niczego nie rozumiesz, OHverze, niczego”.

A potem, z mdlącym dreszczykiem, pomyślał o nagim tyłku. O zgrabnym, połyskującym nagim tyłeczku Tiffany. A potem o innym tyłku. Dziecięcym. Gołym tyłku Zacha, mówiąc dokładnie. Sztruksowe spodenki ściągnięte do kolan, pupa purpurowa, prawie sina, z zadrapaniami, a ciężki mosiężny linał spada znowu na miękkie ciało ze złowrogim plaśnięciem...

„Kiedy to ja to zepsułem. To ja zepsułem maszynę do pisania” - pomyślał. Poczł skurcz w brzuchu, gardło ścisnął mu strach.

— Jest jeszcze coś — powiedział Mulligan. Perkins podniósł wzrok. - Dziś rano dostaliśmy anonimowy telefon. Rozmówca twierdził, że mężczyzna o długich czarnych włosach, w swetrze i dżinsach, wszedł do domu w zaułku MacDougala...

— No i co? To byłem ja.

— ...i że natychmiast potem rozległy się straszliwe krzyki...

- Co?!

— ...dochodzące z wnętrza starego domu, i że powinniśmy natychmiast przyjechać, to go złapiemy.

- Co?! - Perkins aż wstał. - Anonimowy telefon? Od kogo?

Był dużo wyższy od detektywa. Mulligan musiał zadrzeć głowę, żeby mrugać mu w oczy.

- No wie pan, o co mi chodzi — ciągnął Perkins. - Jaki to był głos?

- Kobięcy.

Perkins znowu pomyślał: „Tiffany, Tiffany!” Wrobiła go. Niemal powiedział to na głos. Zwabiła go do starego domu tym rozpaczliwym telefonem do babci. Potem zadzwoniła na policję. Wiedział, że za tą anielską buzią kryje się zdrajczyni. Wrobiła jego, a założyłyby się o wszystkie skarby świata, że wrabia też Zachary'ego. Ten samochód wypożyczony na nazwisko Zacha. Te rzeczy ukryte w szafie, w schowku, czy gdzie tam. To wszystko sprawka Tiffany. Wpakowała się w jakieś gówno i teraz próbuje zwalić to na

Zacha, na Zacha i na niego, na obu. „Znam swojego brata” - chciał powiedzieć Mulliganowi. Neurotyk, ale przecież nie jedyny na świecie, ma problemy, kto ich, na Boga, nie ma? Ale szantaż? Ta dziewczyna w starym domu? Nie, człowieku, to nie mógł być on. Ktoś go zrobił. Ich obu ktoś zrobił. Tiffany, wiadomo.

Nie był pewien, co go powstrzymało przed wypowiedzeniem tego wszystkiego na głos. To milczenie było jakby instynktowne, podyktowane silnym fizycznym odruchem. To przecież dziewczyna Zacha, a on musi Zacha chronić za wszelką cenę. Oskarżenia zamarły w duchu, tak jak zamierały jego wiersze. Wznosiły się z głębi trzewi, a potem rozplywały, znikwały jak poranna rosa.

Więc co w takim razie? Detektyw cały czas mrugał oczami. Jego twarz cały czas była nieprzenikniona i niebezpieczna. Znaleźli go, Perkinsa, na miejscu zbrodni, razem ze zwłokami. Mogą go oskarżyć o morderstwo. Stanie przed sądem. Mogą go nawet...

- Niech pan idzie — powiedział Mulligan.

- Co?

Mulligan prawie westchnął, w każdym razie tak to zabrzmiało. Z rękami w kieszeni, odwrócił się. Podszedł do okna. Wystawił twarz na słońce.

- Mogę iść?

- Tak jest. Pan nic nie zrobił. - Odpowiedź Mulligana zdawała się przeznaczona dla niewidocznego nieba nad Dziesiątą Ulicą. — Dziewczyna była martwa już od paru godzin. Rozmawiam z panem i widzę, że pan nic nie zrobił. Chociaż federalni mogą mieć na to inny pogląd.

Perkins pohamował odruch, żeby spróbować rozwinąć ten ostatni wątek. Zamiast tego powiedział:

- Myśli pan, że doprowadzę was do Zacha, prawda? Mulligan nadal gapił się przez okno.

- Myślę, że pan go znajdzie. Albo że on do pana przyjdzie. Owszem.

- I będziecie mnie śledzić?

- Nie. - Pokręcił głową. - Pan sam go do mnie doprowadzi. Odda go pan w moje ręce.

- Czyżby?

- Owszem. - Mulligan ze znużeniem przeciągnął ostatnie słowo. Zetknął na Perkinsa, ale tylko przelotnie, potem znów tęsknie zaczął wyglądać przez okno. - Pewna młoda kobieta, która zwróciła się do mnie o pomoc, skończyła w klozecie - powiedział łagodnie. - Wsadzona do kibla, jakby była kawałkiem gówna, a nie dziewczyną, nie istotą ludzką. - Pełna zamyślenia pauza. Perkins na chwilę zamknął oczy, żeby wymazać z umysłu spojrzenie dziewczyny. - Jeśli przyprowadzi pan do mnie swojego brata - ciągnął Mulligan - to, dam panu na to słowo honoru, tak go przycisnę, że wyśpiewa mi wszystko, co wie o tym morderstwie, albo się zesra.

Poeta wydał z siebie ponure parsknięcie.

- To niby dlaczego mam go panu przyprowadzać? Mulligan spojrzał mu prosto w oczy. Błysnęły szkła okularów. Twarz pozostała bez wyrazu.

- Ponieważ, mimo że jestem wkurwiony, upokorzony i przestraszony jak jasna cholera, to nie jestem nawet w połowie tak wkurwiony, upokorzony i przestraszony jak to pieprzone Federalne Biuro Śledcze. Kapujesz pan? Jeśli oni dopadną pańskiego brata przede mną, to rozwalą go i ogłoszą, że rozwiązali sprawę. Zabiją go, Perkins. Dam sobie rękę uciąć. Jeśli federalni złapią go pierwsi, pański brat może pożegnać się z życiem.

Nancy Kincaid

Telefon na biurku cały czas dzwonił.

„To - pomyślała Nancy - bardzo niedobrze”.

Doktor Schoenfeld leżał u jej stóp. Na boku, skurczony, częściowo przykryty krzesłem, które na niego upadło. Krew wciąż ciekła z rozkwaszonego nosa. Brudziła wąsy. Płynęła do ust. Nancy mu się przyglądała.

„Pipipipip, pipipipip”. Telefon nie milkł. Równie przenik-



liwy głos odezwał się w mózgu Nancy: „Kto to zrobił? Jaki osobnik mógłby zrobić coś takiego?” Uporczywie jak brzęczyk telefonu. „Nancy, jakie monstrum mogło coś takiego zrobić?”

„Zamknij się — nie wiem - to bardzo złe - muszę się zastanowić”. Zasłoniła rękami uszy. Wpatrywała się w leżącego lekarza. Słyszała telefon. Słyszała głos pod czaszką: „Jaki świr...?”

Teraz usłyszała jeszcze doktora Schoenfelda. Jęknął:

— Ooooooch...

„Trzeba się stąd wynosić”. „Co za okrutny potwór...?”

„Zamknij się, zamknij! Z pytaniami później! Boże!!!”

Zdesperowana, rozejrzała się dookoła. Była schwytana w pułapkę tego pudełka, pogrzebana jak w trumnie. Uwięziona między stolikiem, biurkiem i krzesłami. Zapieczętowana zamkniętymi drzwiami. Żadnego pola manewru. Ciało lekarza zajmowało niemal całą podłogę. Tweedowa marynarka dotykała jej stopy.

— Ooooooch... — jęknął znowu. Splunął słabo: zakrwawiony ząb wypadł mu z ust.

„Pipipipip, pipipipip”.

— Boże! — szepnęła Nancy.

Trzeba działać. Zrobiła krok, przechodząc nad leżącym. Wcisnęła się w wąską przestrzeń pomiędzy nim a biurkiem. Czuła, że głowa doktora opiera się jej na kostce. Poczowała miękkie włosy na skórze.

Telefon świergotał przenikliwie: „Jakim człowiekiem jesteś, Nancy?”.

— Zamknij się — wyszeptała. Boże, jak ona nienawidzi być schizofreniczką! Pochyliła się nad biurkiem. Zgarnęła papiery na bok. Otwarty skoroszyt z jej kartą. Wypisane na górze: „Nancy Kincaid”. Pochlapana krwią. Odepchnęła skoroszyt. Potrzebowała broni. Czegokolwiek.

Telefon dźwięczał.

Długopis lekarza. Wzięła go do ręki. „Można by go uchwycić mocno, zablokować w dłoni — pomyślała. Oстрыm końcem przyłożyć komuś do gardła”.

— Ooooooch....

„Jaka dzika bestia...?”

— Zamknij się! - wysyczała. Odrzuciła długopis. Jest do niczego. Nikt się nie przestraszy długopisu. Szarpnęła szufladę.

Nóż do rozcinania kopert! Uchwyciła go. Lekki. Płaska rękojeść. Mosiężne ostrze.

Krzesełko stoczyło się z ciała lekarza na podłogę.

— Jezu. Pomocy.

Nancy obróciła się na pięcie, popatrzyła w dół. Młody lekarz przewrócił się na wznak. Brodaty policzek miał przyciśnięty do jej stopy. Zamglone oczy patrzyły błagalnie. Krztusił się krwią.

— Pomocy...

„Jakby mu mocno nadepnąć na gardło, byłby spokój” - pomyślała.

Telefon hałasował rozpaczliwie. Oderwała stopę od twarzy leżącego. Przeskakując nad nim, przytrzymała się krzesła. Znalazła się przy wyjściu. Jedną dłoń położyła na klamce, w drugiej ukryła nóż. Uchyliła drzwi. Wyrzała.

Korytarz był akurat pusty. Widziała w głębi podłużne pomieszczenie, w którym była przedtem. Oklapnięte postacie na plastikowych krzesłach. Trzy pielęgniarki w najdalszym końcu. Strażnika ze swojego miejsca nie widziała, ale była pewna, że tam jest: on sam i bramka wykrywająca metal.

— Ratunku... — wymamrotał doktor Schoenfeld. Słyszała, że porusza się na podłodze za jej plecami.

„Cholera!”

Musi tu kogoś przywołać, i to szybko. Patrzyła na gromadkę pielęgniarek.

Trzask otwieranych drzwi. Obejrzała się. To jedne z drzwi na korytarz. Ktoś wychodził przez nie tyłem. Szeroki jak szafa.

Siostra Anderson.

— Dobrze, panie doktorze - usłyszała Nancy. — Już przynoszę.

Krepa Murzynka wycofała się na korytarz i zamknęła drzwi.

— Sostro Anderson — wysyczała Nancy.

Ale pielęgniarka jej nie usłyszała. Odwróciła się. Ruszyła

wzdłuż korytarza. Nancy patrzyła bezradnie: ciężki krok słoniowatych nóg, rozkołysane balerony rąk.

- Siostrzo Anderson! Pielęgniarka stanęła.

Telefon w gabinecie znów zadzwonił.

- O Jezus - odezwał się doktor Schoenfeld z podłogi. Głośniej niż poprzednio.

Siostra Anderson obejrzała się przez ramię, zdezorientowana. Czy ktoś ją wołał? Tak: zauważyła Nancy. Jej twarz stwardniała na głaz, oczy zwięzły się w szparki.

- Siostrzo Anderson! Szybko! - Nancy ruchem głowy pokazała za siebie. - Doktor Schoenfeld! Szybko!

Murzynka nie zastanawiała się ani chwili. Ruszyła korytarzem jak parowóz, jej tłuste ręce pracowały jak tłoki. Za chwilę stała przy Nancy, zasłaniając wszystko swoim monstrualnie wielkim obliczem.

- Co się stało, złotko? O co chodzi?

- Nie wiem. Doktor Schoenfeld... Jakby na zawołanie lekarz jęknął głośno:

- O Boże, niech ktoś...

Nancy uskoczyła z drogi siostrze Anderson, która rzuciła się przez próg do gabinetu. Stanęła jak wryta, zobaczywszy ранnego. Masywne cielsko znieruchomiało na moment.

Nancy po cichu zamknęła za nimi drzwi.

Telefon piszczał. Siostra Anderson uklękła przy lekarzu.

Nancy stanęła za jej plecami. Złapała ją pełną garścią za włosy.

- Aj! - krzyknęła Murzynka.

Nancy szarpnęła jej głowę do tyłu. Przycisnęła mosiężne ostrze do gardła.

- Tym mogę cię zabić. Nie bądź głupia. - Słowa nie pasowały do jej cienkiego głosu.

- Pomocy... - Lekarz znów przeturlał się na bok. Próbował podnieść głowę, wyciągnąć ją z kałuży krwi.

Głowa siostry Anderson pozostawała odgięta maksymalnie do tyłu, twarz celowała w sufit. Usta były otwarte. Nancy poczuła w dłoni pociągnięcie sztywnych, szorstkich włosów. Pielęgniarka usiłowała kiwnąć głową - dać znać, że nie będzie się przeciwstawiać.

- Dobrze - powiedziała Nancy szeptem. Pielęgniarka skrzywiła się, bo Nancy wzmocniła uścisk. Lekarz poruszył się znowu. Podniósł rękę, szukał czegoś,

czego mógłby się uchwycić. Dłoń opadła na przewrócone krzesło. Złapał je. Zaczął się podnosić.

- Telefon - stęknął. Aparat odpowiedział przenikliwie.

- Wyprowadzisz mnie stąd - szepnęła Nancy do pielęgniarki.

Siostra Anderson spróbowała kiwnąć głową. Nancy trzymała mocno.

- Nie dam rady - zdołała wykrztusić pielęgniarka. — Straż szpitalna.

- Nie obchodzi mnie. Masz to zrobić. Masz to zrobić albo umrzesz.

Teraz wstawaj.

Szarpnęła ją za włosy. Ciężka kobieta rozłożyła szeroko ręce, żeby złapać równowagę. Przytrzymała się blatu biurka. Poprawiła nogi, stanęła.

Tuż obok nich w maleńkim pomieszczeniu doktor Schoenfeld próbował się dźwignąć, wsparty na przewróconym krześle. Powoli piął się w stronę biurka. Telefon piszczał cały czas, lampka migotała. Lekarz otworzył oczy.

Siostra Anderson stała już pewnie. Nancy wciąż trzymała ją mocno za włosy, odciągała jej głowę do tyłu. Schoenfeld był obok, wciągał się właśnie na biurko, pełznąc do telefonu.

- Słuchaj - rzuciła Nancy bez tchu. Usta miała przy samym uchu Murzynki. - Słuchaj, jestem chora.

- Wiem, dziecinko - powiedziała siostra Anderson. - Ale możemy ci pomóc, naprawdę możemy...

- Zamknij się. Mam to w dupie. Nie o to chodzi. Chodzi o to, że będziemy udawać, że jestem chora. Będziesz mnie podtrzymywać, jakbym z trudem chodziła. Obejmiesz mnie. Wyprowadzisz stąd.

- Kiedy nie możemy tak po prostu...

- Zamknij się. Po prostu zamknij. Nie żartuję. „Pipipipip, pipipipip”. Lekarz wyciągnął rękę.

- Telefon - wycharczał. Rozczapierzył palce. Dotknął podstawy aparatu. - Telefon...

Błyskawicznym ruchem Nancy, opuściła pięść i rękojeścią noża do kopert uderzyła lekarza z całej siły w skroń.

Siostra Anderson krzyknęła. Schoenfeld upadł jak odcięta ze sznurków marionetka. Rozrzucone ręce, bezwładne nogi, runął na przewrócone krzesło, stoczył się z niego z powrotem na ziemię. Leżał teraz nieruchomo, nieprzytomny, posapując lekko.

A ostrze noża w okamgnieniu znalazło się znów na gardle siostry Anderson. Kobieta zeszywniała. Porzuciła jakąkolwiek myśl o ucieczce.

„Dobrze” — pomyślała Nancy.

- W porządku - mruknęła. Przeniosła ostrze z szyi siostry Anderson na jej bok. Wbiła czubek w żebra. — Tu masz serce. Jesteś pielęgniarką, to wiesz.

- Wiem.

- Wbijam, przekręcam i jesteś martwa, zanim uderzysz o podłogę.

- Dobrze, wiem.

„Czy kruszynka tatusia tak...?”

- Zamknij! Się! — warknęła Nancy.

- Nic nie mówiłam.

- Nie mówię do ciebie.

- Ach. Dobrze. - Siostra Anderson nie wyglądała na uspokojoną.

Nancy zamknęła oczy, próbowała się opanować. Ten telefon — nie mogą zadzwonić później? — wdierał się jej do uszu. Jest przecież zajęta, na miłość boską!

Wyrzucała z siebie słowa szeptem:

- Dobrze. Trzymaj mnie. W porządku? Tak mnie trzymaj. — Puściła włosy pielęgniarki. Przecisnęła się do przodu między nią a ciałem lekarza. Przysunęła się, oparła o jej piersi. Chwyliła fartuch wolną ręką. Nóż wciąż wbijała w żebra, zakrywając go własnym ciałem. - Podtrzymuj mnie, o tak. Już!

Powoli, ostrożnie pielęgniarza otoczyła grubą ręką ramiona Nancy. Przycisnęła jej twarz do swojej bujnej piersi.

- Pamiętaj o nożu — powiedziała Nancy.

- Nie umknie mi to z pamięci, złotko, możesz mi wierzyć.

- Dobrze. Teraz na korytarz, potem do wyjścia. Koło strażnika.

Rozumiem.

Siostra Anderson ruszyła, nie wypuszczając Nancy z objęć. Krok do drzwi.

- Otwórz je.

Nancy czuła jej wahanie, ale po chwili pielęgniarka wyciągnęła rękę. Nancy usłyszała szcęk klamki. Przyłgnęła do tęgiego ciała, przytrzymywana potężnym brązowym ramieniem. Wydostały się razem na korytarz.

- Zamknij drzwi. Usłyszała trzaśnięcie.

- Teraz idziemy.

Skierowały się ku wąskiej poczekalni. Siostra Anderson nie była głupia. Szła energicznym, ale dostojnym krokiem. Nancy jęknęła w jej fartuch dla lepszego efektu.

- Ooooooch...

- Już, już, złotko - powiedziała Murzynka. Grała swoją rolę. Poklepała Nancy po ramieniu. - Zaprowadzimy cię do zabiegowego, będzie dobrze.

- Była doskonała.

Znalazły się w poczekalni. Szereg zniekształconych twarzy patrzył spod białych ścian. Nancy przycisnęła się do tęgiej pielęgniarki. Czuła jej zapach; zbutwiały murzyński zapach. Pot, proszek do prania i jakaś woda kwiatowa. Zamknęła oczy. Ogromna rozkołysana głębia biustu pod chłodnym płótnem. Jęknęła znowu.

- Już, już, złotko - mruknęła siostra Anderson. Miała głos ciepły i głęboki jak woda w wannie.

Nancy westchnęła z rozkoszą i wtuliła się mocniej w jej miękkość. „Przepraszam - myślała. - Byłam młoda, głupia i szalona, i przepraszam”. To nie miało najmniejszego sensu, ale te słowa przychodziły same: „Tak bardzo przepraszam, przepraszam...”

- Coś się stało?

Męski baryton, tuż obok. Oczy Nancy rozwarły się błyskawicznie. Stały przy wykrywaczu metali. Nancy widziała tylko fragment białego pielęgniarskiego uniformu. I zamglone spojrzenia galerii maniaków za plecami siostry. Ale wyczuwała bliską obecność strażnika. Wbiła mocniej czubek noża w bok mamy Anderson.

- Nie, nie. Wszystko w porządku. Tonem niedbałym, lecz autorytatywnym. - Lekarz skierował ją na górę, na badania.

Znów baryton strażnika:

— Mam wezwać eskortę? Nancy jęknęła.

- Tak, tak, już, już — powiedziała siostra Anderson, poklepując ją. — Nie, dziękuję - odparła wartownikowi. — Damy sobie radę.

I już po wszystkim. Ruszyły. Weszły w bramkę.

Wykrywacz metalu! Nancy zeszywniała na potężnej piersi. Czy zasygnalizuje obecność noża do kopert, mosiężnego ostrza?

Ale już były za bramką. Wykrywacz ani pisnął. Już w drzwiach. Odrobinę przekręciwszy głowę, Nancy zobaczyła biały hol. Znajdowały się teraz w długim białym holu wejściowym, tym samym, do którego ją przedtem przywieziono. Wciągnięto, rozwrzeszczaną.

Siostra Anderson puściła ją.

— W porządku — powiedziała. — Teraz idź, jeśli musisz iść.

Dopiero po chwili Nancy oderwała się od ciepłych miękkich zwalów. Wyprostowała się. Rozejrzała po holu, popatrzyła na drzwi w głębi. Były oszklone. Widziała przez nie światło dzienne. Betonowy zadaszony podjazd, gdzie stanął radiowóz, który ją przywiózł. Och, niemal czuła w nozdrzach chłodne, świeże jesienne powietrze wolności.

Zerknęła z wdzięcznością na siostrę Anderson. Na granitową godność na okrągłej brązowej twarzy.

— No, dalej — powiedziała pielęgniarzka.

„Ja przecież wcale taka nie jestem! — miała ochotę krzyknąć Nancy. Paść z powrotem w jej ramiona, wtulić się w te piersi. — To wcale nie ja, siostró Anderson. Ja naprawdę jestem dobra! Naprawdę! Dobra!”

Jakby słysząc to, siostra powiedziała ze spokojem:

- Na pewno nie chcesz ze mną wracać? Nikt ci nie zrobi krzywdy. Po prostu wprowadzę cię z powrotem.

Nancy otworzyła usta.

- Nie mogę - szepnęła. - Muszę gdzieś iść. Muszę... -Szarpnęła głową. — Przykro mi. Nie mogę.

Okręciła się na pięcie. Nie oglądając się, ruszyła biegiem do drzwi. Do światła.

Za sobą - daleko, daleko, jak się jej wydawało - usłyszała

krzyk siostry Anderson. Oszklone drzwi były coraz bliżej. Światło dzienne stawało się coraz jaśniejsze. Zamajaczyły betonowe kolumny wspierające dach nad zatoką dla podjeżdżających samochodów.

I wtedy w prostokącie szkła ukazała się umundurowana sylwetka. Zasłoniła światło. I do Nancy, biegnącej w stronę tego cienia, dotarło, że siostra Anderson krzyczy bardzo głośno. Że alarmuje, alarmuje wszystkich, woła wniebogłosy:

- Uciekinierka!

Oliver Perkins

Zanim urodził się Zach, tata zabierał Olivera na spacer. Chadzali, dłoń w dłoni, płataniną ulic. Tajemniczy, intrygujący Manhattan. Kamienice z brązowego piaskowca, zmniejszające się w perspektywie. Zapach śmieci, pamiętał to, i brak słońca - o trzeciej po południu słońce już się chowa za dachami. Stare kobiety wychylone z okien. Murzyni na rogach ulic zgarbieni w znaki zapytania.

Jego ojciec był wtedy na studiach podyplomowych na Uniwersytecie Nowojorskim. Chudy i wyprostowany jak trzcina i mimo wszystko elegancki w tych swoich wymiętych ciemnych garniturach. Opowiadał mu coś, mruczał, potem zapadał w milczenie. Gapił się w przestrzeń, z roztargnieniem trzymając Olivera za rączkę. Wtedy ojciec był jeszcze szczęśliwy. Póki nie urodził się Zach.

„Zabiją go, Perkins. Dam sobie rękę uciąć”.

Obejrzał się przez ramię. Znajdował się teraz na rogu Bleecker. Zerknął za siebie, w Dziesiątą, na komisariat policji, betonowy klocek przycupnięty wśród kamieniczek mieszkalnych. Nikt go nie śledził, a przynajmniej nikogo takiego nie widział. Trzeba stąd wiać, zanim zmienią zdanie.



Trzeba znaleźć Zacha. Przed Mulliganem. Przed tym cholernym FBI. „Pański brat może się pożegnać z życiem”.

Pospieszył wzdłuż Bleecker. Ręce w kieszeniach. Przygarbiony. Przytłoczony myślami, samotnością. Brzemieniem samotności. Cięższym niż kiedykolwiek. Ulicą pędziły samochody. Stawiał energiczne kroki pod zielonymi miłorzębami, pod złotymi wiązami. Pędzone wiatrem liście wirowały w powietrzu. Dziewczyna w podkoszulku wychylała się z drzwi pralni automatycznej, ręce skrzyżowane na piersiach, kwaśny wyraz ust. Ale Perkinsowi, głęboko w jego wnętrzu, to wszystko wydawało się pejzażem księżycowym. Padoły kraterów, czerń nieba; znikąd ratunku. Trzeba znaleźć Zacha. Koniecznie.

A głowa Nancy Kincaid płynęła cały czas gdzieś tuż obok.

„Zobacz, co mi zrobili, O'liverze. Chciałam zostać tancerką. Miałam marzenia kobiety...”

Skulił ramiona jeszcze bardziej, żeby odegnąć ten obraz. Wbijał oczy w chodnik. Co na to wszystko poradzić? Co on w ogóle wie o tym wszystkim? O nowojorskiej polityce? O demokracie, republikanach, FBI? Nigdy nie chciał mieć z tym nic wspólnego.

Lecz błękitne oczy patrzyły na niego bez przerwy; nie opuszczała go też myśl o dziewczynie w skórzanej masce. „To była Tiffany?” Myślał o tym nieustannie, stojąc przed Mulliganem, i nie był w stanie tego wyartykułować. Milczenie jak ściana ze szkła. Słowa jak tłukące się o nią ćmy, które padają martwe. Wszystko w nim obumarło, pozbawione życia jak księżyc.

„Rany, rany, co się ze mną dzieje”.

Jest w depresji, a jakże. Nawet ten paniczny lęk o Zacha: „Trzeba go znaleźć, trzeba uprzedzić babcię, koniecznie, koniecznie” - nawet ten lęk tłumilo to nieokreślone, potężne, tęskne, niespełnione pragnienie. Ach, ujrzeć ludzi, których kocha! Zobaczyć znajomą twarz w tym księżycowym krajobrazie.

Tym sposobem jego myśli zawędrowały do domu na Long Island. Po narodzinach Zacha mieszkali w Port

Jefferson. Mieli biały domek z wesołymi facjatkami i dekoracjami jak z piernika. Za domem wznosiło się strome zbocze. Prosto w górę - od wejścia do ich piwnicy ku parkanowi Hartiganów. Zimą na zboczu skrzył się śnieg. Bezlistne szare drzewa dookoła bieleły pokryte szadzią. Tak je pamiętał, za takimi teraz tęsknił. Przypomniawszy sobie, jak holował Zacha pod górę na tych jego plastikowych saneczkach. Mały braciszek, opatulony szczelnie szalikami. Czapka z nausznikami naciągnięta na czoło. Ledwie widać jego oczy, świecące się ze strachu i radosnego podniecenia. Nogi w wysokich, zapinanych na klamry buciorach, rozkraczone, wsparte na płozach.

— Mama nie kazała, żebym się przemoczył, Ollie. Ollie lazył pod górę, mocno dzierżąc sznurek.

— Nie będziemy zjeżdżać przez tamten próg, dobra, Ollie? I pojedziesz ze mną, dobra?

Puf, puf, puf- z ust zdyszanego Olliego buchają kłęby pary.

— Tak, Zach. Przecież ci mówiłem.

— No bo ja nie lubię, jak jest za szybko, dobra?

— Dobra, Zach, o rany, nie marudź.

— Mama mówi, że to przez to ucho środkowe.

Perkins uśmiechnął się smętnie na widok gromadki dzieciaków. Przebierańcy w nylonowych pelerynach i plastikowych maskach. Trzódkę popędzała znękana nauczycielka.

„Ucho środkowe” - pomyślał Perkins, kręcąc głową. Boże, trzeba go znaleźć razem z tym jego uchem środkowym i wszystkim innym. Zach w dzieciennym pokoju, ze skrzyneczką „małego stolarza” między kolanami, coś przybija zawzięcie. Albo głęboko, w piwnicy, tym razem z zestawem „mały chemik”, eksperymentator w typie doktora Frankensteina. W wieku siedmiu lat Zach miał więcej wiedzy z zakresu nauk ścisłych, niż Oliver ma dzisiaj. Zawsze wiedział więcej o wszystkim. Potrafił rozebrać ojcowską maszynę do pisania na drobne części i złożyć ją z powrotem. Ollie raz sam spróbował, bo chciał sobie udowodnić, że nie jest gorszy od małego braciszka...

„Rany, jeśli FBI coś mu zrobi myślał Perkins - jeśli gliny się do niego dobiorą... Rany...”

Przypomniął sobie: zima, on stoi na szczycie wzgórza. Zasapany. Zach na sankach u jego stóp. Obaj patrzą w dół, na zaśnieżony stok. Pasek ciemniejszego nieba nad dachami. Jasne okna domu u podnóża. Niespokojna twarz matki w kuchennym. A na piętrze, w północnej facjatce, ich ojciec. Siedzi za biurkiem. Odrywa się od swojej pracy, wygląda przez okrągłe okienko. Odwraca się, jakby chciał spiorunować wzrokiem kogoś, kto mu przeszkadza. Podnosi głowę jak wilk znad wnętrzości upolowanej zdobyczy.

Boże, skąd się u niego wzięło to spojrzenie? Ta zapiekła złość? Zach i Oliver omawiali tę sprawę bez końca. Leżąc w swoich łóżkach w pokoiku na piętrze u babci. Ojciec już wtedy sobie poszedł. Wyniósł się do Kalifornii ze swoją studentką, pogodną dwudziestoletnią brunetką, która na Zacha i Olivera mówiła „ci chłopcy”. Tata prawie do nich nie pisywał, ale „ci chłopcy” nie chcieli zapomnieć. Chcieli zrozumieć: skąd się wziął w nim ten gniew?

- Kiedy ty byłeś mały, on był dobrze zapowiadającym się młodym naukowcem — mówił Zach łagodnym tonem. A ponieważ mówił to tak łagodnie, Olivera ogarniało tym silniejsze poczucie winy. - Kiedy ja byłem mały, było już po wszystkim, nadzieje diabli wzięli, został zawód i rozgoryczenie.

Kiedy Zach był mały, ojciec był profesorem, wykladał historię na uniwersytecie. Wśród studentów cieszył się ogromną popularnością. Ulubiony wykładowca; czarujący. Wszyscy tylko mówili o tym, jak go lubią.

- I to właśnie obraca się przeciwko tobie - narzekał przy kolacji, nabierając gwałtownie tłuczone ziemniaki na widelec. - Według akademii można być albo lubianym wykładowcą, albo dobrym uczonym. Albo, albo. Jeśli studenci cię lubią, to na twoje prace patrzy się z góry. „Przecież to musi być nic niewarte”. Jesteś popularny. Musisz być płytki. To pewnik.

Perkins zatrzymał się na rogu swojej ulicy. Przejechał palcami włosy. Popatrzył na kamienice z brązowego piaskowca i szpaler cienkich drzew. Żółte liście leżą przy krawężniku pod zamkniętymi oknami kawiarni. W głębi, bliżej Szóstej, stoi parę samochodów. Przechodniów niewielu.

Dwoje ludzi w podeszłym wieku, pewnie małżeństwo, niesie zakupy. Owczarek wyprowadza swoją tłustą panią na spacer. „Może to gliny?” - pomyślał. Ktoś może obserwować mieszkanie. Może nawet z FBI. Stał tak i czuł się obserwowany. Obnażony. Winny.

„Patrz, co zrobili z moją głową, Oliverze”. Tak, tak, ale, na litość boską, co on o tym wie? Znow pomyślał o dziewczynie w skórzanej masce. O czarno-srebrnych kosmykach. O łuku nagich pleców. O tym facecie, tym Fernandzie Woodlawnie, który był od niej na tyle odsunięty, że odslaniał znaczną część jej pupy.

I w jednej chwili odczuł we wnętrzu coś na kształt zmiany chemicznej. Jego samotność, słodko-gorzka tęsknota zgęstniała w prawdziwy smutek. „Ojej, ojej, ojej”. Wzdrygnął się. „...nieraz już wpółzakochany byłem w Śmierci, dawczynie ulgi ostatecznej”<sup>1</sup>.

Mały Zach. Rany boskie! Ojciec trzyma go za kark. Przygważdża twarzą do swojego wielkiego biurka, rozgniała mu policzek. Nogi chłopca dyndają w powietrzu. Welwe-towe spodenki dyndają wokół kolan. „Tatusiu! Tatusiu! Tatusiu!” - krzyczy cały czas. Ale tatuś podnosi ten ciężki mosiężny liniał. „To-cię-na-u-czy-że-nie-wol-no-do-ty-kać-mo-ich-rze-czy!” Spuszcza go na delikatną dziecięcą pupę, aż ciało purpurowieje a w końcu niemal czernieje. Mały Zach wrzeszczy do zachrypnięcia. Mama trzyma się na uboczu, jej palce przebierają bezradnie przy ustach. Patrzy pustym wzrokiem. Ma na wargach nieobecny uśmiech. A Oliver stoi w drzwiach. Krzyki braciszka oderwały go od lekcji. Stoi z rękami po bokach, z dłońmi zaciśniętymi w pięści. I nie może się odezwać. Strach i podniecenie zaciskają mu gardło. Może tylko myśleć: „Kiedy to ja to zepsułem. To ja zepsułem tę maszynę”. Sapnął. Pokręcił głową.

- Kurwa - powiedział na głos. Ze spuszczoną głową ruszył w stronę domu. I kurwa z tym Mulliganem! I z policją, republikańskim FBI, z nimi wszystkimi! Trzeba wziąć

---

<sup>1</sup> John Keats, utwór cytowany.

adwokata, i tyle. Wyjść z tym do prasy, rozgłosić. Zabiją mu brata, naprawdę? Boże, to depresja.

Dotarł do wejścia do kamienicy. Rozejrzył się jeszcze raz zmrużonymi oczami. Łysy mężczyzna w czerwonej sukience przemaszerował koło niego, stukając głośno wysokimi obcasami damskich szpilek. „Chryste Panie, skąd ma człowiek wiedzieć, czy jest pod obserwacją, czy nie. Wszyscy się poprzebierali”. Machnął ręką. Kurwa z tym! Wskoczył na schodki, pchnął drzwi.

Dotarł szybko na drugie piętro, podszedł do swoich drzwi. Pogmerał w kieszeni za kluczami. Może Avis jest jeszcze na górze. Dobrze byłoby z nią pogadać. Na pewno by mu nie uwierzyła, gdyby jej wszystko opowiedział. Znalazł klucz. Otworzył zamek. Wszedł do środka.

Drzwi się za nim zatrzasnęły. Pstryknął światło. I stanął jak wryty. „Hej, ktoś ruszał Goethego”.

Dłoń Perkinsa powędrowała za plecy, namacała klamkę. Stał jak zamurowany, jego pierś unosiła się i opadała. Zamienił się w słuch.

Był gotów wziąć nogi za pas na najlżejszy ruch, najlżejszy odgłos. Nie poruszając głową, rzucał oczami z lewa na prawo, od jednego kąta do drugiego.

Mieszkanie było wysprzątane. Wszystkie puste brązowe butelki po piwie zebrano i upchnięto w papierowe torby; czekają spakowane, żeby je odnieść do skupu. To oczywiście Avis. Któż by inny? Tej kretynki nie da się powstrzymać, jak już zacznie. Oczywiście pozmywała, a jakże! Pozbierała ciuchy. Pościeliła. Czyżby nawet wypolerowała biurko? Zdawało mu się, że pamięta jakieś okrągłe plamy od mokrych butelek, których teraz nie było.

Ale książki? Zakurzone stosy między materacem, stolikiem a krzesłem. Wciśnięte pod parapet... Avis miała swój rozum, wiedziała, że książek tykać nie należy. Każda z nich tkwiła na swoim miejscu. Na pamięć wiedział, gdzie co jest. Avis to zbyt miłe stworzenie, żeby wprowadzać zamieszanie w ten jego wszechświat. Ktoś jednak...

Ktoś ruszył Goethego.

Tutaj. Ta kupka w nogach materaca. *Opowieści* Poeego na samym spodzie. Które skojarzyły mu się, oczywiście, z Jacq-ues'em Lacanem, ten z Freudem, a to doprowadziło z kolei do *Mitu o narodzinach bohatera* Otto Ranka. Co oczywiście nasunęło myśl o *Terapii woli* tegoż Ranka, w związku z czym *Świat jako wola i przedstawienie* Schopenhauera leży wyżej. Co przywołało *Buddenbrooków*, więc *Doktor Faustus* Manna jest na nich. Dalszy tok był prosty: *Mefisto* Klause, a na końcu oba tomy Goethego: *Fausta* część druga, a potem pierwsza. Tak to zostawił: część druga, a potem pierwsza. A teraz, teraz ktoś najwyraźniej wysunął część drugą, pewnie do niej zajrzał, a potem niefrasobliwie rzucił na wierzch stosu. Tak jakby to było bez znaczenia.

Nie miał najmniejszych wątpliwości. Mieszkanie odwiedził ktoś jeszcze prócz Avis.

Puścił powoli klamkę. Odsunął się od drzwi, rozglądając uważnie na boki. W końcu stanął pośrodku pokoju. Nasłuchiwał. Nic nie słyhać, poza słabym szumem ruchu ulicznego na Szóstej. Jeszcze raz w napięciu lustrował pokój. Przeczesał wzrokiem książki, od okna do materaca, od lampy do łazienki...

Tu się zatrzymał. Drzwi od łazienki. Są zamknięte.

„O nie! Tylko nie to”.

Po jaką cholere by je zamykał? Nie zamykał ich. Nie przypominał sobie. Może to Avis? Jasne. A może Avis jeszcze tam jest...

„Nawet o tym nie myśl”.

Racja, racja, nie myśleć o tym. Tyle że... może jest tam, za tymi drzwiami. W tym klozecie. I patrzy stamtąd, spoza tych wielkich kwadratowych okularów. Wargi sine, rozchylone. Blond loki rozprostowane, bo nasiąkły w kałuży jej własnej...

„Człowieku, przestań o tym myśleć”.

Zagryzł usta. Cholera. Cholera. To tylko drzwi, tylko zamknięte drzwi. Nie ma powodu, żeby tak stać i się gapić. Żeby się tak napinać, zaciskać pięści. Trzeba zwyczajnie podejść i otworzyć - i tyle. Otworzyć. Po prostu. Oczywiście.

Zrobił krok w stronę toalety, powoli, z ociąganiem.

A klamka u drzwi łazienki przekręciła się. Szczęknęła zasuwka. Drzwi zaczęły się uchylać.

„Jestem tutaj, OHverze. Przyszłam do ciebie. Po to, żeby ci pokazać moją głowę; po to, żeby ci pokazać, co zrobili z moją głową”.

Perkins, zastygły w bezruchu, obserwował, jak drzwi ze skrzypieniem, powoli się otwierają. Obserwował, jak wyłania się z nich - rzeczywiście - ludzka głowa. Jak wychyla się zza krawędzi. Duże, ciemne, przestraszone oczy patrzyły na niego.

- Ollie, to ty?!

A Perkins skoczył w tamtą stronę. Zupełnie nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo się denerwuje i martwi, aż do tej chwili, kiedy to wszystko od niego odpłynęło.

- Zach!!! - zawołał. Rzucił się w stronę brata z uniesioną ręką, z dłonią zaciśniętą w pięść, jakby miał uderzyć. I krzyczał: - Zach, Zach, gdzie ty byłeś, do jasnej cholery? Ty idioto! Ty durny, głupi skurwysynu!

Nancy Kincaid

Biegiem. Ze wszystkich sił. Drzwi daleko. Prostokąt szyby zacienienia ciemna sylwetka strażnika.

Krzyki za nią wzmagają się. Nancy nie zapominała o nożu do kopert, ostrze ukryła płasko przy nadgarstku. W głowie jej się kręciło.

„To nie ja - myślała niemal sennie. - Ja jestem dobra. Tak naprawdę to nie ja”.

- Ostrożnie, ona ma nóż! - To była pielęgniarzka, siostra Anderson.

- Uwaga! - To był strażnik za plecami Nancy.

Strażnik z przodu, przy szybie, okazał się tą samą Murzynką, która uprzejmie otworzyła przed nią drzwi, kiedy ją tu przywieziono. Teraz chwyciła szklaną tafelę.

„Może będzie trzeba ją zabić” - pomyślała Nancy.

Ale kobieta tylko skinęła jej głową. Nawet jakby trochę się uśmiechnęła. I Nancy uświadomiła sobie: tamta znów uprzejmie otwiera przed nią drzwi!

Nancy dała nura na zewnątrz.

- Łapać ją! - rozległo się z tyłu.

- Ma nóż! Uwaga!

Kątem oka zauważyła, że strażniczka dopiero teraz zaczyna się orientować w sytuacji. Za późno. Zanim się połapała, Nancy już nie było. Pędziła już zadaszonym podjazdem, skręcała za róg. Betonowe kolumny zamazywały się, uciekając wstecz. Gdzieś tam z przodu musi być Rzeka Wschodnia. Za podjazdem zaczyna się asfalt parkingu, widoczny przez siatkę ogrodzenia.

- Uwaga!

- Stać!

Chłodne powietrze na policzkach, chłodne powietrze w płucach. Krzyki z tyłu zdawały się cichnąć. Parking tuż-tuż. Była prawie wolna - a mimo to prześladowało ją wrażenie, że sama siebie zmusza do każdego ruchu. Że coś ją wstrzymuje, jakby biegła w lepkim syropie. Odgarniała powietrze rękami, ścisnęła nóż do rozcinięcia kopert. Ciężko łapała powietrze, zwalniała, jakby coś kazało się jej zatrzymać. Jakby wołało ją z powrotem. Czuła tę wewnętrzną siłę wyraźnie: wstrzymywała ją. Chciała, żeby Nancy dała za wygraną. Cofnęła się. Wróciła. Położyła do łóżka, w białej pościeli, zobaczyła nad sobą życzliwą twarz doktora Schoenfelda. Poczwała na swoim czole dotyk mocnej czarnej dłoni siostry Anderson. Co ona im zrobiła? Kim trzeba być, żeby robić takie rzeczy?

Kim jest? Kim ona jest, do ciężkiej cholery?!

Wyskoczyła z zadaszonych podcieni, mówiąc sobie: „Nie rób tego. Wracaj, wracaj”. Parking był rozległy. Taki jak i niebo nad nim. Smętne ceglane klocki szpitala tworzyły bliski horyzont. Z tyłu wystrzelał w błękit Empire State Building. „Dziwny błękit - pomyślała, mrużąc oczy w nagłej jasności. - Dziwne jakieś to światło”.

Nagle zrozumiała: zbliża się wieczór. Przesiedziała



w szpitalu ładnie parę godzin. Ranek dawno minął. Robi się późno...

Potykaçąc się, ruszyła przed siebie. Oszołomiona, rozkaszana. Obejrzała się przez ramię. Zobaczyła dwoje strażników w drzwiach szpitala, pod dachem podjazdu. Jeden z nich - mężczyzna - gadał do krótkofalówki. Ale nie ruszali w pogoń. Nie opuszczali posterunku. Pozwalali jej uciec.

Wzdłuż ogrodzenia parkingu biegła droga. Nancy skręciła w nią, za róg. Starła się nie zwalniać; bała się, że jeśli straci rozpęd, to ta wewnętrzna siła pociągnie ją z powrotem. Że jej ulegnie i podda się...

Droga zaczęła się wznosić. Nancy nie była w stanie utrzymać tempa. Przestała biec, zwolniła kroku, głowę miała ciężką, ramiona podnosiły się, kiedy spazmatycznie łąpała oddech. Poniżej, nad rzeką, samochody pędziły autostradą Roosevelta. Zdawało jej się, że przez szum uliczny słyszy zawroźenie syren. Nie była pewna. Zresztą nie obchodziło jej to.

Podniosła wzrok. Zobaczyła wąski pasaż, koniec Dwudziestej Dziewiętej Ulicy, z jednej strony zamknięty złowrogim ceglanym murem szpitala. Z drugiej rzędem posępnych urn na słupach.

Nie miała pojęcia, dokąd zmierza, szła po prostu naprzód. Cały ten gwałtowny impuls gdzieś wyparował. Te głosy wewnętrzne: „O ósmej. Zwierzęca Godzina. Ktoś ma umrzeć". Gdzie się one podziały właśnie teraz, kiedy ich najbardziej potrzebuje. W starej makówce cisza jak makiem zasiał. Nancy roześmiała się z goryczą. Wciąż łąpała oddech. Poczłapała w uliczkę, schowała się w cieniu kolumny pod beznamiętne oblicze betonowej urny.

Oparła się o słup i osunęła na ziemię. Siedziała tam bezwładnie, przed sobą miała wznoszący się pasaż. Potrząsała głową, starając się odpędzić od siebie świadomość tego, co zrobiła. Lecz obrazy, słowa, nawet doznania fizyczne wracały do niej, napierały. Łagodny, misiowaty uśmiech doktora Schoenfelda i jego wybałuszone oczy, kiedy poczuł ból. To ustępowanie miękkich tkanek pod jej kolanem, kiedy uderzyła nim z całej siły („To, czego pani doświadcza, to epizod schizofrenii"). Dotyk włosów siostry Anderson,

uchwyconych pełną garścią. Przestraszył ją na jej odchylonej do tyłu twarzy („Tym mogę cię zabić”). Wypuściła z ręki nóż. Upadł z brzękiem na chodnik.

A ona siedziała zgarbiona na chodniku, tam, pod murem z czerwonej cegły, pod ciemnymi łukowatymi oknami szpitalnych gmachów. Oparła się czołem o betonowy filar. Urna tkwiła nad nią jak nieruchoma i obojętna sowa.

Te syreny... one się zbliżają. Dużo ich jakoś. Chyba bardzo dużo. Próbowwała się znów roześmiać, ale tym razem wyszło to bardziej na płacz. „Jestem dobra! — pomyślała. — Naprawdę jestem miłą osobą”.

„Ach - mawiała jej matka - tak miło wyglądasz”.

(„To termin bardzo ogólny na określenie całego szeregu zaburzeń psychicznych, charakteryzujących się omamami słuchowymi o charakterze poleceń, uporczywymi urojeniami i lukami pamięciowymi...”)

Kiedy była mała, matka wiązała jej kokardę we włosach i mówiła, że jest piękna. Wtedy wierzyła w to, że jest piękna. Czuli się piękni.

„Wbijam, przekręcam i jesteś martwa, zanim uderzysz o podłogę”.

Czy ona naprawdę tak powiedziała? Swoim własnym cieniutkim głosem? Słyszała wciąż swój własny cieniutki głosik, który to mówi. „Wbijam, przekręcam...” Jakim jest monstrum, na miłość boską? Kim jest? Jak ma się tego dowiedzieć? W którym miejscu zacząć szukać odpowiedzi? Co trzeba znać, żeby wiedzieć, kim się jest? Własną przeszłość? Twarz w lustrze? Wiedzieć, w co się wierzy? Imię? Nazwisko? Od czego zacząć?

„Od Zwierzęcej Godziny”.

Ach, tak, dobrze, od Zwierzęcej Godziny. Super. Nancy jęknęła. Podniosła głowę, oczy się jej zamknęły. Zaciśnęła zęby, jakby chciała się trzymać samą siłą woli. A więc to wszystko — ta ucieczka z domu wariatów, to kopanie lekarza w jaja, straszenie pielęgniarki nożem, te wszystkie potworności — wzięły się tylko z tego głosu w głowie? Ze słów, których nawet nie rozumie: Zwierzęca Godzina?

Syreny były teraz już całkiem głośne. Sądząc z odgłosów, wozy policyjne pędziły ze wszystkich stron. Z tyłu - auto-

stradą Roosevelta nad rzeką. Z północy i południa - Pierwszą Aleją. Robiły sobie zlot gwiazdzisty, wydawało się jej, właśnie u wyjścia z tego pasażu. Wypadną od dołu, zza tego zakrętu wokół parkingu. Wypadną spomiędzy ceglanych ścian, ze wszystkich stron, i zmiażdżą ją swoimi maskami.

„Boże - pomyślała sobie. - Niech tak będzie. Jestem uzbrojona, niebezpieczna, szalona. Moje miejsce za kratkami. Niech już przyjadą i złapią mnie”.

Myślała to, ale już wstawiała na nogi. Rozglądała się uważnie. Wypatrywała jakiegoś śladu policji. Jej palce gmerały po chodniku, aż zamknęły się na rękojści noża do cięcia papieru.

„Nie rób tego, Nancy!!!” - miała ochotę wrzasnąć sama na "siebie. Lecz wiedziała, że to zrobi. Wiedziała, że nie ma innego wyjścia. . .

Spojrzała na nadgarstek. Nie ma zegarka. Zabrali je) w szpitalu. Na chwilę ogarnął ją popłoch błyskawica wyrywająca z marazmu. Nie będzie wiedziała, która godzina! A robi się późno. Zbliża się wieczór. Wygląda na to, że wkrótce zacznie się ściemniać.

„He mam czasu?”

Nie wiedziała. A więc trzeba się spieszyć. Trzeba się stąd ruszyć. Przytrzymała się ręką kolumny. Stęknęła. Syreny były na tyle głośne, że przeszył ją kolejny wstrząs. Wyrwał z sennego oszołomienia. W głowie się przecierało.

Musi tam być. Tego była pewna. Nie wiedziała, jak i dlaczego, ale nie wątpiła, że tak rzeczywiście jest. Ktoś ma zginąć. Ktoś, gdzieś. O ósmej.

„To, czego pani doświadcza, to epizod schizofrenii. Omamy słuchowe. Urojenia”.

„Dajcie mi święty spokój” - pomyślała znużona. I znów zobaczyła twarz młodego lekarza. Jego ciepłe oczy, rozszerzające się w cierpieniu zaraz po tym, jak kopnęła go w...

„Jakim trzeba być szaleńcem...?”

Ruszyła w stronę Pierwszej Alei. Syreny zawodziły jak atakujący Indianie. Zbliżały się ze wszystkich stron. Będą tu zaraz. Przyspieszyła, nie podnosząc głowy, trzymając noz ukryty po wewnętrznej stronie ręki.

„Jakim trzeba być monstrem...? Chciałaś zabić tę kobietę”.

Pomyślała o siostrze Anderson. O jej odrzuconej do tyłu głowie. O jej szeroko otwartych z przerażenia oczach.

„To tak się zachowujesz? Coś podobnego! Jak tak można!”

„Muszę tam być, mamó” - powiedziała do siebie z rozdrażnieniem. Szła wzdłuż długiego metalowego ogrodzenia przed budynkiem z czerwonej cegły. W stronę Pierwszej Alei. Oglądała się co chwilę za siebie. Syreny wyły. Widać już było jeden wóz. Czerwone wirujące koguty na dachu wyłoniły się zza zakrętu, na drodze prowadzącej w jej stronę, koło parkingu.

A ona myślała o miękkich piersiach siostry Anderson, o ostrzu wbijającym się w żebra.

„Jesteś martwa, zanim uderzysz o podłogę”.

Obrazy, myśli, roily się wokół niej jak wrony, nadlatywały nad nią nurkującym lotem jak wrony. W gęstym cieniu budynków dotarła do rogu Pierwszej. Tutaj też ich widziała. Spodziewała się tego. Jeden wóz gnał z północy, migając na czerwono, przemykając się wśród pędzących pojazdów. Drugi wyjechał spod bezkresnego niebieskiego nieba na południu, dokładnie z drugiej strony, a taksówki i inne samochody uskakiwały mu z drogi.

„To przeze mnie. Naprawdę przeze mnie!” Coś nagle krzyknęło w jej wnętrzu: „Gonia mnie! Bo właśnie taka jestem! Bo to właśnie ja robię takie rzeczy! To właśnie ja, nikt inny”.

I te obrazy — jak wrony — opadły ją naraz zewsząd. I w tej właśnie chwili zrozumiała straszliwy sens tego wszystkiego. Zwierzęcej Godziny. Krwi chlustającej ze zmiążdżonego o biurko nosa młodego lekarza. Ostrza na gardle siostry Anderson. Tych coraz głośniejszych syren...

Ruszyła biegiem. Światła były po jej stronic, samochody czekały. Rzuciła się na drugą stronę, żeby uciec od tych pikujących wron, od tych obrazów. Te policyjne wozy zjeżdżają się ze wszystkich stron właśnie po nią; zjeżdżają się, bo jest tym, kim jest; ponieważ naprawdę jest taka, jaka jest. Jest naprawdę takim potworem.

Dotarła do przeciwległego krawężnika. Samochody ruszyły warcząc. Zjeżdżały na boki, żeby przepuścić wozy policyjne. Biegła jak szalona. Bo przecież musi tam być. O Zwierzęcej Godzinie. O ósmej. Ktoś ma dziś wieczorem umrzeć, a ona - oczywiście - musi tam być.

Bo to ona ma go zabić.

Część trzecia

KOŁYSANKA

*Nie chcę harmonii... chcę harmonii.*

Dutch Shultz na łożu śmierci

Oliver Perkins

- No i wtedy zachciało mi się srać.

Oliver właśnie przykładął do ust szyjkę butelki z piwem. I zatrzymał się znieruchomiały. Patrzył na młodszego brata.

- Co?

- Musiałem iść do kibla. Miałem sraczkę.

- Zach, wszyscy gliniarze w mieście cię szukali. Byłeś ubrany jak dziewczyna. Na miłość boską!

- No właśnie, o to chodzi. No i wiesz, wszyscy szykują się do wieczornej parady, całą policję spędzili w okolicy placu i Szóstej Alei. Pełno ich.

Oliver tylko patrzył i podziwiał. Siedzi sobie na materacu, patykowate nogi podkurczone, kolana prawie dotykają uszu. Oczy szeroko otwarte, ciemne, gapowate. Uśmiecha się jak mała gapa. Już nie ma na sobie ciuchów Tiffany. Jest w spranych džinsach, przetartych na kolanach, w czymś w rodzaju workowatej koszuli pozszywanej z łątek. Każda łątka innego koloru, w inny deseń — jakby koszula została wykonana przez gromadkę psychopatek na sesji terapii zajęciowej.

- No więc, rozumiesz, wchodzę do tego lokalu, to się nazywa „U Mamy” czy „U Mamusi”, no wiesz, taka lodziarnia...

Oliver siedział na krześle obok biurka, nadal trzymał butelkę tuż przy ustach i z niedowierzaniem kręcił głową.

- „U Papy”...

- Słusznie. No więc pytam kasjera, wiesz, czy mogę skorzystać z toalety. A on widzi, że jestem w potrzebie, zgięty wpół. Mówi: „No pewnie”. Więc ja migiem na za-

plecze i zaczynam się gimnastykować, no wiesz, trzeba jedną ręką jakoś zakasać sobie spódnicę do pasa, a drugą ściągnąć slipy, rozumiesz, no więc czuję się jak jakiś ek-wilibrysta czy ktoś w tym rodzaju, a tu nagle walenie do drzwi - bum, bum, bum, no wiesz... no więc wrzeszczę w rozpacz: „Co?!“ A to ten kasjer. I krzyczy: „Proszę pani! Proszę pani! Weszła pani to męskiej toalety! Proszę pani!”

Oliver roześmiał się. Opuścił piwo na kolana. Kiwał głową.

- A ja musiałem odkrzyknąć, no wiesz, cieniutko, tym falsetem: „Ach, dziękuję panu, rzeczywiście, w porządku, dziękuję panu bardzo”. A on nadal wali. Co miałem zrobić? Właśnie w tym momencie udało mi się zarzucić spódnicę na głowę, żeby nie spadała, ściągnąć bokserki do kostek, no i rozumiesz, kiszek mi mało nie rozerwie, nie ma odwrotu. A ten wrzeszczy: „Proszę pani! Proszę pani!” Siedziałem tam ze trzy kwadransy. A on co dziesięć minut wracał, walił i wrzeszczał na mnie.

Oliver patrzył na Zacha, na te jego błyszczące czarne oczy. Widział, jak kiwa tą swoją gapowatą głową, szczerzy się w tym gapowatym uśmiechu. Znowu się roześmiał.

„Jeśli federalni złapią go pierwsi, pański brat może pożegnać się z życiem”.

Chwycił się palcami za grzbiet nosa i roześmiał jeszcze głośniej.

- Ty idioto! Rany boskie! - Grzywka podrygiwała mu nad czołem, tak się trzął ze śmiechu.

Zach rozłożył ręce.

No a co miałem zrobić?

- Przestań. Jak rany - powiedział Oliver. Nie mógł powstrzymać śmiechu.

Zachary przyglądał mu się z materaca. Uśmiechnięty szeroko. Kiwał głową. Popijał wodę ze szklanki. Złączeni niewypowiedzianym porozumieniem, zgasili światło w pokoju. Za oknami zaczynało się ściemniać. Góry książek dookoła rozmywały się w miłym brązowym zmierzchu.

- Ach, ty palancie! Oliver zaczerpnął powietrza. Otwartą dłonią starł z kącików oczu Izy śmiechu. Pokręcił



głową nad piwem. Pociągnął łyk. Potem siedział przez chwilę, gapiąc się na małego braciszka.

„Zabiją go, Perkins. Dam sobie rękę uciąć”.

- A więc — zapytał najpoważniejszym tonem, na jaki go było stać. — Byłeś tam?

Zach, nadal uśmiechnięty, wydał policzki.

- Znaczący, w starym domu? Tak.

Obaj pokiwali głowami ponuro. Zamyślili się na chwilę.

- Porzygałeś się? — zapytał wreszcie Oliver. - Ja się porzygałem. A ty?

- Nie, chyba nie. Ale nieźle mnie wzięło.

- A ja po prostu wyrzygałem. Boże, jak zobaczyłem tę głowę w kiblu...

- Ach, więc to tam była!

Oliver po prostu ryknął śmiechem, chlapiąc piwem dookoła. Musiał odstawić butelkę. Złapał się za głowę. „Ach, więc to tam była!” Tego się nie da wytrzymać. Zamknął oczy. Widział twarz kobiety wpatrującą się w niego z miski klozetowej, ale już się tym nie przejmował. Śmiał się do rozpuku. Zach też się śmiał na sam jego widok.

- Rany, człowieku! — wyartykułował wreszcie Oliver. - Tam była, a jakże! Rany. W kiblu. Dowlokłem się tam, żeby zwymiotować...

- Nie! Chyba nie...?!

- Nie. Chybiłem o włos. Rany.

- No nie!

- Rany boskie. Jezu. — Śmiał się bez przerwy. Poczekaj, niech no się babcia o tym dowie. Wykituje.

Zach złapał się za serce i wywalił język: babcia ma zawał. To doprowadziło Olivera do nowego ataku. Musiał aż wstać, pękał wprost ze śmiechu, tupał nogami, kręcił głową. Kiedy mu wreszcie przeszło, osunął się bezwładnie na ścianę. Popatrzył na Zacha, który nadal siedział na materacu; sterczące łokcie i kolana. Uśmiechnięty. Kiwając głową. Taki sam gapowaty Zach jak wtedy, kiedy go wciągał na sankach pod górę.

„Nie będziemy zjeżdżać przez tamten próg, dobra, Ollie? I pojedziesz ze mną, dobra?”

Oliver musiał powstrzymać odruch, żeby podejść do brata i wziąć go z materaca na ręce. Pocałować go prosto w czoło. Takich rzeczy między nimi nie było. Powiedział więc tylko:

- Boże! - Odchylił głowę tak mocno, że patrzył w sufit. -Boże, co się tutaj naprawdę dzieje? Nie do wiary, że coś takiego się dzieje.

— Wiem. To jakieś szaleństwo.

- Okay, ale co ty masz z tym wspólnego, Zach? Te zakrwawione ciuchy, ten Mulligan i w ogóle? Chryste! — Oliver aż kopnął piętą w podłogę. - Nie mogę w to wszystko uwierzyć. To zaszane FBI. O co chodzi? Co tu jest grane?

— Nic! - wykrzyknął Zachary. Wyciągnął swoje chuderlawe ręce, pokazał puste dłonie. Oczy miał szeroko otwarte. - Pokłóciłem się z Tiffany, to wszystko. Tak to się zaczęło. Nie mam pojęcia: z nią jest coś nie w porządku. Od tygodni zachowywała się dziwacznie. Nie mam pojęcia. Pokłóciliśmy się, ona się wkurzyła... no i powiedziała mi, żebym się wynosił. „Wracaj sobie w ten swój dumny zaułek” - powiedziała. Co miałem zrobić? Była, bo ja wiem, czwarta rano czy coś koło tego, nie mam pojęcia. No to poszedłem tam, no wiesz, znaczy, do starego domu, poszedłem tam, a tu całe mieszkanie w ruinie, no wiesz. Więc sobie pomyślałem, że było włamanie, no nie? Poszedłem na górę, żeby zobaczyć, a tam... no, zobaczyłem tego trupa. Wiesz. No i całkiem mi się popieprzyło w głowie. Kompletna głupota. Podbiegłem do tego ciała. Wiesz, najpierw w ogóle nie zauważyłem, że... no, chyba w ogóle nie myślałem, wiesz, podbiegłem, no, do tego trupa, wziąłem w ramiona, nie mam pojęcia. Nie myślałem. No i cały się umazałem krwią. A potem, jak zobaczyłem, wiesz, co się stało z głową, to pomyślałem: cholera. Cholera, teraz jestem cały zakrwawiony, wiesz, oni pomyślą, że to ja. I po prostu, no... no, uciekłem. Poleciałem do domu, z powrotem do Tiffany. Nie wiedziałem, co robię. Westchnął, zgarbił się. Potem, jak już byłem w domu, rozumiesz, no to opowiedziałem Tiffany wszystko, no nie? A ona... a ona po prostu zbladła jak ściana, no, mówię ci, ostatnia kropelka krwi jej odpłynęła, zrobiła się szara **na** twarzy, a ja spytałem: „Tiff, co się stało?”, a ona nic. Potem mówi: „Poczekaj. Poczekaj tu, okay?” Powiedziała, że musi wyjść na chwilę, a potem... potem dodała, że jak wróci, to wszystko wyjaśni. - Bezradnie wzruszył ramionami. — Tyle że

nie wróciła. W ogóle się już nie pokazała. Nie widziałem jej od tamtej chwili. - I siedział tak, gapiąc się w podłogę. To był koniec opowieści.

Resztki uśmiechu zniknęły z twarzy Olivera. Skrzywił się, złapał butelkę z piwem. Podszedł do okna, wymijając sterty książek. Strach. Stary znajomy — Wujek Strach — powrócił. I to jeszcze jak! Pani Ulga się wyprowadziła, a w brzuchu zagnieździł się stary dobry znajomy, Wujek Strach. I wygląda na to, że na dobre.

„Był naćpany” — pomyślał Ollie. Łyknął tego piwa. Wyjrzał przez okno, przez balustradę galeryjki awaryjnej. Tam w dole pasaż Greenwich Village ciemniał w popołudniowym świetle. Dwoje dzieci w kupionych w sklepie maskach tańczyło wokół matki wśród długich cieni. Nie sposób było określić, jakie postacie z kreskówek mają przedstawiać. Za nimi szła para gejów w skórzanych kurtkach i motorowych kaskach, trzymając się za ręce. Oliver, przyglądając się im wszystkim, poczuł się samotnie; zateęsknił za dniami dzieciństwa tak bardzo, że omal w rozgoryczeniu nie powiedział na głos: „Wróciłeś do ćpania, ty durny bałwanie. Nic dziwnego, że zachowywałeś się jak idiota”.

Obejrzał się przez ramię. Patrzcie go, siedzi w kucki, kolana przy uszach. Gapi się bezmyślnie. Kiwa łbem.

„Nie będziemy zjeżdżać przez tamten próg, dobra, Ollie?”

Oliver nie powiedział nic. Znów patrzył w okno. Westchnął. „Dzięki Bogu, że okno było otwarte” pomyślał. Zach mógł się dostać na górę po drabince pożarowej, wejść do środka. Gdyby położył na nim teraz łapę Mulligan, gdyby usłyszał tę jego opowieść: jak to próbował ratować bezgłowe ciało, jak je brał w ramiona, jak się przy tym ubrudził krwią...

„Słowo honoru, tak go przycisnę, że wyśpiewa mi wszystko, co wie o tym morderstwie, albo się zesra”.

Zach był naćpany. To jedyne wytłumaczenie. Dlatego

działał tak, jak działał, robił to, co robił. Dlatego miał kłopoty z żołądkiem. Znow brał narkotyki, Tiffany się zorientowała i wyrzuciła go za drzwi. To dlatego powiedziała: „Wracaj sobie w ten swój dumny zaułek”.

Wypuścił powietrze, aż zahuczało w szyjce butelki. „Wracaj sobie w ten swój dumny zaułek...” - pomyślał.

A może wiedziała? Może wiedziała, co tam zastanie? Może go wysłała właśnie dlatego? Żeby go zrobić? Tak jak potem wysłała jego, Olivera — wysłała go, a potem zadzwoniła po gliny, twierdząc, że słyszy krzyki kobiety?

„Powiedziała, że jak wróci, to wszystko wyjaśni. Od tygodni zachowywała się dziwnie”.

To jest klucz do całej sprawy, a jakże! Oliver był tego pewien. Znał odpowiedź. Tylko jak przekonać Mulligana? Zwłaszcza że Zach znow bierze. Cpa, w dodatku zakrwawiony, a jego odciski są pewnie wszędzie. Brat idiota. Jak przekonać Mulligana, żeby przesłuchał Tiffany, zamiast skopać Zacha?

Oliver popatrzył na korony miłorzębów, które też skryły się już w cieniu, jak cała ulica. Ze złością znow pociągnął piwa. Pomyślał o pierwszym załamaniu Zacha. Studiował wtedy na Uniwersytecie Nowojorskim. Taki błyskotliwy chłopak jak Zach marnował czas w tej durnej szkółce. Parodii uczelni. Akademia bałwanów, jak zwykł ją nazywać po cichu Oliver. Tam można było zrobić dyplom z plażowania. Ollie wtedy był już po studiach w Bennington. Prowadził klub. Pisywał słabe wiersze. Ale czasami i dobre. Wtedy, kiedy to się stało, obozował pod namiotem na biwaku koło Gaysville. Laura, kelnerka w bufecie, przyszła po niego. „Dzwoni twoja babcia. Mówi, że to katastrofa”.

Ach, tak, to rzeczywiście była katastrofa. Zach od czterech dni siedział zwinięty w kącie sypialni. Rękami obejmował kolana. Nie ruszał się. Nie chciał z nikim rozmawiać. Nawet wtedy, kiedy przyjechał Ollie, podniósł tylko smutną twarzyczkę i oznajmił ponuro: „Nie tego Bóg ode mnie oczekuje, Oliverze”.

„Nie tego Bóg ode mnie oczekuje”. Oliver wykrzywił się szyderczo na miłorzęby w dole. Zasyczał przez zęby. Pod jednym z drzew stał mężczyzna z brzuchem jak piłka lekar-

ska, opiętym podkoszulkiem. Perorował donośnym głosem do jakiejś kobiety w podeszłym wieku, ubranej w podomkę.

„Może to policja” - pomyślał Oliver. Może to FBI. Obserwują mieszkanie i lada moment wpadną tu z rewolwerami w rękach.

„Jeśli federalni złapią go pierwsi, pański brat może pożegnać się z życiem”.

Rany boskie! Tak. Wujek Strach znów się rządził na starych śmieciach. Oliver podniósł butelkę do ust. Resztką na dzień. Żeby tak alkohol trochę zadziałał. Uspokoił. Trochę stepił to przygnębienie. Ten strach.

Zach wrócił ze studiów do starego mieszkania w zaułku. Babcia załatwiła mu psychoterapię, utrzymywała go, płaciła za wszystko. A Zach się tam wylegiwał, czytał Augustyna i CS. Lewisa, i Hansa Kunga - dniami i nocami. Tomasa a Kempis - Boże, zmiłuj się — dniami i nocami. No i w końcu zwiął. Przystąpił do jakiejś sekty chrześcijańskiej, gdzieś w Pensylwanii. I przez półtora roku pisywał radosne, pobożne listy do domu, aż któregoś dnia się znowu załamał i Oliver musiał po niego jechać...

Wysączył ostatnie krople. Nadaremnie, jak powiadają. Serce ciężkie jak z ołowiu. W głowie gonitwa myśli. Mulligan:

„Tak go przycisnę, że wyśpiewa mi wszystko, co wie o tym morderstwie, albo się zesra”.

Co za kutas! Ten mały kurdupel o mopsim nosie, bez śladu emocji w głosie albo na twarzy. Tylko mruga zza tych drucianych oprawek. Rzuca zdjęcia na stół jak karty do gry. Z nieprzeniknionym spojrzeniem, pokerową miną. No i te zdjęcia. Ta fotografia dziewczyny w skórzanym kapturze na głowie i z politykiem w tyłku. „Niech to szlag — pomyślał Ollie. — Przekłęta Tiffany. Co tu jest grane, do jasnej cholery?”

„Powiedziała, że jak wróci, to wszystko wyjaśni”.

— A niech to! — Machnął ręką.

Zach siedział przycupnięty na materacu. Ramionami obejmował kolana, dłonie mu zwisały. Patrzył na Olliego tymi swoimi wielkimi oczami i czekał, co też powie starszy brat.

„Co teraz będzie, Ollie?” Zupełnie jak po śmierci mamy. Co teraz będzie?

— Do diabła, Zach. Musisz się zgłosić na policję — powiedział Oliver. - Musisz. Nie ma innego wyjścia. Najpierw załatwi się adwokata. Babcia na pewno kogoś ma. Mulligan nic ci nie zrobi, jak będziesz miał adwokata...

— Rany, Ollie, nie wiem...

— Słuchaj, człowieku, oni znali tę dziewczynę, tę zabitą. Gliniarze. Znali ją i są wkurzeni. Jeśli cię złapią, jeśli będziesz się ukrywał, a oni cię dopadną, to dowiesz się, co znaczy „wziąć na męki”. Musisz to zrobić. Musisz się oddać w ręce policji.

Dwaj bracia milczeli w mrocznym pokoju. Oliver, zawstydzony, przestępował pod oknem z nogi na nogę. Dzierżył w garści pustą butelkę, uważnie studiował podłogę. Zach na materacu rozważał sytuację. Oczywiście miał rozbiegane. Zerkał to na jeden koślawy stos książek, to na inny. Jego wzrok zatrzymał się na okładce *Jałowej ziemi* Eliota.

„Przekłęta Tiffany pomyślał Oliver. Gdzie ona jest, do jasnej cholery?”

— Okay, Ollie powiedział wreszcie Zachary. — Okay. — Podniósł ramiona. Rany! A miałem być dziś wieczorem Królem Śmiercią na paradzie, i w ogóle.

— No cóż. W przyszłym roku - powiedział Oliver. Nie umiał spojrzeć bratu w oczy.

Zach wyprostował się lekko.

— Jest jeszcze jedna sprawa, Ollie...

— Jaka?

— No... z Tiffany.

Oliver spojrzał na niego uważniej.

— Tak? A co z nią?

— No, znaczy, chyba wiem, gdzie jej szukać.

— Co?

— Znaczy, ona miała pracować dziś w tej swojej księgarni. No bo gdzie ona może pójść? Tylko do Trish i Joyce albo do księgarni. No, może pojechała do domu w Scarsdale. Ale myślę, że ona jest w księgarni,

jestem prawie pewien. Sam tam chciałem iść, ale wiesz... gliny, no i tak się źle czułem, i w ogóle.

Oliver nie odpowiadał. Patrzył w bok, starając się coś wymyślić. Przeczesał palcami włosy. Zach musi się zgłosić na policję. Musi. Ale... Ale co by było, gdyby Oliver zdołał znaleźć Tiffany? A jeśli ona coś wie? Wie dość, by przekonać Mulligana, że Zach jest niewinny; przynajmniej dość, żeby wytrącić go z impetu.

— Gówno! — powiedział głośno. Jest poetą, nie gliniarzem. Nie da rady tego rozwikłać.

— Może dałoby się do niej zadzwonić? — podrzucił Zach.

— Nie - odparł natychmiast Oliver. Jeśli ją ostrzegą, zwieje. - Księgarnia jest dwa kroki stąd, mogę tam iść.

— Bardzo bym chciał z nią pogadać. — Zach kołysał głową powoli, w przód, w tył. Wpatrywał się w pustkę. — No bo bardzo się o nią niepokoję, Ollie.

Oliver wciągnął głęboko powietrze. Pokiwał głową, odetchnął.

— No - powiedział po chwili. - Ja też. Cholernie.

## Beverly Tilden

Beverly Tilden zmierzała do kliniki wydziału medycyny Uniwersytetu Nowojorskiego. Szła odwiedzić ojca, któremu właśnie usunięto woreczek żółciowy. Poprosiła taksówkarza, żeby ją wysadził przy Drugiej Alei, bo na rogu Trzydziestej Ulicy, naprzeciwko centrum handlowego, mieścił się dobry sklepik prowadzony przez Koreańczyków. Zajrzała tam, kupiła ojcu kilka różowych goździków i bombonierkę czekoladek truskawkowych. Wiedziała oczywiście, że ojciec jako człowiek starej daty będzie szydził z kwiatów. Ale w duchu się ucieszy. Słodczy pewnie jeszcze nie może jeść, za to będzie miał czym częstować odwiedzających. Poczuje się trochę w roli gospodarza, mniej bezradnie.

A zatem pani Tilden, wysoka, elegancka, kroczyła Trzy-

dziestą w swoim modnym, długim do kostek czarnym płaszczu. W powleczonej rękawiczką dłoni trzymała wiązaną delikatnie owiniętą w celofan. Na przedramieniu zawiesiła białą foliową reklamówkę z bombonierką. Na barku — torebkę na długim pasku. Zerknęła na zegarek i skrzywiła się. Już wpół do czwartej. Musi zobaczyć się z ojcem i zdążyć do domu najpóźniej na piątą. O szóstej ma się odbyć przyjęcie z okazji Halloween, a wszystkie koleżanki z klasy Melissy obiecały przyjść. A to oznacza jedenaście sześciolatek w niewielkim mieszkaniu. Będzie łowienie jabłek, obżeranie się cukierkami do mdłości. Chichoty, wrzaski... Nawet biorąc pod uwagę, że zamówiła w firmie jedzenie i obsługę, a do tego wynajęła magika, żeby zabawiał dzieci - i tak jeszcze będzie miała niejedno na głowie.

Przyspieszyła kroku. Znajdowała się już w połowie drogi między Drugą Aleją a Pierwszą. Wyprzedził ją samochód policyjny na sygnale. Zmarszczyła noskę na ten hałas. Gdy radiowóz skręcił w Pierwszą, na jezdni zrobiło się pusto. Przechodnie też zniknęli. Pani Tilden była sama na Trzydziestej. Ale nie zwróciła na to uwagi.

Dopóki nie stanęła jej na drodze ciemna postać.

Pani Tilden szła południową stroną ulicy, wzdłuż rzędu kamienic z brązowego piaskowca. Młode platany o pożółkłych liściach rzucały rozproszony cień. Korony drzew kołysały się w powiewach znad rzeki. Postrzępione plamy słońca tańczyły po chodniku. Zwolniła. Rzuciła okiem raz i drugi na dziwną postać przed sobą, ciemną, upstrzoną kleksami światła i cienia. Nie spodobało jej się to, co zobaczyła. Wcale.

To była kobieta. Pojawiła się nagle. Wychyła zza schodów wejściowych do kamienicy jakby z ukrycia. Utyłana. Ciemnoblonde włosy w skołtunionych strąkach do ramion. Rozmazany tusz na szerokich białych policzkach. Pomadka do ust — na brodzie. Kremowa bluzka poplamiona, rękaw rozpruty, widać spod niego ramiączko biustonosza. Ciemna spódnica w smugach brudu. Powalane, prawie czarne stopy w płaskich pantoflach. Ale to nie to w jej wyglądzie przestraszyło panią Tilden. W mieście pełno było bezdomnych; na ogół nikomu nie robili nic złego. Nie, w tej kobiecie



niepokoiło coś innego. Jej postawa: podana do przodu, zdeterminowana. Oczy: takie zamglone jak oczy węża z filmu przyrodniczego pokazywanego kiedyś na kanale PBS. W każdym razie w głowie pani Tilden rozległy się dzwonki alarmowe.

Z drugiej strony trzeba przyznać, że w tym mieście jest nadmiar powodów do alarmu, a pani Tilden się spieszyła. Więc szła dalej w stronę dziwnej kobiety. Przecież jest biały dzień. Ruchliwy róg Pierwszej Alei zaledwie o krok. O, drugi samochód policyjny przejechał ulicą, syreny wyły jak oszalałe. No i na pewno gdzieś są inni ludzie...

Pani Tilden rozejrzała się nerwowo. Nie. Nie ma innych ludzi. Ulica pusta. Jest sama.

I w tej samej chwili kobieta zrobiła krok w jej stronę. Pani Tilden, przerażona, rzuciła się raptownie w bok, starając się ją wyminąć. Odskokczyła jednak w niewłaściwą stronę, ku kamienicom. „A niech to szlag!” - pomyślała. Kobieta odcięła jej powrót na otwartą przestrzeń, przygwoździła pod balustradą schodów.

„Dobry Boże - pomyślała Beverly Tilden stało się, stało się, naprawdę, to się naprawdę stało!”

Kobieta patrzyła na nią tępo tymi swoimi szklistymi oczami.

— Właśnie uciekłam z Bellevue — odezwała się chrapliwym szeptem. — Mam nóż. Daj mi na bilet autobusowy.

Pani Tilden ze zdziwieniem skonstatowała, że nadal potrafi myśleć klarownie, niemal chłodno, jakby nie była sztywna ze strachu. Da po prostu kobiecie te pieniądze i po krzyku. Zawsze mówią: nie sprzeciwiać się.

— Dobrze — powiedziała. — Już, chwileczkę.

Złapała za torebkę, próbowała ją otworzyć, nie wypuszczając kwiatów z ręki. Jak zwykle, kiedy czuła się zagrożona, ujrzała w myślach krzyczący tytuł z brukowych popołudniówek: „Matka z Murray Hill zadżgana nożem dla biletu autobusowego!” Stłumiła tę myśl. Będzie dobrze, byle się nie sprzeciwiać. Z cichym przekleństwem upuściła goździki na chodnik. Zrzuciła z przedramienia torbę z czekoladkami. Pstryknęła zamkiem torebki.

— Dam pani wszystko, co mam.

- Chcę na bilet - wysyczała kobieta. - Na bilet. Mam nóż. - Podetknęła pani Tilden pod nos mosiężny rozcinacz do kopert.

Pani Tilden nigdy by nie sądziła, że takim niewinnym przedmiotem można kogoś przestraszyć, a jednak — wyglądał groźnie. Otworzyła portfel. Grzebała w nim gorączkowo urękawiczionymi palcami.

- Mam żeton - wyjąkała. - Może być żeton?

- Dobrze. Tak. Szybko!

- Już wyciągam.

- Szybko! Oni wszyscy mnie gonią.

Pani Tilden zagryzła wargę, wysuplując żeton z przegródki. „Oni wszyscy mnie gonią?” - pomyślała. Ta kobieta to jakaś paranoiczka.

„Dama z wyższych sfer pchnięta nożem przez wariatkę!”

Ale rzeczywiście tych syren coś za wiele. Skowyczą zewsząd jak ogary na tropie. Jakby sobie wyznaczyły zlot na Pierwszej. O Boże, to się dzieje naprawdę. To najprawdziwsza prawda.

„Szła do chorego ojca została wypatroszona na ulicy”.

- Jest! Proszę!

Dwoma palcami ujęła żeton. Kobieta go chwyciła.

- Dziękuję.

I nadal stała. Wpatrywała się. Pani Tilden starała się jej nie przyglądać, ale wyczuła, że jest bardzo młoda. Młodość, gorący żal, desperacja.

Naprawdę jestem pani wdzięczna - mówiła kobieta.

- W porządku.

- Naprawdę to jestem miłą osobą. - Na... na pewno jest pani dobra.

Może lepiej wezmę jeszcze piątkę.

Na litość boską, niech pani bierze wszystko.

Nic nie jadłam.

Proszę! Wygarnęła garść banknotów z portfela. Wyciągnęła przed siebie.

Tylko piątkę - powiedziała kobieta o wzroku węża. - Jestem dobra. Naprawdę.

- Proszę powtórzyła pani Tilden. Niech mi pani nie robi krzywiły. Mam dzieci. Niech pani bierze wszystko, co pani chce.

Kobieta wyjęła jej z garści jeden banknot. Wciąż trzymała przed sobą nóż do papieru.

- Dziękuję — powiedziała. — Jestem wdzięczna. Naprawdę. Jestem dobra.

Pani Tilden potakiwała, starając się nie zerkać na ostrze, starając się na nic nie patrzeć.

Po długiej chwili kobieta wreszcie opuściła nóż. Zaczęła się wycofywać. Nie spuszczała oka z pani Tilden, ale się wycofywała. Pani Tilden kuliła się przy balustradzie. Nie drgnął jej nawet jeden mięsień. Uświadamiała sobie boleśnie, że kobieta w każdej chwili może zmienić zdanie. Zawrócić i rzucić się na nią, poranić. Na Pierwszej huczało od syren, coraz głośniejszych, coraz bliższych, coraz liczniejszych. Ale tutaj — ani jednego wozu. Nikogusieńko.

Pani Tilden skurczyła się w sobie. Kobieta wciąż wycofywała się rakiem. Nie spuszczała z niej oczu. Tych budzących litość oczu, od których cierpła skóra. Oczu z filmu przyrodniczego. Aż nagle się zatrzymała.

„O Boże — jęknęła w duchu pani Tilden - nie, błagam”.

Kobieta-wąż pochyliła się w jej stronę. Wyszepiała głosem skwierczącym jak tłuszcz na patelni:

- Ale bym chciała być na pani miejscu, szanowna pani. Patrzeć, jak odchodzę. — Pani Tilden zagapiła się na nią. Wężowe oczy wypełniły się łzami. Nieznajoma odwróciła się, zwiesiła ramiona. — Ale jestem sobą — wymamrotała z niesmakiem - kimkolwiek jestem.

I poczłapała w stronę Drugiej Alei.

Avis Best

Avis właśnie miała wyjść z domu, kiedy przez okno wszedł Perkins. Od rana była uwięziona w tym dumnym mieszkaniu. Jak tylko wróciła od Perkinsa, wzięła się do czytania liczącego siedemset pięćdziesiąt stron maszynopisu

pod tytułem *Świat kobiet*. Który „mógłby się nadawać dla Julii Roberts”, jak głosiło pismo przewodnie ze studia Victory Pictures. W liście była też mowa o tym, że ma skończyć książkę i dostarczyć raport jutro rano. Ponieważ Julia czeka z zapartym tchem na opinię Avis - cha, cha, cha!

Tak czy owak, powieść była beznadziejna. Z trudem udawało się uchwycić główny wątek, żeby napisać streszczenie. No i oczywiście wciąż trzeba było karmić i przewijać małego, i bawić się z nim, i pilnować, żeby sobie czegoś nie zrobił. Tak więc o wpół do czwartej, kiedy po drabince pożarowej wszedł Perkins, Avis była dopiero na czterechsetnej stronie. Jaskrawy błękit jesiennego nieba właśnie zaczął przechodzić w fiolet. Obserwowała tę przemianę nad dachami kamienic i wypełniało ją to klaustrofobiczną rozpaczą. Nigdy z tego nie wybrnie, myślała. Styl powieści robił z jej umysłu magmę, nigdy w życiu nie skończy tego gniotą. A dzieciak siedział poci składanym stolikiem do kart i wydawał zabawne odgłosy, wsadziwszy łapkę do buzi, więc musiała do niego podchodzić i uśmiechać się co chwila, żeby wiedział, jakie wspaniale rzeczy robi, i w ogóle. A niebo ciemniało z minuty na minutę, wkrótce tłumy zaczną się zbierać na paradę i nie będzie po co wychodzić, i będzie musiała tutaj tkwić do późnej nocy. Nienawidzi takiego życia. A kiedy po raz setny podniosła wzrok znad maszynopisu, spojrzała na dziecko, na okno - a za nim był Perkins. Ręce rozkrzyżowane, twarz przyciśnięta do szyby. No, nie da się ukryć, serduszko jej zapikało.

Pomachała, żeby wchodził. Pochylił się pod uniesioną połówką okna, zeskoczył z parapetu na podłogę.

— Pa! - powiedziało dziecko. Wepchnęło sobie rączkę do ust prawie po łokieć i dodało: — Grhaagrhaagrhaa...

Ho, ho, nieźle zawołał Perkins, uśmiechając się do niego. A potem uśmiech znikł. - Potrzebuję cię, Ave.

— Jezu. Wstała. Głowę miała ciężką od *Świata kobiet*, jakby ją wyładowano cegłami. Przyjrzała się poecie przez swoje wielkie kanciaste szkła. — Jesteś blady, Oliie. Jadłeś coś?

— Nie, są ważniejsze sprawy niż jedzenie.

— Mam kurczaka na zimno w lodówce.

- Avis! Mojego braciszka szukają w związku z morderstwem, którego nie popełnił.

- Co? A niech to diabli! Dam ci kurczaka.

- Avis...

Ona jednak pospieszyła do kuchni: jak go nakarmi, to będzie się jej lepiej myślało. Otworzyła lodówkę, pochyliła się; Perkins ruszył za nią, ale zatrzymało go dziecko. Wylazło na czworakach spod stolika karcianego. Przez moment poczuł irytację, ale dzieciak go uwielbiał; nie można małego tak po prostu zostawić. Kiedy więc Avis kładła aluminiową tackę z kurczakiem na kuchennym blacie, on trzymał już chłopczyka na rękach. Dzieciak wyrywał mu włosy, wołał: „Pa! Pa! Pa!” i popierdywał radośnie.

- Ukrywa się u mnie w mieszkaniu - oznajmił Perkins. - Gliny go załatwią, jak go złapią, powiedzieli mi.

- O mój Boże - jęknęła Avis. - Skrzydełko czy udko?

- Muszę iść. Muszę spróbować znaleźć tę jego panienkę.

- Daj mi dziecko. Masz, jedz.

Zamienił chłopca na nóżkę kurczaka. Mały zaczął marudzić, kiedy go oddawał. - Zach kiepsko się czuje. Musi się przekimać - mówił Perkins, gestykulując z nóżką kurczaka w ręce. - Chciałbym, żebyś mi pomogła, dobrze? Jeśli przyjedzie policja, zadzwoń tam na dół. Dwa sygnały i rozłącz się, potem jeszcze raz -to nasz umówiony znak. I uważaj, co mówisz przez telefon.

- Dobrze, dobrze - powiedziała szybko.

Mrugła oczami, przyglądając się wychudzonej, kanciastej twarzy poety. Martwiła się, czuła podniecenie i ciepłą czułość - wszystko równocześnie. Przez głowę przelatywały jej, na wpół uświadomione, pogmatwane scenariusze. Amant Zachary. Prześladowany. Odważny. Albo przerażony. Kocha ją, wtula głowę w jej piersi, ona jest piękna. Jak Jessica Lange w *Country*. Albo Oliver kocha ją za to, że pomogła Zachowi... Avis z przyjemnością się w to mocniej zaangażuje.

- Zejdę na dół, kiedy się obudzi - powiedziała. - Sprawdzę, czy wszystko w porządku.

- Zdamę wrócić - zapewnił ją Perkins. Wgryzł się w nóżkę, idąc do okna. - Dzięki Avis.

— Dzieciak zasypia koło szóstej, na godzinę! — zawołała za nim Avis, układając sobie wszystko w głowie. — Wtedy zejdę i nakarmię was, chłopaki.

— Daj spokój z jedzeniem. — Perkins był już jedną nogą za oknem. — On ma biegunkę.

— Ach, biedactwo — powiedziała Avis. (Zach leży w łóżku, podnosi na nią znękaną spojrzenie. Ona pochyla się nad nim w pielęgniarzkim czepku). - Zrobię w takim razie rosółku z ryżem. To mu pomoże.

— Avis... — zaczął Perkins, ale dał za wygraną. Pokręcił tylko głową. Posłał jej całusa i znikł. Drabinka pożarowa grzechotała pod jego stopami.

Avis stała, patrząc w ślad za nim, a dzieciak wiercił się jej na rękę.

Nancy Kincaid

Policyjne syreny wyty, skowyczały. Ich dźwięk rozpełzał się po ulicach, wdzierał w każdy zakątek, odbijał echem od błękitnego nieba. Sfora psów gończych.

Potem zagłuszył to wszystko ryk silnika autobusu, który ruszył ku śródmieściu. Samochody osobowe niechętnie ustępowały mu z drogi. Nancy wyjrzała przez tylną szybę na podążające za nim pojazdy. Widziała oddalające się centrum handlowe. Ani jednego wozu policyjnego w zasięgu wzroku. Zawodzenie syren nikło, tonęło w ulicznym hałasie. Nikło, w miarę jak autobus nabierał szybkości. Siedziała tyłem do kierunku jazdy, na narożnym miejscu w ostatnim rzędzie. Zerknęła tępo na wyjście awaryjne w suficie. „Uchylić dla wentylacji”.

„To ja mam go zabić - pomyślała nieprzytomnie. Zamknęła oczy. Mam kogoś zabić. Bo ja to...”

„Zbrodniarka! Zbrodniarka! A mówiłaś, że jesteś dobra!” Ale jej wewnętrzne głosy cichły stopniowo, tak jakby

autobus uwoził ją w dal i od nich. Po kilku chwilach uświadomiła sobie, że ma otwarte usta. „Trzeba je zamknąć” -pomyślała. Tymczasem po prostu siedziała, z odchyłoną do tyłu głową, opuszczonymi powiekami. Przestała słyszeć nawet warkot silnika. Nie wiedziała, o czym ma myśleć, o czym roić. Wydawało się jej, że pływa w jakiejś dziwnej mazistej substancji: w mrokach niewiedzy, kim jest, a właściwie -jaka naprawdę jest. Bo tego, że nazywa się Nancy Kincaid, nadal była pewna. Przestała natomiast wiedzieć, co to oznacza. Nie wiedziała, co Nancy Kincaid zrobiłaby w każdej kolejnej chwili. Jakie decyzje by podjęła. Do jakiego okrucieństwa byłaby zdolna, do jakiej dobroci. Skąd ma to wiedzieć? Skąd się tego dowiedzieć?

„Mam dwadzieścia dwa lata. Jestem zatrudniona u Fernanda Woodlawna w charakterze jego osobistej asystentki. Mieszkam przy Gramercy z mamą i tatą...”

Słowa wpadały gdzieś w tę wewnętrzną magmę. W dół, coraz głębiej, głębiej, jak do studni, a ona czekała na plusk, ale go nie było. Z rozdziawionymi ustami osunęła się w kąt siedzenia. Podrygiwała i kiwała się lekko w rytm wstrząsów jadącego autobusu. „Tak mi przykro” - myślała. Czuła na sobie dotyk miękkich matczyńskich piersi. Biała pościel. Delikatne wargi na policzku, zapach płynu do zmywania naczyń. „Byłam nastolatką, zbuntowaną, gniewną nastolatką. Szaloną. Przykro mi”. Niosący otuchę ciężar matki na materacu; kołdra podciągnięta pod brodę. Niosący otuchę dźwięk matczyńskich głosu, monotony jak plusk wody. W jej zniszczonych, zaczerwienionych rękach książka z bajeczkami. Biała okładka, czarne litery. *Zwierzęca Godzina i inne wiersze.*

*A gdybyśmy tak razem odeszli w te wzgórzka? Coraz dalsze - we wzgórzka za tamtymi wzgórzami, Gdzie liście się przemieniają?*

*Gdzie pierwsza zapowiedź szarości między gałęziami Wkrada się w moje wnętrze jak wspomnienie Sprzed wieku młodzieńczego, Które umknęło świadomości...*

Matczyny głos płynie jak woda. Jak woda, która niesie Nancy gdzieś w dal. Unosi na falach coraz dalej od tej nocnej sypialni. Od ciemnego, ledwie widocznego przedpokoju, groźnie przyczonego za drzwiami. Od wpółotwartej szafy i oka potwora, przytkniętego do szpary. Od mamrotania na ulicy i od tej chłodnej pustki, która ją otacza, odkąd ojciec wpadł... wpadł w... Zaraz, zaraz. „Ach, jak mnie to zezłościło”. Widziała, jak wpada. Tata... tata wpadł... traci równowagę, robi młynka rękami, usta ma otwarte...

„Tatusiu!”

Nancy podskoczyła na siedzeniu, gwałtownie rozwarła powieki. Podniosła głowę i rozejrzała się dookoła. Oblizła wyschnięte wargi. Poczowała suchy smak w ustach. Kobieta na sąsiednim miejscu rzuciła jej apatyczne spojrzenie. Inni pasażerowie - a nie było ich wielu - nie zwracali na nią uwagi. Bez zastanowienia popatrzyła na zegarek. Nie ma zegarka. Racja, przypomniała sobie. Zabrano jej zegarek.

„To, czego pani doświadcza, to epizod schizofrenii”.

Wyrzała przez okno. Nad odrapanymi ceglanymi budynkami zapowiedź zmierzchu. O tej porze roku ściemnia się wcześniej, ale i tak... Nie wiedziała, ile ma jeszcze czasu.

„O ósmej. O ósmej”.

Autobus zjechał w zatokę. Drzwi rozsunęły się z sykiem. Nancy szybko wstała. Chwyając się oparcie foteli, dotarła do tylnych drzwi. Chwiejnie zeszła ze stopni na chodnik. Autobus ruszył w kłębie spalin, zostawiając ją samą.

Znajdowała się na skraju jakiejś nędznej dzielnicy. Niskie budynki. Pozaslaniane okna. Pierwszy łupkowoniebieski cień wieczoru w powietrzu. Nieliczne samochody, żadnych przechodnie'w. Grupka nie ogolonych mężczyzn w drzwiach pobliskiej knajpy. Pięciu, Murzyni i biali, pijani w sztok. Rozmawiali głośno, gestykulując.

Odwrócili się, żeby popatrzeć na Nancy: zawsze jakaś rozrywka.

Hej, mała wybełkotał jeden.

Minęła ich szybkim krokiem, wyprostowana jak trzcina. Kiedy już uznała, że znalazła się w bezpiecznej odległości, obejrzała się ukradkiem. Wrócili do swojej dyskusji, za to teraz przyglądała się jej jakaś upiorna postać z wnętrza tawerny. Obdarta zjawa pod neonową reklamą piwa



„Coors". Kobieta. Równie umorusana jak tamci mężczyźni. Ubranie poszarpane, włosy zmierzwiłone. Nancy popatrzyła jej w oczy. A potem poczuła skurcz we wnętrznościach, bo zdała sobie sprawę, że to... „Zbrodniarka!"

To ona we własnej osobie. Jej odbicie w ciemnej szybie spelunki.

„O rany! Niesamowite".

I znów zwałił się na nią cały ten zamęt. „To ja! Ten ktoś to ja! Popatrzeć tylko! To ja mam go zabić! Jezu! Wystarczy spojrzeć!" Szła już dalej, patrzyła przed siebie. Ale to upiorne spojrzenie, to szkliste, nienawistne spojrzenie za szybą... Szło z nią, tuż obok. „Jestem tobą. Jestem tym, kim ty jesteś". Czerpała jakąś ponurą satysfakcję ze znęcania się nad sobą. Z przypominania sobie spojrzenia ślicznego lekarza, kiedy poczuł ból zmiażdżonych jąder. Przerżenia w oczach siostry Anderson, gdy szarpnęła jej głowę za włosy do tyłu. I tej biednej damulki, którą po bandycku napadła na ulicy. „Bandzior! Oto jaka jesteś, Nancy - mówiła sobie. Torturowała się z upodobaniem. — To wszystko jest w twoim stylu. Jesteś zła, Nancy, nie jesteś dobra. Niedobra Nancy".

Ocknęła się, zbiegając po schodach. Wśród betonowych ścian wejścia do metra. Nawet o tym nie pomyślała. Same nogi ją tam zaniósły. I już wysuwała zza paska spódnicy skradziony banknot, tkwiący tam pod nożem do otwierania kopert. Kupowała żeton, przeciskała się przez bramkę. I nagle zdała sobie sprawę, że dokładnie wie, dokąd zmierza. Cały czas wiedziała, prawdę mówiąc. To była część tego bólu, który sobie sama zadawała, tej całej beznadziei. Wiedziała, dokąd zmierza. Nienawidziła tego — ale to nie miało znaczenia. Nie była w stanie się powstrzymać.

„A chciałam zostać tancerką!" - pomyślała, czekając na pociąg. Ale podjęła pracę u Fernanda. I nie szukała mieszkania dla siebie, chociaż tak chciała mieć własny kąt. Ona nie działała, wszystko działo się samo. Dowcipkowała z przyjaciółkami na temat złego losu albo narzekała a potem

robiła coś zupełnie innego niż to, na co miała ochotę. Nie panowała nad swoim życiem. „A chciałam zostać tancerką”.

A zamiast tancerką została - i nawet nie pamięta, jak to się stało — tym.

Siedziała w pociągu. Na ławce w kącie, wciśnięta w róg, niemal skulona. W wagonie było jeszcze dziewięcioro czy dziesięcioro pasażerów. Wszyscy starali się na nią nie patrzeć, ale zerkali ukradkowo. Ot, jeszcze jeden włóczęga w pociągu. Nie wygląda groźnie, ale trzeba mieć na nią oko. Nancy spoglądała spode łba. Pociąg zbliżał się do jej miejsca przeznaczenia. Z każdą kolejną stacją czuła wewnątrz większy ciężar. Coraz gorzej. A inni sobie po prostu siedzieli. Czytali gazety. Głaskali dzieci po główkach. Dlaczego jej nie powstrzymają? Dlaczego nikt jej nie zatrzyma?

Stacja Ratusz. Serce waliło jej teraz mocniej. Język zwilżał co chwila wargi. Przecież niemożliwe, żeby zrobiła to jeszcze raz. To szaleństwo. Nie można tak. Ale kiedy drzwi się rozsunęły - wstała ze swojego miejsca, oczywiście. Dołączyła do tłumku wysiadających. Zrobiła krok na peron. Nie była w stanie tego powstrzymać.

Na peronie stało niewielu pasażerów, ruszyli do wagonów, kiedy drzwi się pootwierały. Przecisnęła się przez nich. Weszła za filary, za schody. Dwóch Murzynów wylegiwało się na ławce. Jakaś kobieta przyciskała teczkę do piersi, rozglądała się sennie. Glin nie ma. Ani jednego gliniarza w zasięgu wzroku. Ruszyła. Jakby nigdy nic. Coraz dalej od tłumy zmierzającego do wyjść na końcu peronu.

Nikt na nią nie patrzył. Przełknęła z trudem ślinę, odwróciła się i przyspieszyła kroku. Przed sobą zobaczyła szczytowy mur stacji. Białą tablicę ostrzegawczą z czerwonym napisem: „Wstęp na tory surowo wzbroniony”. I tu kończył się szary beton, a zaczynała czarna czeluść. Czarna tak samo jak ta maź wewnątrz. Pomyślała: „Znowu? Nie, tylko nie to”.

A potem była już na krańcu peronu, przy metalowej drabince. Raz zerknęła za siebie. Zobaczyła jakiegoś długowłosego niechlujnego typu, który przyglądał się jej z zain-

teresowaniem. Zignorowała go. Chwyła drabinę. I zeszła na tory.

Nie obejrzała się drugi raz. Szybko poszła w głąb tunelu, nie zbaczając z pasma między torami a murem. Całą siłę umysłu starała się skoncentrować we wzroku, który kierowała przed siebie niczym wiązkę promieni laserowych. Ale serce jej waliło - rany! rany! Tętno w skroniach tłukło się jak metalowy młoteczek: „W razie niebezpieczeństwa rozbić szybę młotkiem”. Zmysły miała wyostrzone. Tunel stawał się coraz wyraźniejszy, w miarę jak brnęła coraz dalej. Podziemne kolumny wylaniały się z mroku. Gołe żarówki wśród rur i kabli świeciły jak czyjeś oczy. Trzask zwrotnicy w oddali rozległ się niczym wystrzał z karabinu. Już się wydawało, że umysł-laser jest całkowicie skupiony, a tu coś przemknęło: szczur? Coś gorszego? Oczy biegały po czterech podwójnych liniach szyn rozchodzących się w czarną nicość. Oddech miała drżący. Ale szła. Szybko. Prosto przed siebie.

Już jest. Już tylko parę metrów. Miejsce, gdzie tunel się zwięża. „Och - pomyślała. - O nie”. Ale szła. Ściany obok zaczęły się wznosić ku górze. Wysoki korytarz pokryty węzowymi splotami graffiti. Arabeski liter. Zawijasy farby z rozpylacza. Z trudem oddychała, serce tkwiło w gardle. Znow znalazła się na stacji widmie. Dostrzegła zarysy peronu, porzuconych worków cementu, drutów. I kontury małych łukowatych nisz pod krawędzią peronu. To tam ukryła swoją torebkę. I swój rewolwer.

„To ja. To ja mam go zabić”.

Zatrzymała się. Zaleciał ją smród; gardło ścisnęło się jeszcze mocniej. Przyłgął do nozdrzy: wilgotny, biologiczny odór gnicia. Podniosła wzrok: usłyszała trzask. Zwrotnica. Poczwała lekki powiew. W głębi tunelu zobaczyła sunący słaby poblask. Jedzie pociąg. Musi się wziąć do roboty.

Zanurkowała pod peron. Uklękła w wejściu do wnęki. Już czuła drżenie podłoża wywołane przez nadjeżdżający pociąg. Fetor wzmógł się. Otaczał ją tumanem. Przełknęła z trudem ślinę. W żołądku zapiekło.

Kark owionął jej silny podmuch. Obejrzała się przez ramię. Zobaczyła, jak odbłask reflektorów rozprzestrzenia się po ścianach tunelu. Wstrzymała oddech i dała nura

pod łukowate wejście. Za jej plecami rozjaśniało się, mogła więc widzieć co nieco we wnętrzu niszy. Jakiś obły kształt. Miękka, gnijąca masa.

Musiała zaczerpnąć powietrza. Odwróciła głowę, smród wtargnął do ust, do płuc. Jęknęła, przewróciło się jej w żołądku. Znow wstrzymała oddech. Zmrużyła oczy w wąskie szparki. Wyciągnęła rękę i zanurzyła ją w maź w głębi wnęki.

Wilgotna papka zamknęła się wokół jej dłoni, przecisnęła między palcami. Nancy zakrztusiła się, język wyrzwał spomiędzy zębów. Ziemia pod kolanami dygotała teraz potężnie. Rozjaśniony tunel wypełniał się coraz głośniejszym łoskotem. Wcisnęła rękę głębiej w muliste blocko, musiała odetchnąć drugi raz, miała wrażenie, jakby wdychała wymiociny. Macała ręką na oślep, dudnienie pociągu się wzmagало, ciśnienie powietrza wciskało ją do wnętrza, robiło się coraz jaśniej.

Nie ma. Nie ma rewolweru, znikł. Policja musiała znaleźć. Musieli przeszukać tunele i znaleźli.

Ach... - wydała z siebie nieartykułowany okrzyk. Wyrwała rękę. Muł z cmoknięciem uwolnił jej dłoń. Wyprostowała się, Zrobiła kilka chwiejnych kroków, wydostała się na tory. Spazmatycznie chwytiała powietrze. Gwałtowny podmuch targał jej włosy. Łomot pociągu zdawał się wstrząsać nią od środka.

Popatrzyła na peron. Musi się tam wdrapać, bo inaczej pociąg ją przejedzie. Popatrzyła do góry i zobaczyła, jak przesuwaną się jasność gra na ścianach. Tak samo' jak poprzednio, zdawała się ożywiać ścienne malowidła. Można by pomyśleć, że litery są w ruchu. Wielka brązowa plama kurczyła się i wierciła. Zielone pasy zwijały i rozwijały. Smugi czerwieni przesuwały.

I wtedy jeden duży czarny kształt szarpnął się gwałtownie. Oderwał się od pozostałych i zaczął do niej zbliżać.

Nancy rozchyliła wargi. Mimo że w tunelu pokazały się bliźniacze reflektory pociągu, dwa rozjarzone koła bieli, i rosły z każdą sekundą, ona nie mogła ruszyć ręką ani nogą. Mogła tylko patrzeć. Kształt, który zszedł ze Ściany, lał w jej kierunku. Zwalisty, ogromny. Łypał na nią, wlepił

parę oczu, w których odbijały się światła nadjeżdżającego pociągu.

Człowiek. Mężczyzna. Jezu Chryste! Człapał ku niej. Człapał ku krawędzi peronu. Wznosił się nad nią jak jakiś kolos. Siegał głową wyżyn ciemności, skąd płonęły wpatrzone w nią oczy, skąd błyskał szydery uśmiech.

Jego barki podrygiwały, jakby się śmiał, jednak nie słyszała tego śmiechu. Zagłuszał go huk pociągu. Otworzył usta i podniósł rękę. Otworzył usta jeszcze szerzej.

A potem wycelował coś prosto w twarz Nancy. A ona zobaczyła, że to lufa jej rewolweru.

Oliver Perkins

Ostatni październikowy dzień gasł nad Sheridan Square. Słońce dotykało płaskich dachów kafejek i jego niknące promienie złościły rośliny za ogrodzeniem ogrodu botanicznego. W Siódmej Alei kładły się długie cienie. Rozdmuchiwały płomień niepokoju Perkinsa: „Czas, czas - myślał — czas leci”.

Wszedł na skwer od strony Czwartej Zachodniej. Czekał na rogu na zmianę świateł, z roztargnieniem wycierając w dzinsy zatłuszczone kurczakiem palce. Czuł wyraźnie upływ czasu, minutę po minucie. Tylko patrzeć, jak Mulligan wytropi jego brata. Zapaliło się zielone, ruszył na drugą stronę Siódmej. Wymachiwał rękami, garbił ramiona. Myślał teraz o Tiffany. O tym, jak będzie się sprzeciwiała. „Nie chcę z tobą rozmawiać, Oliver. Wiesz, jaki jesteś. Wcale nie mam zamiaru z tobą rozmawiać”. Potem obdarzy go uśmiechem, tym swoim uśmiechem uduchowionej wyższości. Poruszał wargami, układając, co jej odpowie. Świerzbili go ręce, żeby przycisnąć ją do ściany i wydusić z niej prawdę.

Księgarnia feministyczna, w której pracowała, nazywała

się „The Womyn's Room”. Mieściła się na parterze budynku z żółtawej cegły przy Bleecker Street. Perkins przemycił się pasażem na tyłach placu, w cieniu, na róg. W uliczce było już ciemnowo. Pochylony, walił naprzód wielkimi krokami, aż doszedł do skrzyżowania.

Tu się zatrzymał. Stał jak wryty. Księgarnia znajdowała się po drugiej stronie ulicy, nieco na prawo. Kawałek fasady odnowiony, szerokie okna wystawowe wypełnione książkami, framugi z czarnego metalu. Po środku wejście, cofnięte, rodzaj wnęki. Drzwi we wnęcie właśnie się otwierały.

A z nich wyłonił się i wyszedł na chodnik detektyw Mulligan.

- Kurwa - skomentował pod nosem Perkins.

Schował się za róg. Przyłgął do ściany kamienicy w pasażu. Wychylił głowę za węgiel, czując się, jakby udawał agenta w kiepskim filmie szpiegowskim. Kędzierzawy detektyw o twarzy dziecka stał sobie po prostu przed księgarnią. Ręce w kieszeniach prochowca. Powieki mrugają za szklami w drucianych oprawkach. Perkins gwałtownie cofnął głowę, kiedy szkła zaczęły się przesuwać, powoli przeczesując okolicę.

Nie do wiary powiedział do zimnej cegły, do której przytulił policzek. Odczekał minutę, nim ośmielił się znowu wychylić.

Mulligan już się oddalał. Podszedł do czarnego dodge'a -jedyne go samochodu zaparkowanego przy krawężniku pod znakiem zakazu zatrzymywania się. Otworzył drzwiczki od strony pasażera i wsiadł. Nie było widać kierowcy, ale starter odezwał się natychmiast. Perkins musiał znowu wciągnąć głowę jak żółw, gdy dodge przejechał skrzyżowanie.

Skoro tylko wóz zniknął z pola widzenia, Oliver ruszył jak byk do ataku. Wielkimi krokami sadył na drugą stronę ulicy. Na wystawie książki stały pogrupowane według autorek, poprzytulane do siebie, jakby im było zimno. I te fotografie surowych kobiet, te ich mroźne intelektualne spojrzenia.

Szarpnął do siebie szklane drzwi. Wszedł do ciasnego wnętrza. Drzwi zamknęły się za nim. Ciepło poźółkłych

półek sięgających samego sufitu otoczyło go ze wszystkich stron. Zapach książek, ich bezruch.

Trisha — czyli Skóra, jak ją nazywał — urzędowała za ośmiokątną ladą, zestawioną z niskich półek pośrodku pomieszczenia. Podszedł do niej energicznie. Trish zaszczyliła go niechętnym spojrzeniem. Była to dziewczyna lat dwudziestu kilku, chuda jak patyk. Nawet jej głowa wyglądała jak cienki walec zwieńczony wystrzępioną czupryną białych włosów. Jedynie szerokie ramiona nabijanej ćwiekami skórzanej kurtki nadawały jej nieco krągłości. Ślęczała nad jakimś zestawieniem. Żuła gumę.

Perkins wychylił się przez kontuar, wcisnął pięść między dwa tomiki lesbijskiej poezji.

— Co mu powiedziałaś, Trish?

— Spieprzaj, Ollie.

— Co powiedziałaś Mulliganowi?

— Ugryź mnie.

— Gdzie Tiffany?

Pokazała mu środkowy palec. Nie przerywała żucia gumy.

— Słuchaj, Trish — powiedział Perkins. — Wiem, co o mnie myślisz, okay? Ale spróbuj zrozumieć. Jest coś takiego jak wasze feministyczne teorie, uczucia i poglądy. A oprócz tego jest rzeczywistość. Kapujesz? I to rzeczywistość jest ważna. Wasze teorie i uczucia są bez znaczenia. Teraz chodzi o rzeczywistość. Chwyciłaś?

Posłała mu długie szydercze spojrzenie, nie przestając żuć gumy. Perkins patrzył na pięć złotych kolczyków w jej prawym nozdrzu. Prychnął — zawsze chciało mu się kichać, jak na nie patrzył.

— Zadziwiające, że masz czelność tu przychodzić i zachowywać się jak kutas - wycedziła. — Jejku, jejku.

— Czy naprawdę uważasz, że będę respektować twoje wyobrażenia o męskich przywilejach?

Oliver zwiesił głowę.

— Nie masz prawa tu przebywać - ciągnęła Trish. — I traktować kobiety przedmiotowo.

— Zaraz, zaraz. Od ponad tygodnia nie potraktowałem żadnej kobiety. Człowiek się zmienia.

- Zabójczy mizoginista.

- Ale jak dla ciebie nie dość *zabójczy*.

- Twoje wiersze powinno się publicznie uśmiercić Twarz Perkinsa poczerwieniała. Rece, oparte na książkach, drżały.

- Nie można uśmiercić wiersza, Trish. To nie ma sensu. Jak wolisz, z kim ma mieć do czynienia Tiffany, ze mną czy z tą zasraną policją?

Na takie dictum w oczach Trishy pojawił się jakiś błysk choć nadal ostentacyjnie przeglądała zestawienie, poruszając miarowo szczęką. Wreszcie odezwała się obrażonym tonem: Ten gliniarz powiedział, że było morderstwo. - Podniosła na niego oczy. - Było?

Skinął głową.

- Było morderstwo, owszem.

- Świetnie. Po prostu świetnie. - Skrzywiła usta. - Wy skurwysyny. Ty i twój brat. W co ją wrobiliście?

- Powiedziałaś Mulliganowi, gdzie ona jest?

- Nie wiem, gdzie jest. Nic mu nie powiedziałam. Kapujesz? A teraz spadaj stąd, śmierdzisz spermą.

- Albo ja, albo gliny, Trish - powtórzył Perkins. - Z kimś będzie musiała pogadać. Albo - albo.

- Tak? Nie wiadomo, co gorsze.

Perkins nie odpowiedział. Sam nie był pewien.

- Gównu podsumowała Trisha. - Lepiej stąd spieprzaj ty zasrany macho. Niech cię szlag! Ciebie i twojego brata Niech szlag trafi was obu.

Wezbrała w nim czerwona fala złości. Zaskoczony własną reakcją, miał ochotę wyciągnąć dziewczynę zza lady za klapy je, skórzanej kurtki i trochę przefasonować tę szyderczą gębę. Zamiast tego cofnął się o krok.

- Mówiłam jej, że mężczyźni to nic dobrego - mruknęła

- No - parsknął Perkins. - Pewnie, że tak mówiłaś ty zazdrosna suko.

Teraz przyszła kolej na Tnsę. Oblała się szkarłatem. Oczy jej zwilgotniały.

- Idź, obciągnij jakiemuś chłopczkowi, pedale! - niemal wrzasnęła. - Przecież to lubisz.

- Tak tak tak tak - odparł.



„A to mi intelektualna dyskusja w dzielnicy artystycznej” - pomyślał. Odwrócił się na pięcie i pomaszerował do wyjścia. Położył dłoń na metalowej framudze.

- Hej! — Zatrzymał go jej szczekliwy okrzyk. Perkins nie odwrócił się jednak. - Ty złamany fajfusie! Czekał.

Zerknął przez ramię.

- Co?

Zapadło ciężkie milczenie. Wdech, wydech.

- Czy rzeczywiście chcą ją aresztować?

- Tak myślę, owszem.

- A ty co chcesz jej zrobić? Na pewno jakoś wyrolować. Perkins nie odezwał się. Wyczuł, że jest górą, ale bał się,

że coś popsuje. Powoli się odwrócił, aż stanął do niej twarzą. Tak, widać, że boryka się ze sobą: poruszała wargami, głowę miała spuszczoną. Czekał w milczeniu; niech samo z niej to wyjdzie.

- Ten cholerny, świński gliniarz - powiedziała wreszcie - pewnie w końcu i tak tam trafi. — Perkins postanowił dalej milczeć. Zerknęła na niego ze złością. - W porządku. W porządku, ty głąbie. Ale lepiej nie spieprz tego. Lepiej znowu jej w coś nie wrób.

- Ja jej przynajmniej dam szansę się wytłumaczyć - powiedział Oliver. W końcu to była prawda.

Trisha zrobiła nieprzyzwoity gest. Wyciągnęła coś z kieszeni. Mały prostokąt papieru. Rzuciła go na ladę. Odwróciła wzrok.

Perkins uznał, że na więcej nie może liczyć. Podszedł do kontuaru ciężkim krokiem. Niebieskie nadruki, rozkład jazdy pociągów podmiejskich w kierunku północnym z dworca Grand Central. Podniósł karteczkę. Trasa Nowy Jork-Scarsdale.

- Znalazłam to w jej biurku - powiedziała dziewczyna. -Dziś rano, kiedy nie przyszła do pracy. Dzwoniłam do niej. Parę razy. Nie odpowiada.

W rozkładzie były podkreślenia. Dwie rysy zrobione długopisem, w którym wyczerpał się tusz. Jedna kreska zaznaczała odjazd o 12.03<sup>2</sup> Nowego Jorku, druga wskazywała pociąg powrotny o 16.3<sup>5</sup>, który przybywał na Grand Central tuż po piątej.

- Nawet nie wiem, czy to aktualny - powiedziała Tris-ha. - Po prostu nie jeździła do domu od niepamiętnych czasów i ja... - Stwardniała nagle.  
- Jak to dasz glinom, Oliver, to niech mi Bóg dopomoże, zabiję cię na śmierć.

Skinął jej głowę.

- Dzięki, Trisha.

- Przysięgam, że cię zabiję, Oliver.

Lecz on już się odwrócił. Szedł z powrotem do drzwi.

Nancy Kincaid

- Bum!

Mężczyzna wymachiwał lufą przed nosem Nancy. Słyszała jego krzyki mimo szumu wiatru i łomotu zbliżającego się pociągu.

- Bum! Bum!

Reflektory pociągu oświetlały ją z prawej strony. Jasność zalewała skraj jej pola widzenia. Pozostała jego część połknęła głęboka czarna dziura lufy pistoletu. Wszystkie myśli skupiły się w jedną o gwałtownej natychmiastowej śmierci w błysku ognia. Oddychała chrapliwie. Stała zamieniona w słup soli w obliczu tej czarnej myśli. Mężczyzna na peronie nadal wymachiwał rewolwerem. Nancy otworzyła usta. Podniosła ręce.

- Ręce do góry! - wrzasnął mężczyzna.

Podniosła wyżej. Czowała tętnienie gruntu pod nogami. Wibrację szyny, o którą opierała pięty. Ciało rozplynęło się, wola ulotniła. Nancy nie mogła się ruszyć. Utkwiła wzrok w nieznajomego, jej serce było jednym błaganem.

- Bum! Wciąż wymachiwał bronią. Pochylił się ku niej, jego twarz znalazła się w smudze światła z reflektorów pociągu. Inteligentna, kulturalna twarz. Blond włosy, smutne oczy, pełne wargi. Wykrzywiona grymasem wewnętrznego bólu. - Wiem, kim jesteś! krzyknął, a teraz już

naprawdę trzeba było krzyczeć. Ryk pociągu wypełniał przestrzeń bez reszty. Światła oślepiały. Podmuch zwiewał Nancy włosy na twarz, do oczu, do otwartych ust. — FBI! — wrzasnął mężczyzna. - Kosmiczne FBI! Chcielibyście się dostać do mojego mózgu, co? Owładnąć moim mózgiem? KOSMICZNE SKURWYSYNY SĄ WSZĘDZIE! Nie nabierz mnie, ty federalna kosmiczna dziwko! Nancy gapiła się.

„On doświadcza epizodu schizofrenii...”

Szaleniec postąpił kolejny krok. Jęknęła i uchyliła się od tej głębokiej czarnej dziury. Znów podetknął jej lufę pod nos. Mogła zajrzeć do środka, do samego końca, w tę ciemność — a wszystko naokoło było oślepiająco białe i wypełnione ogłuszającym hukiem. Pociąg rozdarł ciemność ostrzegawczym rykiem.

— Proszę! - krzyknęła.

- Wiem, kim jesteś, ty federalna kosmiczna dziwko. -Poczuła ucisk lufy. Jej temperaturę. Gotowa była wybuchnąć. — Giń! — wrzasnął mężczyzna, a pociąg zahuczał znowu.

Dłoń Nancy wystrzeliła w górę — jej prawa dłoń — i odbiła uzbrojoną rękę na bok. Mężczyzna pociągnął za spust, trzask wystrzału ledwie było słyhać w ogłuszającym grzmocie. Płomień i dym zginęły w białym blasku. Lecz Nancy już się uchyliła. Nie wiedziała, co robi; nie była w stanie myśleć, ale uskoczyła w prawo, bliżej peronu. Lewą ręką chwyciła szaleńca za nadgarstek. Prawą dłoń zwinęła w pięść. Pociąg był wypełniającą wszystko lawiną łomotu i światła, która zaraz się na nią zwali.

Szarpnęła mężczyznę mocno w dół lewą ręką, prawą rąbnęła go w szczękę. Nie doznawała bólu w tym szaleństwie, ale poczuła wstrząs w łokciu i ramieniu. Szorstki zarost na knykciach. Szarpnięcie i cios wytrąciły napastnika z równowagi, chwiał się na krawędzi peronu, wywijając młynka rękami...

„Tata?”

Na dół, w białe światło. Na dół, na szyny. Gapiła się z otwartymi ustami, sparaliżowana przerażeniem, na sunący ku nim potężny srebrny front lokomotywy. Szalenciec leżał

na szynach, przyszpilony snopem lodowatobiałego światła. Nawet me zdążył się przestraszyć. Po prostu patrzył w jasność w tępym oszołomieniu. A Nancy nie miała czasu, żeby mu pomóc. Musiała albo wejść na peron, albo się pod nim ukryć. Musiała zejść z drogi. Albo zostanie zmiądzona przez stal i beton.

Wariat zakrył twarz rękami, leżąc przed pędzącym pociągiem.

„Zbrodniarka! Zbrodniarka!” - pomyślała Nancy. I rzuciła się na tory. Stała okrakiem nad mężczyzną. Złapała go za koszulę i pociągnęła. Był za ciężki, stanowczo dla niej za ciężki. Ani drgnie. Pociąg brnął ku mm. Czula go na karku. Zdawało się, że bębunki popękają jej od huku, od dzikiego sygnału lokomotywy. Leżący patrzył głupkowato na pociąg za jej plecami. Rękę wyciągnął przed siebie obronnym gestem.

Nancy krzyknęła. Szarpnęła go. Przeturlała, przez szynę na bok. Wepchnęła pod peron jak wielką lalkę. Rzuciła się za nim. Przywarła do niego, gdy w jednym błysku omiotły ją światłem reflektory, gdy ostre jak brzytwy, połyskujące koła pociągu zaczęły się toczyć centymetry od niej. Przywarła do szaleńca i wdychała, wsysała jego kwaśny odór, odór moczu i brudu, i elektryczny swąd pociągu. Minęła ich lokomotywa, a potem jeden za drugim wagony, błysk, błysk, błysk. Pociąg zawył jeszcze raz, jakby triumfalnie. A potem huk zaczął się oddalać, słabnąć, ciemność wracała. Przejechał. Brzęk, łoskot coraz odleglejszy, coraz bledszy.

W nagłej ciszy Nancy jęknęła. Odchyliła się od swojego zwariowanego towarzysza i zwymiotowała. Rzadki, zielony, palący śluz popłynął jej przez zęby.

- Eech wymamrotał szalenciec. Jakież to upokarzające.

- Zamknij się - rzuciła Nancy. Sturlała się z niego na ziemię. Przewrócona na wznak, macała ręką po podkładach. Jej palce musnęły rękojeść rewolweru, który leżał koło szyny. Gapiła się bezmyślnie w ciemność nad sobą. - Po prostu się, kurwa, zamknij - szepnęła chrapliwie.

Oliver Perkins

Za dwadzieścia piąta.

Perkins stał przy marmurowej balustradzie na antresoli dworca Grand Central. Niepokoił go upływ czasu.

Znajdował się w barze. Zewsząd otaczały go garnitury i kostiumy, mężczyźni i kobiety popijali przy stolikach wokół i przy barze za jego plecami. Wychylał się przez balustradę, w garści ścisnął kufel.

Poniżej, przez główną halę dworca, we wszystkich kierunkach podążały strumienie podróżnych. Napływały z długich bocznych korytarzy, przelewały się pod marmurowymi łukami na perony. Ogromne kopułowe sklepienie miało odcień błękitu, wymalowano na nim znaki zodiaku z gwiazdozbiorami z małych żarówek. Ludzie pod nim kłębili się i przepychali. Krążyli wokół kiosku z okienkami informacji pośrodku hali. Kiosk miał wygląd mosiężnej altany ze staroświeckim zegarem na szczycie. Wskazówki pokazywały za dwadzieścia piątą. Perkins siorbnął pianę z piwa.

Trzeba było pojechać do domu, pomyślał. Trzeba było wrócić, zobaczyć, co z Zachem. Strach podchodził mu do gardła jak mdłości. Coraz trudniej było mu myśleć. Czemu, do jasnej cholery, od razu nie wrócił do domu?

Ale co wtedy? Co miał innego do roboty, niż stać z boku i patrzeć, jak Zach oddaje się w ręce policji. A Mulligan i FBI nogi mu z dupy wyrywają.

Czarne emaliowane wskazówki zegara na szczycie altany poruszały się bardzo wolno. Za kwadrans piąta. Gwar wznosił się pod gwiazdy na sklepionym suficie. Perkins pomyślał o Tiffany. O tym, jak ją znaleźć, jak wypytać o te zwłoki w starym domu, o jej zdjęcie z Fernandem Woodlawnem. Dzwonił do domu jej matki w Scarsdale, ale nikt nie odpowiadał. Postanowił przyjechać tutaj i poczekać na pociąg 17.02, zaznaczony w jej rozkładzie. Przybył tu z wahaniem. Wciąż dręczyła go myśl, że lepiej było wrócić do domu.

Facet w informacji powiedział mu, że ten pociąg wjedzie na tor dwudziesty ósmy. Perkins widział ten numer wymalowany nad jednym z marmurowych łuków poniżej.

Obserwował wejście pod łukiem i sączył piwo. Miał nadzieję, że piwo przewycięży tę galaretę strachu, która wypełniała go od żołądka do mózgu. Ale nie, jedno piwo z czymś takim sobie nie poradzi. Pociągnął następny łyk. Pomyślał o Tiffany. Wzdrygnął się. Skrzywił do kłębiącego się tłumu.

Przypomniawszy sobie, kiedy zobaczył ją pierwszy raz. Mieszkała już wtedy u Zacha. Oliver nigdy nawet o niej nie słyszał, a kiedy pewnego dnia poszedł odwiedzić brata w domu - ona po prostu tam mieszkała. Poznali się najwidoczniej w Pensylwanii, w tej sekcji, skąd OUIe przywiózł Zacha po drugim załamaniu. Została tam sama jakiś czas po ich wyjeździe. Ale najwyraźniej tęskniła za mistyczną błyskotliwością swojego kochasia. Musiała być z nim.

On się tam wznosił trzy poziomy astralne ponad wszystkimi innymi - wyjaśniała Olliemu, kiedy się poznali. - Dlatego jego aura tak zmętniała. To z wysiłku, żeby przeniknąć przez mgłę ich ignorancji i niezrozumienia.

- Tak - powiedział wtedy Oliver. - Tak, to musiało być to.

Zach i Tiff obejmowali się ramionami i promienieli. Dwa zakochane astralne przygłupki.

Perkins pokiwał głową nad tym wspomnieniem. Nawet myśl o Tiffany sprawiała, że robiło mu się kwaśno na języku. Myśl o tych jej zdradzieckich, głębokich, sarnich oczach. Rzucił okiem na gwiazdy na suficie. Kwietniowe gwiazdozbiory przetaczające się na wschód ku zimie. Ona wierzyła w astrologię. Wierzyła, że sny są przekazami od Boga. Wierzyła, że Jezus miał białą aurę, ponieważ Maria poczęła go z boskiej energii wypromieniowanej przez gwiazdę betlejemską.

- Wiesz - powiedziała mu kiedyś - po prostu nie chce mi się wierzyć, że ty jesteś naprawdę bratem Zacha. - Miała twarz Wenus, a głos jak muzyka. Odchyłała głowę, patrząc na niego. - No bo on jest na takim wysokim poziomie astralnym, wiesz, i jego aura jest taka czysta, on tyle rozumie, a ty, no wiesz, ty...

Perkins prychnął. Przechylił kufel i wlał w siebie więcej piwa. Garnitur obok niego ruszył w stronę baru. Odstawił

kufel na balustradę i zobaczył kobietę w zielonej sukience, siedzącą przy jednym z sąsiednich stolików. Założyła nogę na nogę, jej czarny pantofel kołysał się w przód i w tył, w przód i w tył. Podniosła oczy na Perkinsa, a on odwrócił wzrok. Ponuro obserwował halę. Opierał się o chłodną, gładką kamienną poręcz i gapił się w dół na rzekę spieszących ludzi pod sztucznymi niebiosami. Wskazówki na kioskowym zegarze zbliżyły się do piątej.

„Niczego nie rozumiesz, Ołiwierze, niczego”. Tak mu powiedziała Tiffany. Tamtej nocy. Tamtej nocy rok temu. Poczł jeszcze jeden skurcz jak sobie o tym przypomniał. Poczł nienawiść do niej, do siebie, niedobrze mu się od tego robiło. Wypełniał go strach. „Niczego nie rozumiesz”.

Kiedy tym razem rzucił okiem na kobietę w zielonej sukience, ona odwzajemniła spojrzenie. Zwróciła na niego uwagę, rozchyliła lekko wargi. Perkins poczuł prawie niepohamowane pragnienie, żeby paść przed nią na kolana. Objąć ją, wtulić twarz w jej łono. Przyłgnąć do niej jak wierny pies, skamlać o seks i pocięchę, o moment wytchnienia od tej przemożnej samotności

„Bez sensu” - pomyślał. Posłał jej smętny uśmiech, potem znowu odwrócił się do balustrady, w stronę widoku na halę.

Wskazówki zegara dotknęły piątej.

„Tamtej nocy” - pomyślał. Tamtej nocy, kiedy znalazł Zacha zaćpanego do nieprzytomności. Na podłodze w starym domu, bełkoczącego coś o cholernej filizance herbaty i braterskiej miłości. Gdzie wtedy była ta Tiffany ze swoimi zasranymi poziomami astralnymi? Mogła się była nim lepiej opiekować. Powinna była mieć oczy otwarte i widzieć, co się z nim dzieje. Ale nie. Tamtej nocy się zdemaskowała. Pokazała, jaka jest naprawdę...

Skrzywił się znowu boleśnie. W żołądku go piekło, serce ciążyło ołowiem. Wspomniał dzisiejsze popołudnie: jak znalazł Zacha u siebie w mieszkaniu. On i Zach, razem. Żarty, śmiech. Po raz pierwszy, odkąd sięgał pamięcią, ta jego samotność zelzała odrobinę. Stara powszednia samotność. „Rany boskie - pomyślał - co myśmy zrobili?”

Wtedy właśnie zauważył kątem oka ruch przy wyjściu z peronu biegnącego wzdłuż toru dwudziestego ósmego.

Zwrócił się tam i zobaczył pierwszą falę pasażerów wylaniającą się spod marmurowego łuku i rozpraszającą po wielkiej hali. Wyprostował się. Jego oczy chwyciły każdą wychodzącą osobę, śledziły ją w tym ludzkim kłębowisku. Przepływał pod łukiem zamarł na chwilę, po czym ruszył świeżą falą.

Perkins wychylił się przez balustradę, na sekundę oszołomiony tym, co zobaczył.

Pod łukiem przechodziła niewielka, szczupła postać. Głowę miała pochyloną, twarz zasłoniętą daszkiem za dużej baseballowej czapki. Od razu rozpoznał ją po ubraniu. Ta idiotyczna koszula zeszyta z barwnych skrawków - jakże mógłby jej nie zauważyć? Te dzinsy przetarte na kolanach. Ta czerwona torba podróżna...

- Co jest, do cholery - powiedział na głos. - Zach?

Postać przemieszczała się przez halę w stronę korytarza z oświetlonymi budkami spożywczymi. Tam było wejście do metra, naprzeciwko kiosku z gazetami. Kiedy postać znalazła się pośrodku hali, odwróciła się. Popatrzyła na altankę informacji, na staroświecki zegar, który pokazywał teraz dziewięć po piątej.

Perkins w tym momencie zobaczył profil i głos zamarł mu w gardle. Otworzył usta i bezgłośnie wypuścił powietrze z płuc.

Postać pospieszyła przez halę w stronę wejścia do metra. I nie był to Zach. To była Tiffany.

Nancy Kincaid

Szpakowaty mężczyzna z „Timesem” pod pachą wróci dzisiaj do domu i opowie żonie, że widział potwora. Był to stary wyjadacz giełdy na Wall Street. Krępy, czerwona nalana twarz. Stał na peronie, jakby wrósł w niego korzeniami, i czekał na następny pociąg. Zachichocze i powie:



„No więc, stoję sobie i czekam na pociąg, kiedy ten... ten stwór wypełznął z torów na peron. Mówię ci, wyglądała, jakby mieszkała w tych tunelach od lat! Czytałem o takich ludziach...”

Tak przynajmniej wyobrażała to sobie Nancy, kiedy wylazła po drabince na górę. Ten starszy pan tak na nią spojrział, że miała ochotę rozsypać się w proch. Bolesnie uświadamiała sobie, jak okropnie wygląda. Bluzka w strzępach, wystaje spod niej stanik. Twarz i ręce w smugach brudu i krwi. No a kiedy zaleciał ją własny zapach... Wygramoliła się na peron na czworakach, z głową nisko zwieszoną. Czowała zapach własnego moczu i wymiocin. Odór potu. Ślady tego mokrego świństwa z niszy pod peronem. Ten facet, ten stary giełdziarz z Wall Street, skrzywił się na sam jej widok — czy mogła mieć do niego o to pretensję?

Stała na nogi. Poczowała w kroku przemieszczający się ciężar, poprawiła nerwowo spódnicę. Broń tkwiła w majtkach. W bijatyce z wariatem postradała swój nóż, torebki nie znalazła. Dobrze, że przynajmniej ma rewolwer. Czowała go na swoim wzgórkę łonowym, ciepły i jakby żywy przy jej ciele. Rozejrzała się, żeby popatrzeć, czy ktoś zwraca uwagę na jej wypchaną z przodu spódnicę. Ale tylko ten elegancki biznesmen w ogóle na nią patrzył, a on spoglądał raczej na jej brudny dekolt. Reszta tłumu gapiła się w lewą stronę, wypatrując w tunelu światła następnego pociągu.

Odwróciła się do biznesmena bokiem, zignorowała go. Poczłapała na brzeg peronu. Był to peron przy torach wiodących z centrum. Znalazła się tutaj, bo przeszła tunelami na drugą stronę. Kiedy po bójce lazła z powrotem do światła, widziała tamten pociąg, który omal jej nie rozjechał. To był pociąg jadący do centrum, zatrzymano go przed peronem. Widziała mundury straży kolejowej. Granatowe mundury przeciskające się wśród szarych garniturów i tweedo-wych spódnic i żakietów. Szukali jej. Maszynista widział ją i wariata na szynach. Wzięła nogi za pas, przemknęła pomiędzy filarami na drugą stronę. I tak zresztą jedzie na peryferie. Jedzie na ulicę Gramercy.

Postanowiła wracać do domu. Zobaczyć się z matką. A dokąd miała iść? Własny adres był dla niej jedyną

wskazówką. Jeśli matka jej nie pozna, jeśli własna matka nie będzie wiedziała, kim ona jest, jak a jest... No tak, wtedy będzie już naprawdę zgubiona, na zawsze.

Pociąg wślizgnął się gładko na stację. Czyste, srebrne wagony sunęły, zwalniając, aż się zatrzymały. Drzwi się rozstały. Nancy noga za nogą, ze znużeniem, weszła do przedziału. Kilkoro pasażerów rzuciło na nią okiem. Kiedy usiadła, kobieta obok wstała i przeniosła się dalej.

Pociąg ruszył. Nancy siedziała ze wzrokiem wbitym nieruchomo w jeden punkt. Ręce zwiesiła między kolanami, zgarbiła ramiona. Rozżaliła się nad sobą ze wszystkich sił. Chciało jej się płakać. Jej umysł wciąż wyświetlał film ze scenami z tunelu. Blask reflektorów pociągu. Blask dzikich, cierpiących oczu. Lufa pistoletu, nagła śmierć gotowa wybuchnąć z jej otworu...

„Tamten człowiek” - pomyślała i wzdrygnęła się. Ten szaleniec. Zaczęła dygotać, gdy przypomniała sobie bezmyślną twarz uchwyconą w snopy światła reflektorów lokomotywy, przyszpiloną do szyn. Ta ręka uniesiona daremnie naprzeciw pędzącego pociągu.

„Doświadcza pani epizodu schizofrenii...” Musiała otulić się własnymi rękami, żeby opanować dygot. „Tak, to był schizofrenik - pomyślała. - Tamten człowiek. Tak samo jak ja”.

„A w końcu, w miejscu najciemniejszych z ciemnych” - przypomniała sobie wesołe spojrzenie, spokojny, pogodny głos Billy'ego Joe Campbella, tego wariata, który przywitał ją w Bellevue. „W miejscu najciemniejszym z ciemnych -przerażająca postać - powiedział jej wtedy. - To Obcy, twoje własne «Ja», którym nie chcesz być ponad wszystko”.

„Tak, to był on, a jakże - pomyślała. - Ten wariat z rewolwerem. To było bez wątplenia właśnie to moje «ja», którego wolałabym uniknąć. Mieszkające w ciemności. Śliniace się w ciemności. Wykrzykujące urojenia o agentach federalnych z Marsa, o kosmicznych złodziejach mózgów, o morderstwie o ósmej godzinie, o Zwierzęcej Godzinie...” Ach, tak, ją także czekała kariera Wariata z Tuneli Metra.

„I tylko wtedy, gdy się zdobędziesz na odwagę, żeby zjednoczyć się z tą jaźnią wtedy poznasz zaklęcie...”

— Uuch! — jęknęła cicho, zadrżała. Wróciła myślami na miejsce. Popatrzyła na siebie: śmierzdzącą, mamroczącą pod nosem, dygoczącą istotę. Ukradkiem rozejrzała się po zatłoczonym przedziale metra. Te wszystkie twarze. Ci ludzie trzymający się srebrnych poręczy. Cóż, dla nich już bez wątpienia była tą Przeróżającą Postacią. Stworem z Tunelu Metra. Pewnie wszyscy przyglądają się jej potajemnie. Zerkają ukradkiem na wypukłość rewolweru pod majtkami. Czekają tylko na najbliższą stację, żeby zacząć wzywać policję... Powiodła podejrzliwym spojrzeniem po tłumie. Czarna Sekretarka. Pan Hurtownik w prążkowanej koszuli. Dwie Biznesmenki. A potem, tu i ówdzie, zauważyła także wmieszane w tłum dziwne straszdyła. Białoskóry Wampir między sekretarką a urzędnikiem. Kudłaty Wilkołak schowany za biznesmenką. Upiorny Mnich koło hurtownika. „Zaraz, chwileczkę” — pomyślała. Co tu się właściwie dzieje? Wszyscy ukradkiem przyglądają się jej, ale czy ktokolwiek widzi te dziwadła?

Zapomniała, że to Halloween.

Ulica Dwudziesta Trzecia. Aż podskoczyła, jakby się ocknęła, widząc napis. To jej stacja. Wstała szybko i dołączyła do fali wylewającej się na peron. Ze wzrokiem wbitym w ziemię, powłóczyła nogami za tłumem. Na schodach stał policjant, przyglądał się twarzom. Odwróciła głowę, człapiąc koło niego.

Wyszła na górę, na Park Avenue South. Zaskoczyło ją, że jest już tak ciemno. Musi być dobrze po piątej. Jeśli nie później. Czysty jesienny błękit nieba znikł. Nad szeroką dwupasmową ulicą wisiał fioletowy zmierzch. Światła uliczne na każdym skrzyżowaniu w kierunku północnym świeciły na zielono, hen, aż do jasnej fasady dworca Grand Central. Potem światła się zmieniły i płonęły jaskrawą żółcią; potem jaskrawą czerwienią. Gęsta rzeka pojazdów stanęła. Wielkie autobusy dudniły, białe reflektory jarzyły się w granatowym powietrzu.

„Zostały trzy godziny” — pomyślała. Stała na rogu, rozglądała się w poszukiwaniu jakiegoś zegara. Ale coś innego zwróciło jej uwagę. Wystawa sklepu radiowo-telewizyjnego tuż obok, na rogu. „Okazja! Wyprzedaż

z okazji Halloween" - głośiły pomarańczowe litery z tektury przyklejone do szyby.

„Ach" - pomyślała tępo. To by wyjaśniało te dziwne stworzenia w metrze. Tutaj też były potwory. Naturalnych rozmiarów Frankenstein z rozkrzyżowanymi rękami. Wiedźma mieszająca w kotle. Tekturowy kościotrup z żółtymi oczodołami i złośliwym uśmiechem, a także z robakami i szczurami wyglądającymi spomiędzy żeber. Ale nie to przykuło jej uwagę. Tym, co zmusiło ją, by się odwróciła i spojrzała na wystawę, było dziewięć odbiorników telewizyjnych, ustawionych w trzech piętrach po trzy. A w każdym ten sam obraz. Ładna, elegancka Mulatka, prezenterka dziennika, czytająca wiadomości i rzucająca z ekranu szczere spojrzenie. „To pewnie serwis informacyjny o piątej" -pomyślała Nancy.

Gapiła się w ekrany. Coś tam było przed chwilą? Coś, co jej mignęło, co zauważyła kątem oka? Coś znajomego, coś, co pobudziło pamięć...

Przez chwilę gapiła się bezmyślnie na dziewięć prezenterek. Identyecznych, otoczonych kartonowymi nietoperzami i upiorami, w draperii z czarnej halloweenowej krepy. Potem pokręciła głową. Nie. Coś się jej przywidziało. Złudzenie. Coś w rodzaju *déjà vu*. Już się miała odwrócić...

Kiedy obraz się zmienił. Zawahała się. Stała na chodniku jak zwykły obdartus. Zapomniała na chwilę o tym, że jest brudna. O ciężarze w majtkach. O tym, jak śmierdzi. I patrzyła przez szybę wystawy na dziewięć telewizorów, na dziewięć ekranów. Pokazywały twarz młodej dziewczyny.

„Czy ja ją znam?"

Ładna dziewczyna, w takim uniwersyteckim nakryciu głowy z czworokątnym denkiem i kitką. Wysokie kości policzkowe, różowe policzki, nieśmiały uśmiech. Błyszczące ciemnoblonde włosy do ramion. Niebieskie oczy.

„Znam ją..."

Żołądek Nancy skurczył się ze strachu.

„To Obcy, twoje własne «Ja», którym nie chcesz być ponad wszystko".

Tymczasem obraz — wszystkie dziewięć obrazów — zmienił się znowu. Teraz pokazywali dom. Mały domek. Białe cegły obrosnięte czerwieniącym bluszczem. Ocienione klonem, który stał przy niewielkiej, wysadzonej drzewami uliczce. A jej strach jeszcze się wzmógł: to było wspomnienie, zagrażające wspomnienie, nieuchwytnie. Obdarta, śmierzcząca dziewczyna stała, wpatrywała się, oblizywała wargi. „Co? Co to jest?”

A obraz znów się zmienił. Szybkie cięcie, na wszystkich dziewięciu ekranach jednocześnie. Na wszystkich dziewięciu ekranach mężczyźni wynosili z domu nosze. Nosze, a na nich czarny kształt. Czarny worek na zwłoki.

„Znam to. Znam to. Niech to szlag!” Żołądek przewracał się jak bęben pralki automatycznej. Oddech przyspieszył, tętno szalało. A jej tymczasem wydawało się, że płynie. Dryfuje ponad własnym ciałem, tym fizycznym, wrzącym saganem, z tym dziwnym, bezmyślnym strachem. Patrzyła w telewizor jak zahipnotyzowana. Następne cięcie. Tłumek ludzi w wąskim zaułku przed małym domkiem. Policjanci defilują przed kamerami. Kamera chwiejnie się pochyła, filmuje plastikowy kubek w ręku policjanta. Zbliżenie. Wiadro - dziewięć razy wiadro - na każdym ekranie. A ręka Nancy podnosi się powoli, ta brudna ręka. Dotyka gardła. Jakby dusiła. Nancy tak się boi...

- Och!

Jęknęła spazmatycznie. Ręka przeskoczyła od szyi do ust. Szedł ku niej mężczyzna, szedł dziewięć razy, na dziewięciu ekranach. Mężczyzna w dżinsach. Czarne włosy, długie prawie do ramion. Zmęczone oczy. Zna go, owszem. Te zmęczone, samotne oczy, smutne jakby z nieodwzajemnionej miłości. „Ale... ale ja go przecież wymyśliłam!”

Nie mogło być mowy o pomyłce. Te ostre rysy, bruzdy wyryte przez życie. To był jej poeta! Poeta, o którym marzyła. Cierpiący artysta, który obejmie ją nagimi ramionami. Bohater jej fantazji! To te smutne oczy miały się ku niej zwrócić. Spojrzeć znad kartek na biurku na nią, leżącą nago pod cienkim prześcieradłem w jego pokoiku na poddaszu... A tu masz - jest! Idzie uliczką, ramiona zgarbione. Jedną ręką ogania się od mikrofonów reporterów. Mikrofony celują w niego. Z obu stron policjanci, prowadzą go do

radiowozu. Strach rozpełzł się po całym ciele Nancy ale zostawił miejsce na zdziwienie. Przecież ona go sobie'wymyśliła, a oto on jest tu, przed nią, jest...

Przechodnie usłyszeli jej krzyk. Na chodniku wokół było gęsto od przechodniów, to przecież godzina szczytu. Chodnik drżał pod nogami ludzi zmierzających do domu Zapadający zmierzch rozjaśniały ich żywotne oczy. Krzyknęła im usłyszeli i popatrzyli na nią. Zerknęli na to żalosne stworzenie, gapiące się na coś z rozdziawioną gębą- zerknęli na ten brudny, bełkoczący strzęp dziewczyny. Omijali ją łukiem, a ona stała, obojętna na wszystko, i patrzyła w dziewięć ekranów telewizyjnych na wystawie sklepu ze sprzętem K 1 V. Wpatrywała się w dziewięć twarzy na dziewięciu ekranach, w dziewięć jednakowych twarzy.

I nikt, ani jeden przechodzień, nie zauważył, że te twarze w które tak usilnie się wpatruje, te dziewięć identycznych twarzy w dziewięciu telewizorach, to jej własna twarz

A tak było. Nancy pokręciła głową, nie mogąc uwierzyć własnym oczom. Była tam, ona sama, pomnożona przez dziewięć, trzy razy trzy, i patrzyła na samą siebie. Minęła sekunda, mm to do mej dotarło. Wyrwało ją z transu Rzuciła się przed siebie. Podbiegła do szklanych drzwi z umarlakiem jedzonym przez robaki. Pchnęła je. Znalazła się w środku.

I tutaj została otoczona ze wszystkich stron przez samą siebie. Wszędzie - na półkach wzdłuż obu ścian sklepu na półkach biegnących w poprzek, wszędzie - jej własna twarz patrzyła na nią z ekranów rozmaitej wielkości. To była fotografia, nieruchoma; kolorowe, lekko nieostre zdjęcie

Szeroka twarz. Zbyt wydatna szczęka. Trochę złagodzona przez kędzierzawe kasztanowe włosy zwieszające się na ramiona. Oczy patrzące szczerze i bezpośrednio.

„To ja! - krzyczała w myślach, patrząc w kolejne ekrany spijając z nich swój wizerunek. - To ja! Znaleźli mnie! To ”

Skądś, z jakiegoś głośnika, dochodził głos spikera relacjonujący coś krótkimi, rąbanymi zdaniami. Próbowwała się skupić, posłuchać, ale... - Hej!

Z początku me mogła się zorientować, kto to powiedział.

Wkrótce jednak zobaczyła. Sprzedawca. Niski gruby Hindus w przepoconej białej koszuli, z rozluźnionym czerwonym krawatem. Dreptał ku niej pospiesznie. Kołysał się pomiędzy tymi wszystkimi jej twarzami, wznoszącymi się szeregami do sufitu.

— Hej... — groził jej gniewnie palcem. — Nie wolno tutaj pani wchodzić. W takim stroju. Proszę wyjść.

— ...wstrząśnięci stróże porządku obiecują zdwoić wysiłki i pracować... — mówił spiker.

Sprzedawca dreptał ku niej z wypiętym brzuchem.

— Przepraszam, przepraszam, proszę wyjść.

— ...nad analizą poszlak przez dwadzieścia cztery godziny na dobę...

„Muszę tego wysłuchać” - powiedziała do siebie w duchu.

— Pani tu nic nie kupuje - sprzedawca gdał jak rozgniewana kwoka.

... żeby znaleźć sprawcę tego bestialskiego zabójstwa...

— Proszę wyjść! Wyjść!

— ...Nancy Kincaid...

— Co?! — wykrzyknęła Nancy.

Ale sprzedawca był już przy niej. Wypychał ją swoim wypiętym brzuchem ku drzwiom. Wygrażał palcem przed nosem.

— W takim stroju nie kupuje pani tutaj nic! Musi pani wyjść.

Cofała się chwiejnie. Wlepiała oczy, rozdziawiała usta -a jej twarz, a jej wszystkie twarze znikły ze ścian i półek. Powróciła prezenterka, Mulatka.

— Pozostałe wiadomości z miasta - powiedziała. - Strażacy starają się opanować pożar na Brooklynie, który...

— Brooklyn? — zapytała Nancy. - Ale co...? „Bestialskie zabójstwo Nancy Kincaid?”

— Wyjść natychmiast! — skrzeczał sprzedawca z wysoką indyjską intonacją.

„To znaczy, nie jestem zbrodniarką? Jestem ofiarą, do cholery?”

— Wezwę policję! — zawołał sprzedawca.

Pchał ją mocno, ona cofała się, chwiejąc i potykając, aż

wpadła na drzwi. Miała ochotę rzucić się na niego z pięściami, wrzeszczeć: „Na miłość boską! Daj mi spokój! Nie widzisz, że nie żyję?”

Ale sprzedawca sięgnął ręką do klamki, otworzył drzwi za jej plecami. - Już! Wynocha! - powiedział, dźgając ją brzuchem.

Przechodnie na zewnątrz zerkali przelotnie na tę scenę Nancy stanęła wśród nich, skulona, i patrzyła na drzwi które zamknęły się z sykiem pneumatycznego mechanizmu.'

„Ale co, do licha...? - pomyślała. - Co się, do licha dzieje?”

Gapiała się na drzwi; na odbity w nich kolejny wieczorna telewizory migające wewnątrz; na tekturowego kościotrupa. Ten szkielet, objedzony przez robaki i szczury, uśmiechał się szyderczo i wlepił w nią żółte oczodoły spoza jej własnego przerażonego odbicia.

## Oliver Perkins

Perkins oderwał się od balustrady. Łokciami torował sobie drogę przez tłum w barze, potem zbiegł marmurowymi schodami do głównej hali. Najpierw przyszło mu do głowy, żeby podbiec do niej, złapać ją za rękę, szarpnąć, odwrócić, wrzasnąć jej prosto w twarz. „Tiffany, co tu się dzieje, do jasnej cholery?”

Ale wstrzymał się. Obserwował, jak przed nim biegnie wymijając zgrabnie innych pasażerów. Spieszyła marmurowym kanionem pod lukami i sklepieniami. Przyciskała ramieniem czerwoną torbę. Głowę trzymała spuszczoną, twarz miała ukrytą w cieniu daszka, włosy schowane pod czapką. Zdecydowanie nurkowała w każdą lukę w tłumie idących. Wyglądało na to, że ma niewiele czasu. Zmierzała ku jakiemuś określoneemu celowi.

„Dlaczego wróciła?” - zastanawiał się Perkins. Prześliz-



giwał się za nią. Szedł pewnie, nie tracił jej z oczu. Miał wrażenie, że całe ciało mu pulsuje, że tężeje; że z lęku i podniecenia jest spięty i traci dech. Myśli też mu pulsowały, strzelały jak wyładowania elektryczne: „Dokąd jeździła? Co robiła? Dlaczego wróciła? Niech ją diabli, dlaczego wróciła?”

— Przepraszam — mówił cicho, przeciskając się przez tłum biznesmenów. Już nawet nie próbował zbliżyć się do Tiffany. Śledził ją, jawnie i po prostu. Ominął jakąś starszą kobietę, wcisnął się między dwójkę młodych ludzi z plecakami. Obserwował ją nad głowami tłumu.

Tiffany dotarła do wejścia do metra. Tu się zatrzymała. Perkins stanął jak wryty około piętnastu metrów za nią. Przepuścił tłum, schylił się, licząc na to, że się schowa, ale nie spuszczał jej z oka. Zobaczył, że się powoli obraca, omiata dworzec wielkimi, zaszczutymi oczami. Czyżby wiedziała, że jest śledzona? Czy go dostrzeże? Nie miał pojęcia. Widział jej szare jak popiół policzki, białe wargi.

„Niczego nie rozumiesz, Ołiverze”.

A potem zobaczył, że zaczerpnęła powietrza i zanurkowała do wejścia.

Ruszył szybko naprzód, bojąc się, że zgubi Tiffany w tłumie. Ale kiedy znalazł się w korytarzu metra, zauważył ją od razu. Ten kolorowy patchwork widać było z daleka. Zszedł za nią schodami na przystanek. Minał obrotowe bramki. Potem niskie przejścia pełne kolumn, schodów, drogowskazów. Szła wraz z innymi podróżnymi szybkim, rytmicznym krokiem. Nie spuszczał z niej oka: widział ruch jej bioder, zgięcie ręki w łokciu, kiedy zbiegała po schodach na peron...

Tamtej nocy była ubrana na czarno — przypomniał sobie. Tej nocy, kiedy znalazł Zacha w starym domu, zaćpanego i nieprzytomnego. Zawiózł brata do Szpitala Świętego Wincentego i zadzwonił stamtąd do Tiffany, a ona przyjechała wtedy ubrana na czarno. Czarne dżinsy, czarny golf. Czarne włosy ze srebrnym pasmem, ściągnięte mocno do tyłu w koński ogon. Twarz wycieńczona, zapadnięta i biała. Wydawała się zmęczona i zła. Nieatrakcyjna, pomyślał Perkins.

Teraz wsiadła do metra linii „siedem”, poprzecznej.

On za nią, do drugiego wagonu. Przepchnął się do łącznika między wagonami, stanął przy oszklonych drzwiach awaryjnych, żeby móc zaglądać do jej przedziału. Oparł się barkiem o szybę i obserwował. Siedziała, czerwoną torbę położyła na kolanach. Gapiła się przed siebie, żałosna i blada. Perkins otarł nerwowo usta.

Zatrzymali wtedy Zacha w szpitalu do rana. Perkins odwiózł Tiffany do domu: do tego amfiladowego mieszkania w East Village, gdzie mieszkała z Zachem. Usiadła na łóżku, zwiesiła dłonie między kolana. Patrzyła prosto przed siebie. Widział ją w lustrze toaletki, kiedy zbierał się do wyjścia. Miał ochotę na nią nakrzyczeć. Miał ochotę złapać ją za ramiona i potrząsnąć. Te wszystkie mistyczne gówna. Dlaczego nie zadbała lepiej o jego brata?

Pociąg zatrzymał się przy Czterdziestej Drugiej Ulicy. Tutaj wysiadła, on za nią. Znow śledził ją w rozległych podziemnych przestrzeniach. Teraz szła szybciej. Rzuciała spojrzenia w bok, na mijanych ludzi. Czy wyczuwała jego obecność? Czy wiedziała skądś, że idzie jej śladem? Nerwy miał roztrzęsione do ostatecznych granic. Kroki odbijały się echem w szerokim podziemnym pasażu, ich odgłos ginął w echem innych kroków.

— No cóż — powiedział wtedy i podszedł do drzwi.

— Nie idź. — Tiffany nawet nie podniosła głowy. Siedziała na łóżku, gapiła się w przestrzeń, jej wybladła twarz zaczęła drżeć. A potem zgięła się wpół, zakryła twarz dłonią. On podszedł do niej, usiadł obok na łóżku. Objął ramieniem, myśląc: „No tak, mogłaś na niego uważać, do diabła”. Ale nienawidził, jak kobieta płacze. Przycisnęła policzek do jego ramienia. Jej łzy zmoczyły mu rękaw koszuli. Poglaskał ją po głowie. Podniosła wzrok i popatrzyła mu w oczy z rozpaczą.

— O Boże, Oliverze, o Boże powiedziała. A wtedy on ją pocałował.

Poczuł gorycz w ustach, obserwując, jak idzie teraz przed nim. Po jaką cholere ją wtedy pocałował? Po jaką cholere to się musiało stać? Patrzył, jak ona znika i pojawia się wśród spieszącego się tłumu. Uchwycił wzrokiem kołyszący ruch bioder; przypomniał sobie zdjęcie Mulligana i jej biały

goły tyłek. Kark wydawał się taki nagi i delikatny bez włosów, schowanych starannie pod baseballową czapczką... Chryste. Chryste, przecież wiedział, że Zach ją kocha. Nawet wtedy; wtedy, kiedy to wszystko się zdarzyło - cały czas wiedział, że to jedyna kobieta, jaką Zach kiedykolwiek kochał. Tłumaczył sobie, że to nie ma znaczenia; chwila zapomnienia. Mówił sobie, że obojgu im trzeba było pocieszenia w tę ponurą, samotną noc; w tę noc po porażce. I wtedy rany boskie, jak on się w nią wdarł! jak posuwał z całych sił krzycząc wraz z nią, gdy rozorywała mu barki oszalałymi paznokciami. Jej ciało pod bawełnianym golfem wydawało się miękkie, ale kiedy ściągnęła z siebie wszystko, pod spodem okazała się jędrna i twarda. Skórę miała ciemną, piersi małe i spiczaste; jej uda chwyciły go jak w kleszcze. Pieścił ją bez opamiętania, chwycił wargami, wpychał język do ust. Szczytując, tulił ją w swoich mocnych ramionach ścisnął z całych sił - i tak wykrzykiwał jej imię, że wolał o tym nie pamiętać.

Tiffany wsiadła do pociągu na West Side. Perkms zatrzymał się na moment, wciąż próbując przełknąć ten niemożliwy do przełknięcia smak. Potem wsiadł, znowu do sąsiedniego wagonu. Wskoczył w ostatniej chwili. Przeciskał się zrećnie przez tłum urzędników, sekretarek, kierowników. Dopchał się do łącznika, żeby nie stracił jej z oczu - a pociąg nabierał szybkości.

Przyłgnął do szyby i zerknął do wnętrza wagonu Tiffany. I zobaczył ją: siedziała z prawej strony przejścia mniej więcej pośrodku. Pociągiem zakołysało, a on dostrzegł resztę wagonu. Trwała tam impreza na całego.

To był bal dziwolągów. W całym wagonie. Ludzkie hybrydy, mutanty. Tańczyły w przejściach, z rękami w górze, kołysząc biodrami. Wchodziły na siedzenia, odrzucały głowy do tyłu, wypinały piersi: wyły do sufitu, aż traciły równowagę i spadały w ramiona stworów czekających na dole. Zakapturzone pobielane upiory; zombi w prążkowanych garniturach; pseudomeboszczki w koronkowych halkach pieprzące się na niby z panami Hyde'ami w cylindrach Centauropodobne połączenia płci: kobiety w wypchanych męskich slipach; brodacze w wypchanych biustonoszach;

jakieś przedziwne połączenia krzywizn, wypukłości, zarostów - piasających ze sobą, biodro przy biodrze, krocze przy kroczu, w kołyszącym się wypełnionym przedziale.

Perkins odwrócił się i spojrzał w głąb swojego wagonu: ugrzecznione zgromadzenie wzorowych pracowników, ściśniętych jak sardynki w puszcze, czytających swoje popołudniówki. Znow zerknął przez szybę na monstrualną rewię. A potem odnalazł wzrokiem Tiffany i wstrzymał oddech: patrzyła prosto na niego.

Z rozpaczliwym nateżeniem wpatrywała się ze swojego miejsca w szybę drzwi awaryjnych. Uśmiechała się odrobinę, niewesołym, żebraczym, rozpaczliwym uśmiechem. Patrzyła prosto na niego. Patrzyła czy nie? W sekundę później odwróciła oczy i obojętnie przyglądała się dzikim wybrykom w przedziale. Nie był pewien: widziała go czy nie?

Pociąg zatrzymał się na stacji przy Czwartej Zachodniej. Stwory z sąsiedniego wagonu zawyły jednym głosem: „Halloween!” i rzuciły się do drzwi. Perkins przywarł twarzą do szyby, ruchoma masa przesłoniła mu widok.

Za chwilę przedział był pusty. Widział wszystko wyraźnie. Tiffany zniknęła. A drzwi metra zamykały się.

Rzucił się do wyjścia. Złapał zsuwające się połówki. Mocował się chwilę, stękając. Cofnęły się odrobinę, a on zdołał się wyslizgnąć. Stał, rozglądając się po peronie, aż zauważył koszulę z kolorowych szmatek. W grupce dziwadeł Tiffany przesuwiała się w kierunku schodów. Poszedł za nimi na górę, w granatowy wieczór.

Znalazłszy się w chłodnym powietrzu, zerknął na zegarek. Szósta dochodzi. Do parady jeszcze ponad godzina, ale w Szóstej Alei już czekali ciekawscy. Niektórzy poprzebierani, inni odziani zwyczajnie. Niektórzy zajęli pozycje obserwacyjne wzdłuż policyjnych barierek przy chodnikach. Inni, a była ich większość, szli tłumnie wzdłuż szeregów wystaw. Sprzedawcy powystawiali stoiska przed sklepy. Wciskali przechodniom gwizdki, trąbki, bębenki, a także maski karnawałowe migające kolorowymi lampkami.

Ruch kołowy był już na alei wstrzymany. Piesi policjanci patrolowali jezdnie, krocząc w tę i z powrotem. Perkins skulił się na ich widok - tyłu ich i tak blisko domu, tak

blisko Zacha. Ale teraz nic nie mógł poradzić. Tiffany mu uciekała. Zręcznie lawirowała w tłumie; myk, myk jak żywe srebro. Musiał wspinać się na palce, żeby wyłowić jej czapkę daleko z przodu.

Szedł za nią — i jednocześnie chciał przestać ją śledzić. Zdawało mu się, że ona go teraz wyprowadza w pole, wiedzie gdzieś, gdzie wcale nie chciał iść. Wołałby, żeby mu zniknęła; wołałby, żeby to wszystko zniknęło... „Przepraszam, przepraszam” — mamrotał, przeciskając się przez gęstniejący tłum. Nie umiał się zatrzymać. Miał wrażenie, że jest bezsilny — jak to bywa we śnie. I jak we śnie miał to straszliwe przeczucie katastrofy. Coraz bardziej dojmujące...

Podniósł wyżej wzrok. Przed nim piętrzyły się ponad drzewami czerniejące w zmierzchu wieże, hełmy, iglice, wieżyczki, ceglane ściany i rozety Biblioteki Jeffersona.

— Ach, do diabła, mała, to nie był dobry pomysł. — Tak powiedział wtedy do niej, kiedy skończyli. Siedział na krawędzi łóżka, z głową w dłoniach. Miał ochotę schować się w mysiej dziurze, żeby uciec przed wyrzutami sumienia.

— Oliverze, nie mów tak. - Usiadła, kołdra ześlizgnęła się z jej piersi. Położyła mu rękę na ramieniu. On się odsunął. — Potrzebowałam cię — powiedziała cicho. - Naprawdę potrzebowałam. — Chciał krzyknąć, żeby się zamknęła. Chciał wynieść się stamtąd do diabła. Ona położyła mu głowę na plecach, poczuł jej miękkie policzki na skórze. — Nie wiem, co o tym wszystkim myśleć, całkiem jestem zagubiona — powiedziała. — On jest jakiś taki... Mówi takie rzeczy... -Usłyszał, że pociągnęła nosem. Strużka łez popłynęła po jego kręgosłupie. — Znaczy, wiesz, on jest taki mądry, tak wiele rozumie, ja nie pojmuję, co... Znaczy, wiesz, zmusza mnie do takich rzeczy... — Jego ciało pokryła gęsia skórka. Niech ją szlag trafi! Poczul się jak ostatni drań; niech ją szlag! Siedział bez ruchu, zgarbiony, milczący. A ona mówiła: — Czasem mi się wydaje, że już dłużej tego nie zniosę, naprawdę. Znaczy, wiesz, próbuję go zrozumieć, ale on, bo ja wiem, on jest jakby w innym wymiarze, innym niż ja, niż wszyscy... gdyby nie te rzeczy...

— Przestań - powiedział. Właściwie warknął, wyszło

znacznie ostrzej, niż zamierzał. - O czym ty gadasz? Po prostu przestań. Nie zwalaj na Zacha.

Odsunęła się. Obejrzał się przez ramię i zobaczył, że patrzy na niego, oniemiała, ze łzami w oczach.

- Ja nie... Nie chodziło mi o to, że... Sam widziałeś, jaki był...

- Przestań! - Niech to jasny szlag! Wstał z łóżka, całkiem nagi. - Przecież był zaćpany, po prostu zaćpany, o co ci chodzi. Na litość boską, trzeba mu pomocy! Po prostu. I trochę mniej tej bzdurnej nawiedzonej gadaniny.

- OHverze, czy ty nie rozumiesz, co...?

- Chodzi mi o to, że on nie robił tych głupot, póki nie spotkał ciebie, Tiffany. - Wymamrotał to tylko, ale jej twarz obwisła, jakby uderzył ją pięścią między oczy. Poczul się kiepsko, a to go jeszcze rozzłościło. - Te wszystkie astralne bzdety! Te odmienne stany świadomości, oczyszczanie aury, podnoszenie poziomów astralnych! A czegoś ty się spodziewała?

- Ale to przecież nie przeze mnie...

- Chodzi mi o to, że tego właśnie chciałaś! Czy nie taki właśnie miał być?!

Wpatrywała się weń w milczeniu. Potem powoli pokręciła głową. Jej podbródek zaczął drżeć.

- Boże! Oliyerze, dlaczego jesteś wobec mnie taki podły? - Teraz jej twarz skurczyła się; Tiffany rozplakała się na dobre. - O Boże! - Rzuciła się na wznak na łóżko. Wstrząsana szlochem, zakryła twarz dłońmi. - Niczego nie rozumiesz! Niczego nie rozumiesz, Ołiverze, niczego. Wynoś się stąd, i już! Po prostu wynoś. Proszę.

I w tym momencie ją zgubił. Właśnie tam, w cieniu murów biblioteki. Tylko na chwilę podniósł wzrok na ciemniejące wzory witraży. Przez jedną sekundę myślał o tym, że miał tutaj przyjść dziś wieczorem. Do swojej pracowni. Trochę popisać, a głównie obejrzyć paradę.

i przez chwilę myślał też o tym - niechący, niespodziewanie, nie wiadomo skąd i dlaczego - że już nigdy tam nie wróci. Że już nie napisze ani jednego wiersza. Że musi milczeć. Musi...

A kiedy znów popatrzył na kłębiących się beładnie o sza-

rej godzinie ludzi, niebieska czapeczka baseballowa gdzieś zniknęła. Tiffany zniknęła.

Perkins rzucił się do biegu. Wepchnął w tłum. Przecisnął się, prześlizgnął do rogu Zachodniej Dwunastej. Tam przed chwilą stała. Tam była, kiedy ją widział po raz ostatni. Zajrzał w przecznicę. Wzdłuż murowanych fasad, pod żółknące drzewa. Tam także ruch samochodowy został wstrzymany. Ludzie spacerowali jezdnią, chodnikami, w kręgach światła z latarni i w cieniach. Tiffany ani śladu. Perkins stał, rozglądał się, a serce mu waliło i w głowie miał mętlik.

I w tym momencie poczuł na języku lekko miedziany posmak strachu, bo zdał sobie sprawę, że to jest ulica, przy której mieszka babcia. Wprost naprzeciwko wznosił się jej dom. Musiała tam wejść. Musiała pójść na górę, do babci...

Rąbnął pięścią w otwartą dłoń i skoczył do przodu.

- Suka! - wysyczał. Zaczął biec. - Co za suka!

Nancy Kincaid

Kamienica wznosiła się na tle wieczornego nieba nad głową Nancy. Szeroki front z czerwonej cegły, białe gzymsy i balkoniki. Podtrzymujące je alabastrowe maszkarony gapiły się na ulicę. Wykrzywione w uśmiechu ludziki, przycupnięte, rozgadane. Wywalone jęczory wywijają sprośnie, wybałuszone oczy łypią dziko.

Nancy stała na chodniku. Drżała, przemarznięta w swoich łańchmanach. Przeniosła wzrok wyżej, nad kamienne potwory, na narożne okno, jej okno. W mieszkaniu ciemno. Nikogo nie ma. Patrzyła tam w górę, aż oczy się jej zamgliły. Zachwiała się. Usłyszała dochodzące z tyłu dziecięce śmiechy. Dwie matki wyprowadzały swoje poprzebierane pociechy przez żelazną furtkę parku. Nancy słuchała ich głosów z tęsknym smutkiem w duszy. Zamknęła oczy. Znów kręciło się jej w głowie. I to zmęczenie, to straszne zmęczenie. Gdyby

mogła pojsc na górę, wejść do własnego domu, położyć się do własnego łóżka... Ach, spałaby bity rok. Chłodna pościel na skórze, chłodna poduszka pod głową. Matka siedzi na materacu w nogach. Śpiewa.

Zatoczyła się, niemal przewróciła. Popatrzyła przed siebie szeroko otwartymi oczami, złapała równowagę. Trzeba wziąć stę w garść. Musi się zmobilizować, jeśli chce się dostać do środka.

Budynek stał na rogu Dwudziestej Pierwszej i Lexington Avenue Wejście było od Dwudziestej Pierwszej, naprzeciw parku. Masywne dębowe drzwi stały otworem, ale portier tkwił na posterunku. Twardy Irlandczyk. Szeroka gęba potężny tułów. Siedział sobie na trójnożnym taborecie tuż za drzwiami. Od kwadransa się nie ruszył.

Nancy przyglądała mu się, mrugając oczami, żeby nie zasnąć Może podejść do niego po prostu - pomyślała sennie. Może po prostu powiedzieć: „Cześć, jestem Nancy Kincaid. Zostałam dziś brutalnie zamordowana, więc naprawdę muszę się przebrać. Starzy są w domu?”

No, może jednak nie. Co będzie, jeśli jej nie pozna? Wezwie policję? Nie miała już serca do takich rzeczy Nie miała sił znowu uciekać. A przede wszystkim nie miała gdzie się podziać, dokąd iść.

Tak czy owak, stróż musi się ruszyć. Tego była prawie pewna. Obsługiwał także windę. Pamiętała przecież - a przynajmniej wydawało się jej, że to pamięta. Jeśli postoi tutaj jeśli wytrzyma tu dość długo, ktoś z góry zadzwoni po windę. Będzie musiał opuścić swój posterunek i pojechać po tego kogoś.

A zatem czekała, słaniając się na nogach. Fizycznie czuła upływ czasu. Mrok zapadający jak kurtyna deszczu. Robi się pozno" - pomyślała. Coraz bliżej ósmej. Nie ma czasu. Irzeba się stawić na spotkanie. Trzeba tam być o Zwierzęcej Godzinie, randka to randka. Płachta ciemności spowija ją coraz ciaśniej. Wyraźnie czuła, że ją więzi. Jezu, czy to naprawdę dopiero dzisiaj rano się zaczęło? Czy dopiero dziś rano zniknęła z powierzchni ziemi? To pętanie się, miotanie po tunelach metra; to aresztowanie, kopanie psychiatrów w jaja. Bijatyki z uzbrojonymi szaleńcami. I to uświadomie-



nie sobie, że jest zbrodniarką, a potem — że jest ofiarą zbrodni. „Rany boskie, co za dzień!” — pomyślała. Powieki jej ciążyły. Uśmiechnęła się, zakolysała. Poczowała gęsią skórę na rękach, chłodny październikowy zmierzch wnikał przez dziury w podartej bluzce...

Nagle powieki podskoczyły do góry: usłyszała dzwonek we wnętrzu. Winda! Zobaczyła, jak odźwierny z ciężkim westchnieniem podnosi się ze stołka. Zamknął drzwi do kamienicy. Przez szybkę w drzwiach, kryształową, ozdobną szybkę, widziała, jak człapie ciężko przez hol. Odczekała chwilę, oddychając ciężko. Rozejrzała się. Dzieci poszły sobie. Parkiem spacerował tylko jeden wampir z dziewczyną, trzymali się za ręce i zatrzymywali pod każdą latarnią. Nancy podeszła do wejścia.

Zajrzała do środka. Pod drugiej stronie holu wejściowego zobaczyła windę, staroświecką metalową klatkę. Windziarz właśnie się w niej zamykał. Kabina ruszyła i zniknęła. Nancy szybko sięgnęła pod spódnicę, wsadziła rękę w majtki i wyciągnęła stamtąd swoją trzydziestkęósemkę. Kolbą uderzyła kryształową płytkę w drzwiach. Poprawiła, w lewym dolnym rogu wypadł trójkąt szkła. Usłyszała, jak roztrzaskuje się o posadzkę holu. Zerknąwszy przez ramię, czy nikt nie widzi, wetknęła rękę w dziurę i przekręciła gałkę. Zaraz znalazła się w środku.

Niby-gazowe lampy mżyły przyćmionym światłem, rzucając żółtawe błyski na dębową boazerię ścian. Cień Nancy tańczył na marmurowych płytach posadzki. Przemknęła w głąb. Usłyszała, że winda zatrzymuje się gdzieś na górze. Metalowa strzałka nad drzwiami pokazywała trzecie piętro. Usłyszała łoskot rozsuwanych drzwi. Wskoczyła za róg, do pomieszczenia ze skrzynkami na listy.

Mosiężne skrzynki wisiały rzędami na trzech ścianach, czwartą zajmowały w całości metalowe drzwi. Nancy wycelowała rewolwer w zamek. Położyła palec na spuście. Zastanowiła się jednak i sprawdziła klamkę ręką. Drzwi otworzyły się bez trudu. Za nimi znajdowała się tablica z haczykami, na których wisiały zapasowe klucze do mieszkań. Wzięła klucz do numeru 3K. Zamknęła drzwi. Pospieszyła na powrót do holu.

Nie słyszała, jak zamykano drzwi kabiny. Słyszała za to teraz, że jedzie na dół. Strzałka pokazywała drugie piętro, potem pierwsze. Zaświeciła się lampka koło przycisku. Ale Nancy była już przy drzwiach na klatkę schodową. Otworzyła je i wślizgnęła się do środka. Doszedł ją jeszcze metaliczny łoskot rozsuwających się drzwi windy.

Adrenalina pulsowała jej w żyłach, gdy wbiegała po schodach. Podarta bluzka łopotała za nią jak białe proporce. W lewym ręku ścisnęła klucz do mieszkania, w prawym - rewolwer. Na drugim piętrze energicznie pchnęła drzwi na korytarz. Wyrzała, żeby sprawdzić, czy jest pusty. Potem ruszyła długim krokiem ku szczytowym drzwiom.

Światła w korytarzu były przyćmione. Wzorzysta pluszowa wykładzina tłumiła kroki. Nancy przemykała się od cienia do cienia. Modliła się, żeby nikt nie otworzył drzwi. Nędzarka z rewolwerem w dłoni. Smród wokół niej unosi się gęstą chmurą.

Dotarła do mieszkania 3K. Nacisnęła dzwonek i nie czekając, aż ktoś zareaguje, włożyła klucz do zamka i przekręciła. Weszła do środka i zamknęła za sobą drzwi. Oparła się o nie ciężko. Głowa opadła jej bezwładnie ze zmęczenia. Gapiła się w ciemny przedpokój, wszystko widziała rozmazane. Podniosła szybko ręce, żeby wytrzeć łzę. „Cześć, mamó - pomyślała sobie. - Wróciłam”.

Minęło dobre kilka minut, zanim zdołała się ruszyć spod drzwi. Serce waliło jej szybko. Strasznie chciała - nie zdawała sobie sprawy z tego, że aż tak strasznie - zobaczyć coś swojskiego. Jakiś znajomy pokój. Coś, czego kiedyś dotykała. Jakąś twarz; twarz matki. Coś, co pamiętała. Głęboki głos spikera brzmiał jej w uszach, kiedy szła przez przedpokój: „Bestialskie zabójstwo Nancy Kincaid...” To niemożliwe. Oczywiście. Przecież ona żyje. Jakieś wariactwo. Ale mimo wszystko powoli zaczynała czuć się jak duch. Niewidzialna. Nikomu nie znana. Tak boleśnie chciałaby znowu zaistnieć.

Z rewolwerem opuszczonym przy boku przeszła do salonu. Uważnie zaglądała w każdy cień. Staroświecki, nobliwy apartament. Kosztowny, ale wytarty dywan na podłodze z desek. Masywna kanapa. Solidne fotele; wyglądają tak, jakby miały wydawać woń fajkowego dymu. Wzrok

Nancy czepiał się jednego przedmiotu za drugim. Lecz w mroku wszystko wydawało się płaskie, sztuczne. Nierzeczywiste. Ona wydawała się nierzeczywista, gdy się przemieszczała wśród tego wszystkiego. Z każdym krokiem stawała się coraz bardziej widmem. Przewroczystą zjawą. „Bestialskie morderstwo... Bestialskie morderstwo Nancy Kincaid...” Jej głowa zdawała się fruwać w powietrzu. Chryste, przecież ona chyba blaknie coraz bardziej? Nic tutaj nie jest znajome. Niczego w ogóle nie pamięta.

Minęła salon i weszła w korytarz. Drzwi po obu stronach. Jeszcze jedno trochę dalej. Pokonała korytarzyk, zaglądając do kolejnych pomieszczeń. Przypatrywała się obrazom i fotografiom na ścianach. Nic z tego nie rozpoznawała.

„Bestialskie morderstwo Nancy Kincaid...”

— Kim jestem w takim razie? - wyszeptała wśród cieni. — Kim jestem, do jasnej cholery?

Nikim — tak się poczuła, gdy dotarła do drzwi w głębi korytarza. Miała wrażenie, że blaknie, rozpływa się w powietrzu.

Wreszcie zajrzała do ostatniego pokoju.

- Ach! — wyszeptała. Zapaliła światło.

To był jej pokój. Znalazła swój pokój. Zastłonki z koronkami powiewają wokół uchylonego okna. Plakaty z reprodukcjami Degasa na ścianach wytapetowanych w kwiaty. Szkatułka z baletnicą na białej toaletce odbija się w lustrze. Zdjęcia powtykane za ramę lustra. Szerokie łóżko z kolumienkami, narzuta z frędzlami na grubej białej kołdrze. Wielki pluszowy miś panda oparty o wezglowie. Poruszała się wśród tego wszystkiego z otwartymi ustami, z rozbieganymi oczyma. Pamięta to wszystko? To jej? Jej czy nie jej? Oczywiście, że jej. Wiedziała, że tak jest. Pokój młodej kobiety, ale wygląda jak pokój nastolatki. Właściwie jak pokój małej dziewczynki. Tak. To cała ona. Nie chce dorosnąć. Nie chce się wyprowadzić. Powinna była znaleźć sobie mieszkanie, pracę, którą by lubiła, własne życie... Ale teraz było jej wszystko jedno. Rzuciła broń na łóżko; ciężar zagłębił się w kołdrę. Chwyciła się obiema rękami jednego ze słupków łóżka. Przycisnęła do niego. Potarła policzki

o toczone drewno. Jeśli o nią chodzi, to ma już dość życia na zewnątrz. Pozostanie tutaj na zawsze. Nigdy nie chciała się stąd wynosić. Zamknęła powieki, przelały się spod nich łzy. Wszędzie dobrze, ale w domu najlepiej. U siebie.

Długo to trwało, nim znów otworzyła oczy. Zaśmiała się lekko i pociągnęła nosem. Rozejrzała się. Puściła słupek łóżka, podeszła do toaletki, do lustra. Przebiegła wzrokiem zatknięte za krawędź zdjęcia. Głównie fotki dziewcząt. Grupy roześmianych nastolatek. Obejmujących się ramionami. Dziewczęta w długich sukniach, z tyłu za nimi chłopcy we frakach. Dziewczęta strojące miny, wygłupiające się, poprzebierane za eleganckie damy, za harlejówki, za nowoorleańskie dziwki. Oczy Nancy przeskakiwały z jednej uśmiechniętej buzi na drugą w bolesnym pragnieniu, żeby rozpoznać którąś, którąkolwiek.

Ale przypominały jej się tylko słowa. Słowa, wznoszące się na powierzchnię jak bąbelki w wodzie: „Przestań się martwić. Wyglądasz świetnie... No to ty go zaproś. Chłopaki to uwielbiają... Pojedziemy sobie na Columbus Avenue i obkupimy się, że hej...” Słowa, zdania - ale bez głosów. Nie słyszała żadnych głosów. Nie mogła sobie ich przypomnieć.

Oczy znów wypełniły jej się łzami. Zerknęła na własne odbicie. „Rany!” - prychnęła. Jak ona wygląda! Jezus Maria! Skórę ma jak pancierz łodzi podwodnej. Włosy... „Wyglądają jak unurzane w gównie, nic się z tym nie da zrobić”. Skóra podrapana, policzki w smugach czarnego brudu. Wargi sine jak... nie da się ukryć, jak wargi trupa. Przyjrzała się sobie. Ruina, jaką miała przed oczami, niemal ją zafascynowała. A potem... potem Nancy uśmiechnęła się lekko. „Aach - pomyślała - zgadnijcie, co teraz zrobię?” Za moment stała w łazience, rozebrana do naga. Pod prysznicem. Gorąca woda spływała jej po piersiach, po brzuchu. Gdzieś znikło poczucie, że czas ucieka. Znikło wszystko oprócz rozkoszy płynącej wraz z wodą. Na plecy. We włosy. Spieniony szampon we włosach. Śliskie, pianiste mydło na twarzy, na piersiach, między pośladkami. Radość, że brud spływa z niej wraz z czarną wodą, do ścieków. Ubrała się w sypialni, stare rzeczy upchnęła starannie

w małym różowym koszu na brudy, który stał pod oknem. W szufladzie znalazła świeżą bieliznę. Cudownie suche majtki, mięciutki - tak miłe dla otartych pachwin. Na wewnętrznej stronie drzwiczek szafy było pełnowymiarowe lustro; zapinając stanik, mogła się dokładnie obejrzeć. Prawie zakochała się w swojej skórze promieniującej różowością od ciepłej wody.

Wciągnęła na siebie jakieś luźne czarne džinsy i obszerny szary golf. Wsunęła rewolwer za pasek, rękojeść zakryła swetrem. Okręciła się przed lustrem w jedną i drugą stronę. „Odziana na drogę, uzbrojona na łowy” - pomyślała. Własne odbicie w czystym ubraniu orzeźwiło ją, rozjaśniło jej w głowie — poczuła się lepiej niż w którymkolwiek momencie tego długiego dnia.

Na nogi założyła parę tenisówek; była gotowa. Stała pośrodku pokoju. Podobała się sobie, lecz nie bardzo wiedziała, co ma robić dalej. Z trudem walczyła z poczuciem, że musi się spieszyć, które znów zaczęło jej doskwierać. Zerknęła na toaletkę. Koło szkatułki z balet-nicą zauważyła szminkę do ust. „Ach!” - pomyślała. Podeszła, zdjęła zakrętkę. Różowa, błyszcząca; będzie pasować do jej bladej cery. Pochyliła się do lustra, nałożyła pomadkę.

Ach, cóż za luksus! Już nigdy więcej nie będzie lekceważyła makijażu. Makijaż to coś cudownego. Zbuduje mu ołtarz. Szminkową świątynię. Ofiaruje barana. Ten kolor na wargach, to wskrzeszenie siebie samej z popiołów, to urzeczywistnienie siebie, urealnienie...

Zatrzymała dłoń. Zacisnęła wargi, żeby rozprowadzić szminkę. Oderwała oczy od własnego odbicia. Zauważyła coś. Jakiś refleks w lustrze.

To zegar. Na szafce przy łóżku. W cieniu abażuru nocnej lampki. Przedtem go nie widziała. Mały budzik świecący czerwonymi cyferkami. 6:27. Zamarła ze sztyftem pomadki w dłoni, gapiąc się w odbite w zwierciadle liczby. „Zostało półtorej godziny” — pomyślała. I pomyślała o głosach w głębi korytarza. „Ósma godzina”. Zmrużyła oczy. Próbowwała sobie przypomnieć. Ten długi korytarz...

Ale teraz zauważyła jeszcze coś; coś, co leżało koło

zegarka. I pomyślała: „Musimy go tam ściągnąć. Sprowadź go tam punktualnie”. Głosy w głębi korytarza. Szorstka wykładzina pod jej dłońmi, przy policzku. Przyciszone głosy na końcu korytarza. „Tylko nie zapomnij. Musisz tam być. O ósmej”.

Nie zdawała sobie sprawy, że wstrzymuje oddech, póki powietrze nie uszło z niej z drzeniem. Odłożyła szminkę na toaletkę. Odwróciła się tyłem do lustra. „Co to takiego?” -pomyślała.

Teraz widziała lepiej. To coś leżało przed budzikiem, czerwień połyskiwała lekko na białym tle okładki. „OHver Perkins”.

Ollie. Imię wypowiedane szeptem w głębi korytarza. Imię na błyszczącej białej okładce.

Szybko odsunęła się od toaletki. Okrążyła łóżko, podszła do szafki. Książka leżała tytułem do góry, litery odznaczały się wyraźnie. *Zwierzęca Godzina i inne wiersze Olivera Perkinsa*.

- To on - powiedziała do siebie. - Boże jedyny, to on.

Podniosła tomik. Ręka jej się trzęsła. Oglądała książkę i wiedziała, co zobaczy. Głos z korytarza mamrotał, mamrotał do niej. Szeptał jej do ucha. „Musi umrzeć właśnie w tym momencie, więc nie zapomnij. Ósma godzina”. Korytarz zdawał się wydłużać i skracać. Głos to brzmiał w jej uchu, to dochodził z oddali. Przewróciła kartkę...

Zobaczyła tę twarz, którą musiała zobaczyć. Jego twarz. Kanciastą, drwiącą. Twarz kogoś, kto pragnie tylko jej - tę tęsknotę widać było w głębi oczu: niewypowiedziana samotność, pragnienie miłości, jej miłości, jej bliskości. To był jej poeta: ten, którego sobie wymyśliła. Twarz, która zwróci się ku niej w ciemności, przyciśnie do jej skóry w ciemności, przyciśnie do jej piersi...

„To ten jeden jedyny - pomyślała. Pokiwała głową nad fotografią. - To właśnie ten, który ma być dzisiaj wieczorem zamordowany”. Przyciszone głosy szepczące w korytarzu, szepczące jej do ucha. „Oliver Perkins. Ma być zabity. Ma być zabity o ósmej”.

„Musisz tam być”.

Przez dłuższą chwilę przyglądała się spragnionemu miłości

obliczu. Potem nagle poderwała się, tomik wypadł jej z ręki, sfrunął na podłogę. Spazmatycznie wciągnęła powietrze, zakryła usta dłonią, żeby nie krzyknąć.

Z przedpokoju dochodziły jakieś hałasy. Otwierały się drzwi frontowe.

Ktoś wchodził do mieszkania.

Avis Best

Avis siedziała w granatowym mroku. Bujany fotel kołysał się łagodnie. Dziecko sennie pociągało ostatnie łyki z jej piersi. Zasłonki w deseń z balonikami były zaciągnięte. W dochodzącej spoza nich perłowej poświacie ulicznych latarni widać było poruszające się sylwetki zawieszonych zabawek. Kontury pluszowych misiów, tekturowych myszek, ptaszków i żabek rozmywały się w gęstniejącym mroku. Cała ta barwna feeria dzieciennego pokoju przechodziła powoli w granat. Avis gapiała się przed siebie, czując ciepły ciężar synka.

Śniła na jawie, że siedzi u wezglowia Zachary'ego. On leży, chory, z trudnością podnosi na nią wzrok. Avis gładzi go chłodnymi palcami po rozpalonym, perlącym się od potu czole. Wyobrażała sobie jego przepelnioną wdzięcznością twarz.

Wiedziała, jak wygląda. Widziała go kiedyś na zdjęciu. Oliver pokazywał jej stare polaroidowe fotki, przedstawiające obu braci trzymających się za ramiona. Drobny, niższy Zach, wtulony w starszego brata. I ten szeroki, nieśmiały, trochę głupkowaty uśmiech. Wiedziała, że brał narkotyki, że miał załamania nerwowe. I wiedziała, że ma dziewczynę, której Oliver nie lubi. W tych snach na jawie dziewczyna Zacha siedziała w więzieniu za morderstwo, o które najpierw oskarżono jego. Gdy go uniewinniono po dramatycznym procesie, w którym Avis była koronnym świadkiem, rzucił się jej w ramiona...

Nabrała głęboko powietrza, po czym wypuściła je powoli. Kołysała się delikatnie w fotelu. Dziecko leżało bezwładnie na jej ręce, spało. Szósta już minęła, może dochodziło nawet wpół do siódmej.

Mały będzie spał teraz co najmniej pół godziny. Można by skoczyć piętro niżej, pomyślała, sprawdzić, co u braci Perkinsów. Gdyby dzieciak się obudził, usłyszałyby go przez okno. Nie chciała zabierać synka na dół.

Zastanowiła się chwilę. Oliver tam będzie, tak przypuszczała. Przedstawi ją Zachowi. Z myślą o jego chorym żołądku zrobiła trochę kleiku ryżowego na rosole. Podgrzeje go dla nich. „Żaden kłopot” - powie. Kiedy Oliver wtajemniczył ją w sytuację, była zbyt podniecona, żeby czytać tę głupią książkę, którą miała opisać w raporcie, zamiast tego ugotowała rosół - tak im powie. Zupa stała w plastikowym pojemniku na kontuarze kuchennym.

Wstała z bujanego fotela, przytulając dziecko. Podeszła do łóżeczka, schyliwszy się pod wiszącymi zabawkami. Położyła dziecko za balustradką wśród pluszowych zwierzątek. Na palcach wyszła z sypialni i zamknęła za sobą drzwi.

Zatrzymała się na trochę w dużym pokoju. Pustawe pomieszczenie, płócienne składane krzesła i stolik karciany. Białe ściany bez żadnych ozdób, goła żarówka pod sufitem. Przez okno dobiegały odgłosy. Gwar tłumu z ulicy, dźwięk niezliczonych kroków: ludzie spieszą się na paradę. Stała tak przez chwilę, myślała. W końcu postanowiła: tak, zejdzie na dół. Absolutnie.

I poszła do kuchenki po rosół z kurczaka.

Zachary

Piętro niżej, mniej więcej trzy godziny wcześniej, koło wpół do czwartej, zaraz po wyjściu Olivera, który poszedł szukać Tiffany, Zachary otworzył czerwoną torbę. Skoro



tylko zobaczył brata idącego w stronę Czwartej Zachodniej, pospieszył po nią do łazienki. Tam właśnie ukrył przedtem torbę, wepchnął pod umywalkę. Wyciągnął ją teraz i powiedział sobie, że się musi uwijać.

Powtarzał to bez przerwy. Klęczał na podłodze i myślał: „Muszę się uwijać”. Bezustannie. A nie szło mu łatwo. Był naprawdę chory. Skutki narkotyku. Otumanienie. Gwiazdy w oczach. Od czasu do czasu jakieś złośliwe skrzaty na skraju pola widzenia. I to rozwolnienie. To właśnie ono nie pozwoliło mu uporać się z torbą od razu, jak tu przyszedł. Dopiero wieszał swój płaszcz przeciwdeszczowy w szafie, kiedy dopadł go kolejny atak sraczki. Utknął w kiblu na godzinę. Potem, gdy wreszcie upchnął ubranie Tiffany do torby i wyciągnął własne, przyszedł Oliver. O mały włos by go przyłapał nad otwartą torbą. Zniszczyłby wszystko. Zjawił się, uszczęśliwiony, że młodszy braciszek się znalazł. Zachowi zdawało się, że już nigdy nie pozbędzie się go z mieszkania.

No, ale teraz, kiedy Ollie poszedł sobie wreszcie, trzeba się spieszyć, bo na pewno nie zabawi długo w mieście. Księgarnia Tiffany mieści się zaledwie dziesięć minut drogi stąd, co oznacza, że Zach ma do dyspozycji niespełna pół godziny.

„Muszę się uwijać” — myślał bezustannie. Klęczał przed czerwoną torbą. Palcami chwycił suwak zamka błyskawicznego. Ale zatrzymał się. Ta jego głowa... Wydawała się wielkim balonem, ciężkim i nieporęcznym. Przeładowana szczegółami, nieruchawa. „Szybciej — powtarzał sobie. -Szybciej!” Rozpraszał go jednak chłodny dotyk płytek posadzki, który czuł na kolanach przez dziury w džinsach. Hipnotyzował widok rdzawych plamek na srebrnych rurach pod umywalką. Pieczenie w tyłku, chłodne przelewanie się w jelitach. Wszystko było zwielokrotnione, wzmocnione. Wszystko to wpychało się zewsząd do tej głowy-balonu i swoim brzemieniem przykuwało ją beznadziejnie do ziemi.

W końcu rozpiął zamek. Ale to tylko pogorszyło sprawę. Powiększyło bałagan. Spódnica Tiffany, ta, w której tu przyszedł. Jej sweter. Apaszka. Rzeczy, rzeczy, rzeczy. Odepchnął je na bok. Pod spodem znajdowała się maska

z wyobrażeniem trupiej czaszki. Strzykawka. Fiolka z krwią. Rzeźnicki nóż. Kolt automat z krótką kolbą. Gapił się na to, na te wszystkie rzeczy w ich obezwładniającej przyziemności. Nie potrafił ich do końca pojąć, wydawały się tak pozbawione sensu, tak jednostkowo konkretne.

Zachwiał się. Pomyślał: „O Jezu!” Zamknął oczy i zmówił kolejną krótką modlitwę o wybaczenie. Czy naprawdę postąpił aż tak źle? Łamiąc przyrzeczenie złożone Bogu, biorąc narkotyk? Czy naprawdę zasługuje na to wszystko, co go spotyka: na to, że zasnął, na to rozwolnienie, na tę ociężałość głowy? Przecież tylko próbował odzyskać tę dawną wizję. Chciał znów stać się elementem wielkiego misternego kobierca. I prawda jest taka — tego nie da się ukryć — że gdyby miał teraz przy sobie działkę aquariususa, to wstrzyknąłby ją sobie bez zastanowienia. Chryste, wybac, zrobiłby to. Żeby oczyścić umysł z tego całego śmiecia. Żeby znów być wolny, tak jak wczorajszej nocy.

Przyglądając się przedmiotom w torbie, przypomniał sobie wczorajszą noc. Jakże wtedy było pięknie. Te same przedmioty — jakże one były piękne! Ten nóż, ta krew, ten samopowtarzalny pistolet o srebrnej rękojeści. Teraz, wrzucone na dno torby, były tylko rzeczami, byle czym. Jak rdza na rurze. Jak sina plamka pleśni w kącie pod wanną. Jak jego szczupłe palce... Cała magia, cała prawda o tym wszystkim gdzieś się odsiała.

A wczoraj... Wczoraj, kiedy był na aquariusie, ach... -przypominał sobie — cóż to była za wizja! Wszystko do siebie pasowało, każda rzecz była spleciona z resztą. Jak tamta filiżanka, wszystko należało do kobierca, każdy przedmiot stanowił centrum pajęczyny, która rozprzestrzeniała się od niego po krańce wszechświata. A on był częścią tej sieci. Wszystko, czego się tknął, wszystko, co widział, wydobywało go z więzienia własnego, fizycznego ciała i łączyło z przeogromną Jednością. Czy to mógł być grzech? Przepelniała go taka radość, taka wiedza. I przez moment przynajmniej mógł wejrzeć do wnętrza autentycznego boskiego, wiecznego Umysłu.

Tak się w każdym razie czuł. Zwłaszcza wtedy, kiedy obcinał głowę tej kobiecie.

To było piękne. Ach, jakże to było piękne- wtedy. Teraz już takie nie jest - gdy może o tym tylko myśleć, wspominać to. Teraz, kiedy już nie ma dostępu do wewnętrznego doświadczenia tego faktu. Kiedy pozostały mu tylko obrazy, drobiazgi, powierzchowny ogląd działań. Cały ranek całe popołudnie odpychał od siebie te obrazy. Próbował zachować nietknięte wewnętrzne piękno istoty tego wydarzenia. Ale teraz widok noża, pistoletu i krwi w czerwonej torbie wtłoczyły mu to wszystko z powrotem do umysłu. Musiał znów zamknąć oczy, potrząsnąć głową, żeby sobie trochę w niej rozjaśnić. Musiał siebie napomnieć, zmusić się do pamiętania - że to wszystko było jednak piękne.

Ona była piękna. Przywiązana do łóżka. Do jego starego łóżka. Próbowwała się uwolnić, kiedy się do niej zbliżył. Jej białe członki naprężone, jej oczy otwarte szeroko: ta zmysłowość przerażenia. Właśnie tam. W dawnym mieszkaniu. W tym dziwacznym domu, który nigdy do końca nie był jego domem, który zawsze cuchnął starą kobietą i zaniedbaniem. Tam właśnie, w jego pokoju, w jego łóżku: kobieta Tyle że on widział więcej niż zwykłą kobietę. On widział Prawdę w Kobiecie, Kobietę jako Ofiarę. Błagała go o litość: „Miej litość. Błagam, Boże”. Płakała - tak jak on sam nieraz płakał w tym łóżku. Było tak, jakby patrzył na siebie samego: na tym właśnie polegał Sens tego faktu. Jakby patrzył na swoje „Drugie Ja” w przeszłości, która była zawsze obecna. Ach, jakże powoli wbijał ten wielki nóż w jej gardło, z jaką fascynacją - niemal dziecinną! To było coś jak krótkie spięcie, nawiązanie łączności! Jak uderzenie pioruna, jak orgazmiczny spazm- to uwolnienie tętniącej, bulgoczącej krwi, to wymazanie słów z jej krzyku, to ich przeistoczenie w krztuszenie i świst powietrza w rozciętej krtani. Czuł jej puls na klindze noża, czuł go poprzez rękojeść; jej tętno stawało się jego tętnem, jej życie jego Życiem, Jednym Życiem, połączeniem Męskiej Siły z Kobięcością, jej Męczeństwo stawało się jego własnym; Zach stawał się swoim ojcem, który wgniata policzek syna w twardey blat biurka, a tyłek chłopca jest wypięty w górę jak tyłek zalotnej dziewczki, a liniał ojca tłucze w ten tyłek I tłucze, i tłucze, a twarz matki robi się nieobecna z podniecenia...

To wszystko było Jednością. To i tamto, przeszłość i terażniejszość, odrębność i całość. Wyraźnie widział, jak to wszystko się łączy. Kiedy zaś się pochylił, by przycisnąć usta do ucha umierającej kobiety - a ona właśnie dygotała, jej oczy zrobiły się szkliste - więc kiedy się pochylił (wiedząc, że ona go zrozumie, że zrozumie Wielką Tajemnicę) wyszeptał jej do ucha bez tchu: „To on zepsuł maszynę do pisania”.

A ona tylko patrzyła. Tymi pustymi oczami. Łzy ciekły po policzkach Zacha. Upadł, podparł się rękami nad czerwoną torbą. „Jasne - pomyślał. - Jasne.” Te jej oczy. Obraz tych jej oczu. Spotyka go kara za złamanie przyrzeczenia złożonego Bogu, mimo że próbował tylko połączyć się znów z Wiecznością. Jezus teraz sprawiał że zapomina, jak piękne to było. Zmusza go, żeby pamiętał ,edyme pustkę tamtych oczu. Żeby pamiętał, jak samotnie się poczuł z ich powodu. Jaki był wściekły. Jak się wtedy na nią rzucił, chlastając na oślep. Jak ją przeklinał maniacko jak opluwał, jak płakał. Jak zacisnął w garści jej nasączone krwią włosy. Jak się znęcał nad jej biedną głową... Ach, tak, na pozór to wszystko to tylko ohyda.

„No dobra, przepraszam. W porządku?” - powiedział w duchu. Pozwolił sobie na ostatni długi szloch. Zwiesił głowę. „Powiedziałem «przepraszam», no nie?” Przecież to mc więcej niż jedna złamana obietnica, głupstwo. Nie ma powodu, żeby go torturować bez końca.

Minęło jeszcze parę chwil, zanim odzyskał panowanie nad sobą. Oddychał urywanie, wydymając policzki. Otarł sobie dłońmi twarz do sucha. Zacisnął zdecydowanie wargi Bog zamyka drzwi, ale otwiera okno. Racja? „Pora wziąć się do roboty” - pomyślał.

Zmusił się do rzeczowej precyzji w ruchach. Najpierw wyjął pistolet. Wepchnął za pasek. Przykrył luźną koszulą ze skrawków. Potem wyciągnął fiolkę z krwią. Krwi nabrał z bezgłowego korpusu kobiety za pomocą strzykawki. Wziął strzykawkę i z powrotem wciągnął w nią krew. Jego dłoń rzucała chybotliwy cień w świetle nagiej żarówki u sufitu.

Wstał. Poszedł do pokoju, z napełnioną strzykawką w ręku. Światła nie były jeszcze pozapalane, ale widział zupełnie

dobrze. Poruszał się zgrabnie wśród stalagmitów książek. Podszedł do komody. Stała pod oknem, widać ją było dobrze w resztkach dziennego światła. Piętrzyły się na niej dwa stosy książek, pomiędzy nimi stał w ramce mały portret Whitmana. Poeta przyglądał się Zachowi, który wysunął górną szufladę komody brata.

Była to szuflada z bielizną. Zach zagapił się; w prawej dłoni trzymał strzykawkę igłą do góry. Slipy Olivera leżały poskładane schludnie w kostkę obok zwiniętych parami skarpetek. Kolorowe gumy, biała bawełna. To wszystko napierało na mózg Zacha. Zbyt schludnie — pomyślał. Za schludnie tu; to musi być sprawka którejś z pańienek Olliego. Ta myśl sprawiła, że Zachowi ciarki przeszły po plecach, a skurcz ścisnął żołądek. Na ramionach zrobiła mu się gęsia skórka. Stał tak, gapił się i chwiał nad szufladą jeszcze przez dłuższą chwilę. Potem wsunął ją lewą ręką. Zamrugął oczami. Nie może pozwolić, żeby zawładnęły nim drobiazgi. Zmusił się do otwarcia szuflady poniżej.

Swetry. Tego mu było trzeba. Wyciągnął jeden z tych obszernych wełnianych pulowerów, które zawsze robiła im na drutach babcia. Ukląkł na podłodze, sweter położył między dwiema przekrzywionymi stertami książek. Uważnie zbliżył igłę strzykawki do rękawa. Nacisnął tłoczek, pompując w wełnę krew bezgłowej kobiety. „Niesamowite” — pomyślał sennie. To wszystko jest niesamowite, aż za bardzo. Utkwił nieprzytomny wzrok w rozrastającą się plamę krwi na rękawie...

Ale po chwili doszedł do siebie. „Ostrożnie. Nie przeholuj” - pomyślał. Wstrzymał strumień krwi ze strzykawki. „Dość. Tyle wystarczy”. Wyglądało doskonale. Jakby Oliver pobrudził się krwią i nie zauważył. Zach wstał i upchnął sweter w głębi szuflady. Lekko ją uchylił, żeby uważny detektyw sam zwrócił na nią uwagę.

Z nożem rzeźnickim postarał się uzyskać ten sam efekt. To był ten nóż, którym zabił dziewczynę. Zawinał go w folię. Wczoraj wytarł ostrze, ale niezbyt dokładnie - na tyle, żeby usunąć własne odciski palców, lecz żeby zostały dla kryminologów ślady krwi i resztki tkaniny. Zaniósł go do kuchenki. Odwinął ostrożnie, palcami dotykając tylko folii.

Następnie umieścił w ociekaczu do naczyń pomiędzy czystymi sztućcami. To będzie wyglądało, jakby Ollie przyniósł nóż do domu i opłukał go, ale niechlujnie.

„Jak w Jezusowych przypowieściach” - pomyślał, odkładając nóż. Zostawić trochę pola dla wyobraźni. Niech gliny dokonają własnych odkryć, niech coś sobie dedukują. Niech im się wydaje, że to oni są uczestnikami, że to oni rekonstruuja sobie w głowach przebieg wydarzeń. To nada sprawie rumieńców. To ich przekona, że Zach jest niewinny. Wtem, nie wiedzieć czemu, pomyślał: „Oliver!” Z tym miłym dreszczykiem, towarzyszącym odkryciu prawdy, pomyślał: „To od początku był Oliver”.

Wyrwało mu się głośnie pierdnięcie. Żołądek wreszcie zaczynał się statkować. Zach zamrugał, żeby się trochę otrzeźwić. Zgniół plastikową folię w rękę i cofnął się o krok. Przyjrzał się suszarce do naczyń. Czy wszystko w porządku? Nie był w stanie myśleć rzeczowo. Nie był pewien. Złapał się na tym, że bada wzrokiem opalizującą kropelkę na brzegu zlewozmywaka. Trzeba się skoncentrować. Odwrócił się. Przeczesał wzrokiem całe mieszkanie. W szarówce niewiele było widać oprócz poszarpanych zarysów stosów książek. Oblizał usta i uśmiechnął się blado. Ten lokal tak bardzo pasuje do Olivera. Zaśmiał się cicho. „Oliver” - pomyślał. Jedyna osoba, na którą zawsze mógł liczyć. Kiedy umarła matka. Kiedy porzucił ich ojciec. Kiedy załamał się na studiach. Kiedy padł w tej chrześcijańskiej wspólnocie w Pensylwanii. I tamtej nocy, tamtej nocy w starym mieszkaniu, kiedy zaćpał się do nieprzytomności aquariuszem... „OHver” - pomyślał znowu. Tak wiele ich łączy za sobą. Poczul, że miłość do starszego brata wzbiera w nim wysoką falą.

„Niesamowite” - pomyślał. Wrócił do łazienki, do czerwonej torby. To wszystko jest niesamowite. On i Oliver. Dotarli do tego punktu, do tego stadium wspólnego życia. Nie do wiary, że są już tak dorośli. Zach miał w środku takie miejsce, takie miejsce w duszy, gdzie on i Oliver nadal byli chłopcami. Dzieciakami w rodzinnym domu na Long Island, z mamą i tatą u boku. Ukląkł na zimnej posadzce,

przepakowywał torbę. Schował strzykawkę i folię. Maskę śmierci wepchnął pod spódnicę Tiffany. Niesamowite, Oliver jest już po trzydziestce. Zaczynałysię. Czasami dziwaczne wydawało mu się nawet to, że sam musi golić zarost. A mimo to niekiedy prowadzą ze sobą te dyskusje, te dorosłe rozmowy. O polityce, o sztuce, o religii. Zach wtedy mówi coś w rodzaju: „Dusza może być produktem, czymś w rodzaju emanacji ciała, i może trwać dłużej niż ono na tej samej zasadzie, jak gazowy produkt reakcji przetrwa oba substraty, które się połączyły”. A Ollie załamie ręce i wykrzyknie: „Człowieku, przecież to może być zwyczajne złudzenie! Nawet samoświadomość może być tylko takim momentem, gdy elektryczne funkcje mózgu po prostu nie są w stanie postrzegać same siebie!” I nagle w samym środku dyskusji Zach zda sobie sprawę, że tak naprawdę mówią sobie tylko: „Jesteś głupi!” „Nie, to ty jesteś głupi!”; dokładnie tak samo jak wtedy, gdy byli dziećmi. Taka jest prawda. W rzeczywistości nic się nie zmieniło.

Zach powoli zasunął zamek błyskawiczny. Szyję miał bezwładną, głowa mu ciążyła. Odetchnął głęboko. Rany, ale jest zmęczony! Ręce jak z ołowiu. Oczy same się zamykają. „No, w porządku - pomyślał. - Sprawa załatwiona”. Z wysiłkiem wepchnął torbę pod zlewozmywak w kuchni. Pozbierał się z trudem na nogi, poczłapał do dużego pokoju.

Ze stęknieniem zwał się na materac. Wlepił oczy w sufit, który teraz szarzał. „Oliver zaraz wróci do domu - pomyślał. - Może to zrobić w każdej chwili. A potem pozostanie tylko czekać. Czekać na właściwą porę. Dobrze, dobrze, dobrze”. Zamknął oczy. Skrzyżował ręce na chudej piersi. Leżał na wznak, stopy zwisały mu poza materac, nie chciał zabrudzić tenisówkami pościeli. „Tak naprawdę nic nigdy się nie zmieniło” Z zamkniętymi oczyma pomyślał o Tiffany. Wyobraził sobie, że jest tutaj. Naga. Siedzi na nim okrakiem; obejmuje tymi muskularnymi udami. Kolanami przygważdża do łóżka jego przedramiona. Grucha: „On mnie pieprzył, wiesz, Zach? Kiedy byłeś w szpitalu”. Z tą swoją słodką buzią cedzi słowa, a one kapią na jego ciało jak roztopiony wosk. „Pieprzył mnie tak mocno. Krzyczałam z rozkoszy”.

Dziny Zacha napięły się. „Ma takiego dużego, że ledwie się we mnie zmieścił”. Oddech Zacha stał się chrapliwy. Oliver i Tiff. Wyobrażał sobie teraz ich oboje. Ona zgięta przy biurku, z wypiętą pupą. Oliver z tyłu, uderza ją biodrami. Zachowi znów popłynęły łzy z oczu. Chłodne strużki spływały mu po skroniach. Dziny mało nie pękły, wzwód miał potężny.

Później Tiffany starała mu się wmówić, że wymyśliła to wszystko. „Przecież tego się po mnie spodziewałeś, prawda?” Próbowała udawać, że to należało do tej gry, którą uprawiali, należało do tego, co nazywał swoim Męczeństwem. „No wiesz, sam mi mówiłeś, że mam ci opowiadać takie rzeczy, no nie? Przecież chciałeś tego”. Ale Zach od razu wiedział, że to prawda. Naprawdę byli ze sobą tej nocy, kiedy on leżał w szpitalu. Wyobrażał sobie biodra Olivera krążące lubieżnie, kiedy jego kutas wślizgiwał się w nią i wychodził. Wyobrażał sobie, że ich obserwuje ze swojego tajnego ukrycia. Schowany w ciemności schowka... obserwuje ich. Głęboko w ciemności. Daleko...

Łzy przestały płynąć. Erekcja ustępowała. Coraz bardziej pograżał się w mroku. Odgłosy ulicy za oknem gdzieś odpływały. Krył się głęboko w ciemnościach szafy. W swoim tajnym pomieszczeniu. Zerkał przez szerokokątny wizjer. Podłączał obiektyw aparatu.

- Mówisz poważnie? - dopytywała się z niedowierzaniem Tiffany. - Czy to nie jest szantaż? Zach, takich rzeczy się nie robi. Tak nie można.

- Wiesz, Tiffany, patrzysz na te działania i widzisz działania - tak jej wyjaśniał - ale symbolika aktu jest przed obliczem Boga równie ważna jak samo działanie. Dlaczego by inaczej wyrwał drzewo figowe albo zaatakował lichwiarzy? Jeśli więc mówisz o szantażu, to znaczy, że jesteś na takim poziomie, iż nie rozumiesz, o co chodzi w tej przypowieści. Przypowieści mojego życia, naszego życia, mojego i twojego. Skoro zatem mówimy, że moja babcia nami rządzi za pomocą swoich pieniędzy, no i że ustanowi Olivera zarządcą majątku po jej śmierci, to znaczy, że nie mówimy tylko o... chodzi mi o to, że to jest przypowieść, nasze życie



jest przypowieścią o tym, że jesteśmy... że cały świat jest w niewoli Mamony. Rozumiesz? I żeby się od tego uwolnić, trzeba dokonać aktu męczeństwa, który będzie zadośćuczynieniem za grzechy.

— Ach, Zachu! Ach, Zachu, przestań znów mówić o męczeństwie. Znaczy, ja po prostu nie rozumiem, dlaczego...

— Zaraz, zaraz. Czyj poziom astralny jest wyższy? Twój czy mój?

— No... ale przecież... to szantaż. Jak można kogoś szantażować? Kogo będziemy szantażować?

— Naszego kochanego przyjaciela, Fernanda Woodlawna.

— Tego prawnika? Przecież był dla nas taki miły. Odkąd zrobiłeś mu to zdjęcie do magazynu, prześciga się w uprzejmościach. Zaprosił nas na kolację, i w ogóle...

— Nadaje się doskonale. Ma mnóstwo forsy i jest politykiem. I ma na ciebie ochotę.

— Zachu! Nie pójdę z nim tak po prostu... do łóżka.

— A czemu nie? Przecież poszłaś z Oliverem.

To jej odebrało głos. Zmarszczyła czoło, oczy załśniły łzami. Potem łagodnie, rytmicznie, tym sugestywnym tonem, którego często wobec niej używał, zaczął wyjaśniać. Sprawę symboliki. Ideę. Koncepcję Męczeństwa: śmierć, od której zależy życie. Tym razem to będzie jej Męczeństwo - tak powiedział. Zbawi ją od grzechu, popełnionego przeciwko Zachowi, przeciw ciału Zacha, które — za sprawą jego wiedzy duchowej - zawierało w sobie wszystko. Ujmując rzecz symbolicznie. A przecież ona mówiła, że żałuje tego, iż sprawiła mu ból, tak czy nie? No więc w takim razie, kiedy już będzie po wszystkim — tłumaczył — cel stanie się dla niej jasny. Nie będzie już niczego żałowała.

A potem, mimo że się zgodziła - a od początku wiedział, że się zgodzi, zawsze się na wszystko zgadzała — po policzkach spływały jej łzy.

— Skąd wiesz, że on to zrobi? - zapytała cicho.

— Woodlawna? Zrobi, zrobi, spokojna głowa. Podobasz mu się. Mówił mi. A poza tym - dodał Zach, wzruszając ramionami - to nowojorski polityk: pieprzy wszystko.

Tiffany zachmurzyła się jeszcze bardziej. Łzy ciekły po

rumianych policzkach. Tupnęła nogą, podparła pięściami pod boki. Jej twarz się zmieniła. Była teraz twarzą dziecka. Zapłakanego dziecka. Płakała, bo Oliver zabrał jej żołnierzyki. Oliver ukradł żołnierzyki, a nikt w to nie chce uwierzyć. „Przestań się mazać - powiedział jej ojciec -mażesz się jak dziewczynka". A Oliver się z niej śmiał, stał u boku jej ojca i się śmiał, a ona płakała, bo była dziewczynką.

Powieki Zacha podskoczyły gwałtownie. Serce mu waliło. Usiadł na łóżku. W mieszkaniu było niemal całkiem ciemno. Ciemność wirowała wokół niego. Na zewnątrz hałasy. Zza okna dobiegały odgłosy ulicy. Policja? Jezu! Która godzina? Znowu zasnął? Gdzie jest Oliver, do jasnej cholery? Zrobiło mu się niedobrze w tej karuzeli ciemności.

- Nie śpisz?

- Ach! - krzyknął Zach, usłyszawszy ten głos w mroku. Obejrzał się i zobaczył cień postaci.

- Przepraszam. - To był głos kobiety, wysoki, ale ciepły. - Obudziłam cię?

Pstryknęło światło. Lampa stojąca wśród książek na podłodze. Zach zmrużył oczy porażone nagłą jasnością. Powoli pokój przestawał się kręcić.

- Która godzina?

- Chyba coś koło wpół do siódmej. Próbowałam zachowywać się cicho, nie chciałam cię budzić. Naprawdę przepraszam.

- Nie, nie, wszystko w porządku. - Zach uniósł rękę do głowy. Rozmasował czoło. „Oliver". - Gdzie... gdzie Ollie? Jest tu?

- Nie. Byłam pewna, że już będzie z powrotem. Zeszłam zobaczyć, czy nie zjedlibyście, chłopaki, kolacji.

- Kolacja... - Zach gapił się w podłogę.

- Ollie mówił, że masz kłopot z żołądkiem, więc zrobiłam trochę kleiku ryżowego na rosole.

Łomot serca cichł. Zach przeczesał dłonią krótkie włosy. Pokój już się nie ruszał. Można podnieść wzrok, pozbierać się jakoś. Komoda. Kuchenka. Książki wszędzie. Wpół do siódmej. „Jest jeszcze czas - pomyślał. - Jeszcze mnóstwo czasu".

W końcu, wzdychając głęboko, popatrzył na kobietę. Stała pośrodku pokoju. Była nieduża, miała ładną, apetyczną buzię. Duże okulary w kwadratowych oprawkach. Krótkie blond włosy zawijające się wokół uszu. Szczupła, zgrabna figura, dobrze jej w tym białym swetrze i w dżinsach...

Zachary wstrzymał oddech. Wlepił w nią wzrok. Otworzył usta.  
Trzymała w ręku sweter.

Oburącz. Sweter Olivera. Ten sam, który wcześniej pobrudził krwią tej kobiety. Czy to kolejny sen? Zarzuciła sobie sweter na przedramię, a w drugiej dłoni trzymała zaplamiony rękaw. Patrzyła na Zacha, ale bezwiednie pocierała krwawą plamę kciukiem i palcem wskazującym.

Zach potrząsnął głową. Chyba śni. Chyba wciąż jeszcze śni.

Ale wtedy kobieta uśmiechnęła się bardzo naturalnie. — A w ogóle to cześć. Nazywam się Avis Best, mieszkam piętro wyżej. Właśnie trochę tu sprzątałam.

Nancy Kincaid

„To może być każdy” - pomyślała Nancy.

Na czworakach przelazła przez łóżko. Sięgnęła do wyłącznika światła. Nacisnęła. Pokój — jej pokój — znów pogrążył się w przedwieczornym półmroku.

Słyszała jakichś ludzi w przedpokoju. Rozmawiali przyciszonymi głosami. Odźwierny na dole na pewno zauważył stłuczoną szybkę, pomyślała. Mógł obejrzeć tablicę z kluczami zapasowymi i zorientować się, którego brakuje. Może przyszedł sprawdzić mieszkanie. Może zadzwonił na policję. „To może być każdy”.

W holu zapaliło się światło. Nancy sturlała się z łóżka, odsunęła od drzwi. Usłyszała kroki. Zbliżały się korytarzem. Zostawiła jakieś ślady? Nie odłożyła czegoś na miejsca? Czy

zauważą skroploną parę w łazience? Zerknęła w stronę okna, na poruszone wiatrem tiulowe firanki. Za oknem jest parapet. Alabastrowy gzyms z podpierającymi go maszkaronami. Mogłaby wyleźć na zewnątrz, uciekać...

Zawahała się. A jeśli to jej matka? Ma przecież okazję zobaczyć swoją matkę. Obejrzała się na szafę, na jej otwarte drzwi. Zbliżyła się. Weszła do wnętrza. Przymknęła drzwi, ale nie do końca, żeby móc wyglądać. Zanurzyła się w powiewną ciemność bluzek. W woń pudru. Pozostałość zapachu perfum. Wstrzymała oddech. Kroki zbliżyły się. Ostry stukot damskich obcasów na parkiecie. Ciężkie stąpanie mężczyzny.

A potem tuż za drzwiami rozległ się męski głos:

— Nie, Noro. Nie wchodź tam. Nie znęcaj się nad sobą. Nancy zakryła usta dłonią. Nora. Jej matka ma na imię

Nora.

A potem głos kobiety. Niski. Znużony.

— Zostaw mnie, Tom. Zostaw mnie z nią na chwilkę. Nancy nawet nie drgnęła. „Oni myślą, że ja nie żyję” —

pomyślała. Słyszeć to było w ich smutnych i zmęczonych głosach. Są w żałobie. Opłakują ją. Naprawdę wierzą, że ona nie żyje. „Może i rzeczywiście”. Poczowała lekkość w głowie. Miała wrażenie, że się unosi w powietrzu. „Może rzeczywiście nie żyję”.

Kobieta weszła do pokoju. Zamknęła za sobą drzwi. Nie zapalała światła. W chwilę później, gdy przybliżyła się o kilka kroków, Nancy zobaczyła ją niewyraźnie. Zamrugła oczami, żeby lepiej widzieć. Zerkała z szafy przez szparę.

Kobieta poruszała się powoli. Podeszła najpierw do toaletki. Popatrzyła w lustro. Podniosła do niego rękę. Przesunęła dłonią po zdjęciach zatkniętych za ramę. W ciemności Nancy widziała tylko jej sylwetkę. Niska, pulchna. Głowa okrągła. Spódnica kołysała się, kiedy kobieta odchodziła od lustra.

Nancy podniosła do obie ręce. Zaczęła płakać. „Mamo!”

Kobieta podeszła do łóżka. Stała przed nim, patrząc w dół. Pochyliła się i dotknęła narzuty. Okrążyła narożny słupek łóżka, pieścotliwie gładząc wypolerowane drewno. Przeszła tuż przed uchylonymi drzwiami szafy, tuż przed

nosem Nancy. Dziewczyna z całej siły przycisnęła dłonie do ust. Płacz wstrząsał całym jej ciałem. Kobieta usiadła na krawędzi łóżka.

„Ach, mamó - pomyślała Nancy. - Tak bardzo cię przepraszam”.

Nie mogła myśleć przez ten płacz. Zalały ją obrazy, koraż wspomnień - jeśli to były wspomnienia - i niewyraźne impresje wypowiedzianych zdań, fraz, migające, zlewające się. Jej własna gniewna twarz. Rysy matki wyciągnięte smutkiem i poczuciem krzywdy. Jej twarz z dzieciństwa. Postać matki na łóżku. Jej ciężar w nogach materaca. Pusty korytarz. Przerażająca ciemność. „Ponieważ ojca już nie ma, ponieważ ojciec wpadł...” Kołysanka matki. „Wpadł w...” I jej własna twarz, obecna twarz, wykrzywiona wściekłością. „Mamo, odczep się od moich przyjaciół. Trochę za późno teraz przejmować się czyimiś przyjaciółmi”.

„Twój ojciec wpadł w...”

Siedząca w ciemności kobieta zaczęła śpiewać. Cichutko. Nancy z początku myślała, że się jej wydaje, że to kolejny fragment nawału impresji w głowie. Ale nie. To się działo naprawdę. Nuciała cichutko, szeptem, gładząc narzutę na łóżku: „Dobrej nocy... i sza... do białego śpij dnia... Spij, dziecinko, oczka zmrucz... śpij do wschodu rannych zórz... Mama zaś... będzie tu...”

I wtedy głos kobiety się załamał. Jej dłoń podniosła się z narzuty, zakryła twarz. Kobieta schyliła głowę.

- Boże jedyny - powiedziała rwącym się głosem. - Boże jedyny, nie. Nie, proszę. Nie moją małą dziecinę.

Nancy nie była w stanie znieść tego dłużej. Załkała głośno. Kobieta na łóżku drgnęła i obejrzała się. Nancy wyszła z szafy z wyciągniętymi rękami.

- Mamo! — zawołała.

Kobieta na łóżku zastygła. Nancy słyszała jej przerywany oddech, widziała, jak przyciska rękę do piersi.

- Mamo! - próbowała powtórzyć, ale dławili ją łzy.

- Kto tu jest? Kto to?

- To ja - zdołała wykrztusić Nancy drżącym głosem. -To ja. Żyję. Jestem tutaj.

- O Boże! — Kobieta powoli wstała z łóżka, ręce przyciskała teraz do piersi. - O Boże!

- Jestem chora, mamusiu - Nancy usłyszała własny głos. Płakała z całych sił, z całych sił tęskniła i pragnęła. Wyciągnęła do kobiety ramiona. - Jestem taka chora. Nie wiem, co się ze mną dzieje. Pomóż mi... Pozwól mi tu chwilę zostać... Nie wiem... Porozmawiaj ze mną. Porozmawiaj ze mną, mamusiu.

- Kto to?! — wyszeptwała kobieta w mroku. Odsunęła się. Prześlizgnęła wzdłuż łóżka do ściany. — Proszę! Kim jesteś?

- To ja. Żyję. To ja. — Nancy zrobiła kolejny krok w jej stronę, wyciągając ręce.

Kobieta wydała z siebie nieartykułowany odgłos, cichy okrzyk nadziei albo jęk bólu, trudno określić. Stała teraz u wezglowia. Opierała się o szafkę nocną, budzik za nią błyskał czerwono. Wyciągnęła rękę, drżącą, do lampki nocnej. A Nancy szła ku niej. Zapłakana, oszołomiona. W głowie jej błyskały, zlewały się ze sobą pół wspomnienia, pół zdania...

„Twój ojciec wpadł w...”

„To mogłam być ja...”

„Ty to nie Nancy Kincaid”.

Krok po kroku zbliżała się do kobiety w ciemności.

- Proszę! - szeptała. - Jestem chora. Pomóż mi. Nie mam dokąd iść. Nie mam nikogo innego... Przepraszam... Proszę... - Dławił ją szloch.

- Kto...? — Palce kobiety gmerały przy lampce. — Boże, o Boże.

- Mamo!

Pstryknął włącznik, żarówka zaświeciła. Rzuciła blado-żółty krąg wokół szafki. Dwie kobiety stały w tym kręgu, starsza oparta o ścianę, młodsza z wyciągniętymi do niej rękami. Nancy zobaczyła wymizerowaną twarz, zaciśnięte usta, obwisłe policzki, przestraszone szare oczy. Znała tę twarz. Rozpoznawała ją. Twarz ze zdjęcia w jej portfelu. Ale mimo wszystko nie była pewna. Poczucie bezcielesności wróciło. Miała wrażenie, że unosi się, dryfuje, odcięta od rzeczywistości jak astronauta w kosmosie od swojego statku, że wiruje coraz dalej, łączność przecięta, w nieskończoność,

otula ją czerń nocy... Zdawało się jej, że zemdleje. Palcami musnęła miękki policzek kobiety.

A tamta odsunęła się gwałtownie. Jej ręce skoczyły do góry, odtrąciły dłonie Nancy. Jasne oczy otwały się szeroko z przerażenia.

- To ty!

Nancy chciała coś powiedzieć, ale wydobyła z siebie tylko bełkot, w głowie miała mętlik.

- To ty! - Palce kobiety zagięły się jak szpony, podniosła ręce do góry.

— Ty... ty zbrodniarko!

Nancy wymamrotała:

- Mamo?

- Zbrodniarka! - krzyczała kobieta. - To ty to zrobiłaś! Patrzcie! Ludzie! Zbrodniarka! - Uderzyła na oślep, odepchnęła Nancy. - Zbrodniarka! Zbrodniarka!

- Noro! — To był głos mężczyzny. Dochodził z głębi korytarza. — Noro! Coś ci się stało?

Nancy zachwiała się. Ręce wciąż wyciągała przed siebie. Odskokczyła na widok nienawiści wykrzywającej twarz kobiety.

- Zbrodniarka! - Kobieta napierała teraz na nią. Nancy cofała się.

- Noro! O Jezu! — Słysząc było, że mężczyzna biegnie korytarzem. Ku drzwiom.

Kobieta zrobiła następny krok do przodu. Nancy cofnęła się jeszcze dalej. Oczy kobiety rozplomieniała wściekłość, jej usta były wykrzywione.

- Zbrodniarka!

Drzwi otworzyły się na oścież.

Nancy krzyknęła. Była przyparta do ściany. Tiulowe firanki tańczyły wokół niej. Zakryła uszy dłońmi. Ledwie słyszała własny skrzek:

- Matko!

## Avis Best

- No popatrz tylko na ten sweter — powiedziała Avis. Rozłożyła drżące ręce, niemal się zatrzęsła. Zawsze się denerwowała, kiedy poznawała nowego mężczyznę. — No zobacz, a ja właśnie... Znaczy, nie chciałam cię budzić. Mieszkam na górze. Ollie prosił mnie, żebym zeszła i zobaczyła, czy wszystko u ciebie w porządku. Właśnie rozglądałam się trochę i zastanawiałam, czy mam zostać, i zauważyłam... no zobacz, ten wariat, ten twój zwariowany brat... — Zaczęła udawać gospodynię domową z reklam telewizyjnych. — Nie potrafi utrzymać porządku nawet przez dziesięć minut. Absolutnie. Wysprzątałam tutaj dzisiaj rano. Pomagam mu, bo ma tyle... i w ogóle. No, w każdym razie teraz przyszłam i zauważyłam, że szuflada ze swetrami jest otwarta, bałagan, no i patrz, ten sweter, nie mam pojęcia, co on z nim zrobił, był czysty... Jakaś plama, Bóg wie co on z tym robił... —

„Rany boskie - pomyślała - przestań głądzić! Wyjdiesz na idiotkę”.

Zachary mrugał oczami na materacu Olliego. Przytakiwał jej, ale się nie odezwał. Wyglądał, jakby dostał w łeb. Avis zerkała w te jego ciemne, wrażliwe oczy. Milczenie Zacha deprimowało ją.

— Mógłby bardziej dbać o swoje rzeczy. — Nie potrafiła przestać. - Przecież nie śpi na pieniądzach, a ten sweter, pewnie babcia mu go zrobiła, jest taki piękny, ona jest świetna w robótkach, prawda? Muszę to zabrać do siebie i przeprać, ale niewykluczone, że ściągacz przy rękawie trzeba będzie spruć i dorobić od nowa. Ciekawe, czy wasza babcia ma jeszcze tę wełnę, zresztą może sama dobiore jakąś włóczkę, bo ja wiem. — Znów rozłożyła ręce, żałując, że nie potrafi się zamknąć. — No tak... jak widzisz, jestem nałogowcem porządku.

Zachary przytakiwał jeszcze chwilę. Potem się uśmiechnął; jego uśmiech wszedł jak słońce. Szeroki, chłopięcy uśmiech, który widziała już przedtem na zdjęciach. Wyglądał z nim pociągająco, trochę jakby był zagubiony. Taka sierota na poboczu drogi. „Jak Dondi - pomyślała. — Dobra okazja



dla Davida Kory". Workowata pstrokata koszula i podarte dzinsy jeszcze pogłębiały efekt.

- No więc... - powiedziała. Nie była w stanie wytrzymać tych długich milczących pauz.

- Jesteś bardzo miła - wyrzucił wreszcie z siebie Zach. -Znaczy, rany, tyle tu robisz. Dla Olliego jesteś z pewnością za dobra, o tak!

- Ach, skąd! - Avis roześmiała się i wzniosła oczy do nieba. Zarumieniła się, czując, że się trochę odpręży.

Zach cały czas kiwał głową, góra-dół, jak jakiś głupkowaty szczeniak. Patrzył na sweter, który trzymała w rękach, jakby się bał podnieść oczy i natknąć na jej wzrok. „To dopiero jest facet, którym trzeba się zaopiekować -pomyślała. - No a przecież opiekowanie się to sens mojego życia".

- Ale skoro już mówimy o tym, że jestem dobra, to... Zach się zaśmiał.

- Tak?

- Ee... zrobiłam ci trochę zupy. Autentyczny rosół z kury. Z ryżkiem. Oliver mówił, że czujesz się nie najlepiej, więc... Podgrzeję ci, dobrze?

- Ach, nie. Rany! - Siedział teraz na brzegu materaca, obejmując rękami kolana. Krzywił się boleśnie. - To naprawdę jest naprawdę, naprawdę miłe z twojej strony. Ale chodzi o to... że jestem wegetarianinem.

- Och!

- Wiem, wiem. Ale nic nie szkodzi.

- Ach, nie, szkodzi, niech to licho! Powinnam była się domyślić. - Avis plasnęła dłonią w czoło. - Chyba Ollie mi mówił, a ja zapomniałam. Niech to licho! Chyba tracę formę.

- Nic nie szkodzi, naprawdę. Słuchaj - mówił Zach. Podniósł się z materaca, stanął na podłodze. - Słuchaj, chodzi o to... - Trzymał przed sobą dłonie, jakby kształtował myśl w powietrzu. - Chodzi o to, że za chwilę będzie tu Ollie...

- Wiesz, co mogę zrobić?! - zawołała Avis. Właśnie przyszło jej coś do głowy. - Mogę ci zrobić omlet wegetariański. Ollie zawsze ma dość produktów na omlet.

- Słuchaj...

— Nie, nie, wszystko w porządku. — Teraz planowała. Zielona papryka. Pieczarki. *Żółty* ser. Ollie zawsze ma ser. Cebuli nie trzeba, skoro Zach ma kłopot z żołądkiem. W zamyśleniu ostrożnie odłożyła sweter. Przewiesiła go przez tom Katullusa na szczycie wysokiego stosu książek.

Zachary podszedł do niej, wyciągając przed siebie dłonie, jakby chciał ją powstrzymać.

— Naprawdę, za dużo fatygi. — Potknął się na jakiejś małej stercie broszur.

Ale Avis już się od niego oddalała. Wymijała książki i szła do kuchenki. Już przyrządzała w głowie omlet.

— Chyba żartujesz! — wołała przez ramię. — Nigdy za dużo fatygi, zwłaszcza jak się pochodzi z Cleveland. Opieka to moja druga natura. — Podeszła do lodówki. — Trenuję na Olliem albo na moim... — „dziecku”, omal nie powiedziała. Chciała żartem wspomnieć o dziecku. Ale się powstrzymała. Nie wiedziała dlaczego.

Otworzyła drzwiczki lodówki. Schyliła się, żeby zajrzeć do pojemników na dole, świadoma tego, że pokazuje mu swoją pupę w opiętych dzinsach. No, nieźle się napracowała, żeby odzyskać figurę po ciąży; może się podobać. Wyciągnęła plastikowe woreczki z papryką i grzybami. Podniosła się i odwróciła do niego z torebkami w garści.

Zobaczyła, że stoi nad tym białym swetrem, który położyła na książkach. Oburącz podniósł rękaw. Badawczo przyglądał się plamie, podobnie jak ona przedtem. Kiedy się odwróciła, rzucił na nią okiem. Błysnął tym swoim szerokim uśmiechem.

— Słuchaj, wcale nie jestem głodny — powiedział. — I chodzi o to, że...

— Bardzo przepraszam, coś musisz zjeść. Inaczej przestanę istnieć. Istnieję tylko o tyle, o ile jesz. To fakt naukowy.

Odwróciła się do kuchennego kontuaru. Położyła przed sobą woreczki z warzywami, pokręciła głową. „Dlaczego tak jest — myślała - że taki facet jak Randall dostaje szału, jeśli nie wyciska się dla niego ręcznie soku z pomarańczy, a tymczasem tacy bracia Perkinsowie, których aż się prosi objąć macierzyńską opieką...”

— No wiesz, przecież jednak od rana nic nie jadłeś -powiedziała z nutką zniecierpliwienia. Deskę do krojenia znalazła za ociekaczem do naczyń. — I będziesz musiał mieć dużo siły, żeby stawić czoło całej tej policji i...

„Oj!” — jęknęła w duchu. Położyła deskę na blacie, obok torebki. „Głupota, głupota, głupota” - pomyślała. Zerknęła na Zacha przez ramię.

— Przepraszam. Pewnie wolałbyś o tym nie mówić. Ja tylko... Ej, zaraz, nie rób tego!

Zach, jak się okazało, zdjął z książek zaplamiony sweter. Podszedł do komody Ollie'ego. Upychał go właśnie z powrotem do szuflady.

— Nie, zostaw go, dobrze? — powiedziała Avis. — To trzeba uprać w ręku.

Ale Zach zdawał się nie słyszeć. Wsunął szufladę, nie domykając jej, tak jak ją zastała. Popatrzył na dziewczynę, drapiąc się bezmyślnie po głowie.

— Eee... Słuchaj... jesteś Avis, tak? Słuchaj, chodzi o to...

— Mhm? — Odruchowo wróciła do pracy. Wzięła torebkę z papryką. Odwinęła zamykający ją drucik.

— Chodzi o to... — mówił Zachary za jej plecami. — Oliver zaraz tu będzie. A ja, eee... muszę z nim pogadać w cztery oczy. Okay?

— Jasne. Nie ma sprawy — powiedziała Avis. — Zmywam się natychmiast, jak tu przyjdzie. - Włożyła rękę do torebki. Pomacała jedną paprykę, potem drugą. — Zaraz muszę iść, bo moje... bo... eee... mam coś do roboty. — Znów coś ją ostrzegło, by nie mówiła o dziecku. A dlaczego, drodzy psychologowie? Tak, tak, pomyślała; dobrze wiedziała dlaczego, jeszcze jak! Ponieważ jeśli powiesz facetowi, że masz dziecko, to on pizestaje na ciebie zwracać uwagę, no nie? Uśmiechnie się współczująco, i już go nie ma. A ona chciała sobie pozwolić na tę chwilę fantazji, a bo co? Mały flirt. Zacisnęła usta, pomacała paprykę. Czyżby zwariowała? Myśli o związku z facetem, który jest psychiczny, ma już dziewczynę, nie stroni od narkotyków, a policja ściga go za morderstwo. I sama kocha się w tajemnicy w jego bracie? Już lepszego partnera wybrałoby jej komputerowe biuro matrymonialne.

„Samodestrukcyjna dziewczyna szuka emocjonalnej kaleki w celu wspólnego cierpienia, pogłębiania współzależnienia i spacerów przy księżycu...”

Papryka numer jeden sprawiała wrażenie jędrniejszej. Wyciągnęła ją i położyła na desce. „Nóż! — pomyślała. — Nóż, nóż, nóż”. Wyciągnęła szufladę ze sztućcami.

Usłyszała za plecami kroki Zacha i łomot kolejnego padającego stosu książek. Może i zaczął coś mówić, ale przerwał. A ona znów złapała się na tym, że nie zniesie ciszy i dalej musi głądzić:

— To naprawdę bardzo miłe, że tak się trzymacie razem, chłopaki. No wiesz, ty i Oliver. Że możecie ze sobą pogadać, liczyć na siebie w takiej chwili jak ta, i w ogóle. Ja mam, bagatelka, cztery siostry i one wszystkie wciąż mieszkają w Cleveland. Nie mamy o czym gadać. Jeżdżę tam na święta, raz czy dwa razy do roku, i to tak wygląda: „Co u ciebie słychać?” „A u ciebie?” „Co nowego?” I tak dalej. Nawet sobie z tego żartujemy i nazywamy „wiadomościami dnia”.

Wybrała z suszarki nożyk do jarzyn. Wyjęła go. Wtem zauważyła rzeźnicki nóż. Ogromny, jak z horroru. Na suszarce, wetknięty wśród rzeczy, które zmywała rano.

— A to co? — zapytała głośno.

— Co? — odezwał się Zachary z tyłu.

— Ach, nic — odparła. — Tylko nóż. Nigdy go tu nie widziałam. — Odłożyła nożyk do jarzyn do szuflady. Zamknęła szufladę, popychając biodrem. — No bo wiesz — ciągnęła - tym moim siostrom się wydaje, że ja jestem jakaś wielka figura w nowojorskim przemyśle filmowym, rozumiesz, że prowadzę życie zbyt odległe od codziennych kłopotów i nie jestem w stanie zrozumieć tych ich problemów. A gdyby wiedziały... - Sięgnęła do ociekacza. Naczynia zagrzechotały, kiedy wyciągała ogromny nóż. — Tylko popatrz! A skąd to się wzięło, do licha ciężkiego?! — wymamrotała do siebie.

— Avis, słuchaj — powiedział szybko Zach. — Ollie w każdej chwili może wejść. Naprawdę. A chodzi o to, że... ee... — Teraz rzeczywiście sprawiał wrażenie nieco zdenerwowanego.

— W porządku, naprawdę - powiedziała przez ramię. — Uwinę się raz-dwa. Zanim się obejrzysz, będzie gotowy. Może to będzie osiągnięcie trochę poniżej moich wspaniałych możliwości, ale przekonasz się... — Postanowiła wypróbować tego olbrzyma. Przytrzymała paprykę jedną ręką, w drugą wzięła rzeźnicki nóż. — O czym to ja mówiłam? Aha, gdyby one wiedziały, jaką ja mam pracę! To czytanie. Wiesz, piszę takie sprawozdania... — Zostawiła paprykę. Zauważyła jakieś paskudztwo na ostrzu. Wyciągnęła rękę, odkręciła kran. Woda zaszumiała głośno w zlewie. Avis musiała podnieść głos. - Nikt ich nigdy nie czyta. Jakby wpadały do czarnej dziury.

— Co ty robisz? — zapytał Zach z czymś w rodzaju śmiechu.

— Człowiek zaczyna się zastanawiać, czy w ogóle istnieje — Avis przekrzykiwała wodę. - Na tym nożu jest jakieś dziwne... fuj! Muszę to zmyć. - Z półeczki przy zlewozmywaku wzięła żółtą gąbkę, wsadziła pod strumień wody. — Tak czasami to mi się wydaje, że istnieję wyłącznie w głowie jakiegoś dyrektora studia filmowego, wiesz?

Zach coś powiedział, ale nie usłyszała go poprzez plusk.

— Co? — spytała. Przyglądała się ostrzu pod światło. — Daję słowo, babcia was rozpuściła, chłopaki.

— Mówiłem: pokaż mi to na sekundę! — powtórzył Zach głośniej.

Rzuciła za siebie okiem.

— Co?

Stał pośrodku pokoju. Stał, jakby go sparaliżowało, otoczony stosami klasyków Olliego, wysokimi i niskimi. Nogi w rozkroku, wyciąga do niej rękę, jedną rękę. Uśmiecha się prosząco. W czarnych oczach jasne błyski.

— Nóż - powiedział. Mogę zobaczyć ten nóż?

— Ach, jasne - odparła Avis - tylko umyję.

— Nie, zanim.

— Co? — Wycisnęła nadmiar wody z gąbki.

— Zanim umyjesz.

— Czekał, nie słyszę cię, bo ta woda strasznie szumi. Zaraz. — Avis przyłożyła gąbkę do ostrza rzeźnickiego noża.

— Mogłabyś odłożyć tę gąbkę?

— Co? Czekał, zaraz...

— Zostaw gąbkę...

— Chcę tylko...

— ZOSTAWISZ TĘ ZASRANĄ GĄBKĘ CZY NIE, TY GŁUPIA DZIWKO?! -- wybuchnął Zach.

Avis obejrzała się szybko i dostrzegła broń. Odwróciła się na pięcie, oparła siedzeniem o kontuar. Zach stał nieruchomo jak żelazny słup. Trzymał pistolet oburącz, niezgrabnie. Celował w nią. Lufa poruszała się, kreśląc kółka i krzyżyki na jej czole.

Dziewczyna roześmiała się niepewnie.

— Eee.. o co cho...? — Woda z szumem leciała do zlewozmywaka za jej plecami. Avis wlepiła wzrok w lufę pistoletu. — O Boże, Zachary... Zach dziko wybałuszał oczy. Wymachiwał pistoletem.

— Powiedziałem: zostaw tę gąbkę, więc ją zostaw, do ciężkiej cholery!

Avis szybko kiwnęła głową i rzuciła nóż. Z łoskotem uderzył o płytki posadzki.

— Gąbkę, tę zasraną gąbkę! — darł się Zach. — O rany, zresztą już wszystko jedno.

Ona mimo to wypuściła gąbkę z drugiej ręki. Usłyszała mokre plaśnięcie, kiedy upadła na podłogę. Wpatrywała się w ruchomy wylot lufy.

„On rzeczywiście jest mordercą” — pomyślała. Widać to było w tych jego szeroko otwartych, jasnych, przestraszonych oczach. I dlatego policja go szuka. To nie głupki. On naprawdę zabił.

— O Jezu — szepnęła. - Rany boskie. — Natychmiast pomyślała o dziecku. Małństwo spało w łóżeczku na górze, wtulone policzkiem w materacyk. Oblał ją lodowaty pot. Bolesny, paralizujący mróz przeszedł po całym ciele. Co się stanie z dzieckiem, kiedy jej zabraknie? — Nie zrób mi nic złego, dobrze? — powiedziała. - Proszę.

— Cholera! - zaklął Zach. Policzki zrobiły mu się czerwone; czerwone jak burak. Spojrzał w lewo, potem w prawo, jakby szukał wyjścia z pułapki. — Cholera, mówiłem ci: wyjdź, mówiłem: zostaw nóż, a ty nic! Nie rozumiesz, jak się do ciebie mówi, do ciężkiej cholery?! Ciebie też mam zabić?

- Proszę... - Avis nie była w stanie wykrztusić słowa przez ściśnięte gardło. Wiedziała, że musi mówić głośno, żeby ją usłyszał poprzez szum wody. „Boże, błagam - myślała. - Jezu, nie dopuść do tego, nie pozwól mu. Nie pozwól. Pomyśl o małym, Boże, o moim kochanym maleństwie...” Nogi się pod nią uginały. Poczowała miękkiego bezwład w całym ciele.

- No? - powiedział Zach, a Avis podskoczyła. - Rozumiesz, o co mi chodzi?

- Zrobię wszystko, co zechcesz - wyjąkała. - Naprawdę. Błagam. Nie zrób mi nic złego, nie zabijaj mnie, naprawdę, zrobię, co tylko...

Zachowi trzęsły się konwulsyjnie ręce. Przełożył pistolet do jednej dłoni, a drugą przygładził włosy.

- Jezu, musi już dochodzić siódma. Oliver może wrócić w każdej chwili - powiedział cicho, jakby do siebie. - Co mam zrobić?

- Błagam - wyszeptała Avis. Jej oczy wypełniły się łzami. „Boże, błagam”. Co się stanie z dzieckiem? Kto się nim zajmie? „Błagam, błagam”.

- Okay - powiedział Zach. Jego głos zaczął brzmieć jak uderzenie blacharskiego młotka: dźwięcznie, zdecydowanie.

Avis popatrzyła w tę wykrzywioną, przerażoną, a wciąż jakby chłopięcą twarz. Nie potrafiła wykrztusić słowa. Miała siłę tylko się modlić i czekać. Czekwała i modliła się, „Boże, dobry Boże, błagam...”

A Zach powiedział znowu:

- Okay. - A potem dodał: - Idziemy do ciebie, na górę.

Nancy Kincaid

Wciąż na nią wrzeszczeli, kiedy Nancy wycofywała się przez okno. Jej matka krzyczała: - Zbrodniarka! Zbrodniarka!

Jej ojciec krzyczał:

- Wynoś się stąd, ty! Wzywam policję! Natychmiast!

W głowie miała jedno: chaos. Migawki bledsze niż wspomnienia. Jakieś twarze. Fragmenty zdań. O czymś przypominające, choć nieuchwytnie zapachy. Zatykała sobie uszy rękami. Darła się jak opętana na matkę. Słuchała tego własnego wrzasku jakby z oddalenia i myślała: „Te odwiedziny w domu nie przebiegają najlepiej”. A tymczasem tamci, mężczyzna i kobieta, osaczali ją. Napierali rozjuszeni. Wrzeszczeli i wrzeszczeli. A okno, cóż, tak się złożyło, że było tuż obok, i to już wpółotwarte. Firanki wzdymały się w rześkim, jesiennym, wieczornym powiewie. A ona musiała się stamtąd wydostać...!

Podsunęła skrzydło okna do samej góry. Jej matka jęknęła, ojciec wykrzyknął: - Co ty wyrabiasz?!

Nie myśląc, Nancy dała nura na zewnątrz. Postawiła stopę na wąskim parapecie. Stała twarzą do muru, kurczowo trzymając się kamiennych występów obramowania glifu.

I w tym momencie wszystko nagle się uspokoiło, uciszyło. Strumień jesiennego powietrza omywał cegły fasady. Ruch uliczny szumiał i dudnił gdzieś w oddali, trzy kondygnacje niżej. Światła Lexington Avenue biegły ku śródmieściu, jaskrawe i nieruchome w ciemności. Poczula lekki posmak spalin. Wreszcie żadnych głosów. Żadnych ludzkich głosów.

Przyłgnęła do ściany. Przytuliła twarz do chłodnego kamienia, łapiąc oddech, spoglądając wzdłuż ceglanego muru. Kamiennie maskarony przycupnęły pod gzymsem na niższej kondygnacji. Siedziały w kucki, rozkraczając owłosione nogi, wyciągając szyję z rogatymi głowami, wznosząc ręce. Rozdziawiając gęby, szczerząc zębiska, wytrzeszczając gały...

„Hola! - powiedziała do siebie Nancy, zadyszana, przywierając do ściany. - Hola, co z wami?” - Co ty wyprawiasz?!

Głos ojca tuż obok huknął tak raptownie, że omal nie spadła z krawędzi. Odchyliła się do tyłu, ręce oderwała od kamienia. Potem zdołała przyłgnąć znowu, odzyskać chwyt.



Ojciec pewnie wyjrzał przez okno, ale nie mogła tak przekreślić głowy, żeby go zobaczyć. Mogła tylko przytulać policzek do chłodnego kamienia i z szeroko otwartymi oczami łapać oddech.

— Słyszałaś?! Co ty tam robisz?!

„Co ja tu robię? - pomyślała Nancy. - Co ja robię? Po jaką cholere mnie o to pytasz?”

— Wezwałem policję! Słyszysz? - huknął. - Zaraz tu będą. Około dziesięciu metrów przed nią mur się kończył. Nikł

po prostu. Nie, zaraz. Była tam niska, parterowa przybudówka z płaskim dachem, łącznik z oficyną. „Oliyer — wymówiła Nancy bezgłośnie. — Oliver Perkins. Muszę tam być”.

— Właż z powrotem. Spadniesz - nie ustępował jej ojciec. Jeśli to był jej ojciec. Bo jej ojciec przecież nie żyje... Wpadł w coś i zostawił ją w tym pustym korytarzu. Z kołysanką matki. Z przerażającą ciemnością nocy.

Poniżej odezwał się klakson. Jacyś ludzie w przejeżdżającym samochodzie wybuchnęli śmiechem. Śmiech ucichł, samochód pojechał dalej. Nancy stuknęła lekko głową w kamień, zamknęła oczy. „Oliver, Oliver Perkins” — myślała. Wiedziała tylko tyle: Oliver Perkins ma umrzeć. Poeta o oczach przepelnionych samotnością. Ten od tych opisów zmierzchu, które sprawiały, że jej dusza wypełniała się tęsknotą i erotyzmem jak za dawnych szkolnych czasów. Ktoś ma go zamordować o ósmej. Mniej więcej za godzinę.

Ona musi tam być.

Zaczęła się przesuwać po gzymsie.

— Zaraz! Czeka! Dokąd idziesz? Co ty robisz, do cholery?!

„Nie wiem. Nie wiem. Nie wiem”- myślała Nancy. Przesunęła prawą stopę po wąskiej półeczce. Pomaleńku dołączyła lewą. Opuszki palców tańczyły po szorstkiej cegle. Chwytały się fug. W szumie powietrza wokół, w szumie ulicznego ruchu, który wzrastał się i opadał gdzieś w dole, słyszała własny oddech. Chrapliwe sapanie. Uff, uff, uff.

- Do diabła! - wyłowiła krzyk ojca. Musiał już schować głowę, bo tym razem zabrzmiało to ciszej. Mówił coś do matki w pokoju. Nie potrafiła rozeznaczyć słów. Sunęła dalej. Prawa stopa w bok, lewa za nią. Palce jak pajaki na ceglany

murze. Uff, uff, uff. Usta otwarte, ślina na brodzie. Chłód wiatru.

— Nancy...

Chrapliwy odgłos jej oddechu zatrzymał się w jednej sekundzie. Zamarła na gzymsie ponad Lexington Avenue. Jej imię.

— Nancy...

Ktoś ją wolał po imieniu!

Wbiła paznokcie w warstwę zaprawy w szczelinie między cegłami. Rozpłaszczyła piersi o ścianę. Sweter na plecach wzdymał się na wietrze. Nadstawiła ucha.

— Nancy, Nancy...

To nie był głos ojca. Za wysoki, za cienki. Taki szept jak szelest jedwabiu. Jak wietrzyk w lesie; coś, co pamiętała... Wezwania, głosy wezwania, głosy w korytarzach, głosy zza zamkniętych drzwi...

Przestraszona uniosła głowę. Musiała to robić powolutku, żeby nie stracić równowagi. Przesuwając policzek po ceglach cal po calu. Podnosząc oczy jak najwyżej.

— Nancy...

Maszkaron tuż nad jej głową szczyrzył do niej zęby. Jego ręce zwisały poniżej kolan jak u małpy. Wywalał język z rozdziawionych ust.

— Nancy - szeptał.

— Och...! - Opuściła głowę tak szybko, że otarła sobie policzek o mur. Ręce i nogi omdlały. Omal nie spadła. Serce tak mocno waliło o mur, że wydawało się jej, że ją strąci na dół...

Ale zdołała się utrzymać. Oczy miała zamknięte, usta otwarte. Oddech powrócił, spazmatyczny.

— Nancy...

— Ach, na litość boską — wyszeptała.

Otworzyła oczy. Wzięła się w garść. Znów ruszyła. Szybciej tym razem. Ku końcowi muru. Prawa noga, cal po calu. Lewa za nią.

— Nancy, Naaaancyyyyyy...

Dotarła do następnego okna. Przycupnęła we wnęce. Chwyliła się pewniej wyprofilowanego obramienia. Tu się musiała zatrzymać, odsapnąć trochę. Pozbierać myśli. Za-

mknęła oczy i powtarzała sobie: „Nie słyszę tych głosów. Nie słyszę ich. Nie”.

Ale słyszała. Krążące w powietrzu, świszczące szepty. Wabiły ją. Szydziły. Jej imię płynęło z wiatrem jak pocałunki. I jeszcze coś. Jeszcze jakiś dźwięk. Słyszać go, potem cichnie. I znowu. Skrzyp-skrzyp-skrzyp... Jakby jakiś chrobot. Drapanie. Jakby kot wbijał pazury.

„Nie słyszę tego...” - pomyślała. Ale za chwilę jej wola się załamała: popatrzyła w górę. Wyciągała szyję, przekreślała głowę, aż zauważyła coś. Zwyczajny maszkaron. Rogaty diabełek z wybaluszonymi oczami. Tyle że wisiał do góry nogami. Wypinał w niebiosa tyłek. Dłoń z rozczapierzonymi palcami wczepiona w cegłę poniżej, tuż nad głową Nancy. I nagle... poruszył się! Jak karaluch na ścianie. Gramolił się w dół po ceglach. Zbliżał do niej. Zatrzymał, uśmiechnął, oczy mu się rozjaśniły. Potem znowu - skrzyp-skrzyp-skrzyp - patykowate ręce i owłosione nóżki przebierają szybko jak odnóża owada. Coraz bliżej. Bliżej.

— Cześć, Nancy — wyszeptał.

Nancy wrzasnęła. Wykręciła głowę w drugą stronę. No tak, a tam ten drugi, ten z wywalonym językiem. Też wisi głową w dół. Przycupnięty jak ostrożna pluskwa. A potem - myk! - pełźnie w dół po ceglanej fasadzie. Zbliża się ku niej po skosie. Zatrzymuje. Podnosi głowę, uśmiecha się, puszcza oko.

— Nancy! — I znów wywała jęzor.

Nancy wybuchnęła śmiechem. „Świetnie, po prostu super” - pomyślała. Zamknęła oczy i chichotała. Siedziała w niszy okiennej, trzymała się kamiennych występów. Jej plecami wstrząsały spazmy śmiechu. Spod powiek ciekły łzy, spływały po policzkach. „Ubaw po pachy”.

Otworzyła oczy i zobaczyła następne. Z przodu. Jeszcze dwa białe kamienne stworzonka pełznące po ścianie. To ich szponiaste paznokcie i małe stopy wydawały ten chrobot. Wykrzywione wargi układały się w kształt jej imienia. Z wiatrem ze wszystkich stron napływały szepty.

„To się nie dzieje, nie dzieje się naprawdę. To jest epizod

jakiejs... jakiejs dziwacznej... maskaronomanii" Ale opanowała śmiech. Serce jej waliło, miała mdłości, z oczu płynęły łzy. Ściana pod jej palcami ugięła się. Nancy była gotowa spasc - rzucić się na ulicę w dole - tylko po to, żeby skończyć z tymi potworami. A to dranie! Pełzną ku niej i straszą ją.

- Nancy, ach, Nancy! Wołają na nią.

Zgrzytnęła zębami z determinacją. „Oliyer - powiedziała do siebie. - Oliver Perkins”.

Wiatr wzmógł się na chwilę. Potargał jej włosy. Zmrużyła powieki i zmusiła się, by spojrzeć przed siebie, ku miejscu gdzie się kończyła ściana. Stamtąd mogłaby skoczyć na paski dach łącznika. A z łącznika jakoś uda się zejść na ulicę Wydała z siebie gniewny odgłos, potrząsnęła głową Starła się pozbyć z uszu tych chichotliwych szeptów Teo chrobotu paznokci...

Lecz dźwięki się wzmagają. Zbliżają. Trzeba się ruszyć Natychmiast. Trudno, najwyżej spadnie. Właściwie to miała nadzieję, że upadnie - a niech te kamienne kurdupłe mają za swoje! Prawa stopa szarpnęła się naprzód, naprawdę śmiało i znow. Lewa stopa ledwie nadażała. Palce tańczyły na ciele Piersi tarły boleśnie o ścianę. Oczy łzawiły na wietrze

A tamci ją nawoływali. Słyszała wyraźnie. Ich głosy uwięzły w jej głowie. Szepty wiły się jak kłęby dymu, splatając ze sobą Skrobanie o cegłę było już tak głośne, że zagłuszało dalekie klaksony i warkot silników na Lexington Avenue

Jęcząc, dalej przesuwała się po gzymsie. Zbliżał się koniec - ostry narożnik ściany, gzyms zakręca pod kątem prostym. Widziała płaski dach łącznika kondygnację niżej Szara papa w ciemności. Patrzyła na swoją stopę w tenisówce. Już jest zakręt. Dotarła. Sięgnęła ręką za narożnik przycisnęła policzek do ostrego kantu muru. Nie zwracała uwagi na nic poza tym. Na żadne chroboty, żadne kuszące szepty. Patrzyła na swoją tenisówkę.

A z dołu, spod jej stopy, dobiegł basowy chichot: he he he. I cichy głos: — Nancy.

Spod gzymsu wyskoczył maskaron. Biała kamienna dłoń

chwyciła ją za kostkę. Dziko wykrzywiona gęba, szorstka i popękana, coś do niej gadała. Śmiała się skrzekliwie.

Nancy krzyknęła. Złapała się za głowę. Próbowwała wyrwać nogę z kamiennego uścisku.

Przez moment jakby zawisła, odchylona w tył. A potem straciła równowagę. Sięgnęła do przodu, żeby się złapać ściany — ale za późno. Runęła w dół. W noc.

Zachary i Avis

A więc i to nie będzie mu oszczędzone. Wszystko, pomyślał Zach, wszystko zostanie mu odebrane.

Miał ze sobą tę dziewczynę, Avis. Przyciśniętą twarzą do ściany koło drzwi, z rękami do góry. Zauważył, jak trzęsą się jej te ręce. Jak wpija paznokcie środkowego palca w spękania tynku. Widział jej czerwone knykcie. Pory skóry na grzbiecie dłoni. Puszyste białe włoski tuż za nadgarstkiem...

„Niech to szlag!” — pomyślał.

Wbił jej lufę pistoletu w plecy tak mocno, że jęknęła. Zamrugał oczami — raz, drugi - żeby sobie rozjaśnić w głowie, wyrzucić z niej to całe gówno. Chwycił za klamkę, szarpnął drzwi. Wyrzwał na korytarz. Światło żarówek umieszczonych na ścianach obrysowywało najdrobniejsze szczegóły mahoniowej balustrady...

— Okay — syknął. — Naprzód!

— Proszę, nie! — powiedziała dziewczyna. Ruszyła z ociąganiem. Ręce trzymała nad głową. Płakała. Jasne strużki łez na policzkach, nie malowała się. Małe jeziora zbierały się na brzegach wielkich oprawek okularów. — Proszę, nie!

— Naprzód, już! Jeszcze jedno słowo, a zabiję cię. Złapał ją za szczupłe ramię i szarpnął na korytarz. Wszedł szybko w ślad za nią i zamknął za sobą drzwi.

Zaciskał zęby, wbijając gniewny wzrok w jej plecy. Prowadził ją do schodów. I to nie zostanie mu oszczędzone,

niech to szlag trafi. Niech to szlag! Będzie ją musiał zabić bez narkotyku, poza swoją wizją. Z tymi wszystkimi detalami. To całe paskudztwo będzie mu się pchało w oczy. Bryzgi krwi. Jęki o litość. Całe piękno wczorajszej nocy zrujnowane. Po prostu - zrujnowane. To jest naprawdę kara boska.

Rozwścieczone spojrzenie przeniósł na jej włosy. Zawijały się nad ściągaczem swetra. Na karku miała pieprzyk. Jej szyja wydawała się cienka i krucha. „Przyszła posprzątać -pomyślał - i zrobić mi coś do jedzenia. Musiała. Jezu, co za idiotka!” No cóż, i teraz wie wszystko. Nie miał wyboru. Musiał ją zabić.

Kobieta zaszlochała, skurczyła się w sobie. On wbijał jej w plecy lufę kolta, popychając na górę. Złapał ją za ramię, pociągnął, żeby szła szybciej.

„Dziecko, o Boże, moje dziecko...” - powtarzała w myślach. Płakała już histerycznie. Prawie nic nie widziała przez zamglone szkła okularów. W głowie bezradna szamotanina myśli. Jak on może być taki? Nie umiała skupić się na niczym, nic wymyślić.

„Muszę myśleć, dziecko, myśl, myśl!”

Zach trzymał ją mocno za ramię. Bolało, palce wbijały się w ciało przez sweter. Na kręgosłupie czuła stalową twardość lufy. I czuła żar jego wzroku.

„jak on może, jak może, moje dziecko...”

Pchnął ją na ścianę koło drzwi jej mieszkania. Poczowała wstrząs. Zakrztusiła się, zgięła w pół, zapłakana. Jak można być takim człowiekiem, robić takie rzeczy-

„Myśl!”

— Otwieraj!

- Nie - zaskomlała Avis. Ale już mu ulegała. Sięgała do kieszeni po klucz. I myślała o swoim dziecku, o tym, jak wierci się w łóżeczku. I o tym, jak prycha, kiedy się budzi. Co robi? Co on robi, gdy zobaczy dziecko? Jak do tego doszło?

Zach wyrwał jej klucze z ręki. Broń trzymał wycelowaną, widziała czarny wylot lufy. Otworzył drzwi. Rozejrzał się ukradkiem po pustym korytarzu.

„Krzycz - pomyślała. - Może gdybym zaczęła krzyczeć...”

Ale on znów ją chwycił za ramię. Wciągnął do mieszkania. Potykając się, ruszyła do środka. Usłyszała za sobą zamykane drzwi. Jest w pułapce. Całym ciałem trzęsła się od płaczu. Zachary pstryknął światło.

Avis zamruwała. Ręką wytarła śluz spod nosa. Próbowwała trochę uspokoić szloch.

„Uważaj! - mówiła sobie. - Uważaj! Myśl!” Rozejrzała się przez zamglone od łez szkła. Przeczesała wzrokiem nagie ściany. Te białe ściany z krętymi zaciekami. Ze spękaniem tynku jak zygzaki błyskawic. Spartański stolik do kart. Płócienne krzesło.

„Rozglądaj się! Patrz!”

Nie ma śladów dziecka. O tym nie pomyślała. Nigdzie nie widać, że w domu jest dziecko. Wszystkie dziecięce rzeczy znajdują się w sypialni. A drzwi do niej są zamknięte. Ona nie mówiła, że ma dziecko. Tam na dole, kiedy rozmawiali, ani razu o nim nie wspomniała. Zach w ogóle nie wie, że tu jest jakieś dziecko.

„Myśl!”

Żeby tylko utrzymać go z dala od dzieciennego pokoju. Żeby odwrócić jego uwagę... „Myśl, myśl, myśl!”

Ach, gdyby tylko mogła myśleć! Gdyby tylko mogła!

Zachary chwycił jedną ręką płócienne krzesło. Postawił je pośrodku pokoju. Mrużył oczy. W głowie mu szumiało. Pokój. Każdziusięki szczegół tego pokoju. Te wszystkie drobiazgi, detale... Jezus! Roili się wszędzie jak robaki na trupie. Wpełzały mu w oczy, wyżerały mózg. Te ściany, biel tych ścn. Prostokątne okno, za nim granat wieczoru. Plamy zacieków jak odciski palców. Klepki parkietu jak elementy łamigłówki.

„Wszędzie pusto. Dlaczego tu tak pusto?”

Kręciło mu się w głowie. Nie był w stanie myśleć.

- Siadaj. Siadaj...! - powiedział szybko. Ponaglającym gestem wbił jej łufę w plecy. Przebiegał wzrokiem wszystkie

kąty. „Jak tu pusto”. Zmusił się, żeby popatrzeć na dziewczynę.

Cofała się ku krzesłu. Naprawdę musiał się zmuszać, żeby na nią patrzeć. Jej twarz... Boże, narzucała się jego oczom, wypełniała całe pole widzenia. Żółtawy śluz pod nosem! Zmarszczki w kącikach oczu za szklami. Jasnofioletowe oprawki. Wielkie pory na nosie. Wszystko wydawało się powiększone jak na zbliżeniu w kinie. Ledwie mógł na nią patrzeć. „Już dobrze, Jezu. Błagam”.

Duszę by zaprzedał za jedną działkę narkotyku.

- Siadaj już - powiedział.

Denerwowała go, ona, jej twarz, jej płacz. Denerwowało go, że w każdej chwili może zacząć wzywać matki, tak jak tamta wczoraj, kiedy wreszcie zdała sobie sprawę, że to się dzieje naprawdę i że nie ma ratunku, i zaczęła bełkotać: mamó, mamó, mamó, proszę, mamó... Dorosła kobieta. Nie wytrzymałby tego: patrzeć na to, słuchać. Bez wizji nie dałby rady. Bez narkotyku. Niech ją szlag trafi! „Już pokutuję!” - krzyczał w duchu do niebios.

- Słuchaj - powiedział głośno. - To dla nikogo nie jest łatwe, rozumiesz? Rób, co ci każe, to pójdzie znacznie lepiej.

Avis szybko kiwnęła głową, ta jej gigantyczna powiększona twarz bujała się w górę i w dół. Te kwadratowe okulary ociekające łzami. Skóra w plamy.

Usiadła na krześle. Powoli opuściła ręce. Zaczęła przebierać palcami na kolanach. „W porządku - pomyślał Zach. -W porządku”. Trzeba to przemyśleć. Tym razem nie pójdzie jak z płatka. Wczoraj, kiedy było już po wszystkim, wpadł w jakiś wizyjny samoobronny trans. Pobrał krew strzykawką. Oczyszczył nóż. Zadzwoił: „Ósma godzina. Musisz tam być”. Tym razem nie pójdzie tak łatwo. Musi to dobrze zaplanować. Ze szczegółami. Gdzie, do diabła, podziewa się Olhe? Siódma już prawie dochodzi. Jeśli on nie wróci na czas, do jasnej cholery...

„Nie możesz się tym teraz przejmować. Mvśl, kurwa! Przemyśl to dobrze!”

Popadał w rozgorączkowanie. Nie był w stanie się skupić. Poszedł w głąb pokoju, serce mu się tłukło. Cały czas celował w kobietę. Obchodził ją dookoła. Jej głowa obróciła się za



nim. Obserwowała go. Ta twarz go śledziła. Pryszcz na policzku. Pomarańczowa szminka.

- Nie zrób mi krzywdy, proszę - powiedziała Avis. -Dobrze?

- Patrz przed siebie! — warknął. Z trudem panował nad sobą. — Rozumiesz? Przed siebie. Nie mogę... nie...

Skuliła się, odwróciła. Chlipnęła. Zgarbiła ramiona. Płakała dalej. Powinien ją zastrzelić z miejsca. Rozwalić tę twarz w krwawą maskę. Ale trzeba to zaplanować, to też musi pójść na konto Olivera.

„Myśl!”

A jeśli się nie uda? Co będzie, jeśli Oliver nie wróci na czas? Jak to wszystko rozegrać, kiedy w głowie ma samo gówno? I ta jej gęba, i w ogóle... Miał wrażenie, że zaraz zwariuje.

- Patrzeć przed siebie, proszę!!! - wrzasnął piskliwie, bo Avis znów na niego zerknęła. - Proszę! Jezu, przecież mówię. Mnie też jest ciężko, wiesz.

- Tylko proszę... — powiedziała. Ale zmusiła się, żeby się do niego nie odwracać. Patrzyła przed siebie. - Nie zrób mi nic złego.

„Myśl!”

Znajdował się teraz w kąciку kuchennym. Celował w plecy dziewczyny. Kręcił głową w lewo, w prawo, rozglądając się po kątach. Białe wiszące szafki. Srebrzysty zlewozmywak. Noże — są tutaj. Zawieszane na haczykach pod szafkami. Złapał nóż kuchenny z czarną rączką. Ściągnął z wieszaka. Wrócił szybko do pokoju. Przyjrzał się ostrzu pod światło. Dobrze. Tym poderżnie gardło. Cicho. Sąsiedzi nie zauważą, że coś się stało.

Zastanawiał się, ile teraz będzie krwi. Bez wizji. Bez narkotyku.

Usiłowała sobie wyobrazić, co zrobiłaby kobieta w filmie. Uwięziona na krześle, trzymana na muszce. Jak by się z tego wydostała?

„Myśl. Jeśli tylko...”

Wyprężyła się na krześle, przycisnęła pięści do ust. Gryzła

własne knykcie. Łzy wysychały jej na policzkach. Ze szkieł ulatniał się opar. Dygotała z każdym oddechem. Rzuciła ukradkowe, gorączkowe spojrzenia na drzwi dzieciennego pokoju.

„Sprawdzi tam. Będzie się chciał upewnić, czy nikogo nie ma. Sprawdzi. Znajdzie małego. Myśl...” Jak te dziewczyny w filmach. „Dobra okazja dla Debry Winger”. „Nie, nie, nie. Myśl, myśl, myśl!”

Ale filmowe obrazy tłoczyły się w mózgu. Bystrookie brunetki ze związanymi rękami. Blondynki z otwartymi ustami, uciekające w labiryntach korytarzy. Przecież czyta te książki po całych dniach. Te potencjalne scenariusze, niedosze filmy. A w nich są te wszystkie zaradne, pomysłowe kobiety, przedsiębiorcze, inteligentne bohaterki; myślące, zawsze myślące...

A ona? Co z nią zrobił ten strach! Co strach może zrobić z człowiekiem! Miała wrażenie, że jest wyprana z woli. Oszołomiona, roztrzęsiona i bierna jak skrawek papieru. Jej głowę wypełniają nieruchome, niepełne obrazy. Może ktoś wejdzie? Ktoś musi wejść. Przyjdzie Ollie. Bóg sprowadzi Olliego. Wyobraziła sobie Boga: coś w rodzaju zbawczego psa bernardyna, uczynionego z wichru, który przywiewa jej tu Olliego. Niech wejdzie przez drzwi. Teraz! Uratuje ją... To się przecież nie może stać.

„Avis! Myśl!”

Wpatrywała się w drzwi pokoju dzieciennego. Gryzła kostki palców. Zerknęła ukradkiem na boki. Gdzie on jest? Przy oknie. Oparty o parapet. Wygląda przez okno. Potem patrzy na nią.

- Przed siebie! Powiedziałem, do cholery - odezwał się zrzędlawie. — Tylko utrudniasz mi wszystko.

Spojrzała przed siebie, dygocząc. Patrzyła na drzwi pokoju dzieciennego. Myślała o dziecku, które tam jest. Może teraz obraca główkę na materacu. Śpi sobie spokojnie. Poruszyło wargami, jakby ssało jej pierś. Zaczyna się budzić. Pierwsze ciche prychnięcie. Czasami stawała nad łóżeczkiem, obserwowała synka. Patrzyła, jak powoli się budzi i dostrzega ją.

Uśmiecha się do niej tym swoim szerokim powitalnym uśmiechem niemowlęcia.

„Boże, Boże, błagam. Niech śpi. Niech się nie budzi”. Ollie przyjdzie, zanim mały się obudzi. Musi przyjść. Bóg nie dopuści do tego, żeby Ollie nie przyszedł ich uratować, uratować dziecka. Niech dziecko śpi, póki on nie przyjdzie. Niech ona zostanie przy życiu...

Obejrzała się szybko. Zach wciąż stał przy oknie. Wyglądał na ulicę. Poruszał ustami, jakby mówił coś do siebie. Rzucił jej gniewne spojrzenie, a ona natychmiast popatrzyła przed siebie. Drżała. Utkwiła wzrok w drzwiach pokoju dziecinnego. Trzeba z nim rozmawiać. Trzeba go błagać, żeby darował jej życie. Trzeba...

„Grać na zwłokę!”

Tak robią w filmach, pomyślała. Grają na zwłokę. Trzeba odwrócić uwagę prześladowcy, powstrzymać go, czymś go zająć, póki nie pojawi się bohater...

Rozchyliła wargi. Ale żadne słowa się nie pojawiły. Jej umysł był pusty. Ocieężały. Jakby formułowanie słów wymagało zbyt dużo wysiłku. Miała wrażenie, że brak jej woli, żeby mówić, myśleć. Istniał tylko strach. Była ledwie skrawkiem papieru. Siedziała, trzęsąc się...

Zach patrzył przez okno, czekał na Olliego. Uliczka była teraz zatłoczona. Za demonami ciągnęły się ogony. Obok powiewały czarnymi pelerynami upiory. Mężczyzna w skórzanych slipach prowadził mężczyznę w blond peruce. Wszyscy szli razem, ramię w ramię, ku Szóstej Alei. Na paradę Halloween.

„A gdzie się podziewa Oliver? - pomyślał Zach. - Gdzie on się zawieruszył, do ciężkiej cholery?” Potarł dłonią czoło. Nie był w stanie myśleć. Mózg ma tak zagracony... Litery wypalane w drewnie na szyldzie kafejki... Usmolona sadzą twarz wampira... Biała pajęczyna w peruce blond...

Potrząsnął głową. Odwrócił się. Przyłapał dziewczynę na krześle na podpatrywaniu. Widział czarne zaskórniki na jej nozdrzach. Różowe plamy na twarzy wywołane przez płacz. To go doprowadzało do szału.

- Słuchaj - powiedział, podnosząc się znad parapetu. - Słuchaj, twarzą na wprost, zrozumiałaś? Nie wytrzymam tego dłużej. Przed siebie.

Odwróciła się. Pociągnęła nosem. Zwiesiła ramiona.

- Przepraszam - powiedziała. - Po prostu się boję. Zrobisz mi coś złego?

Popatrzył na nią. W pasmach jej żółtych włosów połyskiwało światło. Głowę miała opuszczoną, jej kruchy kark był obnażony. Pochyłość ramion zaskoczyła go swoją wyjątkową kobiecością...

- Pieprzyłaś się z Oliyerem? - zapytał. Słowa same wypłynęły mu z ust, nie zdążył ich powstrzymać.

Kobieta poderwała głowę.

- Co?

- Nieważne - rzucił szybko. Pomachał przed nią pistoletem, jakby chciał wymazać tę myśl. - Nic takiego. To... głupota. Przecież wszystkie się z nim pieprzą, no nie? Wszystkie dziewczyny uwielbiają starego Ola.

- Nie... - powiedziała. - Nie. Nigdy... skądże... Naprawdę. Poważnie.

Uciszył ją. Wiedział, że kłamie. Wszystkie się z nim pieprzą. Wsunął pistolet za pasek. Przełożył do prawej ręki nóż. Wszystkie dziewczyny uwielbiają to robić z tym zwariowanym starym Oliyerem. Ruszył ku niej.

„Im prędzej, tym lepiej” - pomyślał. Najlepiej od razu. Już nie wytrzyma dłużej tej gęby. I tego napięcia, tego oczekiwania, co się stanie, kiedy poderżnie jej gardło. „Dobrze - pomyślał. - Dobrze”. - To jest kara, która go dotyka. Jego los. Westchnął z rezygnacją i ruszył ku niej. W żołądku go paliło. Skąd można wiedzieć, co jest losem, a co wyborem wolnej woli? Po czym odróżnić to, czego domaga się Bóg, od tego, czego się chce samemu? I kto posprząta ten bałagan po omlecie tam na dole?

„Chryste! A jeśli Ollie już wrócił?”

Nie potrafił myśleć. Nie mógł myśleć o niczym. Za dużo szczegółów. Za dużo tych pasm włosów. Tych błysków na jej policzku, kiedy próbuje na niego zerknąć. A teraz: zobaczył własną rękę. Wyciągał rękę, żeby chwycić dziewczynę. Nigdy nie zwrócił uwagi na to, że ma takie błękitne żyły na

grzbiecie dłoni. Wyglądają jak rzeki spływające z gór kostek jego palców...

Avis obróciła się w krześle. Zobaczył jasnioletową oprawkę okularów. Brązowe oko. Migdałowego kształtu.

I wtedy to oko otworzyło się szerzej, zaokrągliło ze strachu. Zobaczyła nóż.

Spazmatycznie wciągnęła powietrze. Podniosła rękę.

— Przed siebie! - wysyczał.

— Proszę, nie!

— Już! Bo cię zabiję! Patrz przed siebie!

Posłuchała. Musiała. Z ociąganiem odwróciła się do niego tyłem.

Tak było lepiej. Dużo lepiej. Lżej mu się teraz oddychało, chociaż dochodził do niego jej zapłakany, cienki głos:

— Zabijesz mnie? Zarznieś mnie tym? Proszę, nie rób tego, dobrze? Nikomu nic nie powiem. Przysięgam. Ani słowa.

Wyciągnął rękę. Poczul na opuszkach palców jej miękkie włosy. Miał złapać za te włosy, szarpnąć głowę do tyłu i zanurzyć nóż w szyi. Mógł to zrobić. Wiedział, że może. Jego palce zagłębiły się we włosy, żeby chwycić mocno...

I nagle... coś... gdzieś... jakiś odgłos...

Zach rozejrzał się. Po drugiej stronie pokoju. Drzwi. Za drzwiami, stamtąd doszedł ten dźwięk. Coś jak głos. Ludzki głos.

Zach stał nieruchomo, przygięty, z wyciągniętą ręką. Słuchał. Dźwięk się nie powtórzył. Ale słyszał go, na pewno. Na sto procent.

Ktoś tam był!

Mały! Avis poczuła, że wszystkie siły wypływają z niej jak krew z rany. Dziecko się budzi! To była jego pierwsza cicha odzywka. Przekręca swoją główkę na materacu. Przeciera piąstką oko. Głos dziecka przeszył ją jak włócznia. Na wylot. Uszły z niej siły.

„Śpij, mały! Nie budź się!”

Potężnym aktem woli znieruchomiała na krześle. Zmusiła się, żeby nie spojrzeć na drzwi.

„Śpij!”

Zmusiła się, żeby spazmatycznie nie zaczerpnąć powietrza. Siedziała sztywno, patrzyła przed siebie - tak jak chciał. Dłonie trzymała na kolanach. Może nie usłyszał...

- Co to było? - odezwał się zza jej pleców.

- Co? - spytała Avis, mając wrażenie, że to ktoś inny, wewnątrz niej, bierze na siebie rozmowę. Ona tylko musiała poruszać wargami. - O c-c-co pytasz?

- Ten hałas. Odgłos. Nie słyszałaś?

Odważyła się lekko przekrócić głowę. Stał za nią, przyczajony, przykucnięty, z nożem w ręku. Oczy, rozpalone, białe, utkwiał w drzwiach pokoju dzieciennego.

- Nic nie słyszałam - szepnęła Avis.

- Ktoś tam jest. - Spojrzał na nią gniewnie, pokazał zęby. - Jest tam ktoś? Avis pokręciła głową. „Myśl!” Nie potrafiła myśleć. Powiedziała automatycznie:

- Nie. Tam? To moja sypialnia. Mieszkam sama.

- Niech to cholera! - Zach ruszył do drzwi.

Stawiał długie kroki, już po drodze wyciągnął rękę do klamki. Sekunda, w której przeszedł przez pokój, zdawała się trwać wieki. Avis nie mogła oderwać od niego wzroku.

„Krzyczeć! Moje dziecko! Krzyczeć!”

Otworzyła usta, ale krzyk uwiązł jej w gardle. Jeśli krzyknie, całkiem obudzi małego. A to będzie koniec. On zabije ich oboje. Była tego pewna. Musi go powstrzymać, a nic nie potrafi wymyślić. On jest już przy drzwiach. Sięga do klamki w tych długich, długich ułamkach sekundy. Trzyma rękę na klamce.

„Pieprzyłaś się z Olliem?” - przypomniało jej się.

Czas płynął tak powoli, że zdawał się trwać nieruchomo. Zach naciskał klamkę. Słyszała zgrzyt mechanizmu. Drzwi pokoju dzieciennego otwierały się. - Nie wchodź tam - powiedziała. - Pieprzyłam się z Olliem. Pieprzę się z nim.

Co? - Głowa Zachary'ego odwróciła się w jej stronę. Sekundy znów popłynęły wartko. Wyglądało to tak, jakby czas w trakcie szaleńczej jazdy kolejką w wesołym miasteczku-

ku znalazł się w najwyższym punkcie pętli, zatrzymał na moment, a potem runął w dół. Drzwi były uchylone. Widziała zarysy wiszących muppetów. Żaba Kermit, Świnka Piggy. Sylwetki kołysały się w mroku.

Ale Zachary już się od nich odwrócił. Patrzył na nią z ukosa. Oczy miał białe, otwarte szeroko. Jego dłoń, lewa, zsunęła się z klamki. W prawej trzymał nóż. Wycelowany w nią. Ostrze połyskiwało w świetle żarówki pod sufitem.

„Śpij, dziecko - powtarzała w myślach — po prostu śpij”.

— Co ty powiedziałaś?

— To moja sypialnia - wyrzuciła, myśląc cały czas: „Śpij...” - Tam się pieprzę z Oliem. Nie wchodź tam. Tam on mi opowiada różne rzeczy. Nie powinieneś tam wchodzić. Opowiada mi o... o tobie... o, ee... o twoim członku.

— Co?!! — Patrzył na nią jak na wariatkę.

Avis też się wydawało, że zwariowała. W ogóle nie wiedziała, co mówi. Paplała bezmyślnie, instynktownie. Myślała cały czas: „Nie budź się teraz, mały. Aaa, kołysa-anka. Aaa, kotki dwa”.

— Żebyś wiedział. Zawsze mi mówi takie rzeczy. O twoim członku. I pieprzy mnie. Pieprzy mnie i śmiejemy się z twojego sflaczałego kutasu. Co za baba, tak mówi o tobie, co za baba z ciebie w łóżku...

Słowa pozostawiały jej w ustach smak brudu, ale nie dbała o to. Mówiła cały czas i cały czas myślała: „Aaa, śpij dziecinko, szare bure obydw...”

— Co za sflaczały kutas, powiada, i się kochamy — bredziła.

Zach podszedł jeszcze krok. Przekrzywił głowę.

— Jaja sobie ze mnie robisz? Co? Co jeszcze mówi? Pytam z ciekawości. To prawda?

— Czy to prawda? — Oczy Avis pobiegły ku otwartym drzwiom dzieciennego pokoju. Kermit, Miss Piggy i Gonzo obracali się powoli w mroku, poruszani chłodnym powiewem. — Pewnie, że prawda. Codziennie. Pieprzyśmy się i śmiejemy.

„Aaa, kotki dwa, nic nie będą robiły...” — myślała.

Zachary zachmurzył się. Wyglądał teraz jak mały chłopiec bliski płaczu.

— Niech to szlag trafi! — zaklął. — Wiedziałem. W i e-d z i a ł e m. — Zrobił jeszcze jeden krok. - Co ci mówił? Co jeszcze? Mówił coś o Tiffany, o mnie i Tiffany?

Avis kurczowo trzymała się drewnianej ramy krzesła. Odchyliła się na oparcie, odsunęła od nadchodzącego Zacha.

— Tiffany? - powtórzyła załamującym się głosem. — Tiffany, pewnie. Opowiadał mi o niej. To było, no, uśmieśliśmy się, a on mnie pieprzył, że ojej...

Jeszcze jeden krok. Stał teraz tuż nad nią. Zawisł jak sęp, ale ona już na niego nie patrzyła. Oczy, wbite w drzwi pokoju dzieciennego, były jak pokryte szklivem. Wszystkie siły umysłu skoncentrowała na tym, żeby utrzymać dziecko we śnie. „Aaa, śpij dziecińo...” Z jej ust tymczasem płynął potok plugastw.

— Pieprzy mnie tym swoim wielkim kutasem. Wielkim twardym kutasem, nawet tym nożem byś nie dał rady, i śmiejemy się z Tiffany...

— Okay! — huknął nagle Zach. — Zamknij się. „Spij maleńki, śpij... aaa, kotki dwa...”

— Tobie to wcale nie staje, a on mnie pieprzy i pękamy ze śmiechu.

— Ty dziwko! Nie do wiary! Przeklęty Oliver! Nie prosiłem się na świat, wiesz. Nie prosiłem go, żeby mnie ratował! Przez to muszę cierpieć....

— Śmiejemy się, pieprzy mnie kutasem...

— Przestań!

— Śmiejemy się z ciebie, ty babo, babo...

— Przestań!

— Śmiejemy.

— Przestań!

Wydał z siebie dziki okrzyk i rzucił się na nią. To ją wyrwało z transu. W ostatniej chwili próbowała się mu wywinąć, sturlać z krzesła. Ale dopadł ją. Złapał pełną garścią za włosy. Upadła na podłogę, tłukąc kolanami o parkiet. Szarpnął ją do tyłu, odgiął głowę przez poręcz krzesła, obnażył gardło.

Avis zagryzła zęby, żeby nie krzyczeć. Widziała nad sobą



jego twarz, wypełniającą całe pole widzenia, jego czarne oczy. Słyszała jego chrapliwe sapanie, widziała błysk noża unoszonego w powietrze. Zaciśnęła palce na jego ręce, patrzyła mu prosto w oczy.

„Aaa, kotki dwa...” .

Zach, trzymając w garści jej włosy, zasyczał nad nią z triumfem. Tak samo zasyczał nad tą kobietą wczoraj. Tak samo, jak syczał w szkliste oczy odciętej głowy, kiedy w końcowym ataku wściekłości wepchnął ją do klozetu. To był ten sam odgłos triumfu. I to były te same słowa.

- Nie żyjesz! - powiedział. ;

„Nic nie będą robiły - myślała - tylko dziecko bawiły!”

Część czwarta

KRÓL ŚMIERĆ

*Dusza kuli się od tego, co właśnie ma sobie przypomnieć...*

Richard Wilbur

## Oliver Perkins

Perkins się bał. To już nie były obawy. To był prawdziwy strach, łopoczący w gardle jak schwytyany motyl. Za długo zostawił Zacha bez opieki. I zgubił trop Tiffany przed mieszkaniem babci. A teraz...

Szedł korytarzem. Myślał: „Jeśli Tiffany jest tutaj, jeśli wmieszała w to babcię...” Pomyślał o jej słabym sercu. Powtarzał sobie: „Ona tego nie zniesie”.

Uderzył pięścią w drzwi.

- Babciu! - zawołał głośno. — To ja! — Grzebał w kieszeni dżinsów, szukając kluczy. — Babciu? - Znalazł klucz. Wsadził do dziurki. Położył rękę na klamce.

Ale klamka obróciła mu się pod ręką. Ktoś nacisnął ją od wewnątrz. Drzwi się otworzyły.

Stała przed nim w przedpokoju, patrzyła przestraszonymi oczami.

- Cześć, Oliver - powiedziała.

Poczuł w gardle uderzenie własnego strachu. Wycedził przez zęby jej imię:

- Tiffany.

Dziewczyna odgarnęła z twarzy czarno-srebrne włosy. Wzięła się w garść, zaczerpnęła powietrza. Otworzyła drzwi na oścież. Perkins zobaczył babcię. Siedziała przy stoliku do kawy pod oknem. Jej bezkształtna starcza postać mościła się wygodnie na atłasowej sofie, podparta ze wszystkich stron poduszkami w ręcznie haftowanych poszewkach. Podniosła na niego oczy. Obwisłą twarz ożywił uśmiech.

O, Oliver! - powiedziała. Jej nikły głos drżał. - Miałam nadzieję, że się pokażesz. Właśnie pora na herbatę.

— Właśnie, Oliverze — powiedziała Tiffany nerwowo. Sama też się uśmiechnęła; sztucznie, kącikiem ust. Przełknęła ślinę. — Napijesz się rumianku czy earl greya?

Perkins bezradnie przenosił wzrok z dziewczyny na staruszkę; w tę i z powrotem, raz po raz. Czuł, że na czole zbierają mu się krople potu. Co ma powiedzieć? Jak wiele babcia wie? Lęk w gardle pulsował coraz mocniej.

Tiffany zamknęła za nim drzwi. Perkins podskoczył na ten dźwięk. Popatrzył na nią szybko. Stojący zegar w przedpokoju wybił godzinę: szósta.

„Zach — pomyślał Olivier - muszę wracać do Zacha”.

— Wpadłem tylko na chwilę — powiedział ochryple.

— Ach! - zawołała babcia. - Zostań. Tiffany przygotowuje coś do picia. To nie sprawi ci kłopotu, prawda, kochana?

— Ależ skąd, żadnego, babciu - odparła Tiffany. Nie odrywała oczu od Perkinsa — No? To czego się napijesz, Ollie?

Wpił w nią wzrok, zazgrzytał zębami. Miał ochotę dopaść ją tu i teraz. Wytrząsnąć z niej prawdę. Prawdę mówiąc, miał ochotę rozszarpać ją na kawałki. — Rumianku - warknął.

A Tiffany pogodnie i melodyjnie oznajmiła:

— Zaraz wracam.

Odwróciła się do niego plecami. Odeszła tanecznym krokiem. Nawet pod tą wzorzystą koszulą, pod tymi workowatymi dżinsami widział ruchy jej nagiego ciała.

Bezradny, milczący, popatrzył na babcie. Starsza dama uśmiechała się wyczekująco. Wzrok miała zaciekawiony i wilgotny. Wysokie okna, przy których siedziała, były ciemne. Stojąca lampa rzucała żółty blask na posążek Wenus na postumencie. Reszta pokoju - rzeźbione krzesła, kominek, ciemny deseń na dywanie - nikły w cieniach zmierzchu. Staruszka zdawała się rozpląwać na skraju kręgu światła.

Perkins z wysiłkiem oddał jej uśmiech.

— Zaraz wracam, babciu — wykrztusił. I ruszył za Tiffany. Bibeloty zadzwoniły, wstrząsane jego krokami.

Kuchnia była wąska i ciasna, ale jasno oświetlona. Miedziane dzbanki i rondle, pozawieszane na wyłożonej kafelkami ścianie, odbijały światło. Drewniany blat połyskiwał między czarną żelazną kuchenką i białą lodówką. Tiffany ustawiała na srebrnej tacy filiżanki i dzbanek z chińskiej porcelany w niebieskie wzory. Miedziany czajnik buchał wesoło parą nad niebieskim płomieniem na kuchence. Dziewczyna usta miała zaciśnięte w wąską kreskę. Nie odrywała oczu od własnych rąk. Ale Perkins wiedział, że zauważyła jego wejście.

Zerknął czujnie w stronę salonu, w którym zostawił babcię. Potem wbił wściekły wzrok w Tiffany. Zniżył głos do szeptu.

— Co ty tutaj, do licha, robisz? Popatrzyła na niego. Oczy miała ogromne.

— Przestań mnie śledzić. Musisz przestać mnie śledzić. Natychmiast.

— Co ma jedno do drugiego? Po co tutaj przyszłaś? — mówił tak gwałtownym szeptem, że brzmiało to, jakby się dusił.

Zajęła się tacą. Filiżanki na spodeczkach dzwoniły wesoło.

— A jak inaczej miałam się ciebie pozbyć? — Jej głos był ściszony.

— Wiem, że tutaj nie zaczniesz robić scen. Nie przy babci. Zwłaszcza że... no wiesz, mogę jej powiedzieć to i owo, Oliverze. — Kiedy podniosła oczy tym razem, jej twarz wyrażała determinację. Ich spojrzenia się zwały. Ostro. - I powiem jej, żebyś wiedział. Jeśli nie zostawisz mnie w spokoju. Powiem jej wszystko, co będę musiała. To ją zdenerwuje, Oliverze. Rozchoruje się od tego, wiesz przecież.

— Ty przekłeta...

— Zamknij się. Po prostu siedź cicho — powiedziała. — Nie masz pojęcia, co się dzieje. To wszystko szaleństwo. Nie wiesz. Teraz... teraz po prostu napijemy się herbaty. Ty, ja i babcia. Wypijemy po filiżance, a potem... potem, za chwilę, przeproszę i wyjdę. Dobrze? Wyjdę, a ty mi pozwolisz odejść. Nie będziesz mógł za mną iść. Rozumiesz?

Przyskoczył do niej. Wściekłość omal go nie rozsadziła

od środka: rozszarzona, biała, roztopiona wściekłość, która opływała go całego. Chwycił Tiffany za ramiona. Okręcił ją twarzą ku sobie, podniósł, aż stanęła na czubkach palców i mógł jej spojrzeć prosto w oczy.

— Coś ty zrobiła? - wysyczał szeptem przez zęby. — Co zrobiłaś mojemu bratu?

— Puść mnie. - Oczy Tiffany wypełniły się łzami. — Ty draniu. Ty idioto. Niczego nie wiesz. Puść mnie.

— Wrobiłaś go, prawda? — potrząsnął nią. — Wrobiłaś go. Ukartowałaś to tak, żeby wyszło, że to on popełnił morderstwo. Prawda?

Włosy posypały się jej na twarz. Patrzyła na niego spod kosmyków. Milczała. Tak bardzo się do niej przybliżył, że czuł nie tylko zapach jej wody toaletowej, ale samą woń skóry. Wpatrywał się w to oblicze, szukał oczu, szukał bolesnej głębi w tych oczach. Był świadom sprężystej siły jej rąk pod pozszywanymi skrawkami tkaniny. Pamiętał dotyk jej skóry pod swoimi dłońmi.

Otworzył usta, jakby chciał jeszcze coś powiedzieć.

— Woda się gotuje — oznajmiła cicho Tiffany.

A Perkins, wciąż z otwartymi ustami, puścił ją, dosłownie upuścił na podłogę. Odwrócił się od niej, a ona sięgnęła po czajnik. Stał tak, zgarbiony. Patrzył na srebrną tacę. Jego spojrzenie utkwiło w jednej z filiżanek, w jej kremowobiałym dnie. Patrzył i patrzył, aż zamglił mu się wzrok.

„To byłem ja - pomyślał. — To ja zepsułem maszynę do pisania”.

I uzmysłowił sobie — dziwacznie, jakby we śnie - że ojciec od początku w jakiś sposób o tym wiedział, od początku znał prawdę. Zgorzkniały mężczyzna w podeszłym wieku walił ciężkim liniałem w goły tyłek Zacha. Nie ustawał, póki skóra nie poczerniała od siniaków. Póki nie poczerniała. I cały czas wiedział; wiedział, że tak naprawdę winny jest on. Oliver.

Perkinsowi zrobiło się niedobrze. Znów poczuł wewnątrz łopot strachu; coraz większy, silniejszy, tłukł się w głębi jego ciała.

— Uwaga - powiedziała Tiffany.

Perkins ustąpił jej z drogi, a ona przeniosła parujący czajnik nad tacę. Stała przy kuchennym blacie z pochyloną głową, włosy sypały się jej na twarz. Napelniała wrzątkiem porcelanowy imbryk. Łza kapnęła z jej policzka na ściankę miedzianego czajnika. Kropla zasyczała i uniosła się kłębkami pary.

- Ty przecież wiesz, kto zabił tę dziewczynę w starym mieszkaniu - powiedział Perkins. - Wiesz? — Mówił, jakby był osłabiony, chował głowę w ramiona. Nie patrzył na nią. — To zrobił ten ktoś, kto ci pomagał w szantażu, prawda? Rany, Tiffany, ty i szantaż? Przecież pieprzyłaś się z tym facetem, może nie? Z tym Woodlandem. Pieprzyłaś się z nim, a ten twój wspólnik pstrykał fotki, nie mam racji? Kobieto, rany boskie, coś ty narobiła. — Usłyszał łamiący się szloch Tiffany. Skrzywił się, ale nie spojrzał na nią. — No i co potem? No? Woodlawn wziął tę małą Kincaid na kurierkę, żeby samemu nie maczać w tym palców, a ona się spłoszyła i doniosła FBI. A wy spanikowaliście, no nie? Spanikowaliście, a ten twój wspólnik ją zabił, bo była niewinna. Nie była taka jak Woodlawn, była niewinna i nie miała nic do ukrycia, mogła zeznawać przed sądem przeciwko wam. - Zaczął oddychać szybciej, tak jakby wspinał się po zboczach. To była ciężka praca: rozszyfrować przebieg wydarzeń, dopasować kawałki układanki. Wydawało się, że nic do siebie nie pasuje. Drobne nieścisłości. — Potem próbowaliście zrobić w to mnie. Mnie i Zacha. Zwabiliście nas obu do starego mieszkania. Ty zadzwoniłaś na policję, kiedy ja tam byłem, i powiedziałaś, że słyszałaś krzyki... - Przycisnął dłonie do czoła. Miał wrażenie, że wypełnia go jakiś szlam. To nie trzymało się kupy, nie brzmiało czysto. Nie umiał sprawić, żeby pasowało. Popatrzył na nią zbity z tropu. — Jest twoim kochankiem, prawda? - powiedział z wolna. — Ten twój wspólnik. To by wiele wyjaśniało. Jest twoim kochankiem, dlatego robisz, co ci każe. Mimo tych wszystkich swoich mistyczno-feministycznych bzdur robisz, co ci każe twój kochanek. Pieprzyz się z Woodlandem, pomagasz w morderstwie. Po trupach, byle twój kochaś wyszedł cało. Ty nie... — przerwał. Nie udawało się dopaso-

wać wszystkiego. Sapał jak maszyna parowa. Zamilkł i popatrzył na Tiffany.

Ale ona się nie odezwała. Pociągnęła nosem, opanowała płacz, napełniła do końca imbryk. Odwróciła się, żeby odstawić czajnik na kuchenkę. Potem zajęła się tacą. Wzdrygnęła się. Raz. Wytarła łzy z policzków brzegiem dłoni. W końcu uniosła tacę z blatu.

— Okay - powiedziała. - Teraz napijemy się herbaty. - Wyprostowała się, popatrzyła na niego. — A ty nie będziesz robił żadnych scen. Nie będziesz robił scen, bo opowiem babci wszystko. O tobie, o mnie i o kobiecie w starym mieszkaniu. O wszystkim. To ją może zabić, Ołiverze, a przysięgam ci, zrobię to. — Ich spojrzenia spotkały się na moment. — A teraz napijemy się herbaty — powtórzyła. Ruszyła w jego stronę. Przez moment zagradzał jej drogę, stał naprzeciwko. Ale potem spuścił wzrok i pozwolił jej przejść. Tiffany wzięła tacę i zaniósła ją do salonu.

Popijali z babcią herbatę przy stoliku o białym marmurowym blacie. W bladej poświacie stojącej lampy. W półmroku zmierzchu. Babcia siedziała na kanapie, oni oboje na spłowiałych fotelach, stylowych, z nogami w kształcie zwierzęcych łap i z wywiniętymi poręczami, wśród haftowanych poduszek. Tiffany przysiadła tylko na skraju i czyniła honory domu. Łała złocisty napar do filiżanek, najpierw babci, potem Perkinsowi, wreszcie sobie. Przygotowała tackę z pełno-ziarnistymi herbatniczkami, każdemu położyła po jednym na spodeczku. Rozdała filiżanki i usiadła z powrotem. Unikała wzroku Perkinsa. Babcia chudymi, drżącymi dłońmi umoczyła rąbek ciasteczka w herbacie. Tiffany dmuchała w swoją filiżankę, zapatrzona w dal. Perkins złapał swój spodeczek w garść i rzucał jej śmiercionośne spojrzenia.

„Powiem. Powiem wszystko”.

Nie może przecież pozwolić na to, by odeszła, myślał. Musi ją tu zatrzymać. Siłą, jeśli będzie trzeba. Osobiście zataszczy ją na komisariat Szóstej Dzielnicy. Żeby powiedziała Mulliganowi prawdę, zanim znów zniknie z horyzontu.

„Powiem”.



Tiffany musi oczyścić Zacha z zarzutów, dopóki jeszcze gliny go nie dopadły. A gdyby w jakiś sposób usiłowała skrzywdzić babcię... Perkins westchnął bezgłośnie i osunął się głębiej w fotel. Z całych sił ścisnął spodeczek i filiżankę. Jeśli ona spróbuje zdenerwować babcię, gadać jakieś rzeczy... Przy tym jej słabym sercu... Zaciskał szczęki. Żyłki pulsowały w skroniach. Nie wiedział, co robić. Jednak nie wolno mu jej wypuścić. Musi ją mieć pod kontrolą.

— Ach — powiedziała babcia — czy to nie przyjemnie? — Posłała drżący, dobroduszny uśmiech im obojgu: wnukowi i potencjalnej wnucowej. — Wreszcie cała nasza trójka razem.

Perkins z wysiłkiem pokiwał głową. Tiffany uśmiechnęła się mgliście. Oboje podnieśli filiżanki, ukrywając za nimi usta.

Babcia odłożyła półksiężyc herbatnika na krawędź spodeczka.

— A więc — powiedziała — porozmawiajmy o morderstwie. Perkins zakrztusił się herbatą. Odkaszlnął, opryskując wszystko dookoła. Herbata rozlała mu się z filiżanki, ze spodeczka, poplamiała sweter.

— Co? — wykrztusił w końcu.

— No, przecież to straszna katastrofa, nieprawdaż? — wyjaśniła babcia. W jej wilgotnych oczach zagościł na moment figlarny błysk.

Perkins z rozdziawionymi ustami patrzył na Tiffany. Ona wyglądała... jakby w nią piorun strzelił, trudno znaleźć inne określenie. Jej policzki zszarzały jak tabliczka łupkowa. Oczy były puste i nawiedzone. Posłała staruszcze nieszczęśliwe spojrzenie.

— Skąd...? — Perkins rozkaszał się znowu. — Skąd się o tym dowiedziałaś, babciu?

— Skąd? Daj spokój, Ollie. — Rzuciła mu karcące spojrzenie. Kosmyki siwych włosów spadały jej na czoło. W tym półmroku wyglądała niemal jak zjawa. Jakby w każdej chwili mogła się rozpuścić, zniknąć jak dym. — Myśleliście, że uda się wam to przede mną ukryć, co?

— Ja... ja tylko...

Tiffany sączyła uważnie herbatę. Obserwowała go. Obserwowała ich oboje.

— Przecież to ja jestem właścicielką tego mieszkania — ciągnęła babcia. - Policja zgłosiła się dziś do mnie zaraz po południu. Bardzo miły człowiek, nazywał się Nathaniel... jakiś tam. Chyba Mulligan. Nathaniel Mulligan.

Perkins przełknął ślinę. Zamknął oczy. Mulligan musiał do niej dzwonić, zanim zaczął go przesłuchiwać. Ona prawdopodobnie wie więcej od niego.

— Nie chciałem, żebyś się martwiła — powiedział Perkins. Próbował odzyskać swój zwyczajny ton. — Wiesz przecież, jaka robi się z ciebie okropna starucha, kiedy się marwisz.

— No właśnie, a dopiero teraz się martwię! — oświadczyła babcia. - Naprawdę martwię. Jakżeby inaczej? Popatrz tylko. Mało się nie rozsypię, każdy by to zauważył. Od razu do ciebie zadzwoniłam. Dzwoniłam całe popołudnie, a ciebie nie było. G d z i e się podziewałeś? Musiałam w końcu wziąć pigułkę! Ach, Oliver! — Zwróciła na niego swoje błagalne wilgotne oczy. - Wiedziałam, trzeba było sprzedać ten lokal, jak tylko się chłopcy wyprowadziliście. Wiedziałam. A teraz patrz, co się stało. Nie przeżyję tego!

Na to Perkins i Tiffany wymienili nad stołem długie spojrzenia. Dziewczyna bardzo się bała, widać to było po tej ślicznej buzi. Jej wielkie oczy zdawały się jarzyć w półcieniu jak latarnie. „Nie wie - myślał Perkins. - Nie wie, co powiem. Nie wie, jak daleko chcę się posunąć”.

„Powiem. Powiem wszystko”.

A jeśli babcia wie? Jeśli babcia zna już najgorsze... Zagryzł wargi. Może powinien grać dalej. Może powinien stąd wezwać policję i wydać Tiffany...

— Pan Mulligan powiedział, żebym zadzwoniła do niego natychmiast, jak się czegoś dowiem - ciągnęła babcia, jakby czytała mu w myślach. — Coś dziwnego. Powiedział, żebym zadzwoniła do niego, gdybym dowiedziała się, gdzie jest Zach. A ja zapytałam: „Zach? A po co wam Zach? Zach nie ma o tym zielonego pojęcia”. A on powiedział, że owszem, wie o tym, ale musi przeprowadzić z nim rutynową rozmowę. Powiedz mi, Ollie, co to znaczy? Jaka rutyna? Powiedziałam mu, wiesz: „Mam słabe serce, panie Mulligan. Łatwo się denerwuję, a pan mnie straszy”. A on na to, że

nie ma się czego denerwować. Ale, oczywiście, jak mam się nie denerwować, no powiedz!

Perkins z trudem przełknął ślinę. Nie spuszczał wzroku z Tiffany. A ona wciąż patrzyła na niego, próbowała wysondować jego reakcje.

— Nie dajmy się zwariować — wychrypiął Perkins. Mówiąc to, cały czas patrzył na Tiffany. Potem odchrząknął i siłą woli przeniósł wzrok na starszą panią. Jej bezkształtne ciało trzęsło się. Porcelana dzwoniła w kościstej dłoni. Wydawało się, że za moment filiżanka przewróci się na spodeczku i herbata chluśnie na podłogę. Ale miał też wrażenie, że w oczach staruszki pojawia się od czasu do czasu ten figlarny błysk. — Z Zachem wszystko w porządku — powiedział. -Rozmawiałem z nim, wszystko u niego w porządku. Okay? Nie martw się o Zacha.

Dłoń babci powędrowała do piersi. Perkins nie potrafił powiedzieć, czy jest to gest ulgi, czy przeciwnie, oznaka najgorszego.

— Z Zachem wszystko dobrze? — zapytała.

Perkins zawahał się. Krew w żyłach obróciła się w kwas. Czuł jego palący smak na wargach. „Nie — pomyślał. - Nie, z Zachem wcale nie jest dobrze. Zach wpadł w ciężkie tarapaty, a obecna tu Tiffany doskonale wie dlaczego. Musimy ją oddać w ręce policji, babciu. Będzie policja, będzie paskudnie i dowiesz się, co robiłem z Tiffany, i Zach też się o tym dowie. Ale w przeciwnym razie go zabiją...” Otworzył usta, jakby miał mówić. Lecz nie odezwał się. Babcia czekała skwapliwie, z ręką przyłożoną do serca. W drugiej ręce dzwoniła filiżanka na spodeczku. Perkins gapił się na nią.

- Pójdę już — melodyjnie oznajmiła Tiffany. Wstała. Popatrzyła na nich oboje. — Przepraszam, babciu. Jestem umówiona. Muszę iść.

Odstawiła szybko spodeczek na marmurowy blat stolika. Przygłodziła pozszywaną ze skrawków koszulę. Nawet w półmroku błysnęła wielobarwnie i pstrokato na tle spłó-wiałych antyków. „Dlaczego ubrali się jednakowo? -pomyślał Perkins. — Dlaczego zawsze ubierają się jednakowo?”

- Ach, Tiffany, moja droga - powiedziała babcia

przecież nie możesz mnie tak teraz zostawić. Zamartwię się na śmierć. Tiffany popatrzyła na nią. Potem na Perkinsa. I znowu na babcie. Poruszała przez chwilę wargami, nim wydobyła z nich słowa.

— Przepraszam... naprawdę przepraszam, babciu. Jestem umówiona. Naprawdę muszę. Przepraszam.

I z tymi słowy pośpiesznie wyszła. Ruszyła w głąb korytarza.

„Tylne drzwi!” - pomyślał Perkins od razu. Tam znajdowało się wyjście awaryjne, naprzeciwko sypialni. Tiffany mogła się wymknąć tamtędy i zejść schodami pożarowymi albo zjechać windą towarową.

— Przepraszam cię na moment, babciu — powiedział. Zerwał się, rozlewając herbatę na spodeczek. Pospieszył za Tiffany.

— Co tu się właściwie dzieje? — chciała wiedzieć babcia. Ale Perkins już biegł korytarzem.

Z początku pomyślał, że udało jej się uciec. Z prawej widział wyjście awaryjne, ciężkie metalowe drzwi z zasuwą. Po lewej miał ciemny otwór wejścia do sypialni. Pomyślał: uciekła, zdążyła uciec. Stał w drzwiach sypialni. Zobaczył ją.

Pochyliła się w ciemności, podnosiła coś z podłogi koło łóżka babci. Wyprostowała się, a on zobaczył, że była to torba podróżna. Czerwona torba podróżna, ta sama co przedtem. Tiffany odwróciła się. Zrobiła krok ku drzwiom, zanim zauważyła, że stoi tam Perkins.

— Przepuść mnie, Oliver — powiedziała cicho, bez tchu. Zrobił ku niej krok.

— Najpierw powiedz mi prawdę.

— Sam znasz prawdę. Tylko nie chcesz jej przyjąć do wiadomości. Po prostu mnie przepuść.

Ruszyła prosto na niego. Rzuciła się ku drzwiom, ciągnąc za sobą torbę, z głową podaną naprzód, jakby chciała zmieść go z drogi.

Tym razem Perkins nie dał za wygraną. Stał w drzwiach, serce mu waliło, strach krążył w żyłach. Tiffany zatrzymała się, podniosła głowę. Srebrne pasmo włosów odbiło blask światła z korytarza. Błysnęły zęby. I oczy.

- Puść mnie, ty durniu! Teraz już za późno, żeby to zatrzymać. Za późno, żeby zatrzymać cokolwiek. Boże! -krzyknęła. - Dlaczego mnie to spotyka?! Boże!

- Dzwonię na policję, Tiffany. - Nic innego nie przychodziło mu do głowy. Czując wewnętrzne dudnienie strachu, był zdolny do jednej jedynej myśli: „To ja zepsułem maszynę do pisania. Ja!” - Dzwonię do Mulligana.

Przez chwilę Tiffany tylko kręciła głową. Słyszał jej ciężki oddech, przełykanie łez.

- To dzwoni - powiedziała przez zaciśnięte zęby. - Na miłość boską, na miłość słodkiego Chrystusa, dzwoni.

I przez jeszcze jedną chwilę - jedną nie kończącą się chwilę - stali twarzą w twarz w drzwiach sypialni. Miał ochotę wyciągnąć rękę i chwycić ją. Miał ochotę znowu ją potarrosić i zmusić, żeby powiedziała wszystko. Żeby powiedziała, że Zach jest niewinny. Zach jest niewinny! Niech to powie! Zaciskał i rozluźniał pięści opuszczonych rąk, ale nie był w stanie ich podnieść. Bał się dotknąć jej ciała. Nie chciał czuć dotyku jej ramion pod swoimi dłońmi.

Odwrócił się plecami. Przy łóżku stał aparat telefoniczny. Staromodny, z połyskującą metalową okrągłą tarczą i ze słuchawką na widełkach. Na stoliku nocnym o wygiętych nóżkach. Perkins wiedział o nim. Ale nie przyszło mu do głowy, żeby z niego skorzystać. Po prostu o tym nie pomyślał. Przeszedł z powrotem do holu, mijając salon.

- Ollie?! - zawołała babcia ze swojej kanapy.

Minął ją i poszedł do kuchni. Tam też był telefon. Wisiał na ścianie koło lodówki. Podniósł słuchawkę. Przyłożył do ucha. Stał i gapił się na przyciski z numerami. Zawiesił nad nimi dłoń. Ale nie zaczął wybierać numeru. Po prostu stał i gapił się. Trzymał słuchawkę przy uchu. Słuchał ciągłego sygnału. Kątem oka widział kuchnię: ściany, sprzęty. Połyskujące miedziane garnki. Zielone linoleum na podłodze. Gapił się na telefon i słuchał sygnału, póki ten się nie urwał. Odezwał się głos z taśmy: „Żeby uzyskać połączenie, proszę odłożyć słuchawkę i wybrać ponownie numer...”

Słuchawka powoli wróciła na swoje miejsce. Perkins wpatrywał się w aparat. W środku poczuł czerń i chorobę. Nagle

przyszła mu do głowy dziwaczna myśl: „Dziś wieczorem umrę”. Ot, po prostu. I od razu nabrał całkowitej pewności, że to prawda. „Zabijają mnie”. To nie było mętne przeczucie. Taki był logiczny wniosek. Jeśli Tiffany i jej partner chcieli zrzucić na niego winę, to muszą go teraz zabić, nieprawdaż? W przeciwnym wypadku mógłby się oczyścić z zarzutów. Przekonać policję. A gdyby go zabili, gdyby upozorowali wypadek albo samobójstwo... No, wtedy nikt nie miałby wątpliwości. „I Zacha też”.

„Zacha też - pomyślał. - Racja. Musieliby też zabić Zacha...”

Patrzył na telefon. Zwieszzone po bokach ręce zaczęły dygotać. Strach w jego wnętrzu przestał przypominać motyla. Stał się czymś w rodzaju nietoperza. Przyczajonego gdzieś w brzuchu. Ze złożonymi skrzydłami. Gotowego rozpostrzeć te skrzydła. Gotowego wzlecieć...

„Sam znasz prawdę. Tylko nie chcesz jej przyjąć do wiadomości”.

Wpatrywał się w aparat telefoniczny i drżał. Dlaczego nie zadzwonił na policję? Sam nie wiedział. „Powieм wszystko”.

I dlaczego - teraz dopiero sam się zdziwił - dlaczego niq skorzystał z telefonu w sypialni? Po co przyszedł tutaj?

Zamknął oczy. Serce zaciążyło mu kamieniem. Nietope-rzopodobne stworzenie w środku przeciągnęło się, zatrzepotało skrzydłami, tęskniąc do lotu, lecz nie mogąc przerwać powłoki jego ciała. Wiedział jednak, że polecą, jeśli mu na to pozwoli. Chwila nieuwagi, i przedrze się na powierzchnię. Szczercząc zęby i skrzecząc. Jeśli sobie na to pozwoli. Jeśli za długo będzie trzeźwy. Jeśli pozwoli sobie kogoś pokochać. Jeśli pozwoli sobie pisać wiersze, wtedy to coś wzięci...

Wzięci i zrujnuje wszystko. Zniszczy wszystko, co kochał; każdego, kogo kochał.

„Tylko nie chcesz przyjąć do wiadomości”.

Z wysiłkiem podniósł głowę. Odwrócił się i popatrzył w korytarz. Wiedział, co zobaczy.

Drzwi naprzeciwko sypialni były szeroko otwarte. Tylne wyjście. Zasuwa odsunięta. Widać czarny skrawek korytarza

awaryjnego pomiędzy ościeżnicą i krawędzią ciężkiego metalowego skrzydła drzwi. Perkins stał bez ruchu i patrzył, a to czarne stworzenie przycupnięte głęboko w brzuchu - o zwiniętych znowu skrzydłach, czerwonych, pełnych utęsknienia oczach - czekało. Czekąo na właściwy moment...

- Ollie? - To był głos babci. Słaby i drżący. Wołała go z salonu. - Ollie? Co się stało?

Perkins milczał. Zaczepnął powietrza. Zebrał się w sobie. Stał przed aparatem telefonicznym i patrzył przez korytarz na otwarte drzwi.

„Uciekła - pomyślał tępo. - Tiffany uciekła”.

I tak było. Wypuścił ją.

Nancy Kincaid

Nancy ocknęła się na dźwięk syren. Syreny w powietrzu nad jej głową. Czerwone demony przefruwały z wyciem to tu, to tam. Migotały: czerwonym światłem, białym światłem... Przekręciła się na wznak i jęknęła. Otworzyła gwałtownie oczy. Zobaczyła niebo. Wymyte do białości bezgwiezdne niebo Manhattanu. Okrągły, bliski pełni księżyc wśród tęczowych strzępków chmur. Poszarpany miejski widnokrąg: drapacze chmur sterczące w niebo jak palce, które pragną pochwycić granatową ścianę nocy.

- O Boże - stęknęła. Bolało bardzo. Syreny wydzierały się na nią. Atakowały nurkowym lotem prosto w jej głowę. Uuaa, uuaa, uuaa. Coraz głośniej. „Jadą tutaj - pomyślała półprzytomnie. - Jadą tutaj, żeby mnie dopaść”. Podniosła się odrobinę. Co za ból! Aż odrzuciła głowę do tyłu i otworzyła usta w bezgłośnym okrzyku. Czuła się, jakby ją obito kijem baseballowym. W głowie dzwoniło, łupało -Jezus Maria! Złapała się za głowę, jakby bała się, że mózg wypłynie z rozbitej czaszki. Wycie syren było nie do wytrzymania. Czerwone błyski tańczyły po niebie.

Poczuła we włosach jakąś wilgoć. Coś ciepłego i lepkiego tuż nad skronią. Oderwała dłoń i przyjrzała się swoim palcom.

„Krew?”

Tak jest. Krew. Co się stało, na miłość boską? Gdzie się znajduje? Spróbowała się rozejrzeć. Szyja zaboląła ją niemiłosiernie, oczy zasłyły mgłą. Mrużyła powieki, usiłując coś dojrzeć w ciemności. Zobaczyła nad sobą karła. W sprośnym przysiadzie tkwił uczepony ściany z cegieł. Szczerzył zęby, rozkraczał nogi, błyskał złośliwie oczkami. Uniesionymi rękami podtrzymywał alabastrowy gzymś. Wyglądał tak, jakby miał zamiar rzucić w nią tym gzymsem.

„Maszkarony” - przypomniała sobie. Racja. Teraz już pamięta. Kamienne maszkarony ożyły. Łaziły po ścianie budynku i nękały ją. Ach, tak. Dziś od samego rana. Poruszyła się i ból przeszył jej plecy, aż stęknęła. Zdołała się jednak podnieść do pozycji siedzącej. Syreny wznosiły wokół niej masywną kopułę brzmienia, hałas dudnił w uszach, otaczał ją, wtłaczał w ziemię. Zamrugła oczami. Popatrzyła na smołowaną powierzchnię, na której siedziała. To też sobie przypomniała. Stała na narożnym gzymśie, a potem upadła. Lexington Avenue miała po lewej, po prawej niski łącznik z oficyną. Upadła na dach łącznika. Gdyby poleciała w drugą stronę, gdyby upadła na ulicę, to nie policja by po nią przyjechała, ale zakład oczyszczania.

Prawie wybuchnęła śmiechem, ale zaraz się skrzywiła, bo poczuła coś jakby uderzenie pięścią w brzuch. Klęknęła i podpierając się rękami, spróbowała stanąć na nogi. Kryty papą dach i migające błyskami niebo zachwiały się i zakreśliły. Syreny dudniły pod czaszką. Otworzyła szeroko oczy, z trudem zwalczyła falę mdłości. Pamięć wracała po kawałku. Migawkami skąpanymi w czerwonym świetle, które było wszędzie. Jej matka. Twarz jej matki. Napiera na nią. Jej głos. „Zbrodniarka! Zbrodniarka!” - Uch! - jęknęła z bólu, stając na nogi. „Zbrodniarka!”

I głos spikera telewizyjnego: „Bestialskie zabójstwo Nancy Kincaid”. „Zbrodniarka!”



„Kim jestem, do diabła?!“ - pomyślała.

Wstała z wysiłkiem. Niepewnie. Kości zdawały się skrzypieć, gdy się prostowała. Znowu zajęczała. Popatrzyła na siebie. Dżinsy rozdarte na kolanie. Skóra poobcierana, zakrwawiona. Szary golf ma rozerwany rękaw, jest poplamiony krwią, brudny z przodu.

„Pięć minut temu się przebrałam, a jak wyglądam. I szminka pewnie się rozmazała i...”

Syreny ucichły. Tak po prostu, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Jeszcze przed chwilą wypełniały całą przestrzeń aż pod niebo — a teraz cisza; tylko światła ostrzegawcze migają bezgłośnie czerwono i biało. Nancy stała chwiejnie w tej niesamowitej prawie ciszy, wypełnionej tylko szumem wiatru i odgłosami ruchu ulicznego. Miała wrażenie, że jej głowa kołysze się luźno na szyi. Myśli pełzły leniwie i niepewnie, jakby pływały pod wodą. Słyszała trzaskanie drzwi na ulicy poniżej. Kuśtykając na sztywnych nogach, ruszyła w stronę dźwięków. Znalazła się na skraju dachu. Był tam niski murek, rodzaj attyki czy balustrady. Oparła się o niego rękami. Spojrzała w dół na Lexington Avenue.

Wozy policyjne stały z prawej strony. Grupka przy rogu Gramercy. Sześć ich było, z tego co widziała. Za rogiem być może więcej. Boże, pomyślałby kto, że jest wrogiem publicznym numer jeden albo kimś takim, tyle się ich na-zjeżdżało. Migacze obracały się szybko. Rzucaly błyski na ściany budynków, na konary i pnie drzew, na parkowe posągi i żeliwne ogrodzenie. Czerwono-białe światła wszędzie. Nancy oparła się o parapet i patrzyła. Funkcjonariusze wysypywali się z wozów. Dwóch z jednego, jeden z następnego. Dwóch z trzeciego. Wszyscy biegli ku głównemu wejściu do budynku. Srogie miny, prawe dłonie na kaburach. Nagle z Dwudziestej Pierwszej Ulicy wyjechała wielka niebiesko-biała ciężarówka. Cała ciężarówka! Długa chyba na całą ulicę i na piętro wysoka. Nancy patrzyła oniemiała, jak otwierają się tylne drzwi i wysypuje się z nich armia policjantów. W kamizelkach kuloodpornych i hełmach z pleksi-glasowymi osłonami na twarz. Z metalowymi tarczami. Oni też rzucili się biegiem do frontowego wejścia.

- Rany! - mruknęła Nancy. Pokręciła głową. Poczula się zmęczona. Tylu tych gliniarzy, wszyscy huzia na nią. Taka jest obolała. Za bardzo, żeby uciekać. A właściwie co by się stało, gdyby ją teraz złapali? Co by w tym było, tak naprawdę, takiego złego? Zabrałiby ją pewnie z powrotem do szpitala. Znow naszprycowali środkami uspokajającymi. Może by nawet miała sesje terapeutyczne, z tym... jak mu było, doktorem Schweitzerem, czy jakoś tak. Tym uroczym panem, którego kopnęła w jaja. A potem, któregoś popołudnia usiadłaby sobie z Billym Joe. Pogawędziła o bohaterских wyprawach po magiczne zaklęcie, o wysłaniu wszystkich martwych Żydów na księżyc...

Powieki jej opadły. Zaczęła się kołysać w przód i w tył z otwartymi ustami. „Czy byłoby źle?” - pomyślała. Test przecież taka zmęczona. Taka zmęczona

„Oliyer...”

Ocknęła się natychmiast. Wyprostowała, chwyciła mocniej balustrady; jej paznokcie zazgrzytały na betonie. Serce uderzyło szybciej, oczy otworzyły szeroko, z napięciem wpatrzyła się w policjantów na dole. Granatowi mężczyźni z dłońmi na rękojeściach rewolwerów biegli do budynku w pulsującym czerwonym świetle.

A ona pomyślała: „Oliver. Oliyer Perkins”. Trzeba go znaleźć. To jest cel. Najpilniejszy cel. Jedyne cel, którego jest naprawdę pewna. Pamiętała go. Nie. Pamiętała dotyk książki. Sliskość białej okładki pod palcami.

„Dał mi ją. Powiedział, że mam ją wziąć jako znak rozpoznawczy”.

Pamiętała szorstką powierzchnię kartek, dotyk rożka papieru między kciukiem a palcem wskazującym. Wydrukowane czernią słowa przed oczami.

*A gdybyśmy tak razem odeszli w te wzgórzka? Coraz dalej we wzgórzka za tamtymi wzgórkami, Gdzie liście się przemieniają?*

*Gdzie pierwsza zapowiedź szarości między gałęziami*

*Wkrada się w moje wnętrze jak wspomnienie Sprzed wieku młodzieńczego, Które umknęło świadomości...*

Pamiętała ten rytm, tę muzykę słów. Nie do końca je rozumiała, owszem. Przecież to poezja. Rany boskie! Jakże ona ma pojęcie o poezji? Ale czuła to. Uchwyciła to wrażenie; pamiętała dobrze. Ta pełna łagodności melancholia. To znaczenie życia i śmierci, przypełzające z lasu do tego mężczyzny, który siedzi i patrzy w noc. Pamiętała jego oczy, te oczy pełne osamotnienia: portret autora z tyłu okładki. I ona tam siedziała, prawda? Przez chwilę po dziewczynsku rozmarzona. Książka na kolanach, wspomnienia: o tym, jak to było, kiedy chłopak mówił różne słowa, słowa tak głębokie, i nachylał się, patrzył w oczy, a ona wierzyła... Siedziała i marzyła o tym pokoiku na poddaszu, w którym miała leżeć, jej zapalczywe, szczupłe, katolickie ciało nagie pod cienkim prześcieradłem. A on zgarbiony nad biurkiem, posepny; pióro biega po kartce w kręgu światła lampki...

„Oto Zwierzęca Godzina”.

Zachwiała się, przytrzymała murku, bliska omdlenia. Zwierzęca Godzina. Tak. Tak. Ona musi tam być. Musi. Może już jest za późno? Straciła poczucie czasu. Może to już się stało.

„Oliver”.

Chcą go zabić. Ona musi tam być. Musi dotrzeć w porę.

Nie namyślając się, zaczęła przełazić przez murek. Krzyknęła z wysiłku. Jej plecy, kolana, głowa - wszystkie te bóle stopiły się w jeden palący sztych przeszywający całe ciało. Mimo to przełożyła nogę przez betonową przeszkodę. Spojrzała na dół. Do chodnika daleko. Połamie sobie kończyny. Skręci kark...

Ale jest okno. Poniżej, w połowie drogi do chodnika. Gdyby udało się jej spuścić na parapet, oprzeć na nim stopy...

Podniosła wzrok trochę wyżej. Spojrzała na róg ulicy. Do wejścia biegła następna partia policjantów. Inni stali, oparci o swoje samochody, z mikrofonami krótkofalówek w dłoniach. Żaden nie patrzył w jej stronę. Pokonała murek, jęcząc z bólu. Przytrzymując się go rękami z drugiej strony, powoli spuściła nogi.

Wisiała tak, z twarzą przytuloną do ściany. Rozciągnięte mięśnie rąk, utrzymujące ciężar całego ciała, bolały jak

przypiekane żywym ogniem. W głowie dudniło. Zatrąbił klakson. Nancy zapało dech. Palce zaczęły się ześlizgiwać. Ktoś zawołał do niej z przejeżdżającego auta. Usłyszała śmiech, cichnący w miarę oddalania się samochodu.

Zziajana, próbowała sięgać nogami jak najniżej. Łzy bólu zalewały jej oczy. Ból nie do zniesienia przeszywał całe ciało. Czubkami tenisówek dotknęła parapetu. Palce ześlizgiwały się z krawędzi attyki.

W końcu opadła na parapet okna. Przycisnęła policzek do muru. Przez moment balansowała w chwiejnej równowadze. Ale tylko przez moment. Potem okręciła się i pół-spadła, pół zeskoczyła na chodnik.

To było miękkie lądowanie. Leciąca niedługo. Dotknęła ziemi stopami, ale nogi nie wytrzymały. Uklękła. Chodnik rąbnął ją w nagie kolana. Wyrwał się jej stłumiony krzyk, upadła twarzą do przodu. Rozciągnęła się jak długa.

Poczuła smak ziemi. Szorstki kamień drapał w policzek i w nos. „Mam nadzieję, Oliver, że to docenisz” - mruknęła do siebie. Potem się podniosła, wsparta na dłoniach i kolanach.

- Nic się pani nie stało?

Krzyknęła z przestachu. Poderwała głowę. Zobaczyła wilkołaka. Stał nad nią wilkołak. W mundurku ucznia szkoły średniej.

Szczerzył kły. Czerwone oczy błyskały z pokrytej szczeciniastą sierścią twarzy. Wyciągał do niej kosmatą łapę.

- Pomóc pani?

- Aaaa! - powiedziała. Wlepiała w niego wzrok. — Aaa-**£L 3, 113.3.** a! — Odpełzła od niego na czworakach, lekceważąc ból. Dotarła do ściany i wpijając w nią paznokcie, pozbierała się na nogi. Chrapliwie łapała powietrze. Wilkołak stał na swoim miejscu i gapił się na nią swoimi przekrwionymi oczami. Pokuśtykała od niego, byle dalej. Pokuśtykała Lexington Avenue w stronę rogu Dwudziestej Drugiej. Oglądała się trwożnie przez ramię. Obronnym gestem wyciągała ręce, jakby chcąc go odepchnąć.

Wilkołak wzruszył ramionami. Wsadził ręce do kieszeni dzinsów i podążył ku Dwudziestej Pierwszej, gdzie gromadziły się tłumy policjantów. Nancy zatrzymała się i od

prowadziła go wzrokiem. Stała i patrzyła. W głowie jej dudniło, serce tukało się jak opętane. Patrzyła, jak wilkołak podchodzi do mumii i Frankensteina. Cała trojka ruszyła w pulsującym świetle policyjnych kogutów.

Nancy odetchnęła głęboko. Podniosła głowę. Popatrzyła do górną wznoszący się ponad nią budynek. Zobaczyła otwarte okno, przez które wyszła. Powiewające tiulowe firanki, furkoczące w chłodnym październikowym wietrze. Jej ojciec wystawił głowę na zewnątrz. Zobaczyła jego siwe włosy. Wyciągał rękę i pokazywał palcem, którą poszła. Pokazywał w kierunku narożnika, skąd spadła na dach łącznika.

„Tyle że to nie mój ojciec - pomyślała Nancy. - Mo, ojciec nie żyje. Mój ojciec zmarł, kiedy byłam mała”.

Wyrzwał też policjant. Młody funkcjonariusz z wąsikami. Wychylał się wraz z siwowłosym mężczyzną. Patrzył na parapet, który pokazywał mu tamten. Nancy stała na chodniku i przyglądała się im. Za chwilę, pomyślała, policjant popatrzy w dół. I zauważy ją. Mimo to ani drgnęła. Nie miała ochoty się ruszać. Stała ze wzrokiem utkwionym w okno, myśląc o tamtej sypialni. O miękkim, przykrytym puszystą kołdrą łóżku. O lustrze. O zdjęciach roześmianych dziewcząt, koleżanek i przyjaciółek. Nie chciała się stąd ruszać...

Wzdrygnęła się. Zadrżała. „Oliver - przypomniała sobie. - Szybciej. Pora...” Trzeba się ruszyć.

Siwowłosy mężczyzna wyciągał palec. A gliniarz koło niego opuścił wzrok, uważnym policyjnym okiem badał fasadę budynku. Zaraz spojrzył na chodnik. Zobaczy ją.

Nancy wahała się jeszcze sekundę. „No cóż - pomyślała. - Do widzenia. Do widzenia”.

A potem odwróciła się. Poczłapała w drogę. Najszybciej, jak potrafiła. Byle za róg. W mrok. Znaleźć Olivera.

## Oliver i Zachary

Parada tuż-tuż. Gęsty tłum na Szóstej Alei zbił się w jedną masę. Ludzie stali na chodnikach. Napierali na niebieskie barykady policyjne. W maskach, przebraniach, wymalowani, pociągając piwo z ukrytych w papierowych torebkach flaszek, obserwowali jezdnię. Czekali na orszak. Za nimi, na wąziutkim pasku chodnika, który pozostał pomiędzy gapiami a straganami handlarzy, przeciskał się w kierunku centrum strumyk innych ludzi. Sprzedawcy przekrzykiwali gwar tłumy. Podsuwali pod nos karnawałowe maseczki ze światełkami na baterie, wypełniali nocne powietrze piskiem papierowych trąbek.

Perkins wyszedł z kamienicy, w której mieszkała babcia, i zobaczył, co się dzieje. Stanął w cieniu markizy, przyglądał się. Zaklął pod nosem. Mnóstwo czasu upłynęło, zanim zdołał się wyrwać z babcinych rąk. Siódma już dochodzi. I ten tłum - do domu trzeba będzie się przepychać.

Ale mniejsza o to. Trzeba dostać się z powrotem do Zacha. I tak zbyt długo zostawił brata samego. Może policja już wpadła na jego trop. Albo FBI. Albo morderca Nancy Kincaid...

Ruszył w stronę alei. Włączył się w nurt przebierańców płynący mętną ludzką rzeką. „Zabiją go — pomyślał, zacisnął usta, wbił przed siebie wzrok. - Zabiją i zwałą na niego morderstwo tej dziewczyny”. Łokciami torował sobie drogę przez ludzką masę. Nie zwracał uwagi na czarny ciężar w brzuchu, złowieszcze przeczucia zalegające w głowie mglistym pasmem. Parł naprzód w gęstym tłumie.

Musi się dostać z powrotem do brata.

W zaciemnionym pokoju, wśród zwałów książek, poprzekrzywianych stosów i uginających się półek, na wolnym, pustym kawałku podłogi klęczał Zach. Drobny, szczupły mężczyzna trzymał przed sobą złożone ręce. Pochylał głowę. Oczy miał zamknięte. Jego wargi poruszały się. Bezgłośnie modlił się do Jezusa.

Niech Ollie wróci na czas, modlił się. Cały plan weźmie w łeb jeśli Ollie nie wróci do domu i nie wyratuje go. Żadnych więcej narkotyków, jeśli Ollie wróci. Przysięga. Tak owszem, już przedtem przysięgał, ale teraz to już naprawdę. Naprawdę. „Błagam - modlił się - nie pozwól mi pójść do więzienia. Dobry Boże, proszę, tylko nie to. Daj mi szansę przekonać policję, że jestem niewinny. Ze to nie ja zrobiłem. Nie ja. Błagam...”

Mocniej zamknął oczy. Wpatrywał się w czerń pod powiekami. Próbował rozjaśnić sobie w głowie. Uwolnić umysł od wszystkiego, nawet od tych błagań. Osiągnąć stan absolutnej pustki. Pragnął, żeby wszedł w niego Bog. Pragnął, żeby wypełniła go boża moc. Chciał być jednością z Bogiem, jedną jedyną siłą pragnienia. ..

Lecz ten jego umysł... Nie dawało rady go oczyścić. Nawet w mroku, z zamkniętymi oczami... nieustannie te drobiazgi. Napierały zewsząd. Nie pozwalały się skupić, jak termity podgryzały siłę koncentracji. Odgłosy zza okna. Ruchy powietrza, świeżego październikowego powietrza niosącego zapach liści. Krzyki i śmiechy. A teraz jeszcze muzyka: orkiestry z parady.

- Niech to szlag trafi! - szepnął ochryple. I płacz dziecka. Gdzieś, nie wiadomo gdzie. Ten płacz wwierał się w uszy, wypełniał mózg. Nie dawał spokoju. Jakies dziecko płakało gdzieś nieustannie.

Wieże biblioteki jak zamkowe baszty rysowały się czarnymi sylwetkami na tle fioletowego nieba. Wysmukłe stożkowe hełmy połyskiwały w świetle latarni miasta i w białej księżycowej poświacie. Niżej ogromny tłum napiera z obu stron na pustą, pełną wyczekiwania aleję. Masy ludzkie przelewały się leniwie: od centrum wschodnim chodnikiem do śródmieścia - zachodnim; jakby na mocy jakiegoś niepisanego porozumienia. Policjanci kroczyli po jezdni wzdłuż barierek. Pod barierkami, na krawężniku, pousadzały się dzieci. Twarze miały ucharakteryzowane albo zakryte maskami. Wytrzeszczały oczy na przechadzających się policjantów.

Perkins minął Dwunastą. Znajdował się teraz na chodniku zachodnim, dokładnie pod biblioteką. Utorował sobie drogę ku strumieniowi przechodniów podążających w kierunku centrum i teraz płynął wessany przez tę magmę. Ze wszystkich stron pchały się na niego ciała. Łokcie spotykały się z jego łokciami. Ciepło oddechów, zapach potu i odor piwa wdzierały mu się do nozdrzy. Przepychał się przeciskał, próbując dostać się głębiej w nurt. Ale masa nie poddawała się łatwo. Miała swoje własne tempo. Pod zwieszającą się fasadą biblioteki, obok kępy pożółkłych platanów. Pod markizami sklepów, wzdłuż ciemnych wystaw z papierowymi czaszkami, dyniami i szczerzącymi zęby wiedźmami. Metr po metrze przesuwiał się jak ślimak. Czuł wyraźnie upływ czasu, czuł go jak tętno zewnętrznego świata. A wewnątrz metoperzopodobne stworzenie przyczało się ze zwiniętymi skrzydłami, czekając na moment wzlotu.

Może zastanie tylko puste mieszkanie, myślał. Albo znajdzie Zacha martwego, rozciągniętego na łóżku. Wokół krew, a głowa...

„Popatrz, co zrobili z moją głową, Oliverze”.

Stękając z wysiłku, przepchnął się między dwiema kobietami. Ze wszystkich sił powstrzymać wyobraźnię! Parł w tłum. Wciągnął głowę między ramiona, wciskał się w gęsto upakowaną ciżbę. Jego ulica. Cornelia Street. Tuż-tuż

Zaczęła się parada.

Orszak nadciągał aleją. Na czele dixielandowy jazz-band-słyszał kornety, które smętnie zawodziły *St. James Infirmary*. Widział odbłask latarni ulicznych w blasze trąbek, zostawiających za sobą przy każdym ruchu świetliste zielono-złote smugi. Za orkiestrą i nad nią, na platformie, tańczyły na tle nieba szkielety dinozaurów. Ogromne skamieliny z papier-mache kołysały się nad głowami trzymających je ludzi. Klauni i transwestyci błyskający cekinami podskakiwali z brzegów, rzucając w gapiów confetti i serpentyny. Przez tłum równoległe z czołem pochodu płynęła fala okrzyków. Dotarła do Perkinsa i zalała go. Rozbrzmiały papierowe trąbki, bębenki, grzechotki, kołatki. Tłum zbił się jeszcze mocniej.



Wreszcie Perkins się wyrwał. Wywinął z magmowatego potoku. Utykając, szedł Cornelia Street, w stronę swojej kamienicy.

„Zach”.

Ciężko dysząc, odpędzając od siebie złowieszcze przeczucia, biegł do domu.

Zachary wstał z klęczek, nim Oliver dotarł do mieszkania. Przechadzał się po pokoju wąskimi przejściami wśród książek. Na chrobot klucza w zamku zastygł w bezruchu, po czym obrócił się ku drzwiom. Otworzyły się, stanął w nich Oliver. Zmordowany, dysząc ciężko, wsparł się o futrynę.

„Dzięki Ci, Jezu” — pomyślał Zachary.

Kwadrans po siódmej, jeszcze nie jest za późno.

- Wszystko w porządku? - chciał wiedzieć Oliver. Oderwał się od futryny, chwiejnie wszedł do środka. Zatrzasnął za sobą drzwi.

Żaden z nich nie zapalił światła. Patrzyli na siebie w granatowym półmroku. Nie wiedzieć czemu, w ciemności zaczęli mówić przyciszonymi głosami, prawie szeptem.

Zachary wiedział już, co ma powiedzieć. Wszystko sobie ułożył. Mimo to słowa wychodziły drżące.

- Ona... ona tu była, Ollie. Przyszła tutaj.

Oliver odkaszlnął, próbował złapać oddech. Oparł się o ścianę, dotknął piersi.

- Kto? Kto tu był?

- Tiffany.

- Co?

Wyprostował się. Zachnie mógł dostrzec wyrazu jego twarzy. Nie chciał mu spojrzeć w oczy. Znów zaczął się przechadzać. Przygładził krótkie włosy.

- Tak. Właśnie tak. Leżałem w łóżku...

- Przyszła tutaj? — W szepcie Olivera brzmiało zdziwienie. Pokręcił głową. — Kiedy? Przecież przed chwilą ją widziałem. U babci. Wyszła, bo ja wiem, dziesięć minut przede mną.

U babci?! Zach przerwał spacer. Serce najpierw zacisnęło mu się jak pięść, następnie rozdeło do rozmiarów balonu,

po czym znowu się skurczyło. Co ona, do diabła, robiła u babci? Na litość boską! Absolutnie nie miała odwiedzać babci. Nikogo nie miała odwiedzać. Nikt jej miał nie widzieć. Miała siedzieć za miastem, ukryć się u matki, póki nie przyjdzie pora. Taki był plan. „WSZYSTKO DIABLI BIORĄ, JEZU, POMOCY!!!”

- Eee... tak, tak, racja - rzucił. Znow zaczął chodzić. Brat mu się przyglądał, patrzył na niego w mroku. Zach potarł sobie czoło. Przez okno wpadały dźwięki dixielan-dowej orkiestry. Trąbki nie zagłuszały jednak coraz głośniejszego płaczu dziecka: „Aaa, aaa, aaa”. Nie można się skupić. - Właśnie tak - brnął dalej. - Była tu, bo ja wiem, z dziesięć minut temu, właśnie. Ja... ja leżałem w łóżku... -Wrócił do zaplanowanej wersji opowieści. Oliver patrzył na niego, oddychając ciężko. - Leżałem sobie i usłyszałem pukanie. Pukanie do okna. Popatrzyłem. Boże, Ollie, to wyglądało, jakby pływała tu w powietrzu, w nocy; pływała za oknem.

Oliver popatrzył w okno, jakby się spodziewał ją tam zobaczyć.

- Weszła po schodach pożarowych — wyjaśnił.

- Tak, tak. No więc ja poszedłem...

- Skąd? Skąd wiedziała, że tu jesteś?

- Co?

- Skąd, do diabła, wiedziała, że tutaj jesteś, Zach?

- Nie wiem. Nie wiem - odparł szybko. Przechadzał się. Wbił wzrok w podłogę. Oczy strzelały to w prawo, to w lewo. Trzeba pomyśleć. - Znaczący... no właśnie. To mnie tak strasznie zaskoczyło. Zdziwiłem się i... wstałem... Podeszedłem do okna. Powiedziałem: „Tiffany...” No wiesz, pytam ją: „Co się dzieje, do diabła?” A ona powiedziała... powiedziała, że wszystko wie. Tak, Ollie. O morderstwie. O dziewczynie w starym domu. Powiedziała, że wie wszystko.

- Niech ją szlag, niech ją szlag! - Głos Olivera skrzypiał. Oczy zabłyśły mu nagle w ciemności.

Zach odwrócił się, żeby ukryć uśmiech. „Udało się! -pomyślał. - Dał się złapać!”

- Powiedziała ci? - zapytał Ollie.

- Ee... ee.. - stękał Zach. Na ulicy dudnił bęben, nie pozwalając zebrać myśli. I to cholerne dziecko! To spazmatyczne zawrodożenie, przechodzące powoli we wrzask frustracji i strachu. Dlaczego nikt nie uspokoi tego bachora? -Znaczy, powiedziała, że tutaj nie chce rozmawiać - wyrzucił wreszcie. - Chce... chce się ze mną spotkać. Gdzieś na osobności, tak powiedziała. Powiedziała, że wyjaśni wszystko, ale... ale gdzieś... no, gdzieś w cztery oczy.

- Nie! - Oliver pokręcił głową. - Nie, nie i jeszcze raz nie! Człowieku, to jest grubymi nićmi szyte.

Zachowi zamarło serce. Zatrzymał się wpół kroku. Przełknął głośno ślinę i odwrócił głowę, wbijając w brata wzrok.

- C-c-c-co? Co chcesz przez to powiedzieć?

Oliver nie odpowiedział od razu. Pokręcił jeszcze raz głową.

- Nie wiem, ale mam... mam takie przeczucie... Coś mi się w tym nie podoba. Całkiem nie podoba. Nie wiem dokładnie, co i jak, ale mi się nie podoba. - Po chwili rzucił: - A gdzie? Gdzie się chce spotkać?

I znów Zach skrył w mroku uśmiech.

- U ciebie w pracowni.

- U mnie w pracowni?

- W bibliotece. To był mój pomysł. Biblioteka jest zamknięta na czas parady, a ty masz klucz. Tylko ty. Rozumiesz? Całkowicie na osobności. Nikt nie dostanie się do środka oprócz ciebie. Tiff powiedziała, że chce się tam z nami spotkać o ósmej. Powiedziała, że wyjaśni nam wszystko. Powiedziała, że jeśli nie zjawimy się tam do ósmej, to ona wyjeżdża. - To była dobra historia. Oliver połknie haczyk, Zach był tego pewien. Ale dodał dla wszelkiej pewności: - Naprawdę się o nią martwię, Ollie. Zachowuje się zupełnie jak nie ona. Wpadła w jakieś poważne tarapaty. - To nawet w jego własnych uszach zabrzmiało fałszywie, ale brat nic nie zauważył.

Oliver chrząknął niezdecydowanie. Przeczesał oburącz długie włosy.

- Nie - powiedział. - Nie. Coś mi się tu nie podoba. Coś tu nie gra. Trzeba się zastanowić. Musimy to przemyśleć.

Zadzwoń do adwokata. Na policję. - Zacisnął powieki. Szarpnął się za włosy.

Zachowi pozostawało tylko patrzeć w milczeniu. Przyglądać się jego sylwetce i wstrzymywać oddech. Myślał: „Jezu, błagam Cię; błagam, Jezu”.

Oliver otworzył oczy. Rozejrzał się po pokoju. Jakies dziecko płacze, słyszysz? - zapytał.

Odgłosy parady zagłuszyły na chwilę płacz - żalosne zawodzenie przerywane wrzaskami złości. Róg Cornelia Street i Szóstej Alei mijają właśnie orkiestra dęta w starym stylu. Przez okno dobiegały tony *Halls of Montezuma*. Oliver nie był pewien, czy rzeczywiście słyszał to dziecko. Nastawił uszu. Zastanowił się. W głowie miał pustkę, jeśli nie liczyć świadomości czerni: tego ciężaru, tego czegoś przycupniętego w środku... Dziwne, przypomniała mu się nagle znowu ta górka i sanki. Zaśnieżone wzgórze koło domu na Long Island, kiedy był dzieckiem. Pomyślał o jeździe z góry na plastikowych saneczkach: oni dwaj, on i Zach.

„Tylko nie puść, Ollie. Tylko nie puść”.

Nagle Zach podszedł bliżej, jego twarz wyłoniła się z cienia. Była jasna i szczerą. Wielkie ciemne oczy patrzyły prosząco. Młodzieńczy głos drżał lekko.

- Idę do niej, Oliver. Ty nie musisz, ale ja tak. Rozumiesz? Kocham ją. Nic poza tym nie ma znaczenia. Nie obchodzi mnie policja, nic w ogóle. Po prostu idę.

Oliver patrzył na niego. Orkiestra przeszła. Znowu słyszał dziecko. Aaaa, aaaa, aaaa. To nie może być mały Avis, przemknęło mu przez głowę. Ona nigdy nie dopuszcza do tego, żeby tak płakał. Chryste, ona nigdy na dłużej nie odstawia go od cyca, chyba że go kładzie spać.

- Idę, Oliver - powtórzył Zach z dziecięcym uporem.

Oliver stał w milczeniu. Co ma powiedzieć. Że ją podejrzewa? Że ma złe przeczucie? Że jest niewierna. Że wie o tym na pewno, bo sam się przekonał? Stał w milczeniu, poruszał tylko wargami.

- Idę. Jest taki tłum, że mogę nie zdążyć. Muszę iść. Zach odwrócił się i poczłapał w głąb pokoju. Potem

zniknął w łazience. Oliver wiedział, że nie zdoła go powstrzymać. Wszystko na nic, kiedy się uprze.

Po chwili Zach wyszedł. Trzymał torbę, tę czerwoną torbę podróżną. „Taka sama jak jej - pomyślał Ollie. -Wszystko ma takie samo.

- Tabuny glin włóczą się po ulicach - powiedział. - Zgarną cię, ani się obejrzysz.

Zach wyciągnął z szafy długi szary płaszcz przeciwdeszczowy, włożył go, zapiał pod samą szyję. Z kieszeni wyjął czapkę i wcisnął ją na oczy.

- Poradzę sobie — odparł.

Oliver parsknął. Zacha niemal nie było widać spod tego ubioru. Jakby włożył czapkę niewidkę. Zach podszedł do niego i wyciągnął rękę.

- Muszę się z nią zobaczyć, braciszku. Muszę iść. Daj mi klucz do biblioteki.

Bracia stali w milczeniu w ciemnym pokoju. Tłum za oknami wznosił okrzyki. Niemowlę płakało.

- Dobrze - powiedział Oliver po dłuższej chwili. - Dobrze, idę z tobą.

„Dobrze! Dobrze! Chwała ci, Panie!" Zach nie posiadał się z radości. Omal że nie skakał do góry, schodząc po schodach przed Oliverem. Omal nie chichotał po cichu. „Alleluja!" Ziszcza się wszystko. Ma Olliego w rękach. „Hurra!" Trzymał mocno pasek czerwonej torby. Teraz to już łatwizna. Wciąż mają dość czasu, żeby dotrzeć do biblioteki. Mnóstwo czasu, żeby załatwić wszystko jak trzeba, zrobić podmiankę z Tiffany - i fruuiu! - dwadzieścia pięć tysięcy dolców mają w kieszeni. Nawet jeśli babcia ją widziała, wymyślą takie czy inne alibi. Poza tym jak się babcia dowie, że Oliver nie żyje -cóż, wyciągnie kopyta, murowane. Zyg-zyg-zyg-zyg. A jak! Bóg nadal go kocha. Wszystko wybaczone. Bez wątpienia.

Chwycił klamkę drzwi wyjściowych. Otworzył je. Obejrzał się, żeby popędzić brata. Olivera nie było.

Zach aż podskoczył. Rozejrzał się wokół zdumiony, jakby podejrzewał, że Oliver znikł. Potem wrócił na podest schodów. Popatrzył do góry. Otworzył usta. Zmrużył oczy w ostrym świetle gołych żarówek na korytarzu.

Oliver wciąż stał na podeście pierwszego piętra. Trzymał dłoń na poręczy, jakby chciał dalej schodzić. Ale nie ruszał się. Głowę miał podniesioną, przekrzywioną, jakby nasłuchiwał. Patrzył gdzieś w bok.

- Ollie! Ollie! - zawołał Zach. - Chodź! Chodź! Nie mamy czasu. Musimy iść.

- To słyhać z góry — mruknął Oliver.

- Co? — spytał Zach. - Co słyhać z góry? Chodź! Oliver wahał się nadal. Pokręcił głową.

- To dziecko Avis - powiedział.

- Ollie! No chodź. Pospiesz się. Pos...

Zachary zamilkł. Słowa zamarty mu w ustach. Uschły na pył. Na podniebieniu poczuł jego smak. „Dziecko Avis”.

Rewolucja w brzuchu. Przez chwilę myślał, że się zesra na stojąco. Zacisnął pośladki. Gapił się na Olivera.

„Miała dziecko. Cholerneho bachora”.

Od razu zrozumiał, że tak musiało być. Jak tylko Ollie powiedział. Jezu! Jezu Chryste! Po co tak piekielnie zwlekał w tym jej mieszkaniu! Mógł sprawdzić te przekłete drzwi. Miał zamiar. Te zamknięte drzwi. Tamten pokój. Powinien był to sprawdzić! Tam był dzieciak!

Poczuł, że twarz oblewa mu wrzątek. Wezbrała w nim fala bezsilnej złości. Odbijała się jak echem w gniewnych krzykach dziecka. Oszukała go! Wstrętna baba! Dziwka! To dlatego zaczęła mówić te wszystkie świństwa. Chciała go sprowokować. Odwrócić jego uwagę. Odciągnąć od drzwi. Żeby nie znalazł dziecka. Żeby nie zabił tego jej kurewskiego bachora!

Zach aż prychnął z wściekłości. Oblizał wargi. Posmakował pył w ustach, gorzki pył. Ach. Ach, pomyślał. Zrobiłby to, a jakże! Oczywiście. Oczywiście. Jednym ciosem przybiłby tego zasmarkanego gówniarza do łóżka. A w każdym razie nie dopuściłby do tych wrzasków. Do tego, żeby

Oliver, zamiast iść z nim, szedł teraz na górę i sprawdzał, co się stało...

Zach, z poczerwieniałą twarzą, patrzył ku szczytowi schodów. W brzuchu kręciło jak w starej betoniarni. Właśnie tego wszystkiego chciał uniknąć.

- Oliver! - powtórzył, ale głos tak mu osłabł, że brat pewnie wcale go nie usłyszał. - Ollie...

- Zaczekaj chwilę, Zach - powiedział Oliver. Zdjął rękę z poręczy, odwrócił się. - Zaczekaj. Muszę tam zajrzeć.

Zach postępował za bratem. Ciężko jak skazaniec. Głowę zwiesił; jego kroki dudniły po stopniach. Dlaczego Bóg aż tak go nienawidzi? Dlaczego nie chce mu wybaczyć?

Człapiąc powoli na górę, usłyszał walenie. To pięść Olivera dobijała się do drzwi Avis. Dochodziło zza nich kwilenie dziecka. Oliver zawołał:

- Avis! Ave! Jesteś tam? Co się stało?

Zach dotarł na piętro. Zobaczył brata przy drzwiach, z uniesioną pięścią. Na klatce schodowej pojawiła się też kobieta, wyglądała z sąsiednich drzwi. Chuda kobieta o woskowej cerze i wścibskich oczach. Ręce złożone jak do pacierza.

- Ten jej dzieciak nigdy tak nie płacze. Nigdy. Dba o niego. - Miała brytyjski akcent.

Zachary przyglądał się spode łba, przygarbiony. „Zeby ją cholera wzięła. Pieprzona baba!”

Oliver sięgał do kieszeni po klucz. Ma przecież klucz, prawda? Mruczał do siebie:

- Jeśli ten jej cholerny były tam jest... jeśli to ty, Randall, jeśli to twoja sprawka, to nie wiem, no, tak ci dołożę, że cię rodzona matka nie...

Wsunął klucz do zamka. Zach po prostu się przyglądał, nadąsany. Jak go powstrzymać? Nic mu nie przychodziło do głowy. „Cholerna baba! - mełł w ustach bezsilne przekleństwa. - Niech ją szlag!” Oszukała go. Nabrała.

Oliver otworzył drzwi. Krzyk dziecka rozległ się nagle

głośniej. Ochryple, spazmatyczne łkania zalewały ich falami. Wszedł do środka.

Zach westchnął żałośnie. „Gówno!” - pomyślał. Pokręcił głową. Nie poszedł za bratem do mieszkania, po co? Dopiero kiedy usłyszał dziki wrzask Olivera, poczłapał do drzwi. Wścibska kobieta podrobiła za nim.

- O Boże! - usłyszał jej jęk.

Oliver stał tuż za progiem. Głowę miał odrzuconą do tyłu. Rękami złapał się za sweter. Jakby chciał go rozedrzeć na piersi. Zach, nachmurzony, przyglądał się krzyczącemu bratu.

„Daj spokój, Oliver, nie przesadzaj, na miłość boską”.

Oliver patrzył na Avis Best. Leżała nieruchomo i w milczeniu na podłodze, tam gdzie ją zostawił Zach. Leżała na wznak koło płóciennego krzesła. Jedną ręką spoczywała na krześle, druga była odrzucona do tyłu. Rozsypane blond włosy czerniały w tych miejscach, gdzie wsiąkła w nie krew z kałuży otaczającej jej głowę jak szkarłatna korona.

Twarz miała odchyłoną, podbródek wysunięty. Okulary przekrzywiły się na nosie. Oczy były zamknięte.

Szyja rozplątana głęboko.

Z drugiego pokoju wołało ją rozpaczliwie dziecko. Ale ona nie żyła. Z całą pewnością.

Nancy Kincaid

- Oliver Perkins! - krzyknęła do słuchawki.

„Mój ojciec nie żyje” - pomyślała. Musiała przekrzykiwać podchmielonych nastolatków. Było ich trzech; biali chłopcy; siedzieli na chodniku. Ubrani w jakieś czarne szmaty, twarze uczernione. Polewali się jakimś zielonym paskudztwem z aerozolowych rozpylaczy. Śmiali się i wrzeszczeli. Kitwasili się na chodniku za jej plecami. Krzyczeli:

- Halloweeeen! Halloweeeeeen!!!



— Nie. Perkins! — wołała Nancy do słuchawki. — Tak jest. I adres też poproszę.

Chwila ciszy. Gdzieś dalej przejechała z hukiem ciężarówka. Nieliczne samochody spieszyły na peryferie. Pijani chłopcy uspokoili się natychmiast na dźwięk syren. Następne syreny: jeszcze dwa wozy policyjne pędziły Park Avenue. Tuż koło budki telefonicznej skręciły z piskiem opon w przecznicę, w stronę Gramercy.

„O mój Boże — pomyślała Nancy — czy oni nie mają dzisiaj nic do roboty?”

Odezwał się z taśmy głos telefonistki biura numerów. Nancy zatkała palcem drugie ucho. Chłopcy skakali w kółko jak w jakimś wojennym indiańskim tańcu. Wrzeszczeli coś na melodię *Bad Moon Rising*.

— Numer telefonu... mówił daleki głos.

Nancy słuchała z zamkniętymi oczami. Powtórzyła szeptem cyfry. Nie podnosząc powiek, czekała, aż odezwie się żywa telefonistka.

„Mój ojciec nie żyje” — pomyślała. I - wciąż nie otwierając oczu — zobaczyła pusty korytarz za drzwiami swojego pokoju z dzieciństwa. Był taki ciemny, taki ciemny bez niego. I wypełniony starymi duchami, których się bała. Zębate potwory, węże i czerwonoookie upiory wyłaziły ze swoich kryjówek, wypełzały jak smugi dymu ze szpar w podłodze. Dom, który ją otaczał, był wielki i pusty. Nic go już nie chroniło; nie wypełniała go mocna, obronna aura ojca. Jej ojciec nie żył. Wpadł. Wpadł w coś złego...

„Towarzystwo. Tak. W złe towarzystwo”.

Wpadł w złe towarzystwo. Oparła się o ścianę budki, słuchawkę trzymała przy uchu, oczu nie otwierała. Przypomniała sobie głos matki. „To byli bardzo, bardzo źli ludzie. Hazardziści. Gangsterzy. Chcieli od niego pieniędzy, rozumiesz, a on... a on nie miał dość pieniędzy, nie miał dość, żeby im dać...”

Pijani chłopcy darli się jak opętani.

Nancy opierała się o budkę. Zaciskała usta, żeby się nie rozplakać. Nawet teraz, w tej chwili, czuła, jak w brzuchu narasta złość. Wrząca, zapiekła złość. Aż do mdłości. To

była złość na nią: na matkę. Kipiąca furia na tę kobietę o znużonym spojrzeniu, która siadywała noc w noc na krawędzi jej łóżka. Słaba pociecha w strachu przed ciemnością. Co dawało to jej siedzenie? Siedziała i gadała na ojca. Mówiła o nim te okropne rzeczy. Dlaczego w ogóle do tego dopuściła? Dlaczego jakoś temu nie zaradziła?

- Czym mogę pani służyć?

Nancy otworzyła oczy. Park Avenue ciągnęła się daleko, światła na skrzyżowaniu świeciły jaskrawą zielenią. Nocny wiatr tarosił drzewa i krzaki na pasie zieleni pośrodku. Ruch uliczny sunął z przyjemnym szumem. Pijane wyrostki poszły w kierunku śródmieścia, ich głosy cichły.

- Chciałabym też jego adres - wychrypiała. - Adres Olivera Perkinsa.

- Cornelia Street - odparła kobieta.

Nancy wzdrygnęła się na dźwięk tych słów, jakby dotknięta kawałkiem lodu. „Cornelia Street - pomyślała. - Mieszka przy Cornelia Street. Mieszka, żyje. Jest prawdziwy. Nareszcie coś prawdziwego”.

Rozłączyła się i wybrała nowy numer, powtarzając szeptem cyfry. Nie słyszała własnego szeptu, ponieważ aleją pędził, błyskając światłami, kolejny policyjny radiowóz. Wyjął i trąbiąc. Z trudem słyszała sygnał w słuchawce. Telefon u Perkinsa dzwonił.

„Dzień dobry, panie Perkins - myślała. - Jestem schizofreniczną ofiarą morderstwa i mam dziś pana zabić. A tak na marginesie, podobają mi się pańskie wiersze. Niech pan ucieka, ratuje życie, dobrze?”

Telefon dzwonił i dzwonił. Syrena robiła się coraz głośniejsza. Ogłuszyła ją, gdy samochód dojechał do rogu. Przestała słyszeć sygnał. Koguty radiowozu zalały jej twarz czerwonym i białym światłem; auto na pełnym gazie z piskiem opon skręciło w przecznice.

Wycie syreny ścichło trochę. Potem umilkło. Teraz słyszała: telefon nadal dzwonił. Nikt nie odbiera. Odwiesiła słuchawkę. Stała przez chwilę, gapiąc się w aleję. Tuż obok była wystawa sklepu ze sprzętem gospodarstwa domowego. Stał tam zegar. Przykuł jej wzrok.

Wskazywał dwadzieście pięć po siódmej. — Cornelia Street - wyszeptała. Ruszyła, kulejąc, do przystanku metra.

Oliver Perkins

Perkins siedział na podłodze przy zwłokach Avis. Ociekającą świeżą krwią rękę wsunął pod jej głowę i ułożył ją sobie na kolanie. Zakrwawioną dłonią gładził policzek dziewczyny, jakby chciał ją pocieszyć. Policzek był miękki, zdawało mu się, że jest żywy. Skóra wciąż jeszcze pozostała ciepła.

Gapił się przed siebie na pusty pokój. Wpatrywał w poplamione białe ściany; w okno; w noc. Nie widział niczego ani niczego nie słyszał. „Dziwne — pomyślał - jak od razu drętwieje człowiekowi serce”. Tak samo było, gdy znalazł matkę. Nic się nie czuje. Nie płacze się. Chciałoby się płakać, a tu nic. Zwiesił głowę. Szkoda, że nie może płakać. Naprawdę. Szkoda, że nic nie czuje. Przecież byli ze sobą blisko. Przecież będzie tęsknił. Dzień w dzień. Przyglądał się jej twarzy; może uda się nawiązać kontakt — z nią, z pojęciem bliskiej osoby. Może uda się chociaż przez chwilę coś poczuć. Tymczasem ona leży jak zepsuta rzecz. Twarz ma lepka od krwi; sam ją wysmarował. Usta rozchylone, bezwładne. Rozpłataną szyja; rozcięcie jak drugie usta -szkarłatne, rozdziawione — jak pysk ryby; ohydne. Poklepał ją po policzku; nowa krew pociekła z rany. Głowa zakołysała się zbyt swobodnie, odcięta od korzeni.

Perkins odwrócił wzrok. Zagapił się znów na białe ściany.

Potem po dłuższej chwili usłyszał dziecko. Odzywało się ze swojego pokoiku. Pochlipywało żałośnie. Odwrócił twarz w tamtą stronę. Doszedł go też głos Philippy Wallabee, Angielki, najbliższej sąsiadki Avis. Siedziała w dzieciennym pokoju i próbowała uspokoić dziecko. Jęknęła tylko raz, na samym początku; potem poszła tam, opanowana i sztywna

jak głaz. Przymaszerowała obok ciała Avis, w chwili gdy Perkins opadał przed nim na kolana...

- Chyba jest... - Musiał odchrząknąć. - Chyba jest głodny! - krzyknął do sąsiadki. - W lodówce jest pokarm, Philipppo.

- Tak! - odkrzyknęła pani Wallabee. - Ale wolę, Oliver, żeby on tego nie widział. Przynieś mi, jak będziesz mógł.

Pani Wallabee była właścicielką sklepu z ceramiką i galanterią w Szóstej Alei. Perkins uważał ją za zadzierającą nosa, zarozumiałą sztywniaczkę. Jednak teraz jego opinia nie miała znaczenia. Żadna opinia nie miała znaczenia. Nic nie miało znaczenia.

- Dobra — powiedział. — Już niosę.

Zostawił ciało Avis. W tej chwili łzy naprawdę napłynęły mu do oczu. Jakieś przecucie, aluzja do czegoś, co jest nie do zniesienia. Stłumił to.

Odszedł od ciała zgarbiony, z rękami opuszczonymi ciężko po bokach. Nie zdawał sobie sprawy z tego, że szczęka mu zwisa i ma otwarte usta.

Znalazł w lodówce pojemnik z gotową mieszanką dla niemowląt. Nalał trochę do plastikowej butelki. Przykręcił smoczek. Nie patrząc znowu na ciało (ani na swojego brata, który cały czas stał w drzwiach), poszedł ociężale do sypialni.

Pani Wallabee stała tam pośrodku. Trzymała dziecko na chudym ramieniu i kołysała nim w górę, w dół. Próbowwała je rozbawić, wymachując mu przed nosem pluszowym morsem. Nad nimi wisiały, kołysząc się, kolorowe samoloty. Obok samolotów - żaby i słonie; obok wycięte z tektury Miki i Pluto. Perkinsowi pokój wydał się obrzydliwy. Koszmarny. Te wszystkie uśmiechnięte głupkowato tekturowe potworki. I z czego tu się śmiać? Z odrętwiałą twarzą podszedł do pani Wallabee i wręczył jej butelkę. Dzieciak wyciągnął do niej obie łapki. Phi-lippa wetknęła mu smoczek do buzi. Zaczął ssać jak wygłodniały, ale obejrzał się na Perkinsa. Ten zmusił się do szerokiego uśmiechu, takiego samego jak u tekturowych zabawek. Dziecko puściło butelkę i zaczerpnęło powietrza.

- Pa! — powiedziało i roześmiało się radośnie. Zaczęło się wiercić na rękę pani Wallabee. Wyciągnęło do Perkinsa te swoje łapki.

Oliver wziął dziecko na ręce, przycisnął.

— Pa! — zagulgotało mu do ucha. Łapki chwyciły powyciągany sweter. Mała buzia wtuliła się w zagłębienie ramienia.

Perkins pomyślał: „No cóż, pewnie weźmie go ojciec”. Przytulił dziecko zakrwawionymi rękami. „Ten głąb Randall dostanie opiekę nad dzieckiem”. A on nic na to nie poradzi. Ojciec dostanie małego, a potem go zniszczy. Powoli. Zmarnuje. Dzień po dniu. Po troszeczku, dzień po dniu. A w niektóre dni nawet bardzo...

- Pa! Pa!

Dzieciak wierzgał i kwiczał mu na rękach. Twarz Perkinsa jakby się zapadła. Zadrżał na całym ciele, z oczu potoczyły się łzy. Czuł miękki ciężar w ramionach; widział krew na swoich rękach; widział dumne uśmiechy tekturowych stworków naokoło: w powietrzu, na ścianach.

— Rany boskie! — wyszeptał.

Poczuł, że serce drętwieje mu jeszcze bardziej niż przedtem. Przestało go obchodzić, co się stanie.

Dzieciak wiercił się, rozglądał. Chciał z powrotem dostać butelkę. Perkins oddał go pani Wallabee. Wzięła chłopca na ręce i znów zaczęła karmić. Mały zajął się łapczywie smoczkiem, ale zerkał na Perkinsa.

Oliver odwrócił wzrok. Popatrzył na kobietę.

- Posłuchaj, Philippo - rzekł bez intonacji. Przełknął ślinę. — Posłuchaj mnie uważnie, dobrze?

— Mów — odparła rzeczowo.

- Zabierz małego do siebie, okay? Niech nie widzi... no wiesz... matki. Zabierz go stąd. Zabierz do siebie, a potem zadzwoń na policję.

— Oczywiście - zapewniła gorliwie. Zamrugła.

- Opowiedz, co się stało. A potem powiedz, że chcesz rozmawiać z Nathanielem Mulliganem. Detektywem Na-thanielem Mulliganem. Zapamiętasz?

— Oczywiście — potwierdziła. Kołysała dziecko łagodnie, nie przerywając karmienia.

Perkins nie spojrział na niemowlę.

— Podaj Mulliganowi moje nazwisko — ciągnął. - Powiedz mu, żeby jak najszybciej jechał do Biblioteki Jeffersona. Powiedz mu, że będzie tam kobieta, która wie, co się stało. Dobrze? Powiedz mu, że mam się z nią tam spotkać o ósmej i że postaram się przytrzymać ją jak najdłużej. Ale nie wiem, jak długo mi się uda. Nie wiem, jak długo, zanim... — Przełknął resztę zdania. Sam nie wiedział, co zamierzał powiedzieć. Nie wiedział, co myśleć, i nie obchodziło go to. Ze znużeniem potrząsnął głową. Oczy znów wypełniły mu się łzami, jedna z nich przelała się, ściekając powoli po policzku. — Po prostu powiedz mu to wszystko, dobrze? Powiedz mu, żeby się pospieszył.

Kobieta kołysała dziecko. Dziecko ssało butelkę i pieszczotliwie przytrzymywało plastik rączką. Pani Wallabee popatrzyła na Perkinsa z całym oddaniem. Zacisnęła wargi; nie mogła mu pomóc.

— W porządku, Oliver — powiedziała. — Możesz mi zaufać.

- Dziękuję - skinął jej głową Oliver. Odwrócił się. Maluch oderwał się od butelki.

- Pa! - zawołał. - Pa!

Ale Perkins nie był w stanie spojrzeć na niego jeszcze raz. Schylił się, wyminął wiszące samolociki i maskotki, odgarnął je ręką. Czuł to czarne, nietoperzopodobne stworzenie, siedzące ciężko w jego brzuchu. Cały świat stał się takim czarnym, nietoperzopodobnym stworzeniem. Oliver wrócił do salonu.

Zachary popatrzył na niego. Ciągłe sterczał przy drzwiach. Uśmiechnął się nerwowo do starszego brata. Czerwona torba stała u jego stóp. Ręce tkwiły głęboko w kieszeniach przeciwdeszczowego płaszcza.

Oliver spojrział na niego od drzwi dziecinnego pokoju. Z niewiadomego powodu odniósł wrażenie, że stoi przed nim ktoś zupełnie obcy. Żyłasta postać okutana w długi płaszcz, chłopięca twarz ocieniona daszkiem czapki — wyglądał dziwnie, nieznajomo. Oliverowi się wydało, że nic ich nie łączy. Dziwne odczucie, mylące.

Przez chwilę bracia patrzyli na siebie z przeciwnych stron pokoju; w milczeniu. Avis leżała cicho, rozciągnięta między nimi na podłodze.

Wreszcie Oliver skinął głową. Odezwał się cicho, prawie szeptem:

- W porządku, Zach. - Nie bardzo wiedział, co mówi. -Jestem gotowy. Idziemy.

Nancy Kincaid

Wagon metra wypełniony był straszidłami. Łuskowaty morski stwór. Czarownica z brodawkami. Siny trup wysmarowany krwią. No i ten tłok, ani jednego wolnego miejsca do siedzenia. A ona jest taka zmęczona. Okropnie. Stała w samym środku, uwieszona pętli uchwytu. Chwiała się słabo wśród tych wszystkich zniekształconych gąb. Fale bólu przeszywały jej krzyż. Ostre szpile wbijały się w głowę. Oczy miała zamknięte, usta otwarte. „Oliver...” - myślała sennie. Wąskie łóżko w pokoiku na poddaszu było takie wygodne, kiedy czekała na niego naga pod cienkim prześcieradłem...

Pociąg zatrzymał się. Czwarta Zachodnia. Rozgdakana ekipa potworów wysypała się z wagonu. Nancy została porwana, nawet nie zdając sobie z tego sprawy. Tłum pociągnął ją na ruchome schody. Otaczały ją wyszczerzone kły i przekrwione oczy. Z trudem utrzymywała się na nogach. Ludzki potok niósł ją w górę; nad sobą widziała granatowy prostokąt październikowego wieczoru. Rozglądała się, mrugając oczami; starała się nie stracić równowagi. Gdzieś z daleka, z wysoka, dobiegły ją bezładne dźwięki orkiestry... Znalazła się na szczycie schodów, podtrzymywana przez tłum skrzatów...

Nagle tłum ją wypluł.

Galaretowata ludzka masa zmyła ją w ciemność i hałas.

Ostre tony orkiestry sypały się na nią jak grad kamieni. Zawiesisty ludzki smród: oddechy, pot i piwo - oblepiły ją zewsząd. Nocne niebo wirowało gdzieś w górze, ożywione błękitem indygo i stroboskopowymi światłami.

„Co się dzieje... Co się, do diabła, dzieje?”

Patrzyła to w tę, to w tamtą stronę. Zamaskowane twarze przemykały koło niej. Gumowe pyski szczyrzyły kły i znikaly. Wszędzie — jak okiem sięgnąć — zniekształcone oblicza, powykrzywiane ciała. Gdzieś w górze, na platformie obramowanej fioletowymi neonówkami, tańczyła jakaś kosmata bestia. Wielkości dwóch ludzi. Wirowała w takt hałaśliwej muzyki. Dwie kobiety w trykotach biły przed nią pokłony. Nancy gapiała się na to wszystko, tłum potrzącał ją, miotał, popychał.

„To parada - pomyślała z zapartym tchem. - To Halloween”.

Zacisnęła mocno powieki, po czym je uniosła. Nie wolno pozwolić sobie na senność, na zawrót głowy. Wóz z tańczącą bestią pojechał dalej. Tłum ruszył za nim, w tym samym kierunku. Wszyscy oddalali się od śródmieścia.

„Nie! - pomyślała — nie!”

Do Cornelia Street tuż-tuż. Tylko na drugą stronę alei. „Ósma. Ósma”.

Zaczęła się przepychać, przeciskać, wyrywać z objęć tłumu. Lecz ten nie chciał jej uwolnić. Włókł ją i z każdym krokiem była coraz dalej od Cornelia Street. Coraz dalej od Olivera.

- Proszę mnie przepuścić! - słyszała własne wołanie. Ale nikt nie zwracał na nią uwagi. Wszyscy się śmiali.

Wszędzie naokoło się śmiali. Piszczaly papierowe trąbki. Dudniły orkiestry. Jej głosik tonął w hałasie.

— Proszę! - mówiła.

Próbowała utorować sobie drogę łokciami. Próbowała wciskać się pomiędzy ludzi. Nic z tego. Mogła tylko wlec się powoli, noga za nogą, wraz z ludzką masą. Wyciągnęła szyję, żeby zobaczyć, dokąd zmierza. Ten ruch sprawił, że fala bólu spłynęła w dół po jej plecach. Oczy na chwilę zaszyły mgłą. Ale mimo to - spomiędzy ludzkich głów, ra-



mion — docierały do niej migawki parady. Rozwrzeszczane demony wznoszą do nieba ręce. Obojnaki o wytrzeszczonych oczach snują się w rozwianych jedwabnych pelerynach. Tancerki kołyszą biodrami. Kłauni miotają w tłum chmury konfetti. Żywy trup snuje się wzdłuż krawężnika, obgryzając kikut ręki i strasząc dzieci.

A wśród tych ludzi... Aż poczuła suchość w ustach, kiedy zobaczyła. Miała wrażenie, że serce jej zamiera. Wszędzie - przemieszane z tymi stworami, tancerzami, przebierańcami - flegmatyczne postacie. Umundurowani mężczyźni o kamiennych twarzach. Uzbrojeni. O spojrzeniach ciężkich jak uderzenie maczugi.

„Gliny”.

Pilnowali skrajów chodnika. Patrzyli, obserwowali uważnie spod czarnych daszków czapek. Przeczesywali roz-wrzeszczany, roześmiany tłum, który napierał na nich spoza barierek.

„Jezu! Ilu ich jest!” - pomyślała. Poczuła zawrót głowy, senność. Kolana się pod nią ugięły. Czy zauważą ją, jeśli spróbuje się przedrzeć przez orszak na drugą stronę ulicy? Poznają ją? Będą wiedzieli, że to ona? Czy wszyscy oni szukają właśnie jej?

Wykręciła się w prawo. Wyciągnęła szyję. Próbowwała zobaczyć coś na przeciwległym chodniku.

Tutaj też byli. Twardzi, nieubłagani, ramię przy ramieniu. Trzymają straż. Stoją w cieniu, na uboczu, ale nie można ich nie zauważyć. Nie sposób nie rozpoznać.

Wydała z siebie jęk - raczej szloch — zawodu. Za wszelką cenę starała się skupić, namyślić. „Oliver, Oliver!” Wyobraziła go sobie, jak leży na wznak, rozciągnięty jak długi, usta otwarte, te jego smutne oczy patrzą pusto w górę.

„Ósma! O ósmej!”

Zagłębiła się w lepki, zasysający tłum. Krok za krokiem dała się wlec. Aż nagle w tym strumieniu dotarła do skrzyżowania. Zeszła z krawężnika, znalazła się w przecznicy. Tutaj masa nieco się rozrzedzała. Bez zastanowienia wyrwała się z jej uścisku. Łokciami

utorowała sobie drogę na zewnątrz. Przepchnęła. Z trudem łapiąc powietrze.

Wypadła z tłumu w boczną ulicę. Zachwiała się, potrącana przez przechodniów. Ktoś rąbnął ją łokciem w plecy; ledwie zdołała zachować równowagę. Stała, rozejrzała trwoźnie jak ścigane zwierzę, wzięła się w garść.

„Uwaga na gliny!”

Było ich dwóch. Na chodniku od południowej strony. Opierali się o ogrodzenie z siatki. Wyglądało na to, że ją obserwują tymi swoimi ciężkimi spojrzeniami. Zaparło jej dech, odwróciła się do nich plecami. Inny policjant szedł ku niej z przeciwka, mijając mniej licznych z tamtej strony przechodniów.

Stała jak wryta, przechodzący ludzie potrącali ją. Policjant się zbliżył. Tamci dwaj przy siatce nachylili się ku sobie i półgłosem wymienili jakieś uwagi. Czy naprawdę w s z y s c y ją ścigają?

Nagle ponad tumultem wzniósł się okrzyk:

- Maski! Elektryczne, migające maski! Kupujcie halloweenowe maski!

Obróciła się jak fryga w stronę głosu. Aż coś zatrzeszczało w kolanach. Na rogu bocznej uliczki i alei stał człowiek--pantera. Jego naszywana cekinami kamizelka połyskiwała na ciemnym tle ściany kamienicy. Wymachiwał nad głową maseczką. Jej brzegi obrysowywały zielono-żółto-czerwone światełka, migające nieustannie na zmianę.

- Kupujcie halloweenowe maski! — darł się.

Rzuciła się przez tłum ku handlarzowi. Z kieszeni wygrzebała wszystkie banknoty, które jeszcze jej zostały.

- Proszę! — Musiała krzyczeć. Przechodziła właśnie kolejna orkiestra dęta. Dało się słyszeć *Marsz pogrzebowy dla marionetki*. Łomot wypompowywał z niej wszystkie siły.

Człowiek-pantera wyrwał jej z ręki banknoty i wręczył maskę. Dopasowała otwory do oczu, gumkę nasunęła na tył głowy.

W masce na twarzy odwróciła się.

Policjant minął ją spacerowym krokiem, nie zwracając uwagi. Zbliżył się do alei. Wchłonął go tłum gapiów. Funkcjonariusze przy ogrodzeniu teraz też na nią nie patrzyli.

„W porządku - pomyślała jak przez mgłę - w porządku. Do śródmieścia. Do Olivera. W porządku. Co teraz?”

Do alei. Musi przejść na drugą stronę jezdni. Prześlizgnąć się przez pochód. Potem dojdzie do Sheridan Square, przetnie go na skos i dotrze do Cornelia Street, omijając cały ten tłum...

Wysilając wzrok, żeby coś widzieć przez niewielkie otwory maski, powlokła się z powrotem w ciżbę. Porwał ją prąd, omal jej nie przewrócił, próbując zepchnąć ponownie na chodnik, ponownie w lepki nurt idących. Ale zapierając się barkiem, dotarła do skrzyżowania. Tu się zatrzymała. Podniosła głowę, rozdziawiła usta.

„Patrzcie tylko - pomyślała. Gapiła się jak zahipnotyzowana. — Patrz, Oliver. Jaka wielka dynia”.

Mijała ją wydrażona dynia z wyciętymi oczami, ustami i nosem, oświetlona od środka. Był to w gruncie rzeczy zwyczajny halloweenowy lampion, tyle że rozmiarów kamienicy. Jechał na platformie. W trójkątnych wycięciach oczu i ust tańczył ogień. Na czubek dyni nasadzono kapelusz. A na denku kapelusza stała, uśmiechając się szeroko, królowa piękności i poprzez papierowe płomienie słała publiczności całusy.

„Bardzo... bardzo... ogromna...”

Nancy zachwiała się. Dynia toczyła się coraz dalej, tłum wznosił okrzyki i rzucał w powietrze konfetti. Za platformą utworzyła się w orszaku luka. Policjanci natychmiast ją wypełnili. Przechadzali się z rękami założonymi do tyłu. Grupka ludzi natychmiast rzuciła się na drugą stronę alei. Omal się nie spóźniła. Ale ocknęła się w ostatniej chwili. Dołączyła do grupki. Pochyliła się, żeby jej nie było widać. Przeszła tuż pod nosem funkcjonariusza. Kryła się za plecami idących. Razem z nimi dotarła na środek jezdni. Odwróciła się...

„Do widzenia, pani Dynio, do widzenia...” Popatrzyła w ślad za oddalającą się platformą. I stanęła jak wryta. Wyprostowała się. Wytrzeszczyła oczy. „Co...?”

Grupka ludzi szła dalej w stronę przeciwległego krawężnika. Tylko ona się zatrzymała. Stała sama jak palec, widoczna ze wszystkich stron, i gapiła się. Powoli pokręciła głową.

Przed nią, na tle granatowego nieba, wznosił się zamek

z czerwonej cegły. Okrągłe wieże zwieńczone stożkowymi iglicami. Łukowate okna w kamiennych ościeżach, z witrażowymi szybami. Blanki. Łamany szary dach... Patrzyła i patrzyła, a dźwięki muzyki i okrzyki tłumu dochodziły do niej coraz słabiej i słabiej. Patrzyła - i zdawało się jej, że spowija ją kokon mętnej ciszy...

„Znam ten budynek. Widziałam go już”.

To był pałac z jej snu. Azyl, o którym marzyła, gdy zabierali ją radiowozem do Bellevue. Rozdziawiała usta. Z kącika pociekł na brodę strumyczek śliny. Chwiała się. Gapiała. Przypomniła sobie długie, zielone, puste korytarze wewnątrz. I szepty dochodzące spoza pozamykanych drzwi.

- Naancy. Naaancyyyy. - Chór szeptów. - Nancy Kin-caid...

Kiedy po raz pierwszy usłyszała to nazwisko? Kto pierwszy je przy niej wypowiedział?

„Nazywam się Nancy Kincaid”.

Kto to był? Kto po raz pierwszy to powiedział?

Stała jak słup soli na środku jezdni. Wpatrywała się w czarną sylwetkę biblioteki przez otwory w masce. Zrobiło się jej niedobrze, ale nawet mdłości zdawały się stłumione i odległe. Przypomniła sobie sen: długi korytarz wypełniony szepciami. Granitowy tron, a na nim majestatyczny Król Śmierć. Czeka na nią.

„To on - pomyślała. - Król Śmierć. To jego muszę znaleźć”. Ale czyja twarz kryje się pod maską? Czyj to głos mówił do niej: „Nazywam się Nancy Kincaid. Mam dwadzieścia dwa lata”.

Ach, prawie sobie przypomniła. Ktoś siedział przed nią i mówił jej to. Ktoś o twarzy Króla Śmierci. Ktoś z trupa czaszką w miejsce oblicza mówił jej: „Mam dwadzieścia dwa lata. Jestem zatrudniona u Fernanda Woodlawna w charakterze jego osobistej asystentki. Mieszkam przy Gramercy z mamą i tatą...”

„Ja - pomyślała mętnie. - To miałam być ja”. Ach, gdyby sobie mogła do końca przypomnieć.

Stała i patrzyła. Wcale nie słyszała otaczającego ją harmidru. Tej parady. Tych rozkrzyczanych tłumów. Nie wi-

działa policjanta, który teraz zwrócił na nią uwagę. Który teraz zmierzał w jej stronę z surowym wyrazem twarzy, z dłonią spoczywającą na kaburze. „Gdyby udało się zerwać tamtą maskę — pomyślała. — Gdyby udało się zobaczyć twarz Śmierci”. Palce zagięły się jak szpony. Poczowała gumową skórę głowy Śmierci, jakby trzymała ją w dłoniach.

„Nazywam się Nancy Kincaid” — szeptała do niej trupia czaszka.

I wtem, w jej głowie, maska Śmierci nagle znikła i Nancy zobaczyła...

Nie ma pod nią żadnej głowy. Król Śmierć nie ma głowy. Urwane żyły i tętnice sterczą z uciętej szyi jak druty. Posoka tryska pulsującym strumieniem z poszarpanej dziury. Krew zalewa szatę. Głos bulgocze wraz z krwią, zawiesisty i płynny jak krew: „Nazywam się Nancy Kincaid...”

Ziemia zakołysała się jej pod stopami. Ogarnęła ją ciemność. Przewrócone oczy błysnęły białkami.

„Ja. To miałam być ja. TO MIAŁAM BYĆ JA!”

Rozległy się przeraźliwe fanfary. Tłum powtarzał okrzyki. Otworzyła szeroko oczy. Po obu jej stronach wznosiła się i opadała fala twarzy: uśmiechniętych, rozkrzyczanych twarzy. Odwróciła się, zrobiła kilka bezładnych kroków, żeby złapać równowagę. Coś przesłoniło światło latarni. Podniosła głowę, wrzasnęła ze strachu.

Głowa Śmierci zasłaniała nad nią niebo.

- Niech żyje! - wionął okrzyk. - Niech żyje Król Śmierć! Cofnęła się chwiejnie parę kroków. Złapała za głowę.

Wpatrywała się w gigantyczną trupią czaszkę, która wbijała w nią oczodoły. Wyglądało, jakby sam księżyc zstąpił z nieba.

— Rany! — wyszeptała.

To było coś niebywałego. Ludzki szkielet wielkości paru kamienic. Wyszczierzona czaszka huśtała się nad głowami ludzi. Kręgosłup wił się i kołysał. Kościste ręce gestykulowały w powietrzu. Jeźdźnią szli animatorzy, sami też w maskach trupich czaszek i w czarnych kimonach z rysunkami kościotrupów. W rękach nieśli długie tyczki, którymi podtrzymywali w górze członki kukły. Tańczyli i miotali się, wprawiając kończyny umarlaka w szaleńczy płas. Zmierzali ku Nancy.

- Niech żyje! - skandowali, a ich głosy brzmiały głucho spod masek. -  
Niech żyje Król Śmierć!

Tłum podjął rytmiczny okrzyk. Chmury konfetti wzbijały się pod latarnie. Wszyscy wymachiwali rękami.

- Niech żyje! Niech żyje! Niech żyje Król Śmierć!

I wtedy go zobaczyła. Był na czele animatorów, tuż pod papierową kukłą, która falowała, płynąc nad nimi. Zupełnie nie przypominał postaci z jej snu. Wcale nie był majestatyczny. I nie siedział na tronie. Był klaunem. Skakał i brykał. Wierzgał i wymachiwał kosą, jakby to była batuta. Miał na sobie kolorową pstrokatą koszulę zszytą ze skrawków i podarte dżinsy. Jak kloszard, jak włóczęga. Twarz zakrywała mu maska trupiej czaszki, zwieńczona papierową koroną. Przekrzywił głowę z boku na bok, biegał i miotał się w podskokach pod gigantyczną kukłą kościotrupa. Radośnie wymachiwał do tłumu rękami.

„To on” - pomyślała. Znów się zachwiała, nie czuła się pewnie na nogach. W brzuchu się jej przewracało, zimny pot wystąpił na skórę. Mróz przenikał nogi, jej palce. Tonie...

„Za późno. - Ścisnęła w garści włosy, jakby sama chciała się powstrzymać przed upadkiem. - Za późno...”

- To on - wyszeptwała.

Przyglądała się zamaskowanemu, podrygującemu waga-bundzie. Podniosła rękę. Pokazała palcem.

- To on! — zawołała. Łzy zasłoniły jej pole widzenia. — Patrzcie!

- Niech żyje! - Radosny ryk tłumu pozbawił ją resztek sił. - Niech żyje Król Śmierci!

Krzyknęła głośniej:

- To on! To on! Chryste, nikt tego nie powstrzyma! -Wskazała go palcem. - To on! Proszę! Niech ktoś...!

Ogromny szkielet przepływał teraz górą. Otaczali ją animatorzy. Płásali, potrząsając swoimi tyczkami. Król Śmierć podbiegł do niej, wirował z rozłożonymi szeroko rękami. Zobaczyła światło w oczodołach. Zobaczyła błysk ciemnych oczu. Machał do tłumu po obu jej stronach. Ludzie krzyczeli:

- Niech żyje!

Nancy zakryła usta ręką.

— O Boże! Oliver...

Wtem chwyciła ją żelazna dłoń. Czyjeś palce zacisnęły się na jej ramieniu. Obejrzała się. Stalowe oczy przeszywały ją spod czarnego daszka policyjnej czapki.

Nancy wskazała na Króla Śmierć.

— Proszę aresztować tę czaszkę! — wyskrzeczwała w podnieceniu.

- Niech pani zejdzie z jezdni, dobrze? — powiedział policjant.

Nadludzkim wysiłkiem wyrwała ramię z uścisku funkcjonariusza. Zrobiła kilka chwiejnych kroków w stronę płasającego króla. Złapała się obiema rękami za włosy.

- Czy ktoś mnie posłucha? To on! Tego się nie da powstrzymać! To właśnie on!

Król Śmierć kręcił się w piruecie z rozłożonymi rękami. Wykonał pełny obrót i znalazł się twarzą w twarz z Nancy. I stanął jak wryty.

Ręce wciąż trzymał rozstawione szeroko. Głowę lekko pochylał do przodu. Oczy z dziur oczodołów patrzyły na Nancy, która była niecałe trzy metry od niego.

Reszta szła dalej. Dudniący rytm *Danse macabre* dźwięczał w nocnym powietrzu. Krzyki tłumu wzmagaly się i cichły, by znów rozbrzmieć głośno. Konfetti wzlatywało i migotało w świetle latarni. Wielki szary szkielet płynął, przesłaniając niebo jak burzowa chmura. Lecz Król Śmierć stał nieruchomo i patrzył na Nancy, a ona patrzyła na niego. Kosa wysunęła się Śmierci z ręki i z łoskotem upadła na jezdnię.

I wtedy Król Śmierć rzucił się do ucieczki.

Dał nura między tyczki animatorów i pobiegł w kierunku skrzyżowania. W tłumie zapanowała konsternacja, rozległy się niepewne śmiechy i oklaski. Okrzyk: „Niech żyje!” -podniósł się i zamarł. Król Śmierć pochylił białą czaszkę i popędził w tłum. Po chwili wślizgnął się w jakąś szczelinę w ludzkiej masie, która się za nim zamknęła.

Przez sekundę kobieta w masce stała bez ruchu, wypatrując uciekiniera. Miała wrażenie, że u jej stóp rozlewa się

kałuża słodkiego snu. Ponad wszystko pragnęła się w niej ułożyć, utonąć, odpłynąć.

Król Śmierć wyłonił się w bocznej uliczce i gnał w stronę Sheridan Square.

Kobieta w masce wydała z siebie chrapliwy okrzyk bólu i rzuciła się w pogoń.

## Oliver Perkins

Ruch na Siódmej Alei utknął w korku. W nocnym powietrzu bezustannie rozlegały się klaksony samochodów. Przebierańcy snuli się chodnikami w chmurze spalin. Niektórzy przystawali przed wystawami kiosków i sklepików z antykami. Inni nadal sączyli się przerywanymi strumykami, chcąc dołączyć do parady.

Bracia pospiesznym truchtem minęli Sheridan Square. Przemykali wśród przechodniów. Raz prowadził Oliver, raz Zach. Niekiedy rozdzielali się, wyszukując wolnej przestrzeni na chodniku. Raz po raz któryś z nich zwalniał kroku, żeby złapać oddech, po czym znów ruszał biegiem.

Zach ścisnął w garści uszy czerwonej torby, jego chłopięca twarz była zarumieniona, czarne oczy płonęły podnieceniem. Na twarzy miał wyraz jakiejś dezorientacji, roztargnienia, jakby przed chwilą wysiadł z samolotu i nie bardzo wiedział, gdzie się znajduje.

Oliver jednak nie przyglądał mu się specjalnie. Po prostu biegł. Istniał dla niego tylko rytm kroków na chodniku. Słuchał tego rytmu i własnego urywanego oddechu. „Niech tam. Dalej. Jazda - myślał. - A więc przed siebie. Ty i ja, razem". Tup, tup, tup. Biegł i słuchał rytmu serca w klatce piersiowej. Czuł w niej pustkę. „Przed siebie zatem, ty i ja..." Dławiąca chmura spalin wisiała nad zatłoczoną ulicą.



Zatruwała jesienne powietrze. Różowawobiałe światła latarni przepływały mu nad głową. „Zatem jazda”. Widział Avis, jak dziś rano delikatnie głaskała go po czole, siedząc na jego materacu. „Niech tam. Jazda”. Tup, tup. Mijane wystawy wyglądały jak opustoszałe pokoje błagające o to, by ktoś w nich zamieszkał. Przypomniawszy sobie, jak głowa Avis opadła luźno parę chwil temu. „Niech tam. Niech...”

Bracia skręcili w Christopher Street i szybko zbliżali się do biblioteki. Biegli teraz ramię w ramię, obaj z trudem łapali oddech. Oliver patrzył przed siebie, dojrzał hełmy wież biblioteki nad drzewami, oświetlone przez reflektory. Wieża zegarowa szpicem dotykała księżyca. Dochodziła ósma. „Przed siebie”. Biegł, nie myśląc, pozwalał sobie tylko na migawki wspomnień. Śnieg i mróz na policzkach, pędzące po zboczu sanki. Młodszy brat wsparty na nim całym ciężarem. Biblioteka zbliżała się. „Jazda”. Dostrzegł wystające paszcze rzygaczy w kształcie smoków. Czuł oddech Zachary'ego na karku.

Na tylnym dziedzińcu biblioteki rosła kępa platanów. Poprzez ich żółte listowie mógł zobaczyć paradę na Szóstej Alei. Właśnie mijała skrzyżowanie estrada na platformie o konturach podkreślonych fioletowymi neonówkami. Kosmata bestia kręciła na scenie piruety, towarzyszyły jej płasające panienki. Z tej odległości muzyka zlewała się z jazgotem klaksonów samochodowych, brzmiała hałaśliwie i bez sensu. Obaj, Oliver i Zach, biegli zgodnie w tamtym kierunku. Oliver dźwigał w żołądku czarny ciężar. Jego umysł był też czarny i ciężki. Nie rozumiał, co się dzieje, jak to się stało; jak do tego doszło. W głowie miał pustkę, wypełnianą tylko chaotycznymi obrazami. Avis z dzieckiem w ramionach. Mały wyciąga do niego rączki. Mówi: „Pa!”

Tłum gęstniał, w miarę jak zbliżali się do pochodu.

Tu Oliver musiał zwolnić. Obaj zwolnili, dysząc ciężko. Bokiem przeciskali się przez stłoczonych ludzi, którzy próbowali dotrzeć jak najbliżej tłumu w alei. Zach prowadził. Oliver szedł za nim. Jego sweter był podarty, pierś obnażona. I sweter, i dzinsy przesiąkała krew Avis. Czuł ją, czuł wilgoć na udach, ręce miał lepkie od krwi. Patrzył

prosto przed siebie, na głowy i w twarze ludzi, przepychał się ku bibliotece. „Jazda, razem - pomyślał. - Dalej, przed siebie”. Oddychał ciężko przez szeroko otwarte usta. Nie obchodziło go, co się stało. Chciał tylko jak najszybciej dostać się do biblioteki. Byle szybciej. Zatrzyma Tiffany do przybycia policji. Wszystko jedno.

Tłum ich otoczył, ludzie napierali ze wszystkich stron. Byli już niedaleko rogu. Tuż przy schodach biblioteki Tańcząca bestia przepływała koło nich na swoim neonowym wozie. Muzyka zagłuszała wszystko. Oliver miał wrażenie, że świdruje mu skronie. Zmrużył oczy i wszelkimi sposobami torował sobie drogę w tłumie. Byle dalej. Byle bliżej. Widział przed sobą czapkę Zacha. Potem czapka wzniosła się ponad otaczające głowy. Zach wchodził po schodach, przepychał się przez stojących na nich gapiów do drzwi biblioteki. Oliver też dotarł do schodów. Gonił Zacha. Przecież dziś rano tulił to dziecko do piersi, przypomniał sobie. Zmywane naczynia stukwały w rękach Avis. Jadł przygotowane jej rękami śniadanie. Sięgnął do kieszeni przemoczonych dzinsów. Wyciągnął klucz do biblioteki.

Zach czekał już przy drzwiach. Niewidzialny Zach w płaszczu i naciągniętej na oczy czapce. Stał przy czarnych szklanych podwojach w kamiennych drzwiach. Oliver zrównał się z nim, Zach patrzył na brata twardo tymi swoimi rozgorączkowanymi oczami. Oblizywał wargi, niecierpliwił się. Oliver szukał właściwego klucza. Pomyślał o jeździe na sankach z tamtej górki za domem na Long Island.

Wsunął klucz do zamka. W jazgocie muzyki i ryku tłumu dawał się rozpoznać *Danse macabre*. Zerknął przez ramię przekreślając klucz. „A więc dalej, przed siebie” - pomyślał. Zobaczył wielki szkielet - papierową kukłę niesioną na tyczkach. Kościotrup szczyrzył zęby, podrygiwał i płażał na tle nieba nad aleją. Oliverowi zrobiło się niedobrze. Wzdrygnął się i odwrócił z powrotem do drzwi. Otworzył je i wszedł do biblioteki.

Obejrzał się. Zobaczył, że Zach przestępuje próg w ślad za nim. Dopóki drzwi się nie zamknęły, Oliver dostrzegał jeszcze ludzi na schodach, słyszał muzykę, nadal głośnie.

Słyszał głosy ludzi z ulicy. I widział z tyłu, za ciemną sylwetką Zacha, wielką kukłę kościotrupa płynącą nad aleją.

Zach uśmiechnął się słabo, trochę nerwowo, niemal przepaszajaco.

- Pospieszmy się lepiej - powiedział cicho.

„Ach, nie pytaj, o co chodzi - pomyślał Oliver. - Dalej, miejmy to już za sobą”.

Drzwi biblioteki zamknęły się z cichym sykiem pneumatycznego mechanizmu, zamek pozostał otwarty. Odgłosy z ulicy przycichły. Bracia Perkinsowie znaleźli się w ciemności. Słuchali nawzajem swoich oddechów.

Kobieta w masce

Śmierć przemykała wśród ludzi jak piskorz. Kobieta w masce goniła ją, utykając.

„Ja. To miałam być ja” — myślała mętnie. Oczy przesłaniała jej czerwona mgła, a pole widzenia ograniczały wycięte otwory. Ciężko dyszała, ślaniała się. Wymachując rękami, z trudem łapała równowagę. „Ja. To miałam być ja”.

Boczną ulicę też wypełniali ludzie. Wokół kobiety w masce rozlegały się śmiechy i okrzyki. Wirowały wymalowane twarze, wyszminkowane wargi rozciągały się w uśmiechach. Łokcie podnosiły się wraz ze skrywanymi w torebkach flaszki piwa.

Przedostała się przez to wszystko. Oddech palił w płucach, jakby ziała ogniem. Za każdym krokiem jej nogi przeszywały sztylety bólu. Zgarbiła plecy. Wpadła ramieniem na jakiegoś rozbawionego przebierańca, omal się nie wywróciła. Przytrzymał ją umalowany na czarno mężczyzna w czerwonej udrapowanej szacie. Dziewczyna w nabijanym cekinami kostiumie odsunęła się na bok i zawołała:

- Hej!

Kobieta w masce, zataczając się, poszła dalej.

Z przodu drobna postać Króla Śmierci, kreśląc zygzaki wśród tłumu, oddalała się coraz bardziej. Nancy widziała uniki białej czaszki wśród ludzkich głów i powiewającą pstrokatą koszulę. Biegnąca postać zbliżała się do skrzyżowania z Christopher Street, która od tego miejsca zakręcała skosem znów w kierunku parady. „Ja!” - pomyślała z rozpaczą kobieta w masce. Ślina ciekła jej po brodzie, ona tymczasem, ślaniając się na nogach, brnęła w noc, czepiała się tej nocy pazurami. „To miałam być ja!” Wyteżała oczy, wypatrując Króla w gęstniejącej czerwonej mgle. Mdłości przyprawiły ją o zawrót głowy, nogi się pod nią uginały. „To miałam być... Cholera!” - pomyślała. Słabnie. Nie ma co do tego wątpliwości. Coraz z nią gorzej. Posuwała się coraz wolniej. Utykała, padała z nóg. Każdy krok groził tym, że przewróci się i już nie podniesie. Z trudem chwytła oddech: chrapliwie, przerywanie. Długi korytarz. Przypominała go sobie mgliście. Pełzła nim po podłodze, po szorstkiej wykładzinie dywanowej...

„On ucieka!” Król Śmierć był już teraz na Christopher Street, na samym skrzyżowaniu, zaraz rzuci się w przecznicę. Kobieta w migoczącej lampkami masce była dopiero w połowie odległości między przecznicami. Wciąż walczyła o każdy krok, przedzierała się przez ścianę bólu. Była właśnie na rogu Gay Street, małego krętego pasażu, typowego dla Greenwich Village. Przypomniła sobie długi korytarz. Mamroczący głos w głębi holu. „O ósmej. Musisz tam być”. Czołgała się korytarzem, brązowa wykładzina drapała ją w brzuch... Przypomniła sobie mamrotanie: „Król Śmierć. Biblioteka. Tylko nie zapomnij”.

- O Boże! — wychrypiała. Ulica i przechodnie krążyli wokół niej jak na karuzeli. Upadła. Osunęła się na kolana na rogu Gay Street. Balansowała przez chwilę z otwartymi ustami, ze zwisającą nitką śliny. Potem runęła twarzą na chodnik.

- Hej, kobieto! — zawołał nad nią długowłosey młodzian. -Aleś zabalowała!

- Ucieka! - próbowała mu powiedzieć, ale nie udało się jej złożyć słów. Dźwignęła się na pocieranych dłoniach. Widziała go, widziała błyskające sprane dzinsy. Król Śmierć przemknął za róg Christopher Street. Dziwna drobna postać dała nura w tłum po drugiej stronie skrzyżowania. Wokół niej zamknęła się ściana zamaskowanych twarzy, unoszących się w górę i w dół łokci, przechylanych do ust butelek piwa ukrytych w papierowych torebkach. Kroi Śmierć zniknął.

Kobieta w masce leżała brzuchem na ziemi i unosiła głowę, wbijając wzrok w miejsce, gdzie zniknął w tłumie Król Śmierć. Skreślił w prawo. „W prawo - pomyślała. Skreślił w Christopher Street. Skosem ku Szóstej Alei, z powrotem w stronę pochodu. W stronę tego zamczystego budynku, który widziała w snach. I oczywiście w stronę... w stronę...

„Gay Street!”

Będzie musiał minąć skrzyżowanie Christopher i Gay.

- Ach! - wychrypiła. - Ach! - Spróbowała odetchnąć. Powiedzieć coś. Wezwać pomocy.

Ha! Król Śmierć popełnił błąd. Ona wciąż ma jeszcze szansę. Wciąż może go dogonić. Jeśli tylko wstanie... Jeśli zdoła wstać...

- Pomóżcie! Pomóżcie - wyszeptała.

Jakaś dłoń wsunęła się jej pod pachę. Owionął ją kwaśny odór piwa.

- No! No! - To był ten długowłose nastolatek. Podnosił ją. Udało się jej uklęknąć. Oparła się o niego, gramoląc się na nogi. - Aleś, kobieto, zabalowała, no nie mogę, ale balanga... Jezu Chryste, cholera!

Kobieta w masce sięgnęła za pasek dzinsów i wyciągnęła trzydziestkęósemkę. Długowłose młodzian odskoczył z wytrzeszczonymi oczami i aż się opluł piwem. Wlepił wzrok w rewolwer.

- Rany! - powiedział z wyraźnym szacunkiem. Kobieta w masce zrobiła chwiejnie krok wstecz.

- Ja... - próbowała mu coś wyjaśnić, zziajana. - To miałam być ja. - Potem jęknęła. Wymioty buchnęły jej do ust.

Niebo i ziemia znów fiknęły koziółka, po czym wróciły na swoje miejsca. Przełknęła, ile się dało, resztę wypluła. No, a teraz gdzie, do jasnej cholera, jest ta uliczka? Rozejrzała się niepewnie, mrugając pod maską oczami. Jest. Tutaj.

- O mój Boże - jęknęła, kiedy jej nogi znów przeszył spazm bólu. Pozbierała się jednak i ruszyła biegiem.

„W głębi korytarza - przypomniała sobie - leżało ciało na łóżku”.

Mała kręta uliczka była z obu stron obstawiona starymi kamienicami. Ginęły w mroku ledwo rozpraszanym przez samotną latarnię. Tutaj świętujących nie było wielu. Kobieta w świecącej masce przebiegła koło nich, utykając i pojękując z bólu przy każdym kroku. Wyskoczyła za zakręt, z rewolwerem uniesionym przy twarzy. Niewiele widziała. Rozmazane światła i cienie. Czuła wilgoć na policzkach, ale nie zdawała sobie sprawy z tego, że płacze. Żałowała tylko, że nie może rozłupać własnej głowy i wyrwać z niej tego wspomnienia: wspomnienia ciała rozciągniętego w korytarzu. Bezgłowego ciała. Zobaczyła je, leżąc na progu. Do-czołgała się tam po brązowej szorstkiej wykładzinie. Podciągnęła się, zobaczyła, a potem opadła, zakrywając oczy rękami. Widok bezgłowego ciała był jak uderzenie kijem baseballowym w ciemność. „Mój Boże, Boże, Boże - myślała. - Miałam ją chronić. Miałam być nią, miałam być Nancy Kincaid, żeby ją uchronić. Miałam ją udawać, na wypadek gdyby coś miało się stać. To coś miało się stać mnie! To miałam być ja!”

Ukazało się przed nią skrzyżowanie z Christopher Street. Tu ruch rozbawionych przechodniów był gęstszy. Słysząc było ich krzyki. Dochodziły znów dźwięki *Danse macabre*, dudniący akompaniament parady. „Tylko jeden krok, jeszcze jeden - myślała cały czas. - I jeszcze jeden, i następny...” Parła naprzód, rewolwer uniesiony przy uchu, lufa tuż koło krawędzi maski.

Jest. Skrzyżowanie. Ukośne ujście wąskiego pasażu do szerszej ulicy. I oto jest Król Śmierć, tuż-tuż, jego czaszka błyszczy bielą wśród malowanych na czarno i czerwono

twarzy. Biegnie ku niej. Ogląda się przez ramię. Myśli, że ona jest z tyłu.

Kobieta w masce zatrzymała się. Ustawiła się na wprost. Opuściła rewolwer, wymierzyła prosto w białą czaszkę. Gdzieś wrzasnęła kobieta, potem druga. Męski głos krzyknął:

— Uwaga!

Śmierć wbiegła prosto na nią. Nie patrzyła przed siebie, po prostu pełnym pędem na nią wpadła. Kobieta w masce straciła równowagę, upadła na wznak jak długa, ręka z rewolwerem poleciała w bok. Rąbnęła plecami o chodnik, aż stęknęła. Ale, padając, rozpaczliwie wyciągnęła ręce, jej palce zatrzasnęły się jak szpony na pstrokatej koszuli. Otoczyła ramieniem drobną postać Króla. Upadli oboje, przeturlali się. Król Śmierć wyrwał się, podźwignął na czworaki. Kobieta w masce z głośnym okrzykiem podniosła się również. Klęczała, ściskając oburącz broń. Wycelowała lufę w głowę Śmierci.

— Aa... aaa — powiedziała. Więcej już nie była w stanie. Oddychała ciężko; jej ciało wznosiło się i opadało wraz z tym oddechem.

Wokół nich zebrał się tłumek ludzi. Nikt się nie odzywał. Dźwięki muzyki z pochodu wsączały się w ciszę. Ta cisza wydawała się dziwna. Słyszać było wiatr wśród suchych liści.

Powoli Śmierć odwróciła głowę. Kobieta w masce zobaczyła jasnyniebieskie oczy w oczodołach trupiej czaszki. Usłyszała ciężki oddech.

— Nie żyjesz - wyszeptał Król. Był to dziwny, wysoki, niemal melodyjny szept. — Nie żyjesz. Miałaś nie żyć.

I zaczął płakać. Przynajmniej tak to zabrzmiało. Stał na czworakach, ze zwieszoną czaszką, ze zgarbionymi ramionami. Dźwięki dobiegające spod maski do złudzenia przypominały szloch.

Kobieta przełożyła broń do lewej ręki. Tak jak w tamtym śnie wyciągnęła dłoń ku masce.

„Ja” - pomyślała.

Poczuła mięsisty kauczuk w garści. Mocno szarpnęła.

Jeszcze raz. Maska zaczęła schodzić. Przy trzecim szarpnięciu trupia czaszka opadła.

Sypnęła się spod niej kaskada czarnych włosów. Czarnych ze srebrnymi pasemkami. Posypały się, zakrywając twarz. Potem postać osunęła się na chodnik, przeturlała bezwładnie na bok. Kobieta w masce popatrzyła z niedowierzaniem. To nie był on. To nie była ta twarz, którą spodziewała się zobaczyć. To była dziewczyna. Dziewczyna o ślicznej, porcelanowej twarzy; po jej brzoskwiniowych policzkach płynęły łzy. Nieznajoma.

Czarnowłosa wpatrywała się w kobietę w masce i kręciła głową, pociągając nosem.

— Miałaś nie żyć! — powtórzyła tonem skargi, wyraźnie rozgoryczona.

Kobieta nic nie odpowiedziała. Przyglądała się tylko. Potem podniosła lewą rękę z rewolwerem. Odwiodła kurek. Otaczający je gapie wstrzymali oddech i cofnęli się o krok, słysząc trzask. Kobieta w masce wycelowała w twarz tej drugiej. Wciąż ciężko łapała powietrze, ale teraz zdołała mówić wyraźnie:

— Powiedz, gdzie jest Oliver, albo cię zabiję. Dziewczyna krzyknęła, nie odrywając wzroku od lufy.

Drżała na całym ciele.

— W bibliotece - powiedziała.

Na te słowa rozległo się donośnie pierwsze uderzenie zegara z bibliotecznej wieży. Minęła wreszcie ósma.

Zachary Perkins

Zegar zaczął wybijać ósmą. Oliver i Zach zapuścili się w głąb biblioteki. Dźwięki *Danse macabre* dochodziły tu znacznie słabiej. Gwaru tłumu nie było słychać prawie wcale. Wnętrza tonęły w ciszy i mroku. Gotyckie łuki



wzbijały się wysoko w ciemność. Rzeźbione popiersia rzucały spod ścian puste spojrzenia. Rozległo się kolejne uderzenie zegara na wieży. Szli przez ciemny hol ku schodom.

Zaczęli wchodzić na górę. Schody pięły się eleganckim łukiem. Oliver ruszył pierwszy, Zach podążał tuż za nim. Krok w krok za swoim starszym bratem. Zdjął powoli czapkę i wepchnął ją do kieszeni. Rozpiął płaszcz, żeby mieć większą swobodę ruchów. Teraz, teraz, gdy nadeszła pora - był prawie zupełnie spokojny. Prawie nic nie czuł. Te wszystkie przyziemne szczegóły, które niczym termity nękały go od samego rana, odpłynęły podobnie jak gwar parady. W jego wnętrzu panował spokój. Miał wrażenie, że żeglujecie przez coś w rodzaju rzadkiej mgiełki. W atmosferze snu. Przyglądał się plecami brata, który wspinał się coraz wyżej po krętych schodach. Uśmiechnął się smutno na ich widok; uśmiechnął się do swoich wspomnień. Naprawdę było mu smutno i jakoś tęskno. Przecież ciężej mu z tym niż komukolwiek innemu. Cierpi bardziej od innych, o tak! Te wszystkie udręki z bólem, z zabijaniem: zmuszono go do tego. To było zbędne, niepotrzebne. A teraz jeszcze to: bratobójstwo. Wstyd. Wyrzuty sumienia będą go nękać długo, o, długo.

Wchodzili na górę. Co jakiś czas mijali witrażowe okna w łukowatej ścianie przy schodach. Kolorowe szybki były ciemne i mętne, ale niektóre chwyciły blask latarni ulicznych. Szklane obrazy wylaniały się wtedy z ciemności i rzucały przyćmioną kolorową poświatę na kręte schody. Królowa o długich złotych splotach i litościwym spojrzeniu. Rycerz o szlachetnym czole i koziej bródce. Wylaniali się na chwilę jak wpółzapomniane twarze i nikli, gdy bracia szli dalej. Nie wiedzieć czemu, widok tych postaci wzmógł tęskny nastrój Zacha. Poczł żal za minionym, przypomniał sobie zapach jesieni wokół ich domu w Port Jeff. Jakże to było smutne! Woń podmiejskiej trawy, niskie słońce przesiane przez zmieniające kolory liście. Chłodne powietrze, smugi samolotów wysoko na błękitnym niebie. „Niech diabli wezmą tych wszystkich ludzi - pomyślał - tych gliniarzy, tych

agentów". To wcale nie musiało tak być. To było śmiechu warte, bezmiar idiotyzmu. To FBI. To zasrane FBI, szalejące z powodu głupich dwudziestu pięciu tysięcy dolców. Tylko tyle chciał. Odrobinę pieniędzy. Żeby się wyrwać. Uwolnić się od babci i od tych jej psychiatrów. I od Olivera i jego... no, chuci. Od całego świata, który wiązał mu skrzydła, przykuwał do ziemi tymi kretyńskimi szczegółami. Ale to zasrane FBI wymyśliło sobie, że to jakaś wielka sprawa, mafia, te rzeczy. Wymyślili sobie, że zapuszczają Fernanda Woodlawna...

I przysłali tę agentkę. Tę cholerną babę, która miała podszyć się pod kurierkę Woodlawna, Nancy Kincaid.

No, niezła była. To trzeba jej przyznać. Bez wątpienia. Dokumenty miała podrobione świetnie; karty kredytowe, prawo jazdy. I miała taką dziewczęcą gadkę, można się było na to nabrać, bardzo przekonujące. Gdyby nie był taki podejrzliwy, załatwiłaby go. Wziąłby od niej paczkę z pieniędzmi, dał fotografie... No i wtedy miałby lufę trzydziestki ósemki pod brodą, a ta głupia dziwka krzyczałaby jak wściekła, że jest aresztowany.

Ale przechytrzył ich wszystkich. Przechytrzył aż miło. Zwabił agentkę do samochodu. Potem wsadził jej lufę automatu pod żebro i zrewidował ją. No, a jak znalazł urządzenie podsłuchowe w jej bluzce, to już wiedział, że to glina, mogła się nie tłumaczyć. Dał w rurę i zwiął im sprzed nosa. Zaskoczył ich zupełnie. Zgubili wszystkie ogony, które się za nią wlokły.

Potem zabrał ją do starego mieszkania babci w zaułku. Ona nie dawała za wygraną. Trzymała tę swoją gadkę. Cały czas powtarzała, że nazywa się Nancy Kincaid. Dobra była. A on miał takiego pietra, że pozał się Bóg. Zdawało mu się, że jest skończony. Że go wsadzą do kryminału. Do kryminału!

To był najgorszy moment, moment najtrudniejszej próby. Naprawdę poważnie zastanawiał się nad tym, czy ze sobą nie skończyć. Na szczęście podtrzymała go wiara w Boga.

W końcu pomyślał o aquariusie. Pod deskami podłogi w starym mieszkaniu miał zamelinowaną działkę. Potrzebował odrobinę, ot, żeby ukoić nerwy. Pamiętał, obiecał Bogu, że nie będzie... ale doszedł do wniosku, że trochę... odrobinę - i koniec. Związaną agentkę trzymał w

sypialni babci. Odszukał strzykawkę i igły. Zastrzyk zrobił sobie na kłęczkach. Płakał przy tym i modlił się do Chrystusa o wybaczenie.

Narkotyk zadziałał wspaniale. W ciągu paru minut spłynęło na niego wielkie, ciepłe ukojenie. Tak jakby ten cały szaleńczy świat odcięto od niego. Jakby z chirurgiczną precyzją usunięto cały świat, a zostawiono tylko jego. I tak unosił się samotnie w obłoku miękkiej błękitnej słodyczy. Wreszcie mógł jasno myśleć. Fernando nie puścił pary z gęby. Ta kreatura nie zaryzykuje całej swojej kariery dla nędznych dwudziestu pięciu kawałków. Groźne są tylko zeznania tej agentki federalnej. Jej i tej prawdziwej Nancy Kincaid. Tylko one dwie mogły skutecznie zeznawać przeciwko niemu. Kiedy narkotyk zadziałał, pojął wszystko. Wyraźnie ujrzał wzajemne związki. Wszystkie związki. Doznał czegoś w rodzaju ekstazy synaptycznej. Wtedy przyszedł mu do głowy plan doskonały.

Natychmiast wziął się do roboty. Najpierw zabił agentkę. Naszprycował ją narkotykiem w zabójczej dawce. Na początek dał jej tylko trochę, miał nadzieję, że się rozgada

i będzie mógł z niej wyciągnąć, co wie FBI. Ale niestety, okazało się, że to twarda sztuka. Nie poddała się. Nawet tracąc przytomność, wciąż twierdziła, że nazywa się Nancy Kincaid. Nawet w trakcie omamów powtarzała swoją śpiewkę. Wreszcie wpompował w nią cały zapas, jakim dysponował. Aż nadto, żeby zrobić jej z mózgu owsiankę. Dość, żeby wyprawić na tamten świat. A ona się trzymała. Rany boskie! Twarda sztuka. To jej trzeba przyznać. Powtarzała w kółko swoją gadkę, póki całkiem się nie zwała. Już nieprzytomna, jeszcze coś bełkotała, że się nazywa Nancy Kincaid. Potem po prostu padła. Narkotyk sparaliżował układ oddechowy. Rozwalił serce...

Wtedy Zach zostawił ją w spokoju, żeby umarła. I poszedł poszukać prawdziwej Nancy Kincaid.

Uśmiechnął się teraz szerzej - prawie roześmiał - kiedy sobie to przypominał. To było zachwycające.

Narkotyk rozprzestrzenił się w żyłach na dobre. Zach przebywał w czymś w rodzaju mistycznej krainy czarów. Każda rzecz miała Sens, nic nie było takie, jakie się wydawało. A on nie czuł żadnego lęku.

Adres tej małej Kincaid znalazł w dokumentach agentki. Poszedł do niej i przedstawił się jako inspektor Toody Muldoon. Można powiedzieć, że się go spodziewała. Bez oporu wsiadła do jego samochodu. I w drogę! Po prostu. Gdy dowiózł ją do mieszkania w zaułku, jego życie, psychika, dusza stanowiły harmonijną symfonię zrozumienia. Przywiązał prawdziwą Nancy Kincaid do łóżka, cały czas pławiąc się w intelektualnej ekstazie. Teraz, wchodząc po schodach w bibliotecę, był w stanie uchwycić tylko mizerną resztkę tego doznania. Mógł tylko opłakiwać przemijalność transcendentalnego piękna. I przemijalność tego elektryzującego momentu, gdy po raz pierwszy wtargnął w głąb ciała tej błagającej dziewczyny...

Rozległo się kolejne uderzenie zegara. I następne. Bracia wspinali się. Zanim doszli na górę, skończył wybijać godzinę.

Zachary zatrzymał się. Stał na szczycie schodów. Westchnął melancholijnie.

Oliver szedł wąskim, długim górnym holem biblioteki. Zach stał i przyglądał mu się. Tej znajomej sylwetce, znajomym ruchom. Obserwował go z czułością. Starszy brat zatrzymał się i zgarbił po swojemu, ze zwieszoną głową. Ściany po obu stronach zastawione były po sufit półkami pełnymi książek. Z medalionów nad lukami patrzyły na nich obu kamienne twarze. Dobiegały stłumione dalekie dźwięki muzyki z parady. Słabo przeświecały witrażowe twarze.

Zach poczuł wyraźnie, jak wzbiera w nim potężną falą miłość do Olivera. Ten znów go uratuje, jak zawsze, jak było od początku, od czasów na Long Island. Oliver pozbawi się życia tutaj, na górze. Ogarną go wyrzuty sumienia z powodu obu zabójstw, Nancy Kincaid i agen-

tki FBI. Strzelił sobie w łeb w swojej własnej pracowni, do której on i tylko on miał klucze. Samobójstwo nie nasuwające żadnych wątpliwości. A przy tym całym zamieszaniu dookoła nikt na pewno nie zauważył, jak Zach wszedł do biblioteki, ani też nie zauważył jego wyjścia. Zresztą ukrył twarz pod czapką, a kolorową koszulę pod płaszczem.

Ludzie zapamiętają za to Króla Śmierci. Minęła ósma, Król Śmierci defiluje właśnie przed biblioteką, w samą porę. Zach wpakuje bratu kulkę i zbiegnie na dół, żeby się wymienić z Tiffany w cieniu drzew na dziedzińcu biblioteki. Ona w masce trupiej czaszki udawała go dotąd, nawet przed przyjaciółmi z redakcji magazynu. Wszyscy ludzie - dziesiątki tysięcy gapiów - zaświadcza, że widzieli Zachary'ego na ulicy w charakterze Króla Śmierci, podczas gdy tutaj dokonano się zabójstwo.

Uśmiechnął się w mroku bibliotecznego korytarza. Poczucie mistycznego zrozumienia i jedności było na wyciągnięcie ręki. Ta niewiarygodna skalająca wizja, która mu się objawiła, kiedy formułował ten plan. Gdy dzwonił do Tiffany, żeby wytłumaczyć jej rolę w tym planie, niemal nie posiadał się z radości i podniecenia, tak jasno przedstawiała mu się prawdziwość tej wizji. Telefonował do księgarni. Czekala na niego w zamkniętym sklepie, miał jej przywieźć te pieniądze. Kiedy opowiedział, co się stało, i wyjaśnił swój plan - wpadła w histerię. „To nie jest dobry plan, Zach! - powtarzała. - To się nie uda. Ten plan jest szalony! To wszystko szaleństwo!” Po prostu z początku nie rozumiała. Jak to ma działać. Król Śmierci. Ollie. Biblioteka. Martwe kobiety w starym mieszkaniu. To był plan doskonały. Także z symbolicznego punktu widzenia. Dopiero z symbolicznego punktu widzenia miał naprawdę sens. „Nie zapomnij - tłumaczył przez telefon tym swoim sugestywnym, monotonnym głosem - o ósmej. To Zwierzęca Godzina. Rozumiesz? To właśnie jest ten sens. Teraz nie zapomnisz. Musisz tam być. Punkt ósma. Wtedy on ma umrzeć”.

Teraz, kiedy ta godzina nadeszła, Zach wyciągnął spod

pstrokatej koszuli samopowtarzalny pistolet. Było mu tak smutno, tak żal. Tak bardzo kochał starszego brata właśnie teraz to czuł najmocniej. Wyciągnął rękę, wymierzył w plecy Olliego. Uśmiechnął się tkliwie. Oczy wypełniły mu się łzami czułości.

Oliver się odwrócił. Stał twarzą do Zacha po drugiej stronie długiego pomieszczenia. Zobaczył broń i zeszywniał z lekka się wyprostował. Mimo ciemności Zach dostrzegł że brat otworzył usta. Słyszał, jak wstrzymał oddech. Jakby był zaskoczony.

Zach uśmiechnął się ciepło. Pokręcił głową. Zaśmiał się przekornie.

- No, daj spokój, Ollie. - Jego głos rozbrzmiał niespodziewanie głośno w bibliotecznej ciszy. - Nie patrz tak na mnie. Przecież od początku wiedziałeś.

## Kobieta w masce

Ponad drzewami, pod niepełnym bochnem księżycy zegar na smukłej wieży wybijał godzinę. Kobieta w masce szaleńczo biegła w stronę biblioteki.

Ledwie mogła myśleć, tak ją wszystko bolało. Ogień w płucach. Noże przeszywające nogi. Tępy ból w plecach. Ale biegła ze wszystkich sił, ściskając w dłoni rewolwer.

„Oliyer, ocalej”.

Przebierała nogami, stękając i jęcząc przez zaciśnięte z bólu zęby. Oczy zachodziły jej łzami z wysiłku. Wyteżała wzrok, spoglądając przez otwory w migającej świetłkami masce.

„Ocalej, proszę”.

Gapie uskakiwali przed nią na boki. Znów zobaczyła Śmierć, wielki papierowy szkielet roztańczony w powietrzu nad tysiącami zadartych głów. Zobaczyła grupki ludzi na schodach biblioteki. Widok przesłaniały jej jakby półprze-

zroczyście czerwone płachty. Muzyka dochodziła do niej porozbijana na kawałki: przeraźliwe, bezładne jazgoty, odpryski bez melodii i rytmu padające wokół. Biegła i płakała. Wypełniała ją ciemność. Nie wiedziała, kim jest. Nieodgadniona ciemność. „Ocalej!”

— Ach! — krzyknęła głośno. „OHver”.

Chryste, nie da rady. Nie wie, kim jest, a wolałaby umrzeć, niż tego nie wiedzieć. Tyle ciemności wewnątrz. Przyspieszyła kroku, wydała jeszcze jeden krzyk bólu. Biegła, jakby wciąż ścigały ją maskarony, bijące powietrze kamiennymi skrzydłami, wyciągające ku niej marmurowe szpony. Zegar uderzył kolejny raz.

Teraz musiała torować sobie drogę łokciami. Tłum był tu gęstszy. Od czasu do czasu miała przelotne ataki klaustrofobii, gdy zamykał się wokół niej krąg twarzy. Tyle twarzy, obwisłe policzki, przekrwione oczy, rzednące włosy, złośliwe uśmiechy. Napierali na nią, rośli gęsto jak trawa. Maski. Mężczyźni jako kobiety. Kobiety jako złe czarownice. Przepychała się do schodów biblioteki, spazmatycznie łapiąc powietrze i łkając równocześnie. Przeciskała się, wymachując w powietrzu rewolwerem. „Oby tylko ocalał” — myślała, wpatrując się we wrota biblioteki. Ale ta myśl - każda myśl — odpływała zmyta nieokiełznanym krzykiem: „Nie wiem, kim jestem!”, który rozbrzmiewał w ciemności jej wnętrza.

Wdrapywała się już po schodach. Odgarniała ludzi rękoma. Łapała za ręce, za ramiona. Wspierała się na nich, wspinała. Rozległo się kolejne uderzenie zegara. Ludzie śmiali się z niej. Krzyczeli. Przeklinali. W głowie dudniły jej bezładnie odgłosy muzyki towarzyszącej orszakowi. Cień ogromnego kościotrupa wisiał nad nią jak wyrok. Słyszała za plecami skrzydła maskaronów. Zbliżają się. Zaraz ją dopadną. Wdrapywała się i myślała: „Żyj! Ocalej! Błagam!”

Była u drzwi. Chwyciła w dłoń wielką klamkę. Osunęła się na kolano, próbowała wstać.

„Zamknięte. Będzie zamknięte” — pomyślała. Łzy płynęły

z obu stron elektrycznej maski. Jęknęła. Stała na nogi oparła o drzwi.

Otworzyły się. Wpadła do środka. Z trudem łapała równowagę. Usłyszała za sobą krzyki. Kakofonię parady. Skrzydła maszkaronów. Znów udało się jej utrzymać na nogach Drzwi zamknęły się z sykiem automatycznie. Gwar tłumu scichł. Miała przed sobą mroczne wnętrza. Oparła się o ścianę, ziewając ciężko. Jej ciałem wstrząsał szloch. Po twarzy ciekły łzy.

Zegar na wieży uderzył jakby bardzo daleko, po raz ostatni. Ton wybrzmiał. Rozpłynął się w powietrzu. Cisza zamknęła się wokół niej, otuliła ją.

A ona pomyślała:

„Osma. Punkt ósma. Zwierzęca Godzina”. Zaczepnęła głęboko powietrza. Odepchnęła się od ściany „Więc dobrze, oto jestem”.

Oliver Perkins i kobieto w masce

Oliver zobaczył pistolet w ręku brata. Pokręcił głową Odwrócił spojrzenie. Popiersia wyrzeźbione w kamieniu patrzyły pustymi oczami. Obrazy w witrażach błyskały wokół, po czym znikwały.

- Zach. Rany... - Nie był w stanie mówić dalej. Zacisnął wargi, bo bał się, że nie powstrzyma płaczu.

- Daj spokój, Ollie, przestań - powtórzył Zach z cichym srmechem. Podszedł o krok, broń drżała mu w ręku. -Chcesz mi powiedzieć, że nie wiedziałeś? Przestań!

Oliver nie potrafił na niego spojrzeć. Nie potrafił nic powiedzieć. Było mu za ciężko, czuł się zbyt zmęczony żeby cokolwiek mówić. Nie spodziewał się, że w ten spo-



sób to odczuje. Było spokojniej, nie tak gwałtownie, jak to sobie wyobrażał. To czarne, nietoperzowate stworzenie wewnątrz niego wreszcie rozwinęło skrzydła. Lecz okazało się to niczym więcej, tylko otworzeniem jakichś drzwi. Drzwi do następnej ciemności. Oliver zamknął oczy i spojrzał w ten mrok. Zobaczył twarz Zacha. Chłopcę, puciołowatą twarz o wielkich czarnych oczach. Oczach, które zerkają z ciekawością. „Co teraz będzie, Ollie?” Potrząsnął głową.

— Daj spokój! - powiedział Zach. Roześmiał się znów nerwowo. - Wiedziałeś. Przecież wiedziałeś. Umyłeś tę przeklętą filiżankę, no nie? Musiałeś wiedzieć.

Oliver oddychał boleśnie w ciemności.

Na dole kobieta w masce stała jeszcze chwilę nieruchomo. Cisza wisiała nad nią. Mrugające światełka maski wypełniały ciemność nikłą pulsującą poświatą. Przeczowała raczej, niż zobaczyła, łukowate sklepienie. Dostrzegła kolorowe okna, spojrzenia z witraży. W środku miała ciemność, nieodgadnioną ciemność. Pokuśtykała w głąb.

Nagle przez własny szorstki oddech coś usłyszała. Rozpoznała słabe dźwięki muzyki. Parada. Gwar odległego tłumu jak szum wiatru. I jeszcze coś...

Głosy. Szmer męskich głosów. Gdzieś z góry. Podniosła oczy. Chwiała się na nogach z wycieńczenia. Zobaczyła kręte schody, pnące się z gracją w mrok.

„Nie wiem — poskarżyła się - nie wiem, kim jestem”.

Ale poszła na sztywnych nogach, wlokąc swoje ciało jak brzemień. Ręka z rewolwerem zwisała bezwładnie u boku. Wyciągnęła drugą rękę, macając przed sobą przestrzeń. Dotknęła chłodnego kamienia.

Stała pod niskim łukiem. Po omacku dotarła do ściany. Poczwała pod dłonią drewno poręczy. Uchwyciła się jej. Zaczęła się wciągać. Stopą odnalazła pierwszy stopień.

Ruszyła po schodach na górę.

Zachary zrobił jeszcze jeden krok w stronę brata. Oliver usłyszał to. Skrzywił się. Stojąc tak w ciemności, z zamkniętymi oczami, wpatrując się w ciemność wewnątrz siebie, nerwy miał obnażone. Widział teraz matkę. Martwą. Leżała na podłodze przy stoliku do kawy. Przy niej przewrócona filiżanka. Rozlana herbata plamiła puszysty dywan. Plama zatrutej herbaty. Nie do zniesienia. To było nie do zniesienia. Nie dbał o to, co z nim teraz będzie.

Zachary przyglądał mu się uśmiechnięty. Trochę się pochylił, kryjąc twarz za pistoletem.

— A co myślisz? — powiedział. Oliver na dźwięk znajomego głosu skrzywił się znowu. I ten śmiech: „he, he, he”. - Przecież chyba dlatego umyłeś tę filiżankę. Wiedziałeś, że to ja, w końcu miałem tego swojego „małego chemika”. No nie? Tak, tak. Nie wygłupiaj się, Ollie, wiedziałeś. Przecież nie prosiłem cię, żebyś ją umył. Wcale mi nie przyszło do głowy, żeby ją myć. Wszyscy wiedzieli, że ma słabe serce; i tak nikt by nic nie podejrzewał. Ale ty uznałeś, że trzeba mnie ratować, prawda? I teraz też mnie uratujesz. Teraz.

Oliver otworzył oczy.

Kobieta w masce wdrapywała się po schodach. Nie mogła iść szybko. Nogi miała ciężkie jak kłody. Z trudem podnosiła je na stopnie, sztywno. Mocno trzymała się poręczy.

„Proszę - myślała - proszę”.

Mijała witraże w niszach. Jarzyły się w nich widmowe twarze. Szmer głosów słyszała coraz wyraźniej. Doszedł do niej jeszcze inny dźwięk. Daleki dźwięk, od którego ciarki jej przeszły po plecach. Przytłumione wycie, coraz głośniejsze. Syreny. Policja. Jadą po nią.

Wlokła nogi, podciągała się na poręczy, kurczowo ścisnęła rewolwer. „Oliver — myślała — proszę cię”.

Zobaczyła górną kondygnację. Korytarz. Na ścianach książki. Teraz starała się oddychać ciszej. Zagryzła wargi.

Zauważyła dwie postacie, stojące naprzeciw siebie pośrodku pomieszczenia.

- Rozumiesz, czasem trzeba wejrzeć głębiej pod powierzchnię spraw - mówiła jedna z nich. - Wtedy dostrzegasz prawdziwy sens.

Ten głos. Znała ten głos. To był głos, który słyszała, kiedy czołgała się tamtym korytarzem. Ten usilny, monotonny głos: „Ósma godzina. Musisz tam być”.

Kobieta w migoczącej masce wyciągnęła rękę w bok. Dłonią dotknęła ściany. Zaczęła macać po tynku. Poczowała metalową płytkę. Włącznik światła. Trzy przyciski obok siebie.

Głos syren wzmagął się. Wycie zaczęło zagłuszać dudnienie dalekiej muzyki.

Przycisnęła włączniki światła, wszystkie trzy naraz.

Oliver patrzył na brata. Oddychał teraz płytko; dygotał. Widział czarne oczy Zacha, spoglądające na niego ze smutkiem. Zobaczył jego miłą, gładką twarz.

„Nie będziemy zjeżdżać przez tamten próg, dobra, Ollie?”

Oliver rozchylił wargi. Chciał mówić, krzyczeć, powiedzieć coś, cokolwiek. Chciał powiedzieć: „Pamiętasz? Jak tata narzekał przy kolacji? Pamiętasz, jak udawałem, że złapałem tamtą piłkę? Pamiętasz, jak mama przypaliła marchewkę i płakała?” Chciał mówić Zachowi o rzeczach, o których wiedzieli. O których wiedzieli wyłącznie oni...

Ale patrzył tylko na twarz brata, na jego uśmiech, na jego rozgorączkowane oczy. Na lufę broni. I słowa utknęły mu w gardle. Był zbyt znużony, by mówić. Za wielki wysiłek. Każde słowo, które mu przychodziło do głowy, było takie ciężkie od znaczeń. Cokolwiek by powiedział, cokolwiek by zrobił - zaświadczy przeciw memu, zdradzi go.

Bo przecież wiedział. Gdzieś głęboko w duchu. Wiedział od początku. I każde słowo, które przychodziło mu do głowy, było tego świadectwem.

Zach zrobił jeszcze krok i stali teraz twarzą w twarz

pośrodku pomieszczenia. Daleka muzyka przenikała z zewnątrz. Książki zastygły w równe szeregi na półkach pod ścianami. Twarze z kamienia i twarze z kolorowego szkła przyglądały się im uważnie. Oliver patrzył na brata i nie dbał już teraz zupełnie o to, co się stanie. Patrzył na niego i widział, jak bardzo jest do niej podobny. Jak bardzo podobny jest do ich matki. Ogarnęła go tak przemożna tęsknota, że terażniejszość zupełnie przestała go obchodzić. Matka była, podobnie jak babcia, drobną, nerwową jak ptak kobietą. Żywe gesty, szybkie spojrzenia, wiecznie manipulujące palce. Miała łagodne, chłodne dłonie, które nieruchomiały tylko wtedy, kiedy kogoś trzymały za rękę, głaskały po głowie. Kiedy się o kogoś martwiła - bo był chory albo spadł z roweru, czy coś w tym rodzaju - mogła się przestać martwić o siebie, uspokajała się.

Oliver wiedział, że to Zach ją zabił. Gdzieś w głębi wiedział o tym od początku. Wiedział, nie wiedząc. Ukrywał to przed samym sobą. Ale wiedział, owszem, zawsze. Nieustannie. We śnie, w każdej chwili. Zawsze o tym wiedział.

„Dlaczego?” - miał ochotę zapytać. Już układał słowa na wargach, ale nie zdołał ich wydobyć. Był zbyt zmęczony. I w gruncie rzeczy przestało go to obchodzić. Ale spróbował jeszcze raz. Patrząc na Zacha, na tę jego twarz, tak podobną do jej twarzy. Ochryple, cicho, z trudem wyrzucając słowa, zapytał:

- Dlaczego to zrobiłeś, człowieku? - Potem chrząknął, a łzy popłynęły mu po policzkach. - Czym ona ci zawiniła? Nie skrzywdziła cię, nigdy - ciągnął. - Tata... no, on... tak, bywał zły, ale ona... człowieku, Zach - mówił płacząc. - Znaczący, ja ją naprawdę kochałem. Dlaczego to zrobiłeś?

Zach stał tuż przy nim. Oliver widział grymas na jego twarzy. Widział zalewający ją rumieniec. Wygięcie warg. Płomień w oczach. Maskę wściekłości. Zach prychnął, raz i drugi. I powiedział:

- Bo pozwoliła mu na to, co mi zrobił, no nie? Pozwoliła, no nie? A ty...

Bracia stali naprzeciw siebie, obaj we łzach. Zach nie

mógł mówić dalej. Wydał z siebie krzyk rozpacz i gniewu. Z wykrzywioną twarzą podszedł jeszcze krok. Przystawił lufę do czoła Olivera.

Oliver patrzył na niego. Zobojętniały na wszystko. Czuł dotyk zimnej stali. Widział drżenie dłoni Zacha.

Zach wahał się jeszcze sekundę.

Potem jego twarz rozjaśnił uśmiech. Palec naprężył się na języku spustowym.

— To ty zepsułeś maszynę do pisania — powiedział.

Błysnęło. Leciutko. Jakby daleka błyskawica. Rozległ się suchy trzask świetlówek. Zaczęły rozbłyskać wszystkie jednocześnie. Na całej długości sufitu. Zalały pomieszczenie przerywanym niebieskawym blaskiem.

Kobieta w masce zobaczyła w tym dziwnym, jakby stroboskopowym świetle dwie postacie. Zobaczyła, jak Oliver...

„Żywy!”

...patrzy na nią zaskoczony. Zobaczyła, że drugi mężczyzna obraca się na pięcie w jej stronę. Zobaczyła jego twarz.

„To on! To on!”

Rozpoznała Króla Śmierć, prawdziwego Króla Śmierć. Zachary, tak ma na imię. To jego twarz spodziewała się ujrzeć pod maską trupiej czaszki. Obracał się ku niej w rozwianym płaszczu. Obracała się też jego wyciągnięta ręka. W drgającym świetle kierowała się ku niej pulsującym ruchem. Niebieskawe światło błyskało w srebrnej lufie pistoletu.

Wreszcie lampy zaskoczyły. Całe pomieszczenie znieruchomiało w powodzi oślepiającej bieli. Kobieta zaczęła podnosić rewolwer. Zobaczyła, że Oliver wyciąga rękę. Zach celował do niej, zza lufy widziała jego wykrzywioną wściekłością, szkarłatną twarz z rozpalonymi oczami.

Oliver krzyknął:

— Zach, nie!

Wyprostowała uzbrojoną rękę. Wtedy Zach do niej strzelił.

## Oliver Perkins i Cus Stallone

Oliver zauważył kobietę pierwszy. Zobaczył maskę migoczącą w mroku u szczytu schodów na czerwono, zielono i żółto. Potem zaczęły błyskać świetlówki. Ujrzał małą, żalną postać. Podarte czarne dżinsy, zakrwawiony szary golf. Twarz pod tanią maską, brudna, zapadnięta z wyczerpania.

Wtedy Zach odsunął lufę od jego głowy, zaczął się odwracać. Odwracać do tej dziewczyny, zwolnionym i przerywanym — wydawało się — ruchem w stroboskopowym świetle. Trwało to tak długo, że Oliver miał czas pomyśleć: „Chryste! Chryste! Zastrzeli ją!” i usłyszał własny krzyk:

— Zach, nie!

Wyrzucił ramię w stronę uzbrojonej ręki brata. Palce chwyciły śliski materiał przeciwdeszczowego płaszcza, dotknęły szczupłego przedramienia pod spodem, odepchnęły je.

Zach strzelił. Bronią szarpnęło. Oliver zobaczył, że kobietę w masce odrzuca uderzenie pocisku. Chwiejnie cofnęła się ku krawędzi schodów. Ale zatrzymała się, wparła stopy w ziemię, obnażyła zęby w nadludzkiej determinacji. Zach znów w nią wymierzył ze swojego pistoletu, ale kobieta trzymała go już na muszce. Oliver jeszcze raz krzyknął: „Nie!”, ale jego słowa zagłuszył kolejny wystrzał. Wybuch wypełnił pomieszczenie bez reszty. Wstrząsnął nim w posadach. Ogłuszający huk rozsunał ściany. A potem, powoli, hałas zamarł, rozsypał się w pył. I zapanowała cisza. Wszystko znieruchomiało.

Zach stąpnął krok do tyłu, ręce mu opadły.

Oliver wpatrywał się w niego.

— Zach? — powiedział.

Podszedł do młodszego brata i uchwycił go pod pachami. Ręce Zacha wydawały się bez siły. Wisiały bezwładnie. Oliver usłyszał głucho stuknięcie. Pistolet upadł na podłogę.

Pod Zachem ugięły się kolana.

— Zach? - szepnął Oliver.

Przez chwilę podtrzymawał młodszego brata w pozycji

stojącej, ale ciągnęła go do ziemi jakaś niepowstrzymana siła. Oliver objął Zachary'ego ramieniem. Ukląkł wraz z nim. Trzymał go w ramionach, przyciskał do piersi. Patrzył na jaskrawą kolorową koszulę i dopiero po dłuższej chwili zauważył w niej czarną dziurę. Przez nią widać było ciało Zacha, a w nim czerwono-czarny otwór. Przestraszony, spojrzał szybko na twarz brata. Wielkie oczy wpatrywały się w niego, wciąż żywe. Wargi poruszały się. Zachary oblizał je. Były białe. Coś szepnął. Oliver pochylił się nisko, żeby usłyszeć.

— ... pamiętasz...? — powiedział Zach.

Oliver pochylił się jeszcze bliżej, przytknął ucho do jego ust. Pomyślał, że Zach chce go zapytać, czy pamięta tę jazdę na sankach z górki za domem. Pamięta. A jakże.

Ale Zach nic już nie powiedział.

Oliver znów spojrzał na twarz brata. Zach wciąż patrzył. Światelko życia wciąż tliło się w jego oczach.

A potem zgasło. Perkins spuścił głowę. Tulił małego braciszka i gładził go po policzku, po głowie. Kołysał go i myślał: „Nie martw się, Zach. Już nie musisz się martwić”. Jego łzy kapały na twarz Zacha i spływały mu po policzkach; wyglądało, jakby to zmarły płakał.

„Ech” - pomyślała kobieta w masce. Osunęła się na jedno kolano na skraju schodów. Opuściła bez życia rękę. Rewolwer wyslizgnął się z dłoni, upadł na podłogę. „Ech, ech, ech” - myślała. Ogarnęły ją mdłości. Na moment odpłynęła w nieświadomość. A potem straciła równowagę na szczytowym stopniu schodów. Zaczęła spadać. Spadała długo, jakby w zwolnionym tempie. W końcu uderzyła głową w stopień. Poczowała tylko wstrząs, nie ból. Zsunęła się jeszcze o jeden schodek, potem następny i kolejny. Jej potylicca łomotała po stopniach, stuk, stuk, stuk.

Wreszcie zatrzymała się: nogi w górze, ręce rozrzucone na boki. Szyja odgięta do tyłu. Przez otwory w masce oczy widzą tylko rozmazane plamy.

„Czy postąpiłam jak trzeba? - zastanawiała się mgliście. - Czy w końcu zdołałam postąpić jak trzeba?”

Teraz przeszło ją ostrze bólu. Spazmatycznie wciągnęła

powietrze. Jej ciało napięło się. Przed oczami poczerwieniało. Potem ból przeszedł w łupanie. Leżała na wznak na schodach, patrzyła w sufit. Wiedziała, że kula ją trafiła, gdzieś wysoko, w okolicy obojczyka. W lewej ręce nie miała czucia. Reszta ciała pulsowała tym tępym bólem. Wiedziała, że prawdziwe cierpienie zacznie się niebawem.

„Parszywy dzień - pomyślała, zamykając oczy. - Kompletnie beznadziejny”.

Perkins puścił ciało brata dopiero przy jej drugim okrzyku bólu. Usłyszawszy ten krzyk, obejrzał się przez ramię. Zobaczył wystającą nad ostatnim stopniem nogę.

Z ociąganiem położył głowę Zacha na podłodze. Oczy patrzyły szeroko otwarte; wyglądały jak szklane kulki. Perkins dłonią zamknął bratu powieki.

Kobieta na schodach jęczała teraz co chwilę. Bełkotała coś do siebie po cichu. Perkins wstał i nabrał głęboko powietrza, żeby się trochę doprowadzić do ładu. Wylał łzy z policzków.

Syreny zamilkły. Dopiero teraz zwrócił na nie uwagę. Ich wycie nasiliło się, doszło do rozdzierającego maksimum na ulicy przed budynkiem, potem nagle ucichło. „To na pewno Mulligan” - pomyślał Perkins. Zadzwoiła do niego pani Wallabee, jak ją prosił. To mu przypomniało Avis, leżącą na podłodze w swoim mieszkaniu z poderżniętym gardłem. Nie popatrzył na Zacha, ale czuł jego obecność u swoich stóp. A babcia... Trzeba będzie jakoś umiejętnie zawiadomić o wszystkim babcie...

Teraz zostanie sam jeden, pomyślał.

Kobieta na schodach jęknęła znowu. Popatrzył na nią. Podeszedł ciężko do schodów. Zobaczył drobną figurę, wyciągniętą na stopniach głową w dół. Światelka, którymi była upstrzona jej maska, migotały idiotycznie, teraz słabo, w jaskrawym oświetleniu jarzeniówek.

Kobieta poruszyła się, jęknęła, wymamrotała coś. Próbowwała wstać.

Perkins ominął ją, zszedł niżej. Klęknął tuż obok jej głowy.



— Trzymaj się, dziewczyno, jestem przy tobie — powiedział. - Leż sobie spokojnie.

Kobieta pokręciła głową na boki.

- Nie wiem... — mamrotała. - Boję... boję się... to miałam być ja... boję... proszę.

— Ciii — powiedział Perkins. Musiał znów wytrzeć sobie policzek. Kobieta próbowała otworzyć oczy pod maską. Ale powieki same jej opadały. Perkins wyciągnął rękę i zdjął maskę. Łagodnie zsunął ją z włosów i rzucił na bok. Upadła pod ścianę, cały czas mrugając lampkami.

Kasztanowate włosy kobiety rozsypały się wokół jej twarzy. Perkins rozpoznał ją od razu. Szerokie policzki, mocna żuchwa. Mulligan pokazywał mu jej zdjęcie. To ta agentka FBI, która spotkała się z Zachem. Jak tam jej było? Stallone. Gus Stallone.

Rzucała głową na boki. Przebierała nogami.

- Boję się... Oliver... Oliver... — szeptała. Poglaskała ją po czole, odgarnął loki. Otworzyła szeroko oczy. Wbiła w niego spojrzenie. Podniosła z wysiłkiem rękę do ust. Przycisnęła palce do warg.

— Ty... Ol... — wymamrotała. - Znam cię. Wiem, kim jesteś.

I próbowała się do niego odwrócić.

- Dobrze, dobrze - powiedział Perkins. — Bo spadniesz. Zrobisz sobie krzywdę.

- Parszywy... parszywy dzień — mruknęła. Rozeźmiał się niewesoło.

— Tak, dla mnie też. Chodź, zaniosę cię na dół. Przycisnął jej bezwładną rękę mocno do ciała. Drugą

przełożył sobie przez kark. Ukląkł i wsunął jedno ramię pod jej plecy, drugie pod kolana. Wstał, dźwigając ją w górę, przyciskając do rozerwanego swetra; poczuł miękkość jej włosów na obnażonej klatce piersiowej. Zaczął zstępować po schodach. Przy wygiętej w łuk ścianie. Pod czujnym okiem przeświecających witrażowych figur. W dole, w głębi mroków parteru, ukazał się duży szarobiały prostokąt. To otworzyły się główne drzwi biblioteki. W tym prostokącie światła z ulicy stał jakiś człowiek, jego sylwetka odcinała się

wyraźnie. Za nim widać było tłoczących się ludzi. Niektórzy zaglądali do środka. Ich oczy błyskały bielą z umalowanych twarzy, zza masek. Tłum płynął za policyjną barierką, podrygując w takt muzyki, las rąk unosił się w górę. Perkins słyszał orkiestrę, ostre tony trąbek, uderzenia bębnow. Jacyś klauni brykali po ulicy, chociaż teraz musieli omijać rozstawione wozy policyjne, które blokowały aleję. Ich ostrzegawcze światła pulsowały bielą i czerwienią.

Perkins znosił kobietę po schodach, przyciskał ją mocno. Jej głowa osunęła się, zerknął na nią. Zobaczył sine otarcia na czole. Smugi brudu, zadrapania na policzkach. Zauważył, że kula drasnęła szyję; rana krwawiła. Lewa strona bluzki nasiąkała krwią.

- Oliver - mruknęła dziewczyna, poruszając się w jego ramionach. - Żyjesz... żyj, Oliver...

Perkins pokiwał nad nią głową. „Gus Stallone - pomyślał. - Głupie imię dla babeczki. Augusta. To na pewno od Augusty”.

- Czy... czy znasz...? - mamrotała dalej. Odwróciła do niego twarz, otworzyła znów oczy. - Czy znasz zakłęcie? - Powieki ponownie się zamknęły, głowa opadła bezwładnie. Czuł jej policzek na piersi, czuł, że porusza wargami. Bełkotała coś cicho.

Popatrzył przed siebie. Niósł ją na rękach. Ku maskom. Ku muzyce. Ku migającym światłom.